



Aleksandra Suława
Przy rodzicach nie parlować
O polskich powrotach z Francji



Aleksandra Suława

Przy rodzicach nie parlować

O polskich powrotach z Francji



Wołowiec 2023

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.



Projekt okładki Agnieszka Pasierska

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografia na okładce © Kasimir Zgorecki, © ADAGP, Paris, 2023

Wybór zdjęć Przemysław Pełka

Copyright © by Aleksandra Suława, 2023

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka

Redakcja Magdalena Błędowska

Konsultacja francuska Katarzyna Marczevska

Korekta Agata Górzyńska-Kielak / d2d.pl, Iwona Łaskawiec / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-789-6

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Wstęp Domowa zagadka

Osoby pojawiające się w książce

- 1 Co mogą małeletni?
- 2 Zbędni ludzie jadą do Francji
- 3 Lepiej nam tu w piątek, jak w Polsce w niedzielę?
- 4 Vaten an Pologne
- 5 Fefiki
- 6 Jadziem do domu, dość tych zagranic
- 7 Kierunek: Wałbrzych. Nastrój wspaniały
- 8 Gdzie ta Polska?
- 9 Nowy typ człowieka
- 10 Dowcip o małpie
- 11 Medale i grosze
- 12 Światowcy
- 13 Jak uciec z domu?
- 14 Autostrada wolności
- 15 Każdy ma swojego Francuza
- 16 Wino na hałdach

Epilog

Bibliografia

Przypisy końcowe

Przypisy

Kolofon

zapraszam na... (P)

Wstęp Domowa zagadka

Widzę go, jak siedzi przy wejściu do ogrodu. Ma na sobie robocze ubranie: szare spodnie, bluzę na guziki, kaszkiet, wszystko uszyte na miarę z tego samego sztywnego materiału. Na dłoni, między kciukiem i palcem wskazującym – plaster. Od jakiegoś czasu przykleja go codziennie, nigdy nie spytałam dlaczego. W ręce z plastrem trzyma gazetę, nie dostrzegam tytułu, ale wiem, że to lewicowy tygodnik. W drugiej szklanke, taką bez uszka, ozdobioną wzorem z nakładających się okręgów. W szklance – aperitif. To słowo do zapamiętania.

Jeśli nie czyta gazety, po prostu patrzy na ogród, w którym posadził ozdobne gladiole i tulipy, praktyczną eszalotkę, sycące marony. Kolejne słowa do zapamiętania.

Nie rozmawialiśmy zbyt dużo. Był jednym z tych dorosłych, którzy w dzieciach budzą respekt, podpowiadający, by trzymać dystans i podchodzić tylko z mądrymi, uprzednio ułożonymi w głowie pytaniami. Jeśli chciało się dostrzec, jaki jest naprawdę, najlepiej było obserwować go przez innych. Przez żonę, którą często przytulał i mówił do niej: „kocham cię, Anisiu”, przez córkę, która wspominała, że kupił jej pierwszą torebkę i pierwsze dorosłe buty na obcasie, przez syna, z którym toczył ciągnące się długo w noc dyskusje. Dawał się też poznać w gestach: godzinach spędzanych w warsztacie, gdzie dla nas, dzieci, wyczarowywał z drewna konika na biegunach, w rysunkach szkicowanych kolorowymi flamastrami, w starannym kolekcjonowaniu znaczków i błyszczących kamieni.

Mimo rzadkich rozmów słów do zapamiętania było coraz więcej. Wystarczyło się na nich skoncentrować, żeby zaczęły pączkować w domowych dialogach: łakocie na Mardi gras, obiad na 14 Juillet. *Bruno*, *petit facteur*, *Les Trois Mousquetaires*, *Dictionnaire illustré* na grzbietach

książek. „Joyeux Noël”, „Joyeuses Pâques” na zdobionych brokatem pocztówkach, które listonosz przynosił zimą i wiosną.

Oprócz słów i przedmiotów byli też ludzie: ktoś przysyłał te pocztówki, do kogoś wędrowały listy, które pisał starannie, przynajmniej raz w miesiącu, przeznaczając na to całe przedpołudnie. Raz, dwa razy do roku przychodziły paczki, wypełnione cudownościami, których w Polsce lat dziewięćdziesiątych, mimo dokonanej transformacji, w sklepach wciąż nie można było dostać. Wreszcie: ktoś czasem przylatywał samolotem, mówił w obcym języku o tych, którzy wyjechali i którzy przyjechali. Wszyscy wszystkich wspominali, wszyscy za wszystkimi tęsknili.

Twój dziadek jest z Francji.

Twój dziadek urodził się we Francji.

Twój dziadek miał francuski paszport, ty też możesz mieć.

Rodzina twojego dziadka nadal mieszka we Francji.

Ty jesteś taką francuską dziewczynką. Zabierzemy cię do nich na wakacje.

Ale przecież...

Mój dziadek mieszka w Polsce.

Mój dziadek ma polskie obywatelstwo.

Mój dziadek mówi po polsku.

Rodzina mojego dziadka pochodzi z Rycerki, małej wioski w górach.

W nazwisku, które mam po nim, są polskie znaki.

Kiedy byłam dzieckiem, ta narodowościowa zagadka ekscytowała, pozwalała snuć najróżniejsze fantazje na temat mojego pochodzenia. „Moja rodzina jest z Krakowa”, „moja z Warszawy”, „moja z Gdyni”. „A twoja?” „Moja jest z Francji” – taka odpowiedź gwarantowała absolutne towarzyskie zwycięstwo na szkolnym korytarzu.

Potem zagadka zaczęła uwierać. Nic się w tej historii nie kleiło.

Wyjechali – przyjechali. Jeden brat, drugi brat, starszy brat, młodszy brat. Bieda. Ziemia. Kontrakt. Praca. Rolnicy. Górnicy. Przed wojną, po wojnie. Propaganda. Polityka. Pytałam, a odpowiedzi zawsze przybierały formę zawitych tłumaczeń, którym towarzyszyło oglądanie albumu z czarno-białymi zdjęciami. Wszyscy na nich byli do siebie bliźniaczo podobni, zawsze pozowali w grupie, a ich życie zdawało się składać

z chrzcina, komunii i ślubów. Im częściej pytałam, tym historia plątała się bardziej. W końcu zniecierpliwiona samą sobą i tym, że najwyraźniej nie potrafię połączyć punktów tak, by uzyskać logiczny obrazek, przestałam pytać.



Franciszek przed domem, w którym mieszkał we Francji kilka dekad wcześniej,
Haillicourt, 1997

Źródło: archiwum rodzinne autorki

To musiał być sobotni albo niedzielny poranek, w czasie, kiedy już studiowałam. Skulona na kuchennym krześle, z kolanami pod brodą, zdążyłam dotrzeć do połowy „Polityki”. Artykuł, wydrukowany w dziale „Społeczeństwo”, nosił tytuł *Bule reemigranta* i zaczynał się tak: „Mała Francja – tak nazywano po wojnie Suliszów, dzielnicę Jedliny-Zdroju koło Wałbrzycha. Mieszkali tam repatrianci z Francji, którzy gaworząc we français, jedząc ratatouille i grając w pétanque, leczyli tęsknotę za utraconą krainą szczęśliwości”. W Jedlinie-Zdroju mieszkali ludzie tacy sami jak mój dziadek – François Suława, urodzony w Haillicourt, który przyjechał do Polski w 1946 roku, żeby stać się Franciszkiem, i który nigdy nie przestał tęsknić za miejscem, gdzie się urodził. Takich jak on było kilkadziesiąt tysięcy. To dziwne uczucie, kiedy uświadamiasz sobie, że losy twojej rodziny są częścią większej historii.

Ta książka powstała na podstawie rozmów z reemigrantami z Francji, mieszkającymi głównie na terenie Dolnego i Górnego Śląska, oraz opowieści krążących w mojej rodzinie. Relacje rozmówców uzupełniłam narracją historyczną, cytatami z czasopism, opracowań, pamiętników i dokumentów, jednak przedstawione tu przebieg wydarzeń czy wygląd miejsc odpowiadają temu, co zapisało się w ludzkiej pamięci. Ta zaś bywa ulotna, szpetne czyni pięknym, dramatyczne – ekscytującym, zaskakujące – spodziewanym, absurdałne – logicznym. Często pozostaje w kontrze do analiz historyków, aktualnej politycznej narracji, powszechnych przekonań. Lecz to w pamięci zapisują się emocje, odciskają się miłość, tęsknota, strach, rozczarowanie. A przede wszystkim o nie w tej historii chodzi.

Osoby pojawiające się w książce

Henryka – urodzona we Francji w 1934 roku

Alfreda – urodzona we Francji w 1933 roku

Maria – urodzona we Francji w 1936 roku

Marian – urodzony we Francji w 1933 roku

Władysław – urodzony we Francji w 1932 roku

Waleria – urodzona w Polsce w 1914 roku; wyemigrowała do Francji z rodzicami w latach dwudziestych

Liana – urodzona we Francji w 1941 roku, córka Walerii

Andrzej – urodzony we Francji w 1926 roku, później mieszkał w Belgii

Zofia – urodzona we Francji w 1936 roku

Daniela – urodzona we Francji w 1946 roku

Franciszek – urodzony we Francji w 1929 roku, mój dziadek

Wszyscy powrócili do Polski w ramach akcji reemigracyjnej w latach 1946–1948.

Oraz:

Helena – siostra Walerii, ciocia Liany

Bruno – mąż Heleny

Maryś (Marian) – brat Liany

Alfred – ojciec Danieli

Wala (Waleria) – żona Andrzeja

Werka (Weronika) – córka Andrzeja i Wali

A także występujący wyłącznie w pierwszym rozdziale:

Zofia i Ferdynand – małżonkowie urodzeni we Francji

1 Co mogą małośni?

Gdyby to był spektakl, za dekoracje wystarczyłyby dwa krzesła i stół nakryty ceratą.

- Najwięcej Francuzów wróciło z północnej i południowej Francji.
- Najwięcej z północy.
- Tak zaznaczyłem!

Są w podobnym wieku, pod dziewięćdziesiątkę, obydwójce elegancko ubrani. Sukienka, garnitur. Jest ósma rano.

- Nic nie zaznaczyłeś.

On, gdyby uważnie się przyjrzeć, jednak jest od niej starszy. Siedzi wyprostowany, zdarza mu się zapominać słów, głównie liczebników, nazw miesięcy i dni tygodnia. Ona parzy kawę.

– We Francji mówili: wracajcie, czekają na was, będziecie budować Polskę. I wrócili, pracowali w górnictwie, szli do wojska, zostawali oficerami, inżynierami, dyrektorami.

- Nie musieli wracać.
- Oczywiście, że nie musieli.
- Ale ich namówili.
- Nas namówili. Nawoływali, żeby odbudować Polskę, to przyjechaliśmy.

On lubi przerywać, podkradać puenty, ona daje je sobie podbierać. On czasem nie dosłyszy, wtedy ona, uprzedzając jego prośbę, powtarza pytanie. Ponad pięćdziesiąt lat razem, pół wieku docierania się w dialogach.

- Kiedy wyjeżdżaliśmy, Francuzi wołali za nami: nie jedźcie, zostańcie z nami.
- A Polacy wołali: jedźcie, nie będziecie żałować.
- Ja miałam czternaście lat, kiedy wróciliśmy. To rodzice o wszystkim decydowali.

– Ja miałem siedemnaście. Małoletni, co my mogliśmy?

Kuchnia jest niewielka i skromna, tak jak całe mieszkanie, jak całe osiedle. W górniczych domkach, które dostawali, nie ma luksusów. Gdyby to był spektakl, za całe oświetlenie starczyłoby światło zawieszanej na suficie jednej lampy.

– W Polsce usłyszeliśmy: radźcie sobie. Niczego nie przygotowali. Po prostu wyrzucali Niemców z domów i lokowali nas na ich miejsce.

– To było niesmaczne, spać na cudzym, jeść na cudzym, ale co mieliśmy zrobić?

– Wiele obiecali, a niewiele dali.

– Może nie przyjechaliśmy z miodu, ale kiedy zobaczyliśmy Polskę, byliśmy bardzo rozczarowani. Ruina.

Ona rozlewa kawę do filiżanek. „W tym domu zawsze pierwsza rzecz: kawa”. Inne rzeczy w tym domu też są bardziej francuskie niż polskie – kulinaria, stroje, obyczaje. Sałata z sosem vinaigrette, elegancja, szalik, beret, bezpośredniość w rozmowie.

– To było rozdarcie. Jechało się do Polski, do ojczyzny, ale serce płakało za Francją, rwało się do niej.

– Najgorszy był ten szok, inna kultura. We Francji nawet w szkole uczono dzieci, jak mają się zachować. Na przykład: czy kogoś zna, czy nie zna, ma się uklonić. A tu? Z byka patrzy jeden na drugiego.

– Inny świat. We Francji wzięło się dziewczynę pod ramię, pocałowało, a tu zaraz ktoś patrzył krzywo.

W telewizorze szumi France 5. Jest też kanał z francuskimi informacjami.

– Rodzice mówili gwarą, my kaleczyliśmy polski. Uczyliśmy się go jak obcego języka.

– Mówiliśmy jedno słowo po polsku, cztery po francusku. W tramwajach ludzie zwracali nam uwagę: jesteście w Polsce, mówcie po polsku.

Ze mną rozmawiają po polsku, kiedy są sami, różnie bywa. Jeden język łąta drugi.

– Gdyby ktoś dziś mnie zapytał, jaki jest mój stosunek do Francji, to powiem, że tęsknię za Francją. Francja jest moją ojczyzną i Polska też jest

moją ojczyzną.

– Czuję się Francuzką, mimo że w sercu jestem Polką, albo odwrotnie, czuję się Polką, choć w sercu jestem Francuzką.

– Zawsze kiedy jechaliśmy do Francji na urlop, do siostry, do kuzynki, to wracaliśmy tacy smutni.

– Niektórzy mówią, że gdyby tylko mieli możliwość, to wróciliby do Francji. Nie dla pieniędzy, ale dlatego, że tutaj ich zlekceważono.

– My mamy dobry stosunek do Polski, ale mamy też do niej żal.

Gdyby to był spektakl, w tym momencie uważny widz usłyszałby, że w dialogach coś się zmienia. Koniec z rozlewaniem się w dygresje, jest wartki nurt mknący do jednej puenty.

– Początkowo dużo się mówiło o repatriantach z Francji, a dziś jakby wszyscy o nas zapomnieli. To jest bardzo nie w porządku. O wszystkich się wspomina, o nas nie.

– Była rocznica powrotu z Francji, okrągła, jedna, druga... nic. Absolutnie nic nie ma.

– Myśmy więcej Polsce dali, niż ona nam dała.

Nie ma już w małym mieszkaniu i w tej rozmowie miejsca na snucie opowieści o życiu w dwóch ojczyznach, na pytania, na wspomnienia. Coś innego się tu rozsiało.

– Czas płynie, mija nie rok, tylko dziesiątki lat, a nie ma żadnego uznania dla ludzi, którzy budowali Polskę.

– Mnie tak boli, kiedy słyszę, że wszystko, co robiło się w PRL, było złe. Czy to znaczy, że my źle pracowaliśmy? Nie, nie pracowaliśmy źle, przecież to myśmy to wszystko odbudowali.

– Kiedy byłem w wojsku, pomagałem odbudowywać Warszawę. Tutaj też pracowaliśmy. Odbudowa Wrocławia, w Wałbrzychu nowe osiedla: Piaskowa Góra, Podzamcze, nowe szkoły, zakłady pracy, domy wczasowe, infrastruktura. Kto to wszystko budował? Kto na to pracował? Przecież my. Nie politycznie, tylko patriotycznie.

– Przyjechaliśmy odbudować ten kraj i on został odbudowany.

– Ja nie oczekuję niczego wielkiego, ale żeby chociaż raz wspomnieć, oddać hołd. Nic nie ma. Absolutnie nic nie ma.

– Czy to by było coś złego, gdyby powiedziano: o, właśnie teraz, właśnie dziś jest rocznica, mija tyle i tyle lat, odkąd z Francji wrócili Polacy, żeby odbudować kraj. Gdyby przypomniano, jak wyglądały ich losy.

Jeden żal za każdym razem ubierany w nowy argument, niedająca się przerwać litania bez końca.

Gdyby to był spektakl, w tym momencie światła mogłyby przygasnąć. Ktoś wyniosłby stół i krzesła, ona i on zniknęliby za kulisami. Opowieść o swoim pokoleniu, o tych, którzy urodzili się we Francji, a potem, w wyniku decyzji rodziców, przyjechali do Polski, pozwolą snuć innym. Poprowadzi ją Władysław, bystry chłopak z polskiej szkoły w Paryżu, poprowadzi Liana, mała aktoreczka, sprytna asystentka mamy, aktywistki o lewicowym sercu. Poprowadzi ją Marian, którego ciągnie do przygód i polityki, Zosia, która widzi i czuje więcej niż inne dzieci, nieśmiała Marysia o wyjątkowym głosie i pracowita prymuska Henryka. Będzie w niej też Alfreda przekręcająca polskie słowa, grający na akordeonie Andrzej, piękna jak Francuzka Daniela i Franciszek, który miał mniej szczęścia niż jego bracia.

Z biegiem opowieści będą dorastać, ich biografie wypełnią się dyplomami, stanowiskami, adresami kolejnych domów, nazwiskami małżonków i dzieci. Życie – z właściwą sobie kapryśnością – jednym da obfitość, drugim szczęścia poskapi. Rzadko jednak przyniesie odpowiedź na stawiane już w dzieciństwie pytania. Kim ja właściwie jestem? Kim są moi rodzice? Gdzie jest mój dom?

2 Zbędni ludzie jadą do Francji

Zimą 1918 roku do długiej listy problemów, z którymi mierzyli się w dopiero co odrodzonej Polsce, sklepikarze mogli dopisać kolejny: jak pokazać klientom, czym handlują, nie wystawiając w witrynie artykułów spożywczych? Czy umieścić tam gipsową makietę? A może atrakcyjną ilustrację? Głowy łamali sobie też restauratorzy: jak skomponować menu z tylko jedną mięsną potrawą? Czy ktoś skusi się na kotlety jajeczne? Czy jarski bigos posmakuje? Lista pytań puchła.

Przyczyną owej handlowo-wystawowej zagadki było rozporządzenie wydane w listopadzie tego roku przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych „w przedmiocie ograniczenia sprzedaży artykułów mięsnych w jadalniach i umieszczania artykułów spożywczych na wystawach sklepowych lub w oknach”. Uznano najwidoczniej, że ze względu na „warunki aprowizacyjne kraju” lepiej nie denerwować przechodniów i bywalców lokali. Sytuacja i tak była napięta.

Braki i nadmiary

Niepodległa Polska to państwo, w którym jednych rzeczy brakuje, a innych jest aż nadto. Brakuje – jak już się rzekło – jedzenia. Choć to kraj rolniczy, w którym z tego, co rodzi ziemia, żyje sześćdziesiąt (a są miejsca, że i dziewięćdziesiąt) procent społeczeństwa, uprawia się ją tak niewydajnie, że zbiorów często nie wystarcza nawet na wyżywienie rodziny, nie mówiąc o ich sprzedaży. Na wsiach domowe zapasy próbuje się uzupełnić tym, co dają las i rzeka. W miastach rząd wprowadza kartki, między innymi na chleb, cukier i sól. Dwa różne rozwiązania, a oba nieskuteczne. Na wsiach natura okazuje się nie dość hojna, by odegnać głód. W miastach ludzie masowo fałszują kartki albo pobierają przydziały na zmarłych już członków

rodziny. Gdzieś tam myśli się nawet o zamknięciu szpitali, bo nie ma czym wykarmić chorych.

Jedzenia brakuje, więc jego ceny idą w górę – wydatki na żywność pochłaniają znaczną część domowych budżetów. Konkretnie: sześćdziesiąt procent, z czego dwadzieścia wydaje się na chleb. W ślad za jedzeniem drożeją i inne towary. Każdą monetę – najpierw markę polską, a po reformie walutowej złotówkę – przed położeniem na sklepowej ladzie ogląda się uważnie. Czasem przy tym oglądaniu wzrok się rozmywa. „Raz, pamiętam, mąż mi oddał zasiłek i zdjął buty z nóg, i pokazał mi dziury w zelówkach, i cóż ja wtedy miałam zrobić? – pisze w pamiętniku robotnica z Żyrardowa. – Zelówki kosztowały 5 zł 50 gr, a ja miałam 9 zł 25 gr i tydzień życia przed sobą [...]. Jak niosłam te buty do reperacji, to może mi nie wierzycie i powiecie, że to bujda, ale ja, co tu piszę tylko prawdę, to jak niosłam te kamasze do szewca, to płakałam jak małe dziecko. Nie wiem, czy jak jaki bogacz straci cały swój majątek, czy tak kiedyś by płakał”¹.

Brakuje pieniędzy, brakuje też pracy, która pozwalałaby zarobić pieniądze. Na wsiach ziemię z każdym pokoleniem dzieli się na coraz mniejsze kawałki, każde z dzieci dostaje coraz skromniejsze poletko. W miastach fabryki są zniszczone po wojnie. Ręce rwą się do roboty, ale nie mają się czego uchwycić. Według historyków na wsi zajęcia nie ma jedna trzecia mieszkańców, w mieście nie ma go połowa.

Oprócz głodu pracy i głodu ssącego w żołądku jest jeszcze jeden głód: mieszkaniowy. Sytuacja – zła już przed wojną – po niej pogarsza się jeszcze bardziej. Rolnicy mieszkają w jednoizbowych chatach, małych i ciemnych, bo szklane okna to luksus. Robotnicy na przedmieściach lub osiedlach robotniczych. To miejsca, gdzie nikogo nie dziwi brak prądu, gazu, bieżącej wody i kanalizacji, nie zaskakuje lokal w suterenie czy na poddaszu ani fakt, że w jednym pomieszczeniu żyć musi kilka osób – średnio 3,7, ale zdarzają się przypadki, że i dziewięć. Tam wynajmuje się czasem nie całe pokoje, tylko łóżka, nie na miesiące czy tygodnie, tylko na godziny: jeśli jeden człowiek pracuje w dzień, a drugi w nocy, spokojnie mogą podzielić się kosztami. „Dziewięćdziesiąt procent naszych pacjentów żyje w okropnych warunkach – piszą w 1923 roku urzędnicy kasy chorych. –

W mieszkaniach ciasnych, brudnych gniezdzą się po dwie–trzy rodziny. Choroby płucne, szczególnie gruźlica, mogą rozwijać się bez żadnych przeszkód: matka zaraża dziecko, dzieci rodziców itd., a wszędzie w tych siedzibach ludzkich brak niezbędnego dla płuc lekarstwa: słońca i powietrza. Za to w izbach robotniczych unoszą się opary kuchenne, woń kwaszonej kapusty, stęchlizna ze starej słomy sienników i smród z porozwieszanych w mieszkaniach pieluch i ścierek”².

Pod tymi pieluchami i ścierkami, wśród nieprzyjemnych zapachów, nieraz rozgrywały się dramaty. Ta sama kobieta, która płakała w drodze do szewca, ma i inny, jeszcze bardziej dramatyczny powód do łez. Umiera jej stryj. „Już na kilkadziesiąt minut przed śmiercią prosił, ażeby mu kupić jabłek, a dzień przed tem kupiłam mu pomarańczę i dałam za nią 1,10 gr, to już później miałam 15 gr, a żeby kupić jabłko w czerwcu, trzeba mieć choć z 50 gr, a ja tyle nie miałam [...]. I umarł 8 czerwca z żalem do mnie, że mu żałowałam 50 gr. Och ty biedo złota, ja ich nie miałam. I pomyśleć, 50 gr stanowi u człowieka prawie że majątek, bo gdybym wtedy miała te 50 gr, to chociażbym temu umierającemu nie odmówiła jego ostatniej prośbie. Czy to nie jest straszne? Czy to nie jest okropne?”³

Skoro w Polsce brakuje jedzenia, pieniędzy, pracy i mieszkań, to czego jest nadto? Czego nad Wisłą zbywa? Czasu i rąk do pracy. Jak wylicza ówczesna prasa, na samej wsi żyje pięć milionów ludzi, dla których nie sposób znaleźć zajęcia. Nazywa się ich „zbędnymi”. To ogrom, a wciąż rodzą się nowi – w latach dwudziestych Polaków przybywa szybciej niż jakiegokolwiek innego narodu w Europie. Dzieci: gorzkie szczęście, przynoszą ze sobą i radość, i kłopoty.

Bieda to dla zwykłych ludzi dramat, dla władz zaś problem, który trzeba rozwiązać, i to jak najszybciej. Brak pracy, niedostatek i przede wszystkim nikła nadzieja na poprawę losu: to wszystko czynniki sprzyjające „komunistycznym wpływom”. „Członkowie rządu drżeli na myśl, że masy pozbawionych zajęcia i zarobku robotników zorganizują krwawą rewoltę i zaprowadzą nad Wisłą rządy bolszewickich komisarzy”⁴ – pisze historyk Kamil Janicki. Bezrobotnych próbuje się więc wesprzeć zapomogami albo zatrudnić przy robotach publicznych. Te pierwsze jednak szybko zjada inflacja, drugie zaś okazują się techniczną i organizacyjną porażką.

Jeśli więc nie ma pomysłu na skuteczną pomoc, zostaje trzecia droga. Może ludzie zbędni, nadwyżkowi, bezrobotni, zbuntowani powinni poszukać szczęścia gdzie indziej? Może po prostu powinni stąd wyjechać?

Puzzle

116 miliardów franków – na tyle wyceniono zniszczenia, jakie wojna spowodowała w północnej i wschodniej Francji. W gruzy obróciła 32 tysiące fabryk, 800 tysięcy budynków mieszkalnych, 4800 kilometrów torów⁵. Wydobycie węgla w kopalniach departamentów Nord i Pas-de-Calais, górniczego zagłębia Francji, spadło z 27 milionów ton w 1913 roku do 13,5 miliona ton w 1921. Zniszczeniu uległo 77 procent naziemnej i podziemnej infrastruktury⁶. Trzeba było zabrać się do odbudowy: gruzy usunąć, okopy zasypać, niewypały odnaleźć, domy odbudować, tory położyć na nowo. Kto jednak miał to zrobić, jeśli ludność na tych terenach zmniejszyła się o ponad połowę?

Dwa kraje jak dwa puzzle – jeden z nadmiarem, kipiącym, wylewającym się jak strumień z brzegów, drugi z brakiem, niedoborem, jakby wyrwą do zapełnienia. Zdawało się, że wystarczy wpasować jeden element w drugi, by stworzyły zgrabny obrazek, na którym jedni mają pracę, a inni pracowników. Dyplomatyczna układanka, lekarstwo na przynajmniej jeden z powojennych problemów.

Dokument umożliwiający realizację tego konceptu podpisano 3 września 1919 roku. Nosił tytuł: Konwencja w przedmiocie emigracji i imigracji, zawarta pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Rzeczpospolitą Francuską. Na jego kartach znalazły się najważniejsze zasady, na mocy których jeden kraj miał uwolnić się od nadmiaru, a drugi od niedoboru. Tak więc: wyjeżdzać można samodzielnie lub w ramach kontraktu zbiorowego. Na wyjeżdżających samodzielnie, którzy nie podpisali wcześniej umowy z jakimś pracodawcą i brakuje im środków na dalszą podróż do wybranej miejscowości we Francji, czekają przygraniczne schroniska, w których można się zatrzymać, i wskazówki z urzędów pośrednictwa pracy. Wyjeżdżający na kontrakty zbiorowe co prawda pracę mają

zagwarantowaną, ale jeszcze we własnym kraju muszą przejść weryfikację i klasyfikację, prowadzoną przez przedstawicieli rządu kraju przyjmującego lub przyszłego pracodawcę. Na wszystkich tych, którzy znajdują zatrudnienie, czekają płaca, warunki pracy i opieka socjalna takie same, jakie otrzymują obywatele kraju przyjmującego. Wyjeżdżać można swobodnie – na opuszczenie ojczystego kraju nie potrzeba żadnego zezwolenia. Nikt też nie może zabronić pracownikom powrotu do domu.

Połączono dwa puzzle i zbudowano most, przez który w całym międzywojniu przeszło pół miliona ludzi.

Francja daleka – Francja bliska

„I tak zdecydowałem się wyjechać do Francji”. „Nam tak się bieda za pazury dogryzła, że postanowiliśmy wyjechać do Francji”. „We Francji można zarobić, kto tylko chce i oszczędza, może z biegiem czasu przyjść do grosza i potem coś kupić sobie w Polsce”. Czytane po prawie stu latach fragmenty pamiętników emigrantów brzmią lekko. Zaskakująco lekko, bo przecież zdawać by się mogło, że dla kogoś, kto – a można założyć, że tak było w przypadku wielu osób – nie mówi w żadnym obcym języku i dotychczas najdalej w podróż wyprawiał się do pobliskiego miasta wojewódzkiego, wyjazd za granicę będzie decyzją obarczoną, jeśli nie lękiem, to przynajmniej wątpliwościami. We wspomnieniach tych ludzi nie ma jednak strachu czy wątpliwości, choć nie ma też entuzjazmu. Jest tylko decyzja.

Może dlatego, że w latach dwudziestych ubiegłego wieku nie była to wcale decyzja tak wyjątkowa? Za pracą wyjeżdżano nie tylko do Francji, ale też do Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Danii, Belgii, Łotwy, Kanady, Argentyny, Brazylii. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne po świecie rozpiechły się dwa miliony Polaków⁷.

W każdym z tych miejsc istniały jakieś przeszkody. Co kraj, to inne. W Stanach Zjednoczonych obowiązywała Quota Act, ustawa określająca liczbę imigrantów danej narodowości, którzy każdego roku mogą zostać przyjęci w portach. W Niemczech szalała hiperinflacja, a plotka głosiła, że wydalają stamtąd Polaków za każde przewinienie. Kanada preferowała

emigrację z Wielkiej Brytanii. Argentyna oferowała niewielką ilość nadającej się pod uprawę ziemi i jeszcze mniejszą pomoc dla osadników. Brazylia nie oferowała niemal żadnej pomocy. Na łamach „Wychodźcy”, tygodnika wydawanego przez Polskie Towarzystwo Kolonialne, można było przeczytać, że w Argentynie „nikt na nikogo zza oceanu nie oczekuje. [...]. Trzeba ogromnie przeto wyęźać siły, umysł, zdolności, aby wytrzymać tę konkurencję wszechświatową, zdać egzamin życiowy i wyjść w dodatku z niego zwycięsko”⁸. Do Brazylii zaś „zaczęły napływać rzesze ludu łaknącego łatwiejszego kawałka chleba, lepszego bytu aniżeli w starym kraju. Tutaj jednak czekała ich twarda rzeczywistość: nieudolny rząd brazylijski nie mógł sobie dać rady z nawałem ludzi, z powodu braku gotowych działów ziemi emigranci musieli wyczekiwać całymi miesiącami w barakach, gdzie zaczęły grasować epidemie, pochłaniając wiele ofiar, a kiedy nareszcie emigrant dostał się ze swoją rodziną na lot, jaki mu rząd wydzielił, to najodważniejszy musiał struchleć na widok swego przyszłego warsztatu pracy... Puszczaj! Odwieczna, nietknięta, groźna, ponura, jakby z szyderstwem spogląda na wylekłą rodzinę mazurską i szumi: »Człowieku, puchu marny, jam przetrwała lat tysiące, a ty mi chcesz przynieść zagładę? Promień słońca nie przebija się przez moje konary, a ty się chcesz wedrzeć do mojego wnętrza? Nigdy, tu twoja zguba«”⁹.

Po takiej lekturze Francja rzeczywiście mogła się wydawać bezpiecznym wyborem.

Rekrutacja

Kto mógł jechać nad Sekwanę? Na to pytanie autor *Wskazówek dla wychodźców do Francji*, książeczki w formacie szkolnego zeszytu, w której udało się zawrzeć zaskakująco wiele praktycznych informacji dla emigrantów, odpowiada tak:

„Najczęściej sprowadzani są do Francji:

- 1) robotnicy rolni (mężczyźni i kobiety) i osadnicy,
- 2) górnicy do kopalń (wykwalifikowani i niewykwalifikowani, mężczyźni i kobiety),

3) robotnicy przemysłowi (wykwalifikowani i niewykwalifikowani, mężczyźni i kobiety)”¹⁰.

Robotnicy rolni i zawodowi górnicy przyjmowani byli do czterdziestego piątego roku życia, robotnicy przemysłowi – do trzydziestego piątego. Za robotników wykwalifikowanych w górnictwie i przemyśle uznawano tylko tych, którzy zdali egzamin zawodowy, posiadali świadectwa fachowych kursów bądź doświadczenie z poprzedniej pracy. Jako niewykwalifikowani mogli być przyjęci wszyscy bez określonego zawodu. Nie przyjmowano chorych, nie przyjmowano ciężarnych.

Tylu potencjalnych odrzuconych, a jechać chcą wszyscy.

O pracy można dowiedzieć się z ogłoszenia w gazecie. Na przykład takiego: „Na miesiąc luty zostało zgłoszone przez Misję Francuską zapotrzebowanie na 310 robotników niewykwalifikowanych do kopalń oraz około 60 robotników wykwalifikowanych do fabryk, przeważnie do walcowni. Zapotrzebowanie na robotników wykwalifikowanych Państwowe Urzędy Pośrednictwa Pracy pokrywają spośród bezrobotnych zarejestrowanych w tychże Urzędach. Co zaś się tyczy robotników niewykwalifikowanych do kopalń, czyli tak zwanej pomocy górniczej, to zostały ustalone następujące miejsca, liczby i terminy rekrutacji:

Warszawa 31 stycznia – 20 robotników

Łódź 31 stycznia – 20 robotników

Łódź 6 lutego – 10 robotników

Sosnowiec 6 lutego – 15 robotników

Radom 6 lutego – 15 robotników

[...] oraz województwo poznańskie ma dostarczyć 100 robotników i województwo pomorskie 50. Robotnicy z byłej Kongresówki mają stawić się w terminach wymienionych w obozie w Mysłowicach, a robotnicy z Poznańskiego i Pomorza zostaną skierowani do Poznania jako punktu zbornego”¹¹.

O rekrutacji można też usłyszeć w urzędzie pracy, kościele, od obrotnych kolegów, wreszcie – z listów tych, którzy już wyjechali. Że można jechać, wie więc właściwie każdy. Nie każdy jednak może się zakwalifikować.

Droga do Francji zaczyna się w kilkunastu punktach w Polsce, zwanych werbunkowymi. W latach dwudziestych i trzydziestych działają one na przykład w Krakowie, Sosnowcu, Wieluniu, Przemyślu. Jest i punkt na rynku w Jarosławiu.

Ten ostatni to miasto niewielkie, rynek niewielki, więc tłok na nim tym większy. „Zdawałoby się, że to targ”, piszą dziennikarze, jednak nikt tu niczego nie kupuje i nikt niczego nie sprzedaje. Ludzie cisną się, przestępują z nogi na nogę, robią wszystko, co zwykle się robić w zniecierpliwieniu, i narzekają, że „nie dość szybko wyjeżdża się do Francji”. Niby panuje tu chaos, ale to tylko pozory, gdzieś w tej masie formuje się ogonek czekających na spotkanie z komisją lekarską, która orzeknie, kto jest zdolny do pracy, a kto nie. Krótkowzroczni – niezdolni, słabi – niezdolni. Na każdą setkę chętnych komisja odrzuca około czterdziestu. „Tu odbyło się pierwsze czyszczenie – tłumaczy francuski kontroler reporterowi. – Pozostało czterdzieści procent nieużytków”. Kto odrzucony – płacze na krawężniku. „Reszta pojedzie do Mysłowic, gdzie odbędzie się ponowne czyszczenie. Nowoczesna rafineria”¹².

Na „stacji zbornej” w Mysłowicach należy stawić się na ósmą rano. Autor *Wskazówek* przestrzega, by nie udawać się tam bez wcześniejszej konsultacji z urzędem pracy – może to skutkować odesłaniem do domu na własny koszt. Każe pilnować dokumentów: dowodu osobistego, książeczki wojskowej, aktu ślubu czy aktów urodzenia dzieci, oraz radzi, by nie zatajać problemów zdrowotnych. Ci, u których kontrolerzy wykryją jakieś schorzenia albo niezgłoszoną ciążę, również poniosą opisane wyżej konsekwencje¹³.

Mysłowice to stacja, która już w latach dwudziestych XX wieku miała za sobą może nie długą, ale za to bogatą historię. Od drugiej połowy poprzedniego stulecia rejestrowano tu potencjalnych emigrantów chcących wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Formalności dopełniali w wąskiej kamienicy, której fasadę zdobiły wykusze i małe balkoniki, skąd przechodzili do budynku stacji. Aby choć na tym ostatnim etapie drogi mogli się ochronić przed deszczem albo mrozem, nad ulicą przerzucono przewiązkę – łukowaty, zabudowany mostek łączący oba budynki. Przykryty dachówką, z małymi okienkami i okrągłą wieżyczką pośrodku,

prezentował się całkiem ładnie. To udogodnienie przetrwało do lat powojennych, pozostając jednym z nielicznych śladów komfortu, na jaki mogły liczyć w Mysłowicach także osoby wybierające się do Francji. Poza tym jednak, jak pisali redaktorzy „Robotnika”, na stacji „nędza i rozpacz”. „Położona jest nad cuchnącą rzeczka i obok ścieków fabrycznych. Dach w budynku, który dawniej był składem, zacieka. Wewnątrz znajdują się 4 brudne sale, mieszczące dwieście kilkadziesiąt łóżek w trzech kondygnacjach, jedno nad drugim. Stacja, licząc nawet 2 osoby na łóżko, pomieścić może najwyżej 500 ludzi, tymczasem przybywają transporty po 1000 ludzi, którzy marnie odżywiani spędzają po 3–4 dni w Mysłowicach”¹⁴.



Wyjazd polskich emigrantów z Mysłowic do Toul we Francji, 1929

Źródło: NAC

Najważniejszą sprawą, o jaką należało się zatroszczyć przez te kilka dni, było podpisanie kontraktu. Już kolor papieru, na jakim go drukowano, mówił wiele: robotnikom rolnym i osadnikom wydawano karty białe, robotnikom przemysłowym – żółte, górnikom do kopalń węgla – niebieskie, górnikom do kopalń rudy – czerwone. *Wskazówki* zdecydowanie

jednak zalecały, by nie ograniczać się do rzucenia okiem na barwę dokumentu. „Kontrakt jest bardzo ważnym dokumentem prawnym dla robotnika i tylko dokładna znajomość treści jego i przestrzeganie postanowień w nim zawartych może uchronić robotnika od naruszenia jego praw i wynikających stąd przykrości, przeto każdy robotnik przed podpisaniem kontraktu powinien dokładnie zapoznać się z jego treścią, uważnie i pilnie go przeczytać, w kwestiach niezrozumiałych lub niejasnych zasięgnąć wiarygodnej opinii rady”¹⁵.

I co można było wyczytać w tym ważnym dokumencie? Oglądam bladoniebieską kartkę wręczaną górnikom węgla¹⁶. U samej góry widnieje mały napis w dwóch językach – po prawej: „Travail Souterrain”, po lewej: „Robota Podziemna”. Dalej, również w dwóch językach, nagłówek: „Kontrakt Indywidualny Górników”, „Contrat Individuel pour Ouvrier Polonais des Mines”. Poniżej, w sekcji z danymi: nazwa przedsiębiorstwa przyjmującego, miejsce zatrudnienia, stacja kolejowa – to wszystko pozostawało puste, rubryki wypełniano dopiero po przyjeździe do Francji. Co najwyżej wbijano odpowiednią pieczętkę, tutaj jest: „Robotnik niewykwalifikowany – Manœuvre”. Więcej informacji kryje się niżej, w warunkach pracy. Czas trwania umowy: jeden rok, pięć dni w tygodniu po siedem godzin i czterdzieści pięć minut. Niedziele, Nowy Rok, Poniedziałek Wielkanocny, Wniebowstąpienie, poniedziałek po Zielonych Świątkach, narodowe święto francuskie 14 lipca, Wszystkich Świętych i Boże Narodzenie – wolne. Pół dnia w Wigilię i Wielką Sobotę – wolne. Wynagrodzenie równe wynagrodzeniu robotnika francuskiego. Górnicy – 46,80 franka dziennie, pomoc górnicza – 39,30 franka dziennie, robotnicy niewykwalifikowani – 38,20 franka dziennie. Płatne w gotówce, co dwa tygodnie. Składki na Kasę Emerytalną i Kasę Chorych, potrącane z wypłaty, obowiązkowe. Koszt zakwaterowania to minimum 20 franków miesięcznie (lokum zapewnia przedsiębiorstwo), wyżywienia (dwa posiłki dziennie z chlebem i napojem) – 17 franków. Pracodawca „pod żadnym pozorem nie może zatrzymywać paszportów, kontraktu pracy” oraz dowodu osobistego robotnika. Przedsiębiorstwo pomoże w przesyłaniu pieniędzy do rodziny, pokryje (do sześćdziesięciu procent) koszty sprowadzenia bliskich

pozostających w Polsce. Zapewni robotnikowi pomoc lekarską. W razie śmierci pracownika zajmie się pogrzebem.

Choć wiele polskich rodzin przez pokolenia przechowywało zachowane na pamiątkę kontrakty, ten z mojej gdzieś przepadł. Jest za to stosik innych, poskładanych starannie papierów, których ilość daje niejakię pojęcie o rozmiarze emigracyjnej biurokracji: zaświadczenia o pracy we francuskich kopalniach, dowody opłacania składek na emeryturę, prośby o wydanie *carte d'identité*, wnioski o korektę dokumentów: rodzina pochodzi z Rycerki, nie z Rycerski, nazwisko panięskie matki to Gawor, nie Gaworne, miesiąc urodzenia ojca to grudzień, a nie luty. Wszystko się przy tej emigracji pomieszało. Chociaż czasem bałagan bywał wyjeżdżającym na rękę: moja prababcia, której na chrzcie nadano imię Maria, francuskim urzędnikom w dokumenty kazała wpisać „Marianne”.

Alternatywą dla zorganizowanej rekrutacji był wyjazd samodzielny. Drukowane w gazetach ogłoszenia kusiły: *Compagnie générale transatlantique* – stała i regularna komunikacja między Gdańskiem a Dunkierką. Cena kajuty pierwszej klasy to 650 franków, trzeciej klasy – 300. Koszty wraz z utrzymaniem, kuchnia francuska. „Zwracamy uwagę pasażerów do Francji i Belgii, że podróż naszymi okrętami wynosi obecnie taniej niż lądem przez Niemcy”¹⁷. „French Line – największe towarzystwo okrętowe na świecie. Pasażerowie nasi korzystają z wszelkich nowoczesnych udogodnień w podróży, jadąc naszymi szybkimi luksusowymi okrętami »Paris« i »France«. [...]. Wszyscy pasażerowie trzeciej klasy jadą również w kabinach dwu-, cztero- i sześćoosobowych. [...]. Personel okrętowy pod każdym względem przyjazny Polakom. Tłumacze polscy na wszystkich okrętach”¹⁸.

Ku pamięci, ku przestrodze

Pół miliona ludzi tłoczy się w punktach zbarnych i poczekalniach, w pociągach i na statkach. Moi pradziadkowie – Józef i Maria – wyjeżdżają w 1922 roku. Niewykluczone, że nosili się z tym pomysłem już wcześniej, ale ciąża Marii wymusiła wstrzymanie planów. Niewykluczone, bo są

jednymi z tych, których wciąż gdzieś gna. Nie czekają, aż pomyślność sama ich znajdzie, wychodzą jej naprzeciw, choćby mieli pobłądzić, choćby po omacku. Są małżeństwem od sześciu lat, dzieci mają już trójkę: najstarszą Karolinę, średniego Józefa i malutkiego Stanisława, a wspólnych adresów jeszcze więcej: Kraków, Rycerka Górna, Szczygłów, Kolonia Zuzanny pod Katowicami, podobnie jak zawodowych doświadczeń (przynajmniej on) przed ślubem: rolnictwo, ciesiołka, służba w armii; po ślubie: kopalnia soli w Wieliczce, przypełacona chorobą nóg, które puchły, kopalnia węgla w Katowicach.

Tyle miejsc, tyle pracy, a pieniędzy wciąż mało. Jeszcze mniej widoków na przyszłość: do rodzinnych gospodarstw nie mają po co wracać, tam na spadek czeka już rodzeństwo, na lepiej płatne czy lżejsze zajęcie też nie mogą liczyć.

Wyjazd więc. Nie zachowały się żadne zdjęcia, które uwieczniają moment opuszczenia kraju, ale na podstawie innych fotografii próbują sobie wyobrazić, jak mogli wtedy wyglądać. Józef – szczupły, wysoki, sztywny, pod orlim nosem zapuścił gęsty wąs. Maria postawna, jeszcze nie pulchna, ubrana w ciemne kolory, w dłoni ściska pękatą torbę. W torbie (albo, wzorem innych emigrantów, zaszyte w podszewce ubrania czy w dziecięcym kocyku) ma pieniądze. Nigdy, nawet w największej biedzie nie było tak, żeby nie udawało jej się czegoś odłożyć. Maria pilnuje pieniędzy przed złodziejami, ale też przed pokusami. Pół miliona wyjeżdżających do pracy to spory rynek, tym atrakcyjniejszy, że kipią tu emocje, mieszanka nerwów, lęków, nadziei, ekscytacji. Jeden chce wyjechać, drugi chce na nim zarobić, i to w najrozmaitszy sposób.

Na uspokojenie nerwów oferuje się emigrantom poradniki. Nie tylko ten wcześniej cytowany, ale i inne, na przykład w formie rozmówek. Na okładce wyrysowana zwykle francuska flaga, w środku szczegółowe instrukcje, jak urządzić się za granicą. Pisane tak, jakby autor chciał wziąć czytelnika za rękę i powiedzieć głosem ciepłym, lecz zdecydowanym: będzie dobrze. Pamiętaj, że w Paryżu niedrogie wielobranżowe „magazyny” znajdziesz przy dworcu Montparnasse i placu Châtelet¹⁹. Najtańszy chleb zwie się we Francji le gros pain („le gro pę”), lepszy to le pain de fantaisie („le pę de fantezi”), mleko jest doskonałe w smaku, za to

masło drogie. Najlepsza oliwa do kuchni to huile comestible („uil komestibl”), w sklepach z jarzynami sprzedaje się je już ugotowane, „co bardzo upraszcza odżywianie się tym, którzy nie chcą do restauracji chodzić, a kuchni nie mają”. W restauracji najlepiej brać obiad w stałej cenie – dîner à prix fixe („dine a pri fiks”), w kawiarniach mało kto prosi o herbatę, pije się za to dużo kawy, która jest tania przy stoliku, a wypijana przy kontuarze jeszcze tańsza. Tytoń kupisz w kawiarni z napisem „tabac”, jeśli chcesz najtańszą paczkę, poproś o un paquet de cigarettes bleues („ę pake de sigaret ble”), nasze polskie zapałki tam zwą się zapałkami szwedzkimi – allumettes suédoises („aljumet sjueduaz”). Gdyby ktoś chciałby coś kupić i wysłać do kraju, paczkę powinien zaszyć w płótno, a na wszystkich szwach przybić lakowe pieczęcie. Po stolicy wygodnie poruszać się podziemną kolejką – metrem (skrót od métropolitain – „metropolitę”). Można przejechać nią z jednego końca Paryża na drugi, a po drodze przesiadać się wiele razy. Jeśli nie jest się pewnym kierunku jazdy, warto poprosić o pomoc kontrolera. Jadąc na przykład do polskiego konsulatu, należy spytać: C’est bien pour l’Église d’Auteuil? („Se bję pur legliz Dotej?”). „Na co kontroler odpowie albo: uj (oui), czyli: tak, albo powie na przykład: szanze a lopera (changez à l’Opéra), lub szanze a la Kąkord (Concorde), co znaczy przesiąść się na stacji Opera lub na stacji Concorde”. Depesze są drogie. Każde słowo wysłane do Polski kosztuje franka.

A co zabrać z Polski? Może pamiątkowe zdjęcie wykonane na dworcu. Na przykład taki kadr: tłum podróżnych przed wagonem. Z przodu dzieci w schludnych płaszczkach, z tyłu dorośli. Ci w drugim rzędzie trzymają napis: „Pamiątka z Mysłowic”. Na głowach chustki, kaszkiety, kapelusze, berety. Na wszystkich ustach uśmiechy.

A jeśli nie zdjęcie, to może jeszcze jedna książka? *Pamiątka z Polski*, przeznaczona, jak pisze autor we wstępie, „dla Was, Bracia Wychodźcy, i dla waszych dzieci, urodzonych na obczyźnie, a nieznających ziemi ojców. W chwilach wolnych od pracy weźcie *Pamiątkę* do ręki jak brewiarz pobożny i przenieście się duchem do ojczyzny. Autor Was po niej oprowadzi i opowie dzieje jej sławy i świetności z czasów, gdy była »tak bogata, że mogła wyżywić pół świata«”²⁰.

Poradniki, słowniki, zdjęcia, pamiątki – to wszystko były interesy legalne. Tam jednak, gdzie pół miliona ludzi tłoczy się w strachu, nadziei i niepewności, rodzi się również przestrzeń dla tych nielegalnych. Książeczki pełne więc były ostrzeżeń, przekazywano je sobie też w rozmowach. Uważaj na tych, którzy próbują dokleić coś do kontraktu lub dopisać do niego dodatkowe warunki. Pilnuj się, „by nie stracić z oczu transportu, co w obcym kraju może skutkować wieloma przykrościami”²¹. Niczego po drodze nie kupuj, bo „zwykle sprzedawcy żądają wysokich cen i mogą wyzyskać robotnika przy wymianie pieniędzy”. Nie korzystaj lekkomyślnie z rad „dobrych ludzi”, którzy udając często emigrantów lub urzędników konsulatów, okradają naiwnych. Pieniądze polskie (jeśli je masz) najlepiej wymień na francuskie jeszcze w kraju. Pomocy i informacji szukaj u najbliższego policjanta. W transporcie nie graj w gry hazardowe, nie spożywaj alkoholu. Jeśli jesteś mężczyzną, nie zakradaj się do wagonu, którym podróżują kobiety. Jeśli jesteś kobietą, uważaj, kto zaprasza cię do Francji. Mało to plotek o tych, które zakochane, z obietnicą ślubu złożoną w liście, jechały nad Sekwanę, a ich rzekomy narzeczony nawet nie pofatygował się na dworzec? Albo się pofatygował, ale tylko po to, by wyśmiać. Nigdy nie zawieraj kontraktu „na słowo” ani nie podpisuj papierów, które odbiegają wyglądem od oficjalnych wzorów. Krążą legendy o tych, którzy oszukani, latami spłacali rachunek za podróż, kwaterę i wyżywienie, stając się kimś na kształt współczesnych niewolników.

Nikt tylko nie przypomina, żeby w tym ferworze rekrutacji i pakowania pożegnać się z bliskimi jak należy. Tego nie trzeba uczyć; a może właśnie tego uczy się człowiek całe życie: by w odpowiednim momencie głowa, nogi, dłonie same wiedziały, co mają robić.

Pociągi z Mysłowic jadą przez Czechy i Niemcy, szacowany czas podróży to dwie doby, a towarzyszący emigrantom konwojent czy konwojentka uważają, by pasażerowie nie oddalali się na postojach. Czasem udaje im się ludzi upilnować, a czasem nie. „Byli i tacy, którzy wychodzili z wagonów i na polach nad Wisłą szli powoli, żegnając się z ziemią – bo tu się rodzili, tu się chowali, tu chcieli się doczekać lepszych czasów”²².

Morzem podróżowało się nieco dłużej, pięć do sześciu dni. Kiedy statek odbił od brzegu, nie było odwrotu, pozostawało tylko jak najdłużej wpatrywać się w znikającą w oddali linię nabrzeża. „O godzinie dziewiątej okręt podniósł kotwicę i ruszył w daleką podróż morską. Kto mógł, cisnął się na pokład, by żegnać ląd, Polskę lub znajomych. Wieczór był pogodny, a księżyc szybujący w obłokach uśmiechał się do opuszczających kraj. Jedni z wesołością i radością opuszczali ojczyznę – inni z płaczem; dużo spośród nich pozostawiło swych drogich, za którymi tęsknie rwało się serce... Jakiś wychodźca żywo grał na harmonii, a kilka par rzuciło się w takt oberka. Późno już było, przed północą, gdy rozległ się potężny śpiew odjeżdżających »Kto się w opiekę poda Panu swemu«. Fale siniego Bałtyku wchłaniały go w siebie”²³.

Dwa dni, pięć dni, sześć dni, każdy może ciągnąć się w nieskończoność. Zwłaszcza gdy podróż zmienia się w drogę przez mękę. Choć „Wychodźca” powinien służyć emigrantom radą i zachętą, w sprawie drogi do Francji nie przebierał w słowach. „Statek zabiera partię robotniczą liczącą często 1500 robotników, pomimo że pojemność jego obliczona jest zaledwie na połowę liczby pasażerów. Mężczyźni, kobiety, dzieci, stłoczeni w brudnych, ciasnych kajutach, wegetują w brudzie i zaduchu [...]. Nad stołami do jedzenia suszą się nieraz mokre pieluszki”²⁴. Zdaniem redaktorów pisma nieznaną francuskiego polski robotnik jest oszukiwany na każdym kroku, dziewczęta zaś padają ofiarą gwałtów. Na okręcie nie ma żadnego przedstawiciela polskich władz, do którego można by zwrócić się z prośbą o pomoc. Podróżującym trzecią klasą (a taką płynęli polscy emigranci) nie wydaje się pokwitowania na wielki bagaż. W Dunkierce wyrzuca się ich walizki na molo i każe wyszukiwać swoje rzeczy. Tu obrotność liczy się od pierwszej minuty.

Początki

„Francja jest krajem złączonym z Polską ścisłymi węzłami przyjaźni, a pomoc jej w czasie wojny światowej była dla nas skuteczna i bardzo cenna. Robotnicy polscy, świadomi swych praw, powinni jednocześnie

sumiennie wykonywać przepisy obowiązujące we Francji i warunki zawarte w kontrakcie i w ogóle zachowywać się lojalnie i życzliwie wobec narodu, którego są gośćmi”²⁵ – pouczał autor *Wskazówek*.



Zdjęcia nowo zatrudnionych pracowników kopalni w Lens, 1926. Do pracy we francuskich i belgijskich kopalniach przyjmowano nie tylko dorosłych, ale również nieletnich. Na tabliczkach widoczne polskie nazwiska dzieci

Źródło: © Centre Historique Minier (prêt ANMT)

Pierwsze dni pobytu we Francji były ponoć niezapomniane. Jedni zapamiętali smaki: zupy grochowej podanej na pierwszą kolację, zjadanej łyżką nie pierwszej czystości; chleba, którego można było brać do woli; piwa mającego posmak dwudziestu gramów kawy rozpuszczonych w stu litrach wody – kto się napił, ten pluł przez całą drogę z kantyny do baraku. Inni zapamiętywali dotyk: wiatru wpadającego przez nieszczelne okna, wszy mieszkających w sienniku i samego siennika wyleżanego ciałami tych, którzy przybyli wcześniejszymi transportami; było ich dość dużo, by rozgnieść siano na pył. Jeszcze inni zapamiętali przestrzeń – ciemną pustkę między dworcem w Toul na północy Francji a „stacją rozdzielczą”, dawnymi koszarami, które później zaczęto nazywać „francuską Ellis

Island”. Drogę do koszar trzeba było odnaleźć samemu, bo konwojentka zapadła się jak kamień w wodę. I jeszcze jedną pustkę, większą i bardziej przerażającą, gdy włożyli dłoń do kieszeni i odkryli, że pieniądze zginęły po drodze albo że w kantynie każdy posiłek kosztuje trzy razy więcej, niż jest wart. A byli i tacy, którzy zapamiętali obrazy: widok francuskich stacji, które niespecjalnie różniły się od polskich. I spojrzenia Francuzów, którzy na siłę starali się doszukać w przyjezdnych różnic.

Pamiętali też, wszystkimi zmysłami, drogę do pierwszego domu: zaprzężony w konia wóz podskakiwał na kamieniach, żeby po kilkunastu, kilkudziesięciu minutach zatrzymać się przed budynkiem. Ten, po otwarciu drzwi, okazał się całkiem pusty, bez mebli, garnków, pościeli, ze ścianami jeszcze mokrymi od farby. Na Józefa i Marię w nowym lokum czekało tylko dwieście kilo węgla, jak wspominali, podłego gatunku, który ktoś usypał w komórce w równy stosik.

Gdyby te wszystkie wspomnienia musiały przybrać postać jednego przedmiotu, dla wielu przybrałyby formę poskładanej w kostkę kartki. Niebieskiej, białej, żółtej, czerwonej, gdzie w rubryce „miejsce pracy” wreszcie wbito pieczętkę. Emigranci, którzy przyjechali do Toul, stawali się rolnikami, szklarzami, murarzami, lakiernikami, gipsiarzami i pracownikami cukrowni. Najczęściej jednak – górnikami.

3 Lepiej nam tu w piątek, jak w Polsce w niedzielę?

Wyobraźmy sobie krainę, w której wszystko jest w sam raz. Praca ciężka, ale uczciwa. Domy niewielkie, ale schludne. Sąsiedzi czasem zazdrośni, czasem kłótniwi, ale jednak, gdyby naprawdę szczerze ich ocenić, życzliwi. Rodzice surowi, ale kochający. Młodzież ma pstro w głowie, ale tylko wtedy, gdy wie, że może sobie na to pozwolić. Jeśli trzeba, można na nią liczyć. Dzieci mają szklane kulki, szczudła, miniaturowe serwisy do herbaty i wózki dla lalek. Wyrastają z ubrań, idą tam, gdzie nikt ich nie prosi, i pakują się w kłopoty. Czegóż więcej chcieć od dzieci?

Ich śmiech niesie się po krainie, w której wszystko jest w sam raz – ani szczególnie ładne, ani też szczególnie brzydkie. Nie, z pewnością nie brzydkie. W tej górniczej krainie, która ciągnie się przez całą Francję, na południu ziemia jest górzysta, na północy zaś płaska, czasem tylko linię horyzontu przerywa stożek, stromy i czarny, jakby wulkan, lecz usypany ludzką ręką. Ta sama ręka postawiła konstrukcje: żelazne ażurowe wieże, wynoszące pod niebo gigantyczne koła, do których doczepiono liny, to znikające pod ziemią, to wynurzające się spod niej. Często tu pada, temperatury jednak są wysokie, nawet zimą rzadko dokucza chłód. Gdy pada, na parapetach i chodnikach lądują zabarwione czarnym pyłem krople. Lądują też na dachach – te są czerwone i spadziste. Czasem wyrasta ponad nie kościół, budynek urzędu albo dworca. Bystre oczy podróżnych mogą wypatrzyć nazwy wypisane na frontach kolejowych stacji. Na północy krainy: Haillicourt, Ostricourt, Méricourt, Drocourt, Béthune, Sallaumines. W centrum: Saint-Étienne. Na południu: Cendras, Alès. Dobre nazwy, dźwięczne, miło wibrujące w ustach, niepretensjonalne, ale też niebudzące śmiechu czy nieprzystojnych skojarzeń. Nazwy w sam raz.

Ściany tutejszych domów wzniesiono z nietynkowanej cegły. Wnętrza, które kryją, są jak cała kraina – w sam raz, może nie luksusowe, ale wygodne. Jednopiętrowe budynki frontem przylegają do ulicy, bokami do siebie nawzajem, tuląc się jeden do drugiego. Taki szereg potrafi osiągnąć znaczną długość – w Drocourt wstęga ciągnie się nieprzerwanie przez sto dwadzieścia metrów; to rekord. Wszystkie mają białe podmurówki, białe nadproża z kamienia i malowane na biało ościeżnice. Oprócz domów murowanych bywają i drewniane, rzadziej spotykane, ale równie przyjemne: smukłe niczym chatki w górach albo dwupiętrowe, zdolne pomieścić cztery rodziny.

Gdyby ktoś wszedł do środka murowanego domu, stanąłby w niewielkiej sieni, wśród rozrzuconych na podłodze sznurowanych trzewików, z których mimo wysiłków nie sposób zetrzeć czarnego pyłu. Po prawej lub lewej miałby wejście do kuchni ze zlewozmywakiem, bieżącą wodą i podłogą wyłożoną terakotą oraz sypialni, gdzie oprócz łóżka stałaby najpewniej maszyna do szycia. W niektórych domach z sieni mógłby wejść do jeszcze jednego pomieszczenia: łazienki, na dwa metry szerokiej, na trzy wysokiej. Po pracy zrzucało się w niej ubrania, zanurzało w ciepłych mydlinach i już czystym wchodziło do domu (za potrzebą trzeba jednak było wyjść na zewnątrz). Dalej z sieni schody zaprowadziłyby na pierwsze piętro, do kolejnych pokoi, z łózkami dzieci. Wystrój domu mógłby przywieść komuś na myśl ślubny przesąd określający, co powinno się składać na strój panny młodej: coś nowego, coś starego, coś swojego, coś obcego. Stare i swojskie są w tych domach pierzyny, gliniane kubki, ludowe figurki, święte obrazki, widoczki, makatki. Nowe i obce, ale oswajane – tapety, kafetiere i bulki do picia kawy, przecieraki do jarzyn.

Dużo w tych domach śmiechu, serdeczności, przyjaznych połajanek, snucia planów. Pulsujące życie w ciepłe dni wylewa się na zewnątrz, do ogrodu, gdzie w schludnych klatkach króliki chrupią marchew, z gołębnika dobiegają miękkie, gardłowe dźwięki, a na grządkach rosną warzywa: sałata, cykoria, marchew, pomidory czy cebula, oraz kwiaty. Warzywa miesza się z oliwą albo rozdrabnia na zupy, kwiaty układa w bukiety i stawia na stole.

Życie wylewa się też ku innym ludziom, na skwer. Na trawie, w labiryncie suszącego się prania, można rozłożyć koce albo pograć w piłkę. Wylewa się do estaminetu, gdzie mężczyźni po pracy zamawiają kieliszek wina (rzadko więcej, wbrew stereotypom), anyżówki albo musującego diabolo z miętą bądź grenadyną i gdzie w sobotnie wieczory powietrze drży od granej na akordeonach muzyki. Wylewa się na chodniki, czyste, wymyte z unoszącego się w powietrzu czarnego pyłu; na każdej ulicy stoi hydrant. Garda – kopalniany policjant, który wie, kto pracuje, kto zgłosił chorobę, kto ma dzieci, ile, w jakim wieku i jak się te dzieci uczą – co tydzień splata dłonie za plecami, rusza na spacer i sprawdza, czy mieszkańcy robią z tych hydrantów właściwy użytek. Swoje nadejście oznajmia dzwoneczkiem. Wszystko jest tak, jak być powinno. Wszystko jest w sam raz.

Przynajmniej tak to zapamiętali.

Praca

Kto w latach trzydziestych przechadzał się ulicami Saint-Étienne, miasta w departamencie Loary, między domami, które ułożone w kształt litery „U” otaczały zielony skwerek, mógł spotkać dwie dziewczynki. Wyższa szła równo, wyprostowana. Niższa przeciwnie, przechylała się rytmicznie z prawa na lewo przy każdym kroku, a jej główka to wznosiła się, to opadała. Można by pomyśleć, że kuleje. Wystarczyło jednak spojrzeć z bliska, by dostrzec, że żadna to niepełnosprawność, a zwykła przekora. Dziewczynka jedną nóżkę stawiała na krawężniku, drugą na ulicy, jedną na krawężniku, drugą na ulicy, i tak kiwała się, idąc tym dziwnym, niemal cyrkowym krokiem.

Zabawnie musiały wyglądać te dwie siostrzyczki: starsza i młodsza, duża i mała, prosta i chwiejna. Różne, a obie ubrane jak spod igły: płaszczyki, spódniczki, bereciki, rękawiczki, skarpeteczki nawet. U Henryki i Stefanii wszystko musiało być ładne. Żywe reklamy talentu matki.

Do prowadzonego przez nią zakładu zwykle przychodziły cztery dziewczynki. Pierwsza, najmniej doświadczona, tylko obrzucała, czyli

podszywała brzegi tkanin, druga i trzecia szyły, czwarta, ta o największych umiejętnościach, składała fragmenty stroju w całość, przygotowując go do przymiarki. Pośrodku tego pracowitego zgromadzenia – matka Henryki, Czesława. Rządziła. Na stole tak dużym, że posiłki przy nim mogłyby jeść kilkusobowa rodzina, rozciągała materiał, kredą kreśliła na nim linie, a potem wycinała naszkicowane uprzednio kształty. Czasem sunęła nożycami szybko, nawet nie poruszała ostrzami, tylko patrzyła, jak naciągnięta tkanina rozchodzi się na boki, czasem zaś odwrotnie – końcówką ostrza wykrawała powoli drobne elementy.

Henryka patrzyła na to wszystko z kącika i układała ścinki na lalkach, cicho, jak najciszej, żeby tylko nikt jej nie zauważył i nie wygonił z przekorną siostrą na podwórko. Spośród wszystkich wzorów, które przez jej dzieciństwo powstały w matczynej pracowni, najlepiej zapamiętała liść laurowy, powielony w setkach egzemplarzy. Panna młoda zażyczyła sobie suknię o prostym kroju: puszczone luźno spódnica, tren i dopasowany gorset wyszyty tymi malutkimi listkami. Materiał podobny do jedwabiu ciągnął się pod palcami, rozdzierał, nie dawał opanować. Dziewczyna podobno kochała się w wujku Henryki, bez wzajemności. Pójdzie za innego, ale czy to przypadek, że z tą suknią tyle kłopotu? Plotki latały w powietrzu pracowni jak te ścinki materiału.

Mama Henryki zakrzywionym od trzymania nożyczek palcem pokazywała, co która z dziewczyn ma robić. Instruowała na migi, bo tutaj nie wszystkie rozumiały po polsku, a uczyć chciała się każda. Wiadomo było, że Czesława ma nie tylko talent i doświadczenie, ale też dobry charakter: w pracy nie denerwowała się, nie narzekała, zadowolona, że nie musi siedzieć w kuchni. Ta była terytorium ojca Henryki, Edwarda, do niego należał też ogródek. Nietradycyjny to podział obowiązków, lecz on nie narzekał. Po przyjeździe do Francji w kopalni przepracował cztery dni. Piątego powiedział, że pod ziemię już nie wróci. Zatrudnił się w lampiarni, a po godzinach zajmował domem.

Pracująca maszyna do szycia brzmi, jakby ktoś powoli sypał na blaszaną tacę koraliki. Spokojny, jednostajny dźwięk, dźwięk tła. Dzwonek zaś to dźwięk radosny, ale stanowczy, nie do pominięcia. Dość wyrazisty, by dostroiło się do niego całe osiedle, dzielnica, miasteczko nawet. Dzwonił

wpół do szóstej i pod ziemię jechała pierwsza klatka z ludźmi. Na głowach mieli skórzane kaski, w rękach lampy, w kieszeniach albo torbach kanapkę. Mówili na nią „bryka”. Masz już brykę? Z czym chcesz brykę? Jeśli zjeżdżali pierwszy raz, zwykle nie wiedzieli, czego się spodziewać. Jeden z nich zanotował w pamiętniku: „Człowiek zawsze jest głupi, gdy do kopalni przechodzi z jednej na drugą. A przeważnie na obcej ziemi, gdzie się języka nie zna i zmówić się nie może”¹.

Francuzi w kopalniach bywali im życzliwi. Łagodni, chętni do wyjaśniania, jakby się bali, że Polacy odjadą stąd równie szybko, jak przyjechali, a niepodźwignięte jeszcze do końca z wojennych zniszczeń zakłady znów opustoszeją. Oferowali proste sposoby na oswajanie obcości. Dobieranie w grupy: jeden doświadczony Francuz i kilku początkujących Polaków. Jeśli ktoś nie znał języka, zostawało powtarzanie. Francuz siadał, Polak siadał, Francuz wstawał, Polak wstawał. Francuz ustawiał aparat do wiercenia w kamieniu, Polak przynosił świder. Pierwszy przyniósł zły, drugi przyniósł zły, wreszcie przynosił dobry. Francuz brał kilof, Polak brał kilof i próbował kopać nim węgiel. Nie szło. Francuz pokazywał jak. Dziwna była ta podziemna pantomima, ale działała. Pierwszy wspólnie załadowany wózek, drugi, trzeci. Za piętnaście pierwsza – koniec pracy, wracają. Wpół do drugiej klatka z ludźmi idzie do góry. Przekazywane gestami kopalniane zwyczaje: pracuj bez koszuli, bo sztygar pomyśli, żeś próżniak. Jutro przynieś kanapkę albo chociaż kawałek chleba, zjemy o dziewiątej, wtedy jest przerwa. To święte pół godziny – choćby przechodził sam dyrektor, przywitaj się, lecz nie wstawaj. Siedź spokojnie i jedz.

Słowa, wypowiedane powoli i wyraźnie, kiedy gesty nie wystarczały. „Bonzur” – dzień dobry, mówione, kiedy przechodzi ten dyrektor. Kiedy jest już po śniadaniu – „metna kupy szarbon”², teraz rąbcie węgiel. Słowa na opisanie podziemnego świata: „le szarbą diur”³, „le szarbą tędr” – węgiel twardy, węgiel miękki, „le rosze” – skała, „lo” – woda, „la pusjer” – pył, „la szaler” – gorąco. Słowa na opisanie podziemnej hierarchii: „le miner” – górnik, „led” – pomocnik, „le szarzer” – ładowacz, „le piker” – rębacz, „le ujer” – kopacz węgla, „le sjurwejan” – dozorca, „le metr miner” – sztygar. Ta ostatnia funkcja, oznaczająca najwyższą rangę

i najlepszą pensję, zarezerwowana dla Francuzów. Słowa na opisanie porządku dnia: „desędr” – schodzić, zjeżdżać w dół, „szarże la min” – zakładać nabój, „atędr” – czekać, „debleje le szarbą” – odwalać węgiel, „szarże” – ładować, „mąte” – jechać w górę. Słowa na opisanie stanów: „le danże” – niebezpieczeństwo, „il nja pa de danże” – nie ma niebezpieczeństwa.

Słowa, które brzmią aż nazbyt znajomo: „berline”.

„Tu va prendre une berline” – uśmiecha się Francuz. „Berlin? Jaki Berlin? Ty pieronie, jo ci dam Berlin, jo tu nie przyjechał z Berlina, ino z Polski”. „Va prendre une berline” – powtarza Francuz, bierze Polaka delikatnie pod ramię. Krew gotuje się w żyłach, chwycona za ramię ręka sama odskakuje, uderza. Francuz leży na ziemi, trzyma się za policzek, schodzą się dozorczy. „Słuchajcie pierony, jo jest Polok z krwi i kości, przejechałem z Polski, a on mię do Berlina wygania, jo tak nie chce słyszeć, niech mię wyślą do Polski, a nie do Berlina”. „Berline” – pusty wagonik do ładowania węgla. Fragment kopalnianej maszynierii, na który bezpieczniej jednak mówić „barrou”⁴.

A więc mimo życzliwych gestów: zagubienie, zwątpienie, strach. W pierwszych dniach po przyjeździe wielu chciało zrezygnować. Potrafili pracować od świtu w polu, znosić huk maszyn w fabryce, ciepło pieców w hutach, monotonię rzemieślniczego warsztatu, słońce palące kark na budowie, ale praca pod ziemią była czymś innym. Korytarze o wysokości czterdziestu centymetrów, wysiłek w pochyleniu, na kolanach, na łokciach, na leżąco. Woda sięgająca kostek, miejscami spływająca tak intensywnie, że można było wziąć ją za strugi deszczu. Nawet ci, którzy mieli za sobą doświadczenie pracy w kopalniach w Polsce albo w niemieckiej Westfalii, mówili, że tutaj jest inaczej. Maszyny z ubiegłego wieku, tory położone tak, że co i rusz spadają z nich wózki. Brak łaźni, szatni, pralni. Zgodnie z zawodowym obyczajem przed rozpoczęciem pracy ubranie górnika musiało być czyste. Żony i starsze córki prały je w domach. Tyle w kieszeniach pyłu, że zimą dałoby się palić w piecu – narzekały. Wynosili ten pył nie tylko w ubraniach – mieli go pod paznokciami, w kącikach oczu, w uszach, w nosie. Mieli go w płucach, w których z biegiem lat wywoływał najpopularniejszą górniczą chorobę – pylicę.

Nie wszyscy pracowali dość długo, by na nią zapaść. Między górniczymi domkami krążyły słowa „wypadek”, „nieszczęście”, „kalectwo”, krążyły też opowieści. „[...] ktoś na mnie woła: »Stach, Stach«, otworzyłem oczy i nie wiem, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, czuję, że jestem zlany, twarz i piersi mokre, więc się pytam kolegi, co się stało. On mi odpowiada: »To nie wiesz? Przecież cię potłukło«. I mówi mi: »Wstań«, bom leżał na kamieniach, odniesiony od miejsca pracy o jakie sto kroków. Więc się zrywam i wspieram na ręce, i z powrotem upadłem, gdyż dopiero poczułem ból w ręce i w plecach, wstaję z powrotem pomału i usiadłem na skrzyni od narzędzi, i patrzę po sobie, wszędzie krew, plecy bardzo bolą, głowę miałem w dwóch miejscach przeciętą, rękę poodłukaną i nogę poniżej kolana przeciętą. Próbuję, czy mogę dalej pracować, o czym mowy nie było”⁵.

Czasem były to historie opowiadane przez poszkodowanych, czasem jednak o wypadku mogli mówić już tylko jego świadkowie. „Był to niejaki Jan Hofman, mający żonę i, zdaje się, dwoje dzieci w Polsce. Dobry to był człowiek. Pracował na dole, właśnie te bloki ładował z innymi do małych wagoników, które maszynami wyciągali. Naładowali oni pełny wagonik mniejszych bloków i widocznie źle zahaczyli bezpiecznik, bo kiedy się ten wagonik unióś w górę mniej więcej jak na dziesięć metrów, wagonik się przechylił i wszystkie kamienie poleciały na dół. Jeden z takich niedużych bloków uderzył tego Polaka w plecy tak, że ten się zaraz wywrócił, kiedy go podniesiono, cały był siny, ani jednej kropli krwi nie poszło z niego. Boleśnie było słyszeć jego jęków i rozpaczliwej prośby, kiedy wołał na nas: »Bracia, ratujcie mnie, na miłość Chrystusa, ratujcie«, w pół godziny później skonał”⁶.

Oprócz zagubienia, zwątpienia i strachu – poczucie niesprawiedliwości. Zapisana w konwencji zasada traktowania Polaków na równi z Francuzami nie zawsze była przestrzegana. We wspomnieniach robotnicy najczęściej podnosili kwestię finansów. W kopalniach wypłata zależała od dwóch czynników: kategorii, do której zostało się zakwalifikowanym, i ilości węgla, którą każdego dnia się wydobyło. Polaków zaliczano zwykle do tych najniższych, najgorzej płatnych kategorii i wysyłano na odcinki, gdzie węgiel wydobywało się najtrudniej. Jeśli nie wyrobili dziennej normy,

obniżano im pensje⁷. Z wypłat potrącano dodatkowe kwoty, na przykład na poczet zwrotu kosztów podróży do Francji, na składkę emerytalną i zdrowotną, za posiłki w kantynie, nocleg na stacji lub wypożyczenie karbidowej lampy. Część tych opłat wynikała z zapisów w kontraktach, a część rzeczywiście stanowiła rodzaj ukrytego kosztu, jednak w obu przypadkach emigranci postrzegali je jako przejaw niesprawiedliwego traktowania. Jeden z górników, zatrudniony jako ładowacz, tak opisuje swój emigracyjny budżet. „Pełen wóz rudy ważył tylko dwie tony, a kto dwadzieścia takich wozów nakładł i odwiózł dziennie przez całe 14 dni to zarobił 20 franków na dniówkę. Ale my tam prawie nigdy dwadzieścia wozów nie nakładli. Więc zarobek mój był 17 fr. Z tego zarobku nikt nie mógł wystać. [...] Z tych 17 franków trzeba było zapłacić osiem franków stancje teraz odchodziło zaraz przy wypłacie 10 procent na koszt moi podróży z Polski do Francji, 9 procent zarobku na opłatę kasy chorych i starości. Teraz kupić sobie lampę górniczą i karbit – na cztery dni starczył jeden kilo. [...]. Do tego przyśły jescy drobne wydatki jak na tytoń, kiobase i różne inne potrzeby. Byli tam Polacy co pracowali już dziewięć miesięcy i jescy z długu nie wyszli”⁸.

Pomimo zagubienia, zwątpienia i strachu – szukanie zmiany, pracy w kopalni, ale lepszej, najlepiej na powierzchni. Całkowite wyrwanie się z branży górniczej przed wygaśnięciem kontraktu było niemal niemożliwe. Jego zerwanie skutkowało karą pieniężną. Gdy kontrakt dobiegł końca, zmiana pracy przestawała być niemożliwa, wciąż jednak była trudna: domy, w których mieszkali emigranci, ogródki, które uprawiali, hydranty, z których czerpali wodę, często nawet szkoły, do których posyłali dzieci – to wszystko należało do kopalni. Dzieliła się ona swoją własnością tylko z tymi, którzy pomnażali jej zyski, a wpływy zdawała się mieć tak rozległe jak podziemne korytarze – kto lekkomyślnie opuści pracę w jednej, w innej już jej nie znajdzie, mówiono. I dodawano: „Wyda oszczędności i może się często narazić na aresztowanie za włóczęgostwo i na inne gorsze jeszcze przykrości i nieszczęścia”⁹. Nie wolno było więc słuchać tych, których zwano „deboszarami”. Oni za opłatę, butelkę wódki czy poczęstunek namawiali do rzucenia pracy i przyjęcia nowej, w której rzekomo miały panować lepsze warunki. „Tacy ludzie niestety trafiają się i wśród Polaków,

którzy pod pozorem współczucia, solidarności narodowej itd. wyzyskują i oszukują ludzi”¹⁰. Może lepiej więc trwać na pewnej posadzie, niż szukać szczęścia na innej. Można też zmienić definicję szczęścia: lampiarnia, sortownia, warsztat ciesielski. Sucho, czyściej, jasno i bezpiecznie – to też szczęście.

Wrastanie

Zagubienie, zwątpienie i strach z czasem ustępują miejsca przyzwyczajeniu. Pył, ten znak pracy pod ziemią, który wciska się w oczy i nozdrza, wnika też głębiej, osadza się w słowniku i porządku dnia, w zwyczajach. Alfreda z Lens – bystra dziewczynka, której mama zaczynała pracę we Francji od tkania arrasów i była tak nieśmiała, że w listach pytała rodziców, czy może obciąć warkocz – wpatruje się w wannę w kuchni. Na jej ściankach dokładnie widać, czy tata wrócił już z pracy – po jego toalecie zostaje czarny ślad, obwódka w miejscu, do którego sięgała woda. Takie same czarne obwódki tata ma wokół oczu; nieważne, jak długo siedziałyby w wannie, nie jest w stanie ich zmyć. Dziewczynka łąduje mu się na kolana, patrzy na te obwódki. „Tata, jadłeś swój bryke?” – pyta.

Marysia z okolic Alès co roku czeka na lato. Jeździ do gospodarstwa cici pod Awinionem. Pięknie tam jest, zupełnie inaczej niż w jej przemysłowym miasteczku. Uprawiają truskawki, można jeść słodkie owoce aż do bólu brzucha, można bawić się z kuzynostwem. Na jednego z chłopców wołają „Kaki”. Gdy był maluchem, rodzice położyli go pod drzewem, a na jego zaspaną główkę spadł owoc. Chłopczykowi nic się nie stało, przyłgnęło jednak do niego przewisko. Ma ten Kaki pecha i szczęście, szczęście w nieszczęściu. Kiedy pewnego dnia wpada do kanału z wodą, Marysia wyciąga go w ostatniej chwili, ratując chłopcu życie.

Marian mieszka w Bruay-en-Artois, miasteczku z kilkoma kopalniami, w których zatrudnieni są nie tylko Polacy i Francuzi, ale również Włosi, Serbowie, Hiszpanie. Zna górników z każdej – wychowuje go tylko matka, a gdy idzie do pracy, oddaje syna pod opiekę sąsiadom, kilka dni u jednej rodziny, kilka dni u drugiej, potem u jeszcze innej. Różne domy, lecz

w każdym dorozli mówią mniej więcej to samo: że jest ciężko. I żeby tak nie rozrabiał, bo na kogo wyrośnie?

Władysław kopalniane szyby i węglowe wzgórze widuje z oddali. Jego rodzice zatrudnili się nie w kopalni, tylko u gospodarza. Praca ciężka, od poniedziałku do soboty, pracodawca małowmny, za to dobry. Uprawiają pszenicę i buraki cukrowe, dzieci pomagają przy wykopkach i stawianiu snopków. Rodzice czasem dają im drobniaki na objazdowe kino.

Wreszcie przyzwyczajenie roztapia się w codzienności. Nic już nie jest ani nowe, ani obce, ani niepokojące, ani trudne. Po prostu jest. Prawdopodobnie będzie. Pył zdaje się wnikać jeszcze głębiej, w krew, przechodzić z ojca na syna. Gdy ten ostatni kończy szkołę podstawową, kopalnia przysyła list. Czasem jest w nim napisane, że syn musi się stawić do pracy pod ziemią, czasem – że może¹¹. Ale przypomnijmy: dom należy do kopalni, ogród należy do kopalni, hydrant należy do kopalni, a wpływy kopalni sięgają daleko. „W praktyce sprawa przedstawia się w ten sposób, że po dojściu do trzynastu lat ojciec bierze syna za rękę i prowadzi do kopalni lub też fabryki” – opisywał w swoim referacie Piotr Kalinowski, delegat z Francji na I Zjazd Polaków z Zagranicy. „We Francji potrzeba jest górników i robotników rolnych, i dlatego całe życie polskiego emigranta jest tutaj ułożone w ten sposób, by jego rodzina na stałe pozostawała w jednym z dwóch zawodów”¹². Bywało, że kopalnia upominała się też o córki. Chciała wiedzieć, dlaczego pracują w szwalniach i fabrykach, podczas gdy czekają na nie sortownie i lampiarnie.

Waleria pakuje bratu kanapki na drugie śniadanie. Mieszkają w małym miasteczku niedaleko Lille. Ich rodzice wyjechali do Francji nie tyle za pracą, ile za spokojem. Ojciec Walerii zaangażował się w ruch robotniczy i na tydzień przed każdym 1 maja trafiał do aresztu, ot, na wszelki wypadek, żeby nie przyszło mu do głowy wziąć udział w robotniczej manifestacji. Teraz rodzice prowadzą gospodarstwo i małą knajpkę, zwaną tutaj z belgijska estaminetem, a ona co rano zawija brykę w czystą szmatkę i wkłada do torby z długim paskiem, która majta się bratu między kolanami – chłopak jest niski, dziecko prawie. Takie maluchy nie kopią węgla, pchają wypakowane nim wózki, przyuczają się do zawodu. Chleb, który brat dostaje na śniadanie, jest biały, a paznokcie Walerii czarne od

pracy na sortowni. To właściwie nie paznokcie, tylko zdarte do żywego ogryzki.

Andrzej, którego rodzina krąży między Francją, Belgią i Polską, od jednego kontraktu do drugiego, od kopalni do kopalni, za pierwszą wypłatę dostaje od rodziców na pocieszenie akordeon. Żeby utrwalić moment, kiedy syn przestał być dzieckiem, zaprowadzili go do fotografa. Miał usiąść na taborecie, nogi w podkolanówkach złączyć, dłonie ułożyć na klawiszach – że niby gra – brodę zaś podnieść wysoko, tak żeby znad akordeonu było widać chociaż kawałek twarzy. Ta broda trzęsła mu się czasem w pracy. Nawet gdy był dorosły, nie chciał opowiadać o tym, co się działo pod ziemią.

Franciszek swoje przyszłe miejsce pracy widzi z okna pokoju, który dzieli z braćmi. Ojciec pracuje w kopalni, Józef pracuje w kopalni, Stanisław pracuje w kopalni i on niedługo też zjedzie pod ziemię. Żeby dotrzeć do szybu numer sześć w Haillicourt, wystarczy przejść przez przydomowy ogródek. Tych codziennych spacerów udało się uniknąć jedynie Leonowi. Starszy od Franciszka o cztery lata, kilka dni po zatrudnieniu w kopalni uległ wypadkowi; noga, którą zranił, będzie dokuczała mu do końca życia. Od państwa dostał rentę, a od ojca rower – jeśli nie może pracować, niech się uczy, niech jeździ do gimnazjum, przyswaja matematykę, francuską literaturę i angielskie słówka. Jego dobre oceny mogą być powodem do dumy; jest jedynym dzieckiem w rodzinie, które kontynuuje naukę po szkole podstawowej.

Czasem, by zgłosić się do pracy, nie trzeba było nawet listu z kopalni. Wystarczyło pomyśleć. Skończyłeś szkołę, jesteś mądry, więc sam powiedz: czy za siedzenie dalej w ławce ktoś ci zapłaci? W latach pięćdziesiątych przesłędzono losy ponad dwustu górniczych rodzin, które przybyły do Francji w latach dwudziestych i trzydziestych – w niemal połowie z nich syn górnika też zostawał górnikiem¹³.

Pieniądze

Nowa praca, ciężka praca. Praca, która zawsze zabiera siły, często zdrowie, czasami życie. Ale też stała i pewna. Praca godna, praca, która zapewnia

pozycję. Pozwala snuć plany dalsze niż do wypłaty. Miesięczna płaca (przy założeniu, że wyrobi się normę) wynosi około 900 franków. Jak podaje badaczka emigracji Halina Janowska, w 1925 roku można było za to kupić 500 kilogramów chleba, 225 kilogramów cukru, 75 kilogramów mięsa. W 1930 – 473 kilogramy chleba, 219 kilogramów cukru, 72 kilogramy mięsa, 50 kilogramów masła¹⁴. Wystarczająco, a nawet nadto, by każdego dnia rodzina najadła się do syta – sytuacja przed wyjazdem do Francji dla wielu nieosiągalna. Pieniądzy starczało i na inne towary. Mleczarz codziennie zostawiał na parapetach domów bańkę ze świeżym mlekiem. Raz w tygodniu do drzwi pukał dostawca ryb. Świeże mule można było kupić w sklepiku w sąsiedztwie, tak samo jak kawę – tę prawdziwą i tę z cykorii, dobrą dla dzieci i cierpiących na bezsenność. Maluchy lubiły ją nie ze względu na smak, tylko kupony i zabawki, które producenci ukrywali we wnętrzach puszek. Dziecięce podniebienia kusiły i inne przysmaki: słodkie, pachnące topionym masłem wypieki, lukrecja albo czekoladowe cukierki w kształcie myszek z grylązowym nadzieniem. Drobniki można było też zaoszczędzić, zachować na specjalną okazję, na przykład wizytę wesołego miasteczka, wraz z którym w mieście pojawiały się karuzele i maleńkie samochodziki.

Im więcej czasu upływało od przyjazdu pierwszych emigrantów do Francji, tym większą grupę Polaków było stać na takie wydatki. Ich standard życia był niższy od tego, którym cieszył się francuski robotnik, ale zdecydowanie wyższy niż ten, na który mógł liczyć pracownik w międzywojennej Polsce. Po bardzo ciężkim początku, po kilku latach pracy na najniższym stanowisku, mieszkania na stacji, w baraku robotniczym czy pozbawionym mebli domu, po spłaceniu długu za podróż do Francji dla wielu rodzin nadchodził czas stabilizacji. Gdy nabierali sprawności w pracy pod ziemią, mogli liczyć na awans lub przynajmniej większy dzienny urobek, a gdy do pracy szły ich dzieci, w domu pojawiała się dodatkowa pensja. Dzięki sieci sąsiedzkich kontaktów można było też pomyśleć o dodatkowych źródłach zarobkowania. Przecież do Francji nie jechało się po to, by przeżyć, ale po to, by się dorobić i wrócić na swoje.



Polski skład mięsa i wędlin B. Kabat, Hauts-de-France, lata 20.

Źródło: Kazimierz Zgórecki, © ADAGP, Paris, 2023

U Henryki żyło się z jednej wypłaty, drugą zaś odkładało. Nie do banku, nie do sekretnego schowka w domu, tylko do koperty. Kopertę zaś słało do rodziny, do Polski. Niech pilnują pieniędzy jak oka w głowie, niech też odkładają, a gdy odłożą dość, kupią dla nich dom. Koniecznie taki z witryną na parterze. Tam będzie zakład krawiecki albo jeszcze lepiej – masarnia. Bo z Edwarda przecież żaden górnik, tylko masarz. Robienie wędlin, kiełbasy, salcesonów, suszenie, wędzenie, solenie, zaprawianie: w tym jest mistrzem, a jego mistrzostwo potwierdza czeladniczy dyplom. Wszystkiego nauczył się jeszcze w Polsce, może więc gdy wrócą do Polski, będzie okazja, by znów zarabiać w ten sposób?

Ich pomysł na domowy budżet był tyleż sprytny, ileż powszechny. W polskich rodzinach się szyje, dzierga, uprawia ogródek, hoduje króliki, czasem świnie, po części dla siebie, po części na sprzedaż. W ogrodzie, przez który Franciszek będzie przechodził do bramy kopalni, rosną warzywa i trochę owoców. Ojciec trzyma króliki i przynajmniej jedną świnie na rok. Matka pekluje i smaży mięso, potem wkłada je do kamiennych garnków i zalewa smalcem, żeby rodzina miała omastę. Kiedy

nie pracuje w kuchni, szyje albo robi na drutach, liczy pieniądze, tnie wydatki. Na zakupach targuje się bez litości.

Poszczególne rodziny, te najbardziej obrotne, którym udało się zgromadzić kapitał, prowadzą własne biznesy. Na początku lat trzydziestych 4,4 procent polskich emigrantów dorabiało sobie w handlu, a ponad 7,3 procent prowadziło jakiś biznes – czytam w opracowaniu¹⁵. Jednak aby uzmysłwić sobie przedsiębiorczość emigrantów, nie trzeba statystyk, wystarczy spojrzeć na archiwalne zdjęcia z fasadami domów w górniczych miasteczkach: „Rzeźnictwo i kolonialka – Boucherie et Épicerie”, „Estaminet Franco-Polonais Janicki Joseph Vins”, „Skład krótkich towarów i obuwia J. Gryczyński, Chaussures, lingerie”.

Miara sukcesu

Pośród wszystkich tych witryn wzrok warto było zatrzymać zwłaszcza na jednej, tej, na której ozdobnymi literami wymalowano napis: „Photographie. Fr. Kmiecik successeur Kazimir Zgórecki”. Kazimierz do Francji przyjechał z Zagłębia Ruhry. Po ojcu mógł zostać górnikiem, po szkole – kotlarzem, jednak po szwagrze odziedziczył zakład w Rouvroy i został fotografem¹⁶. Wyuczył się fachu i bez jakiegokolwiek przesady można powiedzieć, że miał do niego talent. W kadrowaniu, oświetleniu, kompozycji, nawet akcesoriach, które dobierał, było coś, co pozwala nazwać jego zdjęcia sztuką.

Lata dwudzieste i trzydzieste ubiegłego wieku to czas, gdy wciąż mało kto fotografuje się dla przyjemności czy z kaprysu. Do fotografa idzie się, gdy trzeba na przykład odnowić carte d'identité, dokument tożsamości, który we Francji musi mieć każdy, kto skończył piętnaście lat, i który za opłatą trzeba przedłużać, na co polskie rodziny często narzekają. Idzie się, gdy w życiu wydarza się coś wartego zapamiętania, na przykład ślub, narodziny dziecka, chrzciny, komunia. Fotografa można również zamówić. Zgórecki do swoich klientów dojeżdżał na rowerze, a później samochodem. Wzywano go, by uwiecznić koncerty zespołów, rozgrywki sportowe albo poświadczyć sukces – sfotografować rodzinę na tle prowadzonego przez nią

sklepu, zakładu usługowego czy gospodarstwa. Wiele z tych zdjęć trafiało do domowego archiwum, do albumów, ramek, rzadziej do pudełek. Część była wysyłana do Polski. Stanowiły kolejny, obok kopert z pieniędzmi, dowód, że emigrantom się powiodło.

Te zdjęcia były jak wizytówka, zdawały się mówić: spójrzcie, co mamy najpiękniejszego. Mamy włosy, nie jak w Polsce – schowane pod chustką, tylko ułożone w drobne fale, czasem nawet modnie przycięte tuż za uchem. Dziewczynki pierwszą trwałą ondulację robią już na komunię. Mamy buty – dla kobiet czółenka z paseczkiem, na szpilce, dla mężczyzn trzewiki, a przede wszystkim mamy buty świecące, z gładkiej, niepozaginanej od noszenia skóry. Mamy letnie sukienki, w kwiaty, z koronkowymi kołnierzykami, i sukienki na zimę, z grubym splotem. Mamy garnitury w prążki szyte na miarę, mamy płaszcze obszyte futrem, mamy płaszcze całe z futra, mamy zegarki, łańcuszki, bransoletki, kapelusze, kapelusiki, toczki z woalką, berety, kaszkiety, kwiaty w butonierkach. Ciężko na to pracujemy – patrzcie tylko na nasze twarze, całe w węglowym pyłe, na króliki, które hodujemy, białe, z długimi uszami i tłustymi brzuskami, na chleby, które wypiekamy, złociste nawet na czarno-białych zdjęciach, na kiełbasy, które robimy, grube jak rączka dziecka, na stroje, które szyjemy, tyle na nich wzorów, że mienia się w oczach. Potrafimy się też bawić – po cóż innego mielibyśmy kupować gramofony, płyty z tangami i walcami, akordeony o dziesiątkach białych guziczków, trąbki, puzony, bębny, tamburyny, perkusje nawet? Gramy na nich tak dobrze, że zakładamy własne zespoły. Tańczymy, gramy w piłkę, pływamy w przykopalnianym basenie, jeździmy nad morze. Latem właściciele samochodów zdejmują dachy ze swoich aut i zbierają zapisy na wycieczki. Za niewielką kwotę można zjechać pół Francji. Tak, mieliśmy przyjechać tylko na chwilę, ale zakochujemy się, zakładamy rodziny, rodzą nam się dzieci. A ile z tą miłością śmiechu, ile zabawnych historii. Na przykład taka.

Z Alfreda pracowity był chłopak, choć może trochę rozpieszczony. Jako mały chłopiec wpadł do stawu i z powodu wyziębienia poważnie zachorował. Jego matka Amelia przysięgła wtedy, że jeśli mały wyzdrowieje, ona nie opuści go już do końca życia. Gdzie syn pójdzie, tam i ona. Wyratował się, a potem sam chciał ocalić każdego nieboraka. Znosił

do domu psy, koty, wszystko bezdomne, pólzywe. Ojciec był jednym z tych prowadzących biznes – miał w domu mały zakład zegarmistrzowski, z oknem wychodzącym na ulicę. Ile razy widział, że syn nadchodzi z nowym czworonogiem, to mu jubilerska lupka, wciśnięta precyzyjnie w oczodół, ze zdenerwowania wypadła. Krzywił się, lecz nic nie mówił. Amelcia nie pozwalała nic mówić.



Kazimierz Zgórecki z rodziną przed swoim zakładem fotograficznym
w Rouvroy, 1924/1925

Źródło: Kazimierz Zgórecki, © ADAGP, Paris, 2023

Nawet gdy Alfred już dorósł, matka pilnowała go jak oka w głowie. Lecz oko upilnować łatwo, a takiego kawalera już nie. Oczy ciemne, włosy ciemne. Skóra też zrobiła mu się ciemna – to od słońca, które każdego dnia

wybarwia jego ciało, gdy pracuje przy torach w Douai. W sobotę po pracy wciąga na nie najlepszą koszulę, wsiada na rower i jedzie na zabawę, bo tutaj w knajpce wieczorem zawsze zabawa. Jeśli pogoda zła albo rower zabrało któreś z rodzeństwa, to udaje się tam nieco mniej elegancko – na piechotę.

Z Heleny też była świetna dziewczyna, po mamie Francuzka, po ojcu Polka, ale ludzie całe życie brali ją za tę pierwszą. Może przez akcent, a może przez trójkątną buzię z małym noskiem, otuloną ciemnymi lokami. W piątki uwija się jak mała maszynka: pucuje kafle, prasuje ojcu w kant ubranie robocze, szoruje kuchnię, sypialnię, przedpokój, byle tylko rodzice puścili ją na zabawę, choćby z braćmi, ale zawsze. Na zabawie wesoło – zespół na akordeonach gra piosenki polskie i francuskie. Do tańca prosi ją ten ciemny chłopak.

Rozpadało się, ciepły deszcz, letni, lecz jak samemu wracać do domu w taką pogodę? Chłopaki biorą Alfreda do siebie. Mają własny pokój, dla niego też starczy miejsca. Rano awantura. Tata krzyczy, że Helena nie pójdzie za mąż za żadnego Araba. Może być Polak, może być Francuz nawet, tylko nie Arab. Helena w płacz, przez łzy przeciska tłumaczenie, że on żaden Arab, to Polak, tylko opalony.

Dziś nie ma już kto opowiedzieć o ich ślubie, lecz można się domyślić, jak wyglądał. Bo polski ślub we Francji miał swój porządek, scenariusz, obowiązkowe punkty programu. Kiedy Polak się żeni, wie o tym całe miasteczko. Młodzi chłopcy zakładają koła kawalerów pod pięknymi nazwami: „Leśna róża”, „Różany kwiat”, „Bławatek”, „Lilia”. Kiedy któryś z ich członków staje na ślubnym kobiercu, reszta stroi się we fraki i cylindry (jeśli ktoś własnego nie ma, bez większego problemu może wypożyczyć) i prowadzi go w orszaku do kościoła, najdłuższą drogą, jaką można wybrać. A ludzie niech patrzą. Gapiów, nawet jeśli nie są gośćmi, poczęstuje się wódką, arakiem, kawałkiem placka. Dziewczęta zakładają welony, długie do ziemi, przypinane na głowie opaską, co według ówczesnej mody ma je nieco upodabniać do księżniczek z Dalekiego Wschodu. Gdy pozują do zdjęć, biała, cienka tkanina zdaje się pienić u stóp nie tylko panny młodej, ale i druhen, które zwykle są co najmniej cztery, a każda trzyma w rękach wiązanek kwiatów. Po kilku dniach świętowania –

bo wesele rzadko trwa krócej niż dwa dni – zostaną z tych kwiatów tylko pojedyncze płatki, które będzie można zasuszyć na pamiątkę.

Mała Polska

Mama Henryki przez całe życie lubiła wracać pamięcią do pewnego momentu ze swojej młodości. Była wtedy nastolatką, mieszkała już we Francji i startowała w zawodach sportowych, w dość zabawnej konkurencji „bieg z jajkiem na talerzu”. Cała trudność polegała na tym, by dobiec do mety jak najszybciej, ale tak, żeby jajko nie spadło na ziemię. Skończyła wyścig z dobrym czasem, w nagrodę dostała oklaski i dyplom. Kiedy po latach opowiadała tę anegdotę, z dumą podkreślała: „Równowagę mam do dziś!”. Czasem z nie mniejszą dumą dodawała jeszcze: „Byłam w »Sokole«, a to nie byle co!”.

Bo „Sokół” to sportowa i patriotyczna potęga. Najstarsze polskie towarzystwo gimnastyczne, z oddziałami w całej Europie, w którym rzeźbi się nie tylko ciało, ale i ducha. W północnej Francji pod jego szyldem trenują tysiące młodych ludzi. Grają w koszykówkę, siatkówkę, biegają, rzucają oszczepem, pchają kule, skaczą w dal i o tyczce, a przede wszystkim: gimnastykują się. Na co dzień ćwiczą w prostych koszulkach, szortach i trykotach, na wyjątkowe okazje mają białe stroje – kiedy paradują w nich pod Łukiem Triumfalnym w Paryżu, wyglądają jak mała armia. Na boiskach górniczych miasteczek demonstrują swoją sprawność, tworząc ludzką piramidę, i wywołują gromkie oklaski. Takie specjalne okazje zdarzają się często, bo jednym z celów organizacji, oprócz wyrabiania tężyzny fizycznej, jest „rozbudzanie ducha towarzyskiego przez urządzenie popisów publicznych, zabaw zimowych i letowych, wycieczek”¹⁷. Wszystko to zaś ma też służyć kształtowaniu świadomości patriotycznej i postaw obywatelskich.

„Sokół” był jedną z najpopularniejszych organizacji polonijnych we Francji, lecz nie jedyną. W Nord i Pas-de-Calais polskie koła i stowarzyszenia powstawały jedno po drugim, najpierw jako kontynuacja tych, które działały przed I wojną w Nadrenii i Westfalii, potem już zakładane przez emigrantów przyjeżdżających prosto z Polski. Profil

działalności miały rozmaite: od sportowego (drużyna piłkarska działała w prawie każdym górniczym miasteczku, często z sukcesami) po artystyczny czy religijny.

Aby się przekonać, jak wiele ich było, wystarczy zajrzeć do dawnych gazet. Na przykład do „narodowego i robotniczego” „Wiarusa Polskiego”, który wraz z emigrantami przyjechał z Zagłębia Ruhry, do redagowanego przez Polską Misję Katolicką „Polaka we Francji” bądź też poczytnego „Narodowca” z Lens. Ten ostatni cieszył się wyjątkowym powodzeniem: nakład dziennika przekraczał pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy, a do kiosków i prenumeratorów jego numery rozwoził redakcyjny busik, z tytułem pisma wymalowanym na pace pochyłą czcionką.

Właśnie w „Narodowcu” w maju 1926 roku redaktorzy piszą tak: „Zielone Świąta zapowiadają się pięknie. Zimno ostatnich dni minęło, zdaje się, bezpowrotnie i zaczęła się piękna, ciepła wiosna. Któż nie chciałby wykorzystać ciepła słonecznego, opuścić ponury dom i wyjść, by rozradować serce świeżym powietrzem. [...]. Dokąd iść, jak skorzystać z ciepła? Nadarza nam się wyjątkowa sposobność. Jedźmy na zjazd śpiewaków polskich w Douai. Zabierzmy całą rodzinę, znajomych i wyruszmy do Douai z wycieczką. Zysk będzie podwójny: mieć będziemy piękną wycieczkę i usłyszymy naszych kochanych polskich śpiewaków. Korzystajmy z okazji. Jedźmy wszyscy do Douai. Niech zjazd śpiewaków stanie się potężną manifestacją nie tylko śpiewaków polskich, ale całego wychodźstwa!”¹⁸.

W Marles-les-Mines, gdzie żyje dwanaście tysięcy Polaków, gdyby ktoś chciał, mógłby nie tylko Zielone Świątki, ale cały tydzień spędzić na polonijnych spotkaniach. Jeden z mieszkańców miasteczka, górnik, pisze w pamiętniku tak: „Było osiemnaście towarzystw oświatowo-społecznych [...] i tak: Towarzystwo Świętej Barbary na czele jako towarzystwo górników, Towarzystwo Świętego Józefa, Towarzystwo Świętego Franciszka, [...] następnie koła muzyczne, śpiewu, teatralne, mandolinistów, humorystyczne, samopomoc”¹⁹.

Stowarzyszenia religijne zachęcają do wspólnej spowiedzi i pomocy rodakom w potrzebie, artystyczne – wystawiają polskie sztuki i śpiewają polskie piosenki, za salę prób często mając pomieszczenia udostępniane

przez kopalnie. W repertuarze: dzieła poważne i patriotyczne, adaptacje legend oraz komedie o górniczej codzienności. Na czele wszystkich stowarzyszeń stoi zaś tak zwany Komitet Towarzystw Miejscowych, który dba o to, by 3 maja czy 11 listopada nie były dniem jak każdy inny. Organizowane przez komitet obchody narodowych rocznic często zaczynają się już wieczór wcześniej – capstrzykiem górniczej kapeli. Potem skoro świt wymarsz do kościoła, na czele pochodu młodzi niosą poświęcone sztandary górnicze. Jest ich tak wielu, wyglądają tak imponująco, że nawet przybyli na mszę Francuzi wznoszą okrzyk: „Vive la Pologne!”, „Niech żyje Polska!”. Po południu na boisku popisy „Sokoła” i inscenizacja: zdobycie rosyjskich armat pod Raclawicami.

Polonijna oferta jest tak bogata, że niejednemu zaangażowanemu aż brakuje czasu na kultywowanie tego patriotyzmu. Człowiek chciałby się zdublować, potroić wręcz, by z wszystkiego skorzystać. „W pierwszych początkach chodziłem co niedzielę na zebrania różnych towarzystw i do każdego wpisywałem się na członka – pisze dalej górnik z Marles-les-Mines – tak że wreszcie wywołało to pewnie niezadowolenie, gdyż jak przyszła niedziela, miałem równocześnie kilka zaproszeń na wygłoszenie jakiegoś referatu. [...] Nie miałem chwili wolnej, po pracy musiałem opracowywać różne referaty, przemówienia, odczyty stosowne danemu towarzystwu, z historii polskiej, geografii, żywoty świętych itp. [...] Jako kreślarz i rysownik ze szkoły górniczej miałem również wiele pracy z afiszami, dyplomami, powinszowaniami, za co mi już płacili według własnej chęci i możliwości. Zrobili mnie charakteryzatorem w trzech kołach teatru amatorskiego. Żadnej niedzieli ani święta nie miałem wolnego dla siebie – byłem w takim ruchu, że nawet sam o sobie nie miałem czasu myśleć ani jeść i nawet się nie spostrzegłem, jak ciężko zachorowałem z wyczerpania”²⁰. Historia aktywisty z Marles-les-Mines znalazła jednak szczęśliwy finał – powrócił do zdrowia i działalności, zwłaszcza w szeregach „Sokoła”, gdzie poznał swoją miłość, Zosię, „zgrabną i wysportowaną naczelniczkę oddziału żeńskiego”, patriotkę, która nigdy nie widziała Polski.



Polskie koło teatralne aktorów-amatorów, przygotowujące przedstawienie pt.
Wesele Zosi, w Billy-Montigny, 1934

Źródło: Kazimierz Zgórecki, © ADAGP, Paris, 2023

„Czujemy się jak w Polsce, a pod niektórymi względami lepiej niż w Polsce, my, górnicy, mamy ubezpieczenie na starość, mamy wolność osobistą, każdy należy do stowarzyszenia, jakiego mu się podoba”²¹ – pisali emigranci.

„Lepiej nam tu w piątek, jak w Polsce w niedzielę”²² – podsumowywali inni.

Język

Polskie koncerty, polskie spektakle, polskie zabawy, polskie turnieje, polscy lekarze, polskie księgarnie. W Bruay-en-Artois, Sallaumines, Méricourt, Aniche, Ostricourt, Libercourt Polacy stanowią nawet 70–80 procent ludności. „To już nie Francja, to Polska” – zauważają francuscy dziennikarze, „Mała Polska”, „Częstochowa” – piszą. „Młodzież francuska [...] niezłe potrafi mówić po polsku”²³ – notują sami wychodźcy.

Język wchłania w siebie nowe słowa, tworząc dziwną mieszankę polskiego i francuskiego. „Horloger – Zegarmistrz”, „Krawiec – Tailleur”, „Mięsa wędliny – Boucherie Charcuterie”: swoje i obce wyrazy łączą się na witrynach, zlewają się w głowach. „Mieć głód”, „brać pociąg” – nowy dialekt, który rodzi się, gdy wciąż myśli się w jednym języku, ale mówi już w drugim. Słowa zapożyczane, spolszczone, doklejane, utwardzane, podmieniane, krzyżowane w nowe odmiany.

„My, Polacy, chętnie się uczymy języka francuskiego”²⁴ – chwalą się emigranci. Najambitniejsi mogą się go uczyć z książek. Sprzedawcy informują, że „już wyszło z druku nowe wydanie najlepszego podręcznika do nauki języka francuskiego”. Część pierwsza – dwadzieścia franków, część druga – dwadzieścia siedem. Prócz tego w księgarni polskiej w Paryżu można dostać „słowniki i rozmówki do obcych języków z wymową”²⁵. Okładki zaś kuszą: metoda „prosta”, „szybka”, „łatwa”, podręcznik „najłatwiejszy”, „najpraktyczniejszy”.

Już pierwsze strony samouczków pozwalają zweryfikować te obietnice. Tabele instruują: „ai” wymawia się jak „e”, „aille” jak „aj”, „au” i „eau” jak „o”, „j” jak „ż”, a liter „e”, „p”, „r”, „s”, „t”, „x”, „z” na końcu słowa nie wymawia się w ogóle. Są i takie dźwięki, które w języku polskim wcale nie występują. Dodatkowo cztery akcenty, apostrofy, rodzajniki określone i nieokreślone. Autorzy doradzają, by wynotować sobie kilka słówek i najpierw na nich opanować wymowę, inaczej dalsza nauka nie ma sensu. Jak to spamiętać, a po spamiętaniu swobodnie użyć?

Bez znajomości języka trudno jednak żyć. Niektórzy zdają sobie z tego sprawę jeszcze w podróży, gdy na dworcach mijają niezrozumiałe napisy. Inni, gdy zjeżdżają pod ziemię i z wypowiedzianych powoli słów próbują poskładać zasady nowej pracy. Jeszcze inni, gdy przychodzi pierwsze poczucie obcości, pierwszy wstyd wynikający z zagubienia. Na przykład jak w tej historii o poranku w nowym domu, opowiedanej przez kobietę, która do Francji sprowadziła się wraz z mężem: „[...] rano gard przychodzi z mleczarzem i roznoszą mleko wszystkim tym co wczoraj przyjechali, siedziałyśmy [z sąsiadką] u góry każda w swojej izbie naraz usłyszałam krzyk du lait du lait uchyliłam troszkę dźwi ona też tak samo ale widzi że ten dalej krzyczy Madame du lait więc przybiegła do mnie zamknęłyśmy

dźwi i siedziały jak trusie tak my się bały co ten chłop od nas chce. Ze strachem patrzyłyśmy do okna aby sobie już raz poszedł bo będziemy krzyczeć, ten widząc że nic nie rozumiemy zostawił banie z mlekiem i poszedł, po godzinie schodzimy na dół aby ogień rozniecić a tu bania z mlekiem, teraz wiemy czego tak krzyczał”. Nie był to koniec zakupowych przygód. Już kolejnego dnia „przychodzi do mnie jakaś gruba francuzka ubrana w białe fartuch uśmiecha się i mówi madame combien de pain ja patrzę zdziwiona co ta kobieta chce ode mnie nic nie rozumie, pokazuje mi na palcach 1, 2, 3, 4, 5 i t. d. ja kiwam głową przecząco, nie nie nas jest trzech mąż ja i chłopczyk też pokazuje na palcach 3, ta wychodzi zadowolona i niesie mi trzy chleby co to? Zostawiła trzy chleby i poszła ani pieniędzy nie żąda zdaje się że tu będzie dobrze bo zadarmo roznoszą wszystko ale na co mnie trzy chleby, ja pokazałam trzy palce że nas jest trzech a ta mi chleb przynosi więc teraz wiem że mi się pytała ile chlebów a nie ile osób i tak byłoby dalej, przychodzili zostawiali zapłaty nie żądali ale we wypłacie się stawili żądali zapłaty wtedy się nam oczy otworzyły bo z wypłaty suła nie zostało”²⁶.

Może właśnie wtedy człowiek zaczyna nasłuchiwać uważniej, notować, powtarzać. Nie trzeba wiele, wystarczy kilkadziesiąt słów, zwrotów, ot tyle, żeby tylko się dogadać. Żeby nie zapomnieć swojego głosu.

U Alfredy „coś mówili po francusku, zwłaszcza mama. Była inteligentna, chciała się dogadać”.

U Walerii wszyscy w rodzinie złapali język w mig, ale w domu rozmawiali tylko po polsku.

U Mariana mama mówiła po polsku, on odpowiadał jej po francusku.

U Franciszka zwłaszcza mama potrafiła mówić całkiem niezłe, ale jeśli coś jej nie pasowało, rzucała twardo „pas compris”, nie rozumiałam.

Władysław był domowym sekretarzem, najlepiej w rodzinie potrafił pisać po francusku.

Dogadać się czy zrozumieć to jednak nie to samo, co mówić biegle i czuć jak u siebie. To potrafiły tylko dzieci. Zwłaszcza te urodzone już we Francji chłonęły język z właściwą młodym umysłem łatwością. W domu za parlowanie, czyli mówienie po francusku, można było czasem dostać manto, ale w innych sytuacjach to parlowanie było jak wybawienie. Mali

wirtuozi gramatyki, mistrzowie akcentu, eksperci od koniugacji z bogatym słownikiem stawali się tłumaczami rodziców. Pisali listy, wypełniali formularze, przekładali gazety. Byli jak posłańcy między tymi dwoma światami, które mimo wysiłków i dobrej woli nie chciały się spać. Kursowali między nimi tak często, że sami przestawali wiedzieć, do którego naprawdę należą.

Szkoła

Do dobrowolnego opuszczenia pracowni matki Henrykę mogła skłonić właściwie tylko jedna rzecz – szkoła. Jeszcze lepiej – szkoła w piątek. Najlepiej – szkoła w piątek po południu. Kiedy już wszystkie lekcje zostały wyłożone, wsuwało się krzesła pod pulpity i szło do lasu na spacer, na zajęcia z przyrody. To było najprzyjemniejsze, ale lekcji w salach też nie nazwałaby przykrymi. Do pierwszej klasy Henryka poszła jak do siebie. Budynek przedszkola, tak w Saint-Étienne, jak i w wielu innych miejscowościach, od szkoły dzieliła tylko siatka, wszystkie dzieci z jednej placówki przechodziły do drugiej, i to całkiem szybko: Henryka miała wtedy tylko pięć lat.

We francuskiej szkole wszystko uporządkowane jest tak precyzyjnie jak w pracowni jej mamy. Lekcje zaczynają się o godzinie ósmej, poszczególne przedmioty rozdzielają kilkuminutowe pauzy, dłuższa przerwa jest wyznaczona na południe. Dzieci mają dwie godziny, żeby pójść do domu na obiad, wracają o czternastej i uczą się do piątej, z jeszcze jedną dłuższą przerwą. Wtedy można zjeść podwieczorek, na przykład chleb posmarowany masłem i posypyany kruszoną czekoladą albo bagietkę z bananem. Przekąskę zwykle je się na stojąco, na zewnątrz, bo w czasie przerw sale są wietrzone i wszystkie dzieci muszą wyjść na podwórko. W soboty również chodzi się do szkoły, za to czwartki są wolne. Kto chce, ten może iść na lekcje polskiego (o ile są zorganizowane, bo z tym różnie bywało) albo religię. Henryka chodzi na religię, chociaż tych zajęć nie lubi. Uważa, że ksiądz z polskiego kościoła za bardzo się rządzi, jest zupełnie inny niż ten francuski. Ten drugi jest wesoły, a po mszy wkłada roboczy kombinezon i sprawdza, czy dach kościoła na pewno nie przecieka.

Henryka nie lubi religii, ale pilnie chodzi, bo dla jej ojca polski ksiądz to ważna postać, jakby namiastka kraju.

Klasy są duże, dwadzieścia pięć–trzydzieści osób, a dzieci nie tylko poważnie traktują naukę, ale też zwykle ją lubią. Francuska szkoła jest miłym wspomnieniem i dla Henryki, i dla innych Polaków, którzy dzieciństwo spędzili nad Sekwaną. Z ich opowieści wyłania się obraz miejsca dobrze zorganizowanego, atrakcyjnego i przede wszystkim pełnego troski. Edukację zaczyna się od pisania rysikiem na tabliczce, pióra i atrament dostaje się później. Oprócz języka francuskiego i kaligrafii w programie są też matematyka, historia, przyroda, geografia i muzyka. Lekcje tej ostatniej przebiegają wyjątkowo atrakcyjnie, nauczycielki grywają na instrumentach, bywa, że szkoły są wyposażone w – jak wspominają emigranci – „pianina na korbkę”.

Nauczyciele wiedzą, jak zachęcić do nauki. Wymagają, ale też nagradzają. W ciągu miesiąca każdy uczeń jest odpytywany, a oceny trafiają do dwóch dzienniczków – dużego, który zostaje w szkole, i mniejszego, który trzeba zanieść do domu i poprosić rodzica o podpis. Na końcu miesiąca jedno z dzieci wypisuje na tablicy, jakie wyniki osiągnęli poszczególni uczniowie. Od razu widać, kto najlepiej pracował. Henryka zawsze jest w pierwszej piątce, zwykle w towarzystwie jakiejś innej Polki czy Polaka. Polskie dzieci z reguły uczą się dobrze, nierzadko przeskakują klasy. Jeśli mają problemy językowe, to raczej w domu niż w szkole. To ich rodzice upominają, żeby przy nich nie parlować.

Kto najlepiej pracuje, ten siedzi na najlepszym miejscu – dla prymusa przeznaczone jest to z przodu, zaraz przy drzwiach (każde dziecko ma swoje biurczko, młodszy mebelek z prostym blatem, starsi z otwieranym pulpitem, w którym można trzymać przybory, nawet te ulubione i najcenniejsze; zamykać nie trzeba, tu nikt nikomu niczego nie podbiera). Potem, na dalszych miejscach, coraz słabsi uczniowie. Za dobre oceny w szkole Henryki otrzymuje się też małe kolorowe obrazki. Za uzbieranych dziesięć małych należy się jeden duży. Na tych małych miłe różności: rośliny, zwierzęta, na dużych zaś reprodukcje prac wielkich malarzy. Ten, kto przez cały rok nazbiera najwięcej obrazków, przed wakacjami otrzymuje grand prix – dyplom i piękny prezent. Podarunek jest

dostosowany do wieku dziecka, dla młodszych są zabawki, dla starszych albumy i słowniki. Henryce nigdy nie udało się wygrać, ale jaka to była motywacja! Z taką motywacją chciało się zostawać w szkole do późnego wieczora i odrabiać zadania domowe.

Zresztą, czy w ogóle czegoś tu brakowało? Ołówki, kredki, gumki, kartki, wszystko na miejscu, dla każdego. Książkę można wziąć do domu, ale tylko wtedy, gdy zadana jest nauka wiersza na pamięć. Bo poza tym od nauki jest szkoła. Popołudniami razem z dziećmi siedzi nauczycielka – wytłumaczy, co trzeba, a jeśli nie potrafi, to wskaże salę, gdzie jest pani, która pomoże z danym zagadnieniem.

Czasem jednak bywa tak, że nawet najmilsza, najśłodsza, najmądrzejsza pani traci cierpliwość. Bo kiedy nie słucha jedno z drugim, hałasuje, rozmawia, a potem dziwi się, że nie rozumie, to jak nie wstać, nie uderzyć o pulpit linijką i nie krzyknąć: „Bando nygusów, nie wstyd wam, że ta dziewczynka, że ta Polka, która nie ma warunków, uczy się lepiej od was?!”.

Nauczycielki, z racji swojego zawodu, doświadczenia i wykształcenia, były kulturalne. A może po prostu gryzły się w język. Niezależnie od sytuacji w ich połajankach do słowa „Polka” czy „Polak” nie doklejały się przymiotniki, które często wrywały się z ust innym Francuzom. Sale. Ivre. Indésirable. Brudny, pijany, niechciany Polak, który przyjechał zabrać nam pracę.

Bo Francja czasem była krainą „w sam raz”. A czasem miała inne, o wiele mniej atrakcyjne oblicze.

4 Vaten an Pologne

Lato 1934 roku było w Europie wyjątkowo gorące. W lipcu temperatury przekraczały trzydzieści pięć stopni Celsjusza, a upał stał się tak dokuczliwy, że jeden z brytyjskich ogrodów zoologicznych zaoferował klientom niecodzienną rozrywkę – chłodzący prysznic z trąby słońca¹. Na początku sierpnia gazety radziły kobietom, by po dniu spędzonym na plaży starannie wyczesywały piasek z włosów twardą szczotką. Tym o większych apetytach polecały preparat pobudzający do pracy leniwe jelita. Prezentowały też zdjęcia z letnich rozrywek – na plaży w Deauville odbył się na przykład pokaz mody dziecięcej².

Lato dla wszystkich było gorące, ale nie dla wszystkich wesołe. W Argenteuil, Lagny, Ermont, Valenciennes i kilku innych francuskich miastach dwadzieścia pięć tysięcy robotników wyszło na ulice protestować przeciwko faszyzmowi, równocześnie domagając się lepszych warunków pracy. W Bordeaux dwa tysiące pracowników stawilo się na spotkaniu związków zawodowych. Pracownicy Renault w Boulogne-Billancourt zostali wysłani na dziesięciodniowe wakacje – niepłatne. Na miejsce zwolnionych mężczyzn zatrudniono kobiety, które zgodziły się przyjmować niższe pensje. W kilku fabrykach zdecydowano się przerwać pracę³. Lato było więc nie tylko gorące, ale i burzliwe.

Kryzys

Właśnie w taki sierpniowy poniedziałek w niewielkiej miejscowości Leforest jak każdego dnia o szóstej rano pod ziemię zjechała winda z ludźmi⁴. Może górnicy mieli oczy spuszczone, a może, gdy ich spojrzenia przypadkiem się krzyżowały, szybko je odwracali, by nie zdradził ich zbyt

wcześnie jakiś mimowolny grymas. Kiedy podłoga windy dotknęła ziemi, wysiedli i od tego momentu ten poniedziałkowy poranek nie był już podobny do żadnego innego.

Kilku z nich – ci, których później uznano za przewodników – włożyło w poprzek szybu metalowy pręt⁵. Teraz już nikt nie mógł wyjechać na górę ani zjechać. Ci, których obleciał strach, wbiegli na służące do ewakuacji galerie. Część francuskich gazet pisała później, że „udało im się uciec”. Inne, te bardziej lewicowe, zapewniały, że nikt ich nie zatrzymywał, że wszyscy zostali pod ziemią dobrowolnie, choć na pewno nie wszyscy od razu wiedzieli, w czym właściwie biorą udział^[1]. Dowiadawali się stopniowo. Podczas trzydziestu sześciu godzin spędzonych pod ziemią wiele można wytłumaczyć i wiele można zrozumieć. Nawet gdy mówi się łamaną francuszczyzną.

Na górniczych osiedlach po dniach jasnych przychodziły dni ciemne, po latach tłustych – chude. Przeplatały się ze sobą, jak w dziecięcej wyliczance: dobre – złe, dobre – złe.

W latach tłustych były bańki z mlekiem, świeże ryby, gryłażowe myszy. W chudych dymiąca kapusta, smalec, polewka, kawałek kiełbasy tylko na niedzielę. W tłustych rzędy domów z ogródkiem, akordeony, rowery, aparaty. W chudych wszystko, co emigranci mieli, mieściło się w walizce. W tłustych była robota, w chudych roboty nie było prawie wcale. W tłustych latach Francuzi – przyjaciele – cierpliwie tłumaczyli zasady nowej pracy, dzielili się zwyczajami, językiem i wykrojami sukienek. W chudych latach ich język twardniał, wyrzucał słowa jak kamienie: nasza praca, nasz chleb, u nas, do siebie⁶. „Vaten an Pologne”⁷ – słyszeli emigranci i tak zapisywali w pamiętnikach. Va-t’en en Pologne, wracajcie do Polski.

Nadejście lat chudych zapowiadały nie, jak w Biblii, prorocze sny, lecz gazety. W 1921 roku pisały o międzynarodowym kryzysie i konieczności przestawienia gospodarki z torów wojennych na te właściwe czasom pokoju; w 1927 o przejściowym załamaniu przemysłu i ratowaniu franka; w 1928 o tym, że francuskie górnictwo trzeszczy pod naporem międzynarodowej konkurencji; wreszcie w 1929 o krachu na giełdzie za

oceanem, którego skutki rozchodziły się po całym świecie jak kręgi na wodzie.

Przyczyny kłopotów gospodarczych były różne, ale ich konsekwencje podobne. Górników nie zwalniano od razu – dyrekcje kopalń, wierząc, że karta za chwilę się odwróci, wołały trzymać ich blisko. Najpierw skracaly godziny pracy: jeden bezpłatny wolny dzień na piętnaście dni pracujących, jeden na pięć, jeden na trzy; wreszcie półroczny urlop i pokrycie kosztów przejazdu do Polski. Potem zwalniano kobiety. Następnie odprawiano najstarszych mężczyzn, tych, którzy ukończyli pięćdziesiąty piąty rok życia. Na końcu pozbywano się nawet młodych – tylko po to, by kilka tygodni później przyjąć ich do pracy jeszcze raz, za niższą stawkę⁸.

Kto posadę zachował, musiał pracować wydajniej. Nazywano to „racjonalizacją”. W zracjonalizowanej kopalni normy wydobywania węgla zwiększono, a pracę organizowano tak, by nie było przestojów. W 1930 roku górnik wydobywał 988 kilogramów węgla miesięcznie, w 1933 – 1239 kilogramów, w 1935 – 1332 kilogramy⁹. „Zamiast jednego wózka z węglem pchamy teraz dwa, nie dajemy rady, to po prostu za ciężkie” – skarżyli się młodzi chłopcy. Jeśli coś mogło dodawać im sił, to strach. Za niewyrobienie normy groziła utrata połowy albo całej dniówki, dodatkowa kara finansowa bądź przeniesienie do niższej, gorzej płatnej kategorii. „Kary pod byle jakim powodem sypią się jakby z rogu obfitości. Przez ostatnie cztery lata było w zwyczaju 1/4–1/2 dniówki odciągnąć od zarobku tak że na wypłacie robotnik miał 1/2 do całej dniówki mniej co przy tych marnych casach robotnik dotkliwie odczuwał. Ja sam raz miał całą dniówkę preć i do tego jescy 20 fr. kary. Gdy przyniesłem karte wypłaty do domu to żona się tylko zapytała: »Ile amandu (kary) masz?«. Gdy było 1/4–1/2 dniówki, to żona już nic nie mówiła”¹⁰ – pisali potem w pamiętnikach. Żona nic nie mówiła, bo utrata dniówki nie była najgorszym, co mogło się przydarzyć rodzinie. Gdyby mało wydajna praca została uznana za nierzetelność albo brak dyscypliny, stanowiłoby to pretekst do zwolnienia.



Rodzina polskich emigrantów, Hauts-de-France, 1936

Źródło: Kazimierz Zgórecki, © ADAGP, Paris, 2023

Zwalniania emigrantów domagano się w pierwszej kolejności. Rząd wprowadzał przepisy chroniące miejsca pracy francuskich obywateli. Liczba obcokrajowców zatrudnianych w usługach publicznych miała nie przekraczać pięciu procent, limity mogły wprowadzać również przedsiębiorstwa prywatne. Na pracodawców nałożono obowiązek zgłaszania każdego zatrudnionego spoza kraju¹¹. Dowód tożsamości imigranta musiał być odnawiany już nie co trzy, ale co dwa lata, a potem był przedłużany tylko tym, którzy mieli kontrakt, i to taki zatwierdzony przez Ministerstwo Pracy („na tym stanowisku należy zatrudnić obywatela francuskiego” – tak mógł brzmieć powód odmowy urzędników)¹². Zakazano swobodnego podróżowania po Francji w celu poszukiwania pracy – zgodę na wjazd do danego departamentu musiał wydać jego prefekt – a niestosujących się do tego przepisu zatrzymywano za włóczęgostwo¹³. „Dziś nikt we Francji nie jest pewny dnia ani godziny [...], bo można wyjść na ulicę bez papierów i 10 franków kary oraz wydalenie otrzymać. Można odepchnąć pijaka, który człowieka zaczepia,

a powiedzą, że była bójka na ulicy, i już wydalenie za granicę – wspominali emigranci. – Polaka już teraz tylko za pozwoleniem ministerstwa przyjąć do pracy wolno. Kto bez pracy i ukończy się mu zasiłek – za granicę, kto na czas karty nie wykupił, bo nie miał od pracodawcy zaświadczenia, że pracuje – za granicę, kto zmienił zawód – za granicę [...]”¹⁴.

Za granicę: dwa słowa. Albo tylko jedno: ekspulsja. Czasem tyle wystarczy, by człowiek zmałał, skurczył się w sobie, zgarbił plecy, by uczynić z niego istotę podobną do suchego listka, który wiatr czy inny żywioł tysiącokrotnie silniejszy od niego niesie tam, gdzie tylko mu się spodoba.

Był maj, kiedy górnicy z Leforest pierwszy raz spróbowali oprzeć się żywiołowi. Kopalnia, w której pracowali, należała do przedsiębiorstwa Escarpelle – kompanii górniczej, której podziemne korytarze były wyjątkowo rozległe, sięgające od wschodnich krańców Nord do zachodnich Pas-de-Calais. Szyb w Leforest oznaczony był numerem dziesięć, każdego dnia zjeżdżało nim pod ziemię ponad pięciuset Polaków, a kolejna setka pracowała na powierzchni, przy obsłudze wydobywania. Kryzys dotykał ich tak samo jak pracowników innych kopalń, ale oni nieco głośniej protestowali przeciwko jego skutkom, bo w Leforest wyjątkowo prężne były związki zawodowe. Polacy, choć zgodnie z prawem mogli należeć wyłącznie do działających przy francuskich związkach zagranicznych sekcji, cieszyli się opinią wyjątkowo zdeterminowanych, zaangażowanych, buntowniczych nawet. Wtedy, w maju, dwustu z nich zamknęło się w umywalniach. W ten sposób sprzeciwili się groźbom zwolnień i pogarszającym się warunkom pracy¹⁵. Osiągnęli skutek odwrotny do zamierzonego. W lipcu kopalnia podjęła decyzję o wydaleniu jedenastu Polaków, w ten sposób karząc ich za „przemoc” i „buntowniczą postawę”. 4 sierpnia były już znane nazwiska tych, którzy będą musieli wyjechać jako pierwsi. Związkowcy zwołali zebranie. Przegłosowali, że znowu przerwą pracę, tym razem nie na powierzchni, a na dole, tylko na kilka minut.

W ów sierpniowy poniedziałek, kiedy winda z Polakami i Francuzami zjeżdża w dół, większość nie wie, co się stanie za chwilę. Z ust wtajemniczonych do uszu nieświadomych płynie szept: „Wygląda na to, że

będzie strajk”¹⁶. Jeden z tych wtajemniczonych jest tuż po dwudziestce, w kopalni pracuje od ośmiu lat, obecnie jako ładowacz. Matka czasem żartuje z niego: „Już niedaleko do emerytury, Edek!”¹⁷. Do Francji przyjechał w 1923 roku, miał dziesięć lat, a podróż odbył sam. Matka i ojczym wyemigrowali kilka miesięcy wcześniej, on, chory na przewlekłe zapalenie spojówek, nie zostałby przepuszczony przez kontrolę sanitarną na granicy, musiał więc poczekać, aż wydobrzeje. Pierwszy adres: Messeix w centralnej Francji, potem Gardanne na południu i Arenberg, gdzie po sfalszowaniu metryki i dodaniu sobie kilku lat podjął pierwszą pracę w kopalni. Później stolica, w której rodzina szukała lepszego losu po wybuchu wielkiego kryzysu, a znalazła tylko biedę. „Przez pięć dni i nocy wałęsaliśmy się po Paryżu w poszukiwaniu pracy i dachu nad głową. Spaliśmy w barakach Armii Zbawienia [...] razem z włóczęgami i żebrakami. Kiedy zabrakło nawet i tam miejsca, musieliśmy spędzać noce na ławkach w dworcowej poczekalni”¹⁸ – napisze po latach w pamiętniku. Dalej – jak relacjonuje – Burgundia, Alzacja i wreszcie Leforest w Pas-de-Calais. Adresy różne, robota wszędzie tak samo ciężka. Chłopak ręce ma do pracy, ale głowę do idei i polityki. Po szycie czas spędza w Robotniczym Towarzystwie Kulturalno-Oświatowym, uprawia sport, występuje w zespołach artystycznych, słucha popularnonaukowych i politycznych odczytów, czyta rewolucyjną literaturę. Wreszcie wstępuje do Francuskiej Partii Komunistycznej. Gdy do Leforest przyjeżdżają jej działacze, słucha ich ideologicznych sporów, po latach stwierdzi jednak, że mało go obchodziły. „Nas interesowało działanie, organizacja walki o lepsze warunki życia i pracy”¹⁹. Jest najmłodszym członkiem swojej komórki partyjnej, pełni funkcję łącznika, kolportuje literaturę i propagandowe ulotki. Na imię mu Edward, na nazwisko, po ojczymie – ma Jaros, po ojcu zaś – Gierek.

Ci górnicy, którzy zaraz po zablokowaniu windy wbiegli na galerię, powiadomili kierownictwo kopalni. To zaś zdecydowało: czekać. Tamci nie będą przecież wiecznie siedzieć pod ziemią bez zapasów wody i jedzenia²⁰. Tylko na wszelki wypadek, w obawie, że idea znajdzie naśladowców, wstrzymano prace w sąsiednim szybie, oznaczonym numerem szóstym. Pod

wejściem do kopalni zaczęły gromadzić się kobiety. Swoim strajkującym pod ziemią bliskim przyniosły posiłki. Stoją przed zamkniętą bramą z paczuszkami w rękach. Gardowie nie chcą przepuścić ich dalej.

Do działania wzywały ich ulotki i jednodniówki. Grube litery na cienkim papierze nakazywały porzucić pracę, zabrać ze sobą żony i dzieci i razem wyjść na ulicę, by krzyżeć: „Dość wyzysku!”, „Równe prawa dla wszystkich robotników!”, „Koniec dyktatury burżuazji!”. Tworzyły listy postulatów: ani centyma obniżki zarobków, zwrot już obniżonych płac, zniesienie wszelkich kar i deklasacji. „Równe prawa dla robotników obcokrajowych, na równi z robotnikami francuskimi, siedmiogodzinny dzień pracy dla dorosłych bez obniżki zarobków, dla młodzieży sześć godzin, zapomogi dla całkowicie i częściowo bezrobotnych na koszt rządu i patronów kopalń, przeciw wydalaniom z pracy robotników cudzoziemskich”²¹. Przypominały ważne daty: „10 marca 1927, 21. rocznica katastrofy w Courrières. Wszyscy oni padli na ołtarzu produkcji kapitalistycznej. Ich krew przelana powinna być dla Was doświadczeniem bojowego hartu”²². Albo: „1 Maja – to nie odpoczynek od pracy, to nie procesja odświętna. Jeszcze odpoczynku godzina nie wybiła dla robotników. Jeszcze święta w ich domach nie ma. Tam nędza panuje”²³. Rozwiewały ewentualne złudzenia: „Rządy obszarników i fabrykantów w Polsce, rządy terroru i wyzysku klasy robotniczej, wyrzuciły nas z kraju i skazały na tułaczkę na obcej ziemi [...]. Nie znajdujemy u nikogo opieki, gdyż rząd polski, jak każdy burżuazyjny, opiekuje się tylko wyzyskiwaczami. [...]. Jedyłą obronę znaleźć możemy u robotników Francji. Oni są braćmi naszymi”²⁴. Podsycaly emocje: „Precz z baronami kopalń i ich sługusami. Precz z obniżką zarobków. Niech żyje jednolity front walki wszystkich górników, aż do zwycięstwa”²⁵.

Na tych ulotkach i w jednodniówkach, w broszurach i rozmowach często pojawiały się dwa skrótowce – CGT i CGTU. To dwie francuskie konfederacje związkowe, Confédération générale du travail oraz Confédération générale du travail unitaire. Pierwsza miała profil bardziej socjalistyczny, umiarkowany, druga – komunistyczny. Obie wywodziły się ze wspólnego ideowego źródła, a różnice między nimi sporo mówią

o głównych nurtach i napięciach w międzywojennym francuskim ruchu robotniczym. Przyjrzyjmy się im przez chwilę.

Pień, z którego wyrastały obie organizacje, to oczywiście socjalizm, który nad Sekwaną miał wyjątkowo intelektualny rys. W pierwszej połowie XIX wieku w pismach francuskich utopistów kreślono wizję wspólnotowego społeczeństwa, którego gospodarka opiera się na sprawiedliwym podziale dóbr, a relacje międzyludzkie na równości i braterstwie. Z czasem społeczną teorię przekuto w polityczną praktykę. W drugiej połowie XIX wieku we Francji działało już kilka socjalistycznych ugrupowań, takich jak Parti ouvrier (Partia Robotnicza, 1880–1902), Parti ouvrier socialiste révolutionnaire (Rewolucyjna Socjalistyczna Partia Robotnicza, 1890–1905), Parti socialiste de France (Socjalistyczna Partia Francji, 1902–1905), Parti socialiste français (Francuska Partia Socjalistyczna, 1902–1905). Te trzy ostatnie połączyły się, tworząc Section française de l'Internationale ouvrière (SFIO), Francuską Sekcję Międzynarodówki Robotniczej. W przededniu I wojny światowej SFIO będzie liczyła ponad dziewięćdziesiąt trzy tysiące członków. W kolejnych dekadach to z jej struktur wyłonią się Francuska Partia Komunistyczna i – przede wszystkim – Partia Socjalistyczna, do dziś stanowiąca istotną siłę na tamtejszej scenie politycznej.

Snuciem teorii społecznych i tworzeniem politycznych organizacji zajmowali się przede wszystkim przedstawiciele klasy średniej – francuski socjalizm, mimo swoich aspiracji, nigdy nie stał się ruchem robotniczym. Ci, o których losie rozprawiali i na których opierali swoje utopijne wizje, rzadko zgłębiali ideowy nurt socjalizmu. W ich przypadku strukturą dającą możliwość walki o lepsze warunki pracy i wyższą pozycję społeczną były związki zawodowe.

Gdyby chcieć krótko ująć historię francuskich związków zawodowych, można by zacząć od roku 1864, kiedy strajkowanie i tworzenie organizacji robotniczych przestało być przestępstwem. W 1895, ponad dziesięć lat po tym, jak zostały zalegalizowane, powstaje CGT, pierwszy duży francuski związek zawodowy. Jednym z jego głównych założeń jest obrona praw robotników, ale realizowana z dala od polityki (związkowcy uważają, że partie polityczne i rząd stoją po stronie kapitalistów). Regulowała to

przyjęta w 1906 roku podczas 9. kongresu CGT tak zwana Karta z Amiens, gdzie mowa jest o „politycznej neutralności” syndykatów. Ich działania miały zmierzać po pierwsze do polepszenia bytu robotników na co dzień, a po drugie – do stworzenia nowego społeczeństwa opartego na związkach zawodowych, w którym nie będzie już istniał podział na salariat (pracowników najemnych) i patronat (właściciele przedsiębiorstw, fabryk, kopalń itd.)²⁶.

I wojna światowa zweryfikowała te postulaty – CGT, mimo deklaracji niewspółpracowania z władzami, odwoziła robotników od przerywania pracy w czasie militarnego konfliktu, wiedząc, że tego rodzaju perturbacje okażą się dodatkowym ciosem wymierzonym w osłabione już państwo. Po zakończeniu wojny postawa ta stała się przyczyną konfliktu wewnątrz organizacji. Część działaczy, nawiązując do zapisów Karty z Amiens, apelowała o polityczną niezależność, inni chcieli zbliżenia z nowo powstałą Francuską Partią Komunistyczną. Dodatkowymi źródłami napięć były stosunek do rewolucji 1917 roku oraz różnica zdań między francuskimi rewolucjonistami, którzy popierali bolszewików i nawoływali do zdecydowanych działań w kraju, a reformistami, którzy opowiadali się za umiarkowaniem. W efekcie w 1921 roku doszło do rozłamu: część działaczy CGT stworzyła własną organizację, wspomnianą CGTU, zrzeszającą związkowców o bardziej rewolucyjnym lub anarchistycznym profilu, z entuzjazmem spoglądających w stronę Rosji, którym bliska była idea ponadnarodowych sojuszy.

Polscy robotnicy przyjeżdżający do Francji od początku lat dwudziestych mieli więc do wyboru członkostwo w dwóch organizacjach. Własnych związków zawodowych tworzyć nie mogli – prawo z 1884 roku zezwalało na członkostwo w związku każdemu, niezależnie od narodowości, rezerwowało jednak dla Francuzów stanowiska kierownicze: przewodniczącego, wiceprzewodniczącego, skarbnika i pierwszego sekretarza. Polakom pozostawało więc zapisać się do sekcji narodowych działających przy CGT i CGTU^[2]. To, czy z owego prawa korzystali, w dużej mierze zależało od tego, skąd przybyli do Francji. Ci, którzy przyjeżdżali z polskiej wsi do francuskiego miasta przemysłowego, często

nie do końca rozumieli ideę związku zawodowego. Wyrwani ze środowiska, które znali, doświadczający problemów z adaptacją, jeśli już chcieli się zrzeszać, wybierali raczej organizacje polonijne o kulturalnym czy religijnym profilu.

Związki zawodowe większym zainteresowaniem cieszyły się wśród „westfalczyków”, czyli tych Polaków, którzy do Francji dotarli nie z ojczyzny, a z Niemiec. Posiadali oni zarówno wysokie kompetencje zawodowe, jak i doświadczenie w działalności społecznej. To zwykle oni stawali na czele polskich sekcji CGT i CGTU. Drugą aktywną grupą byli Polacy, których do wyjazdu skłoniła nie tylko bieda, ale i groźba represji za działalność w ruchu robotniczym. Wśród nich znajdował się na przykład ojciec Walerii, którego, jak pamiętamy, „na wszelki wypadek” zatrzymywano w areszcie przed każdym 1 maja. Zaangażowanie części z nich będzie tak silne, że pod koniec lat trzydziestych ruszą na wojnę domową w Hiszpanii, by walczyć po stronie republikanów (to znów przypadek ojca Walerii).

Czy francuski ruch robotniczy wydał im się inny niż ten w Polsce? Można założyć, że w pewnym stopniu tak – z oczywistych powodów pozbawiony był on charakterystycznego dla polskiej wersji syndykalizmu dziedzictwa walki narodowowyzwoleńczej, której podporządkowane były robotnicze postulaty. Miał też silniejsze zaplecze intelektualne, dłuższą tradycję i mocniejsze struktury. Słabsza była za to we Francji reprezentacja syndykatów o orientacji chrześcijańskiej lub narodowej – podczas gdy nad Wisłą tworzyły one dwa z trzech głównych nurtów ruchu robotniczego (obok klasowego, reprezentowanego przez PPS). Wreszcie, co istotne, w niepodległej Polsce partia komunistyczna nigdy nie została zalegalizowana, we Francji natomiast funkcjonowała ona jawnie.

Tworząc tego rodzaju porównanie, warto wziąć pod uwagę specyfikę nie tylko całego kraju, ale też regionów, do których przyjeżdżali polscy robotnicy. Departamenty Nord i Pas-de-Calais, gdzie najczęściej znajdowali pracę, miały silną, wieloletnią związkową przeszłość oraz – jak w swojej książce podkreśla Janine Ponty – specyficzną mentalność²⁷. Na tę ostatnią składały się: przywiązanie do własnego zawodu, szacunek dla hierarchii i tradycji, postrzeganie członkostwa w związku jako decyzji płynącej nie

tylko z ideologii, tylko z rozsądku. Tutejsi związkowcy, pragnący zadbać o lepsze warunki pracy dla siebie i przyszłość dla swoich dzieci, starali się pozostawać z boku tak krajowej, jak i międzynarodowej polityki. Po rozłamie w 1921 roku zdecydowali o dochowaniu wierności reformistycznemu CGT, nie dając się porwać buntowniczymu czarowi rosyjskiej rewolucji ani utopii robotniczej władzy. Chcieli nie wywrócenia porządku świata, tylko lepszego życia w obrębie istniejących już struktur.

Zarówno CGT, jak i CGTU namawiały Polaków do członkostwa. Kusiły ich ulotkami w języku polskim, drukowanymi po polsku artykułami w swojej prasie (najpierw tłumaczonymi z francuskiego, później pisanymi przez autorów imigrantów), tworzeniem narodowych sekcji, a przede wszystkim deklaracjami walki o prawa wszystkich robotników, niezależnie od ich pochodzenia. W swoich pismach i wystąpieniach głosiły, że każdy robotnik, każdej narodowości może pracować w każdym miejscu, jego płaca nie może odbiegać od normalnej, a za przynależność do związków zawodowych nie może grozić mu ekspulsja²⁸. Podkreślały wspólnotę doświadczeń: „Nie ma ojczyzny dla robotników. Nie ma zagranicznych robotników we Francji. Są tylko robotnicy z jednego kraju: Proletariatu”²⁹.

Kiedy nadszedł wielki kryzys, francuscy związkowcy bronili ich w lewicowych gazetach. Tłumaczyli, że to nie emigranci są odpowiedzialni za gospodarczą zapaść, że wyrzucenie ich z kraju nie zakończy kłopotów, że Polacy podejmują się pracę, którymi Francuzi wzgardziliby nawet w okresie bezrobocia. Wreszcie trochę nerwowo stwierdzali, że „jeśli [imigranci] jedzą nasz chleb, to najpierw na niego zarobili”³⁰. Polskich robotników nazywali „towarzyszami”, deklarowali solidarność, prosili o zaufanie³¹.

Mimo zachęt i haseł, które brzmiały jak remedium na największe emigracyjne bolączki, większość Polaków podchodziła do związków ze sceptycyzmem. Wynikał on nie tylko z opisanych już wyżej czynników, takich jak problemy z asymilacją czy brak prospołecznych postaw u części przyjezdnych, ale również z nieufności, lęku przed ewentualnymi szykanami ze strony pracodawcy, a nawet... ze zmęczenia mnogością propozycji. Jeden z emigrantów zanotował w pamiętniku: „Mamy tu

rozmaite organizacje [...], komuniści, socjaliści, rozmaite partie czynne i polityczne, a rozmaitych prezesów, naganiaczy najmitów też nie brak, wprost nieraz nachodzą człowieka w domu. Człowiek przyjdzie od pracy, rad odpocząć, patrzysz, włazi jakiś działacz spod znaku Marksa [...], oganiaj się człowieku przed nimi, nieraz trzeba formalny pojedynek językowy stoczyć, dać mu do zrozumienia, żeby sobie poszedł i więcej nie przychodził ze swoimi ideami. Nieraz się zastanawiam, czy już naprawdę ludzie powariowali na tym świecie. Tu we Francji to na wszystko pozwalają”³².

Liczba polskich członków w szeregach francuskich związków zawodowych nie była więc imponująca. W 1926 roku do CGTU należało około sześciu tysięcy Polaków, do CGT – dwanaście tysięcy^[3]. Ci jednak, którzy wkroczyli w ich szeregi, szybko stawali się rozpoznawalni. Zdobywali opinię zdeterminowanych, odważnych, rewolucyjnych, na którą zapracowali udziałem w strajkach i manifestacjach, nieraz wyjątkowo ofiarnym. W 1920 roku w Pas-de-Calais wybuchł strajk, który zapisał się w historii ruchu związkowego z uwagi zarówno na swoją liczebność (według różnych źródeł udział w nim mogło wziąć nawet dziewięćdziesiąt tysięcy górników), jak i rekordowy czas trwania, wynoszący cztery tygodnie. Do tysięcy strajkujących dołączyła grupa kilkuset Polaków, którzy zaledwie kilka dni wcześniej przyjechali do Francji, by podjąć pracę w szybie numer sześć w Haillicourt. Gdy w 1923 roku wybuchł strajk w departamencie Mozeli i do pracy nie stawiało się dziewięćdziesiąt pięć procent górników, Polacy z dumą podkreślali na związkowych zebraniach, że w gronie łamistrajków nie ma ani jednego polskiego emigranta^[4]. Francuzi odwzajemnili wtedy tę solidarność: obiecywali zorganizować zbiórkę na rzecz tych przybyszy, którzy w wyniku strajku utracili źródło dochodów. W swoich deklaracjach nazywali ich „polskimi przyjaciółmi”.

W kryzysowych latach trzydziestych, gdy mogło się wydawać, że związki, które za cel stawiały sobie obronę praw pracowniczych, zyskają na popularności wśród imigrantów, stało się odwrotnie: w obawie przed sankcjami Polacy opuszczali ich szeregi³³. W strukturach zostawali tylko ci

najbardziej aktywni, bezkompromisowi, a za swoją działalność często płacili bardzo wysoką cenę.

Trzydzieści sześć godzin. Chyba nie przypuszczano, że wytrzymają tak długo. Nikt nie mógł przewidzieć, że protest w dziesiątym szybie w Leforest zapisze się w historii jako pierwszy strajk okupacyjny we francuskiej kopalni³⁴. Dzień przeszedł w noc, noc w dzień. Polki sprzed bramy kopalni poszły do domów, kiedy zaczęto szeptać o „francuskich zakładnikach” i „polskich podżegaczach”. Kolejny dzień zaczął się chylić ku zachodowi. To już wtorkowy wieczór. Ile można siedzieć pod ziemią? W głąb szybu schodzą przedstawiciele związku zawodowego – Louis Milleville i Kléber Legay³⁵. O czym rozmawiają, co obiecują? Trudno stwierdzić. Negocjacje udaje się jednak zakończyć sukcesem. Około godziny osiemnastej Polacy i Francuzi wychodzą na powierzchnię. Tych ostatnich policja eskortuje do domów.



Polskie koło muzyczne działające w Billy-Montigny, 1934

Źródło: Kazimierz Zgórecki, © ADAGP, Paris, 2023

Polacy zaś, po dwóch ciężkich dniach, mogą wreszcie zapaść w sen. Może nawet spokojny, bo ponoć obiecano im, że za incydent w kopalni nie spotkają ich żadne konsekwencje. A może wcale nie, może najpierw długo rozmawiają z żonami i starszymi synami, a potem jeszcze w łóżku przewracają się z boku na bok, przeczuwając, co niedługo nastąpi. Henri Queuille, pełniący obowiązki ministra spraw wewnętrznych, na wniosek prefekta Pas-de-Calais podpisze ponad siedemdziesiąt dekretów o wydaleniu^[5]. Na opuszczenie Francji Polacy będą mieli czterdzieści osiem godzin.

Jednym z tych, którzy znaleźli się na czarnej liście, jest Edward Gierek – on został ukarany nakazem opuszczenia kraju, męża jego siostry zaś aresztowano. „Po wyjeździe na powierzchnię pozwolono mi umyć się w kopalnianej łaźni, ale doprowadzono na noc do domu, wręczono dokument ekspulsji z Francji i zakazano opuszczania mieszkania do dnia następnego – wspominał. – Nazajutrz rano policjanci wręczyli mi dokumenty podróży do granicy polskiej, odprowadzili na dworzec i ulokowali w pociągu wraz z kilkunastoma innymi rodakami. Tak rozpocząłem podróż powrotną do kraju”³⁶.

„Jak wyglądały te odjazdy, nikt, kto widział, nie zdoła wyrwać tego obrazu z pamięci”³⁷ – pisał po latach jeden z polskich górników. A widziało je całkiem sporo osób – kto nie oglądał na żywo, miał szansę zobaczyć w kinie. W kilkuminutowej kronice filmowej *Pathé-Journal* zarejestrowano sceny wyprowadzki i odjazdu Polaków z Leforest. Na taśmie utrwalono zatłoczone ulice: środkiem jadą wozy wypełnione meblami, obok idą ludzie z walizkami i tobołkami, pod których ciężarem kołyszą się z boku na bok. Dwóch mężczyzn wspólnie dźwiga duży błyszczący stół. Może będą pakować go do wagonu z meblami? Ówczesne gazety podają, że do pociągu doczepione były cztery takie wagony do przewozu mebli, a każda z rodzin mogła zabrać ze sobą trzydzieści kilo bagażu. Na drogę dostawali od byłego już pracodawcy trzysta franków, a przejazd do Polski był w pełni opłacony. Dziennikarz „Grand écho du Nord de la France” nazywa te warunki „nadzwyczajnymi”³⁸.

Świadkowie mówią jednak, że niewiele było mebli w owych wagonach. Sprzęty sprzedawano sąsiadom – tym taniej, im pośpiech większy, czasem za bezcen, za cenę urągającą godności³⁹. Odjeżdżający nie cieszyli się też z „nadzwyczajnych” warunków podróży. Bo do wagonów wsiadały przecież „rodziny zadomowione tutaj od lat piętnastu [...], ludzie, którzy stracili czucie z krajem pochodzenia, rodziny, których dzieci we Francji urodzone nie mówiły po polsku, robotnicy, którzy na dźwigające się z ruin życie słusznie mogli wołać: »Oto nasze dzieło«, ich oto odrzucono jak wypróżnione worki. Rozgrywały się sceny rozdzierające serce: siedząc na pakach, kobiety szlochały, mężczyźni zaciskali pięści i wybuchali bezsilną złością i żalem, pociągi znikały przy odgłosach łkań, niejeden pociąg odchodził, kiedy z odgłosami okrutnego pożegnania mieszały się dźwięki *Międzynarodówki*”⁴⁰.

Na liście pasażerów znalazło się siedemdziesięciu trzech strajkujących wraz z rodzinami, łącznie sto siedemdziesiąt osiem osób. Nie wszyscy pojawili się na dworcu – część aresztowanych zaraz po strajku jeszcze nie wyszła na wolność, jedna osoba była naturalizowanym Francuzem, a jedna po prostu nie przyszła⁴¹. Odjazd zaplanowano na godzinę 10.59, ale pociąg się opóźnił. Pasażerowie musieli czekać na jego przyjazd ponad cztery godziny; z nieba zaczęły spadać grube krople deszczu. Mimo ogólnego przygnębienia dało się też wyczuć rozgorączkowanie, jakie zwykle towarzyszy podróży: ktoś zapomniał spakować rower, ktoś rozpaczał, że nie ochrzcił dziecka, ktoś w ostatniej chwili postanowił wyjść za mąż i powrót do Polski potraktować jako podróż poślubną⁴².

Ostatecznie Polacy z Leforest odjechali kilka minut po godzinie piętnastej. Pociąg skierował się do Lille, gdzie miał zostać doczepiony do ekspresu relacji Calais–Warszawa. Niektórzy pasażerowie wystawiali ręce przez okna, machając na pożegnanie białymi chusteczkami. W tym momencie kamera kroniki filmowej spuszcza ich ze swego szklanego oka.

Smutna droga

Ten lub jeden z podobnych transportów dostrzegło jednak oko pisarza, Antoine'a de Saint-Exupéry'ego, który w latach trzydziestych zapragnął „zwiedzić tę pędzącą po szynach ojczyznę”. „Wagony trzeciej klasy były przepełnione setkami polskich robotników, wydalonych z Francji i wracających do Polski. [...] Był to jakby cały naród, pogrążony w złym śnie, powracający do swej nędzy. Ciężkie, ogolone głowy przetaczały się po deskach ławek. Mężczyźni, kobiety i dzieci przewracali się z boku na bok, napastowani przez te wszystkie hałasy, wszystkie szarpnięcia, zagrażające ich zapomnieniu. [...] Wydawało mi się, jakby już na w pół zatracili swój charakter człowieczy, przerzucani tak na skutek prądów ekonomicznych z jednego końca Europy na drugi, wyrwani ze swojego domku na północy, ze swego maleńkiego ogródka, od trzech doniczek pelargonii, które zauważyłem kiedyś w oknach polskich górników. W źle związanych i pełnych przepuklin tobołkach zabrali ze sobą tylko przybory kuchenne, kołdry, firanki. Musieli więc poświęcić wszystko, co pieścili i co im było miłe, i co zdołali sobie przyswoić przez te cztery lata pobytu we Francji: kota, psa i pelargonie. Pozostały im tylko te garnki”⁴³.

Takie pociągi odchodziły z polskich kolonii przez kilka lat – badacze podają, że w czasie kryzysu żądanie wyjazdu wręczono nawet stu siedemnastu tysiącom osób^[6]. Administracyjna decyzja o ekspulsji nieraz pociągała za sobą nie tylko ekonomiczny, ale i osobisty dramat. W górniczych wspomnieniach można znaleźć określenia takie jak „dantejskie sceny”, lamentsy nad „losem Polaka tułacza”, porównania swojego losu do sytuacji „parszywych psów wyrzucanych od siebie”. Czasem szok wywołany nakazem wyjazdu popychał emigrantów do kroków ostatecznych. „Chyrakowie byli ludźmi spokojnymi i oszczędnymi. Jedynym ich życzeniem było zebrać trochę grosza i wyjechać do Polski – i tam znaleźć pracę na roli. Ale niebawem Chyrakowie przywiązali się do swojej nowej ojczyzny. [...] Nadszedł strajk powszechny. Chyrak, solidaryzując się ze swymi kolegami, nie poszedł do pracy. Na drugi dzień otrzymał wymówienie z dyrekcji kopalni. [...]. Przed ośmiu dniami cała jego rodzina otrzymała ekspulsję. [...] Na drugi dzień rano okna i drzwi

domku, w którym mieszkali Polacy, były zamknięte. [...] Zawiadomiono żandarmów. [...]. Ci ostatni weszli do domku przez okno. Jakże straszliwy widok przedstawił się ich oczom! [...]. Na żelaznym łóżku [...] leżały zwłoki czworga dzieci z prawie odrąbanymi głowami, a obok łóżka – zwłoki kobiety z przeciętym gardłem. [...] Krwawe ślady stóp męskich prowadziły nad staw pokryty lodem. [...] Chyrak utopił się w stawie”⁴⁴.

Wyjeżdżający do Polski, jeśli zabierali ze sobą jakieś pieniądze, to były to niewielkie kwoty. „Oszczędności prawie nikt nie ma, bo życie jest tutaj ciężkie i drogie. Jeżeli który ma 2–3 tysiące franków, to wyjątek i je potrzebuje, bo w Polsce czeka go bieda, że toporkiem by ją nie odegnał”⁴⁵. Czasem większość zgromadzonych na emigracji środków wydawano na podróż do domu. Rząd francuski oferował zgłaszającym się przejazd do granicy za darmo, ale co dalej? Co z innymi krajami i co po przekroczeniu polskiej granicy? Konsulaty nie wszystkim były w stanie pomóc. „Dziesiątki albo setki ich pukało codziennie do konsulatu, prosząc to o zapomogę, to o bezpłatny przejazd koleją do kraju, a konsulat albo nie mógł, albo nie chciał tej zapomogi udzielić. Niektórzy z nich tygodniami czekali na miłosierdzie konsulatu. W dzień zbierali oni odpadki z rynsztoków, by nie umrzeć z głodu. Gnieździł się dziesiątkami w jednym schronisku”⁴⁶ – pisał jeden z emigrantów.

W 1934 roku Maria Niemyska, badaczka Instytutu Gospodarstwa Społecznego, przeprowadziła wśród reemigrantów ankietę. Pytała między innymi o to, kto opłacił ich przyjazd do Polski. Większość, ponad dwie trzecie, odpowiedziała: sami zapłaciliśmy. Koszt był tak duży, że niektórzy z nich, nie otrzymawszy pomocy w ambasadzie, posuwali się do podstępu – mężczyzna wracał do Polski, a rodzinę niby porzucał, licząc na to, że organy dyplomatyczne zajmą się odesłaniem jej do kraju na własny rachunek. Byli i tacy, którzy ruszali z powrotem na piechotę⁴⁷.

Czy pieszo, czy pociągiem, smutna to była droga. Niektórzy podróżni wcale nie chcieli dojechać do celu. „Robotnik” opisywał historię pochodzącego z Brzozy Stadnickiej trzydziestoczteroletniego Pawła Lei, który „po dziesięcioletnim pobycie we Francji wracał do swojej rodzinnej wioski. W czasie jazdy koleją nieopodal przystanku kolejowego Grabiny

pod Dębicą Leja pod wpływem silnej depresji duchowej wybił szybę w oknie i wyskoczył na plant”. Życie ocaliła mu gruba warstwa śniegu. Lekko poturbowany, błąkał się po okolicy, aż znalazł schronienie u jednego z gospodarzy. „Niedoszły samobójca ze łzami w oczach podał, że po dziesięcioletnim pobycie we Francji wraca bez grosza do domu, a z powodu braku środków do życia postanowił odebrać sobie życie”⁴⁸. Resztki dobytku, który wiozł ze sobą z Francji, zapakowane w walizkę, zostały w pociągu.

Na stacjach w Zbąszyniu, Katowicach, Stołpcach i Poznaniu działały organizacje takie jak Polski Czerwony Krzyż, Misja Dworcowa czy Opieka Polska nad Rodakami na Obczyźnie. Niewiele jednak miały do zaoferowania. „Szkłanka herbaty, dali postój w ogonku jako bezrobotni. Na dworcach w Polsce zgraja złodziei albo oszustów. Mieszkania i pracy nie znajdzie, chyba gdzieś w stodole albo w chlewie”⁴⁹. Jeśli reemigranci znajdowali zajęcie, to najczęściej w rodzinnych gospodarstwach, a gdy ich nie było, pracowali dorywczo. Wydawali do końca ewentualne oszczędności, korzystali z pomocy społecznej, wyprzedawali rzeczy, w końcu zebrali. Ci, którzy znali ich przeszłość, często się dziwili, dlaczego żyją w takiej nędzy, skoro za granicą było im tak dobrze.

Dwie ojczyzny

Jeszcze jeden filmowy reportaż. Tym razem zrealizowała go nie francuska, a polska ekipa: reżyserował Karol Szołowski, za kamerą stał Stanisław Wohl. Obydwaj uznawani byli za awangardowych i utalentowanych twórców, dodatkowo ten drugi dobrze znał Francję – w 1932 roku ukończył École technique de photographie et de cinématographie. Ojciec był z niego tak dumny, że zafundował mu „znakomitą profesjonalną kamerę filmową produkcji francuskiej – Parvo L marki Debie”⁵⁰. Teraz jest rok 1938. We Francji kryzys minął; w 1936 roku do władzy doszedł Front Ludowy – pensje wzrosły, tydzień pracy skrócono do czterdziestu godzin, skończyły się zwolnienia i ekspulsje. Kopalniane osiedla na powrót stały się krainą

„w sam raz”. Szołowski i Wohl chwytają za kamerę i rejestrują, jak płynie w niej życie.

Na czarnej planszy biały napis: „Wśród Polaków we Francji”⁵¹. Po ekranie przesuwiają się kadry – streszczenie ostatnich dwudziestu lat. Najpierw cmentarne krzyże: symbol strat, które Francja poniosła w czasie I wojny światowej. Potem pociągi: to jadą polscy rolnicy, robotnicy i górnicy. I wreszcie czasy obecne. „Dziś jest nas we Francji przeszło pół miliona. W lyońskim okręgu kopalń pięćdziesiąt tysięcy, w hutach Francji wschodniej siedemdziesiąt tysięcy, w okręgu paryskim sto osiemdziesiąt tysięcy, w okręgu Francji północnej dwieście tysięcy. Pracujemy w przemyśle i górnictwie. W niektórych zakładach liczba naszych dochodzi do pięćdziesięciu procent zatrudnionych” – wyjaśnia lektor. Następnie widok szybów i domków z cegły – to oczywiście kopalniana kolonia; do każdego mieszkania należy osobny ogródek. „Można tu warzyw posadzić dużo, naszą polską kapustę, wszystkiego po trochu, my urządziliśmy tu ogród kwiatowy, żeby stary po pracy miał gdzie wypocząć” – mężczyzna w cieniu drzewa czyta gazetę, „Narodowca”. „Co prawda dorobił się już teraz sztygara, to już tak ciężko nie pracuje jak dawniej. Nawet w Polskim Banku Opieki na książeczce mamy już sporo”. Następnie przebitki na witryny polskich sklepów i zakładów usługowych. „Mówią, że nasze kupiectwo milion warte do kupy” – słyszymy, a lektor zauważa, że Polacy chętnie przejęli od Francuzów zwyczaj bywania w kawiarniach i restauracjach. Elegancko ubrani mężczyźni siedzą przy stolikach. Czytają prasę, ćmią papierosy. „Proszę pana, jak się wam powodzi we Francji?” „Nie najgorzej. Przedtem dużo zwalniali, to bieda była, ale teraz nie redukują”. „Do kraju nam tęskno. Trudno francuską mowę pojąć”. „A jakie są stosunki z Francuzami?” – dopytuje lektor. „Byle tylko w politykę się nie wdawać. [...] Chyba że się ma obywatelstwo francuskie. Wtenczas – wszystko wolno”. „A czy dużo takich?” – chcą wiedzieć autorzy filmu. „Mało!” – odkrzykuje zgodnie kawiarniane towarzystwo. Wtedy odzywa się mężczyzna ze starannie ułożonymi włosami i sygnetem na palcu, siedzący przy kontuarze: „Ja zmieniłem. Na paszporcie jestem Francuzem, ale w duszy Polakiem byłem i zostanę przez całe życie. Paszport, panie, to

nie wszystko, polskie serce to grunt. Bo widzi pan, ja jestem z Proszowic, daleko stąd. Utknął tu człowiek, czarny kraj. A do Proszowic daleko”.

I inne ujęcie. Grupa nastolatków, rozebrana do kąpielówek, biegnie plażą. „Młodzież wychodźcza zorganizowana jest we Francji w licznych stowarzyszeniach sportowych. Obozy letnie gromadzą dzieci polskie z całego kraju i krzewiąc tężyznę fizyczną, umacniają równocześnie poczucie narodowe młodzieży”.

Kolejna scena, kolejny wątek: ze szkolnych okien dobiegają głosy, najpierw pojedynczy, potem chór i znów pojedynczy. To dzieci powtarzają za nauczycielem: „Un mètre c’est cent centimètres, un centimètre c’est dix millimètres, un kilomètre c’est mille mètres”. Jeden metr to sto centymetrów, jeden centymetr to dziesięć milimetrów, jeden kilometr to tysiąc metrów... To francuska szkoła. Polskich we Francji nie ma, ale, jak tłumaczy twórcom filmu stojący za nauczycielskim pulpitem mężczyzna, organizują lekcje ojczystego języka „gdzie tylko mogą”. Pызata dziewczynka z włosami poskręcanyimi w loki staje w ławce: „Jedna jest Polska, jak Bóg jeden w niebie. Wszystkie me siły jej składam w ofierze. Na całe życie, które wziąłem z ciebie, cały do ciebie, ojczyzno, należę” – ton ma poważny, natchniony nawet, patrzy prosto przed siebie.

To modelowa dziewczynka, filmowa, idealna. Poza ekranem niewiele było takich dzieci, a może nie było ich wcale. Z tych, które są, co wyrosnie? Część z nich widziała Polskę na własne oczy na wakacyjnej wymianie dzieci górniczych, organizowanej przez polonijne organizacje. W programie zwykle znajdowały się Wawel, Jasna Góra, warszawskie Stare Miasto. W stolicy czasem odbywało się spotkanie z przedstawicielami Kościoła i politykami. Na zdjęciu z Belwederu, do którego zaprosiła kilkulatków Aleksandra Piłsudska, dwójka takich maluchów, ubrana w coś, co u dołu zdaje się garniturem, a u góry chłopską sukmaną, w rogatywkach na głowach, trzyma małą polską flagę⁵². Dzieci, które w Polsce nigdy nie były, znają ją z opowiadań rodziców, często osobistych, fragmentarycznych, kręcących się wokół rodzinnej miejscowości; ojczysty kraj staje się w ich głowach czymś w rodzaju bajkowej, egzotycznej krainy. Czasem bawią się w jej odtwarzanie – babcie i matki haftują dla nich ludowe stroje, zachęcają, by grały w spektaklach o mądrych królach i królowych

z wielkim sercem, o szewczyku, który zabił smoka, i o Wandzie, co nie chciała Niemca. Trochę wiadomości o Polsce mogą znaleźć w gazetach, ale kto z młodych umie przeczytać niefrancuską gazetę? Kto umie złożyć poprawne zdanie po polsku? Alfreda patrzy, jak „swoja mama nagrzewa żelazło” do prasowania. Marian razem z kolegami wprawdzie regularnie maszeruje po ulicach Bruay w ludowym stroju – takich jak on jest prawie setka – lecz żaden z nich nie mówi w ojczystym języku.

Polski to język ograniczonego użytku – potrzebny do rozmów z rodzicami, z dziadkami, z wujostwem, którzy do znudzenia powtarzają, że parlować to można sobie na ulicy. Do rozmów z resztą świata potrzebny jest francuski. To po francusku komunikuje się z kolegami, robi zakupy, odpowiada w szkole. Bo szkoła jest po francusku i jest obowiązkowa dla dzieci do trzynastego roku życia, ale to, czy w jej programie znajdą się lekcje języka polskiego, polskiej historii i geografii, nie jest już takie oczywiste. Ich wprowadzenie zależy bowiem od liczby polskich dzieci w danym regionie i dobrej woli przedsiębiorstw, w których zatrudnieni są ich rodzice. A z tą dobrą wolą różnie bywało^[7]. Na przykład w latach dwudziestych w Saint-Étienne i Beaulieu na każdym osiedlu, gdzie mieszkała setka dzieci w wieku szkolnym, funkcjonowała szkoła, w której programie znajdowały się lekcje polskiego. Jednak już w Pas-de-Calais – regionie nazywanym „małą Polską” – jeden nauczyciel przypadał na 210 dzieci. A były i okresy, gdy na więcej: „Ilość dzieci, które uczę, przekracza 700, lekcje prowadzę w 5 koloniach, w 9 szkołach, 18 klasach, podlegam 9 dyrektorom i inżynierom kopalń” – mówiła jedna z prowadzących zajęcia⁵³. Ogółem odsetek dzieci emigrantów, które w dwudziestoleciu międzywojennym uczęszczały na lekcje języka polskiego, nie przekraczał 20 procent⁵⁴.

A nawet gdy lekcje już się odbywały, daleko im było do ideału. Brakowało nie tylko nauczycieli, lecz także podręczników i pomocy naukowych. Zdarzało się, że w tej samej sali i w tym samym czasie odbywała się nauka języka francuskiego. A gdy już cudem znalazł się i nauczyciel, i pomoce naukowe, uczniowie nie zawsze chcieli przychodzić.

Nie z braku zainteresowania, a z braku sił, by zostawać jeszcze trzy godziny po regularnych lekcjach⁵⁵.

„Starszemu pokoleniu, to jest nam, dorosłym, nic nie grozi, bośmy są silni, więc się oprzemy obcym wpływom, obcemu duchowi i innym różnym naleciałościom. Dorosłe pokolenie już się ostoi, ale ratować trzeba dzieci. [...] Z lekkim sercem patrzy się, gdy tysiące dzieci na obczyźnie ginie bezpowrotnie dla kraju. Gdy tysiące tych dzieci zapomina lub wcale nie zna języka swej Ojczyzny”⁵⁶ – notowali emigranci w pamiętnikach.

Oni sami jednak też powoli się zmieniali. Dokładnie tak, jak zalecał przewodnik, który zabierali ze sobą na drogę do Francji: „Należy powracać do kraju nie tylko z uzbieranym groszem, zasobniejszy w środki, ale wracać mądrzejszym, z umysłem wzbogaconym w pożyteczne doświadczenia – i wracać lepszym”⁵⁷. To obustronne podpatrywanie. Z polskich do francuskich i z francuskich do polskich domów przenikają języki, smaki, zwyczaje, rytuały. Bo francuski sąsiad jest niby nowy, niby obcy, a jakby znajomy. Przychodzi, częstujesz go tym, co masz, a on, że dziwy: smażona okrągłutka słodka bułka, a w środku marmolada! Ziemniaki i biały ser zawinięte w ciasto, i do wrzątku, jak to tak? Ziemniaki, wczoraj ziemniaki, dzisiaj ziemniaki, „toujours des pommes de terre”, zawsze ziemniaki. „Quelle misère!” Jaka nędza! Ja nie wiem, czy u nas, Polaków, nędza. Może to u was nędza? Dwa–trzy ziemniaki na talerz kładzicie, a resztę chlebem dojadacie. Ktoś ponoć widział kolegę Francuza, jak na robotach ziemnych, jedząc śniadanie, zauważył pełzającego ślimaka i połknął go żywcem, bez żadnej przyprawy. I jeszcze zielsko z rowu wyjadacie, mlecz ponoć zbieracie na sałatkę. W polskiej kuchni zieleniny też nie brakuje, zupa z buraków, zupa z kapusty! Takie cudactwo, a smaczne! A we francuskiej to nie cuda? Warzywa do zupy nie krojone, tylko przecierane, do sałaty zamiast śmietany oliwa, ocet, łyżeczka cukru. Co ta sałata taka dziwna, gorzka, jakby meszkciem porośnięta? To nie sałata, to cykoria. Hoduje się ją w ciemności, a potem wysadza do ziemi, rośnie zielona, żółta i czerwona, a każda ma nieco inny smak.

Są w polskich domach francuskie receptury, są prezenty na Boże Narodzenie dla dzieci chowane w wypastowanych bucikach, jest Mardi gras – tłusty wtorek zamiast tłustego czwartku, urodziny zamiast imienin.

Nieśmiało, stopniowo przekładają też Polacy obrączki z prawej ręki na lewą, a dzieciom nadają francuskie imiona⁵⁸.

To raczej ciekawość nowego niż kompleks. Nie są gorsi niż Francuzi, a przynajmniej nic nie wskazuje na to, by tak się czuli. Francuzi podziwiają pracowitość i zaradność Polaków. Polacy cenią Francuzów za uprzejmość, za to, że nim wystawią osąd o człowieku, najpierw uważnie przyglądają się jego zachowaniu, za chęć pomocy i za to, że nie mają nic przeciwko kultywowaniu polskiej kultury. Wręcz przeciwnie – sami chętnie przychodzą posłuchać polskich płyt. Podobają im się oberki i śpiew. Tego ostatniego nie rozumieją, ale cenią melodię. W rewanżu zapraszają do siebie Polaków, by posłuchali sobie radia, również tego polskiego. „Odczuwa się to, że jakby się z nami już żyli, jakbyśmy już tu długie lata zamieszkiwali z nimi”⁵⁹, notują emigranci.

Doświadczenia są jak ziarenka piasku kładzione na szalkę wagi. Jedno nie robi różnicy, drugie też nie, tak samo trzecie. Wreszcie jednak ziarenek jest tyle, że szalka zaczyna chylić się ku dołowi, a języczek delikatnie drgać. Ziarenkami po jednej stronie mogą być stała wypłata, wygodny dom, edukacja dla młodych, mogą być niezliczone nowe smaki, zapachy, faktury, nazwy kiedyś nic niemówiące, dziś wypełnione treścią. Wolne popołudnie w ogrodzie za domem. Schludnie ubrane dzieci, które wychodzą do szkoły z uśmiechem, a wracają z dobrą notą w zeszytach. Stół, przy którym odrabiają lekcje, inne sprzęty, które udało się przez lata zgromadzić. Własny sklep, zakład rzemieślniczy. Wszystkie te ziarenka łączą się, układając we wzór, w którym jest jakiś sens. Po drugiej stronie ziarenek jest nie mniej, ale mają jedną, wspólną nazwę – ojczyzna. I tak drżą wypełnione piaskiem szalki, a od ich drgań, coraz częstszych, coraz intensywniejszych, coś w człowieku zaczyna pękać.

„Tęsknota tak wielka, że nieraz po prostu czuję fizyczny ból. Gdybym w Ojczyźnie mógł tak sobie życie urządzić, nie wahałbym się ani chwili jechać do kraju, bo chociaż i tutaj pozostawiłbym pół duszy, to jednak lepiej czułbym się w Ojczyźnie”⁶⁰.

„Choć jezdem obywatelem francuskim kocham Polskę, polskiego robotnika i chłopca bo jezdem synem chłopca i robotnika, ale niemniej kocham Francję moją drugą ojczyznę, bo i lud francuski jest dobry,

niegorszy od nas polaków a więcej kulturalny i oświecony więc mu się lepiej dzieje”⁶¹.

„Rozdarto mi duszę. Tęsknię do Polski jako do swej ojczyzny, lecz i na obczyźnie już się przywiązałem do ludzi, do rzeczy i do miejsc. Pozostawiłem pół duszy w ojczyźnie, nie wiedząc o tym, gdy ją opuszczałem, a i tutaj, gdzie przeżyłem osiem lat, gdybym odjeżdżał do ojczyzny, pozostawię cząstkę mej duszy. Tak źle i tak niedobrze”⁶².

I tak ścierały się w nich dwie ojczyzny, stara i nowa, a każda składała inne obietnice. Ku jednemu się odwrócisz, drugie na zawsze stracisz. Nie wybierzesz – nie zaznasz spokoju. Kołysały się więc te szalki, przechylając to w jedną, to w drugą stronę, ale zawsze odrobinę, o milimetr, nieznacznie, jakby czekając na niespodziewany impuls, coś, co będzie w stanie przeważać którąś raz na zawsze.

A potem przyszła wojna.

5 Fefiki

En passant par la Lorraine, avec mes sabots,
En passant par la Lorraine, avec mes sabots,
Rencontrai trois capitaines,
Avec mes sabots, dondaine,
Oh! oh! oh! avec mes sabots.

[...]

Ils m'ont appelée: Vilaine! avec mes sabots,
Ils m'ont appelée: Vilaine! avec mes sabots,
Je ne suis pas si vilaine,
Avec mes sabots, dondaine,
Oh! oh! oh! avec mes sabots^[8].

„Szłam przez Lotaryngię w moich sabotach, spotkałam trzech żołnierzy. Nazwali mnie brzydką, a przecież wcale nie jestem taka brzydka w moich sabotach”... Piosenka ma marszową melodię, to jedna z tych, które chce się śpiewać głośniej i głośniej, a po ostatniej zwrotce wrócić do pierwszej, by zacząć jeszcze raz. Zosia wyjątkowo ją lubi. Śpiewając, zerka na wiszący w klasie obrazek pasterki w butach takich samych jak te, z których śmiali się trzej żołnierze. „Nie wyglądam na wieśniaczkę w moich sabotach. Och, w moich sabotach, w których szłam przez Lotaryngię”. Głos Zosi stapia się z chórem rówieśników i niesie po szkolnym korytarzu.

Przyjemnie jest w taki dzień jak dzisiaj, jakby tuż przed wakacjami, kiedy dzieci uśmiechają się szerzej, psocą bardziej, a nauczycielki pozwalają im na więcej niż zwykle. I teraz też, dokładnie tak jak przed wakacjami, pani mówi: możecie już iść do domu. Jednak gdy już stoją z teczkami zarzuconymi na ramiona, zatrzymuje ich w drzwiach: jeśli chcecie, ustawcie się w rzędzie na chodniku, zobaczycie coś ciekawego.

Zosia staje w szeregu. Słońce pali jej buzię, świeci w oczy. Długo nic się nie dzieje. Mruży powieki, wpatruje się w most w oddali, próbując

dostrzec, co takiego chciała im pokazać nauczycielka. Jeszcze nie widzi, ale już słyszy huk. A potem zaczynają iść ku niej domy.

Exodus

André Maurois, członek Akademii Francuskiej, wyspecjalizował się w opisywaniu ludzkich losów. Co parę lat publikował biografię kolejnego pisarza, a były to same sławne nazwiska: Byron, Turgieniew, Wolter, Proust, Sand, Hugo. Miał najwyraźniej słabość do wielkich postaci i wielkich dzieł, a te ostatnie pozwalał sobie parafrazować. Jego autorska wersja dekalogu brzmiała tak:

I. Przez jakiegokolwiek niebezpieczeństwa byś przechodził, jakiegokolwiek restrykcje byłyby nałożone, jakiegokolwiek trudności byś napotkał, pomyśl, że w twoim życiu naszedł moment walki, i powiedz sobie: „Jestem bardzo dobrze traktowany”.

II. Wykonuj swój zawód jak najlepiej. W czasie pokoju robiłeś, co mogłeś. Nie proszono cię o więcej. W czasie wojny musisz robić o wiele więcej, niż możesz.

III. Nie powtarzaj wiadomości pozyskanych z niesprawdzonego źródła. Każda pesymistyczna plotka to oręż w rękach wroga.

IV. Nie powtarzaj też sprawdzonych wiadomości, które powinny pozostać w sekrecie [...].

V. Nie zużywaj niepotrzebnie produktów, które mogą być potrzebne dla armii. Nie przemieszczaj się, jeśli podróż nie jest niezbędna. Benzyny, którą dziś zużyjesz, może jutro zabraknąć samolotom, które cię chronią.

VI. Z zamartwianiem się poczekaj, aż zagrożenie stanie się realne. Pamiętaj, że prawdopodobieństwo, że ucierpisz w wyniku ataku bombowego, jest mniejsze niż szansa na wygraną w Loterii Narodowej.

VII. Cokolwiek by się działo, zachowaj spokój. W razie potrzeby poproś lekarza o pomoc [...].

VIII. Nie pozwól, by twój nastrój wahał się jak sytuacja na froncie. Z wybuchami radości bądź rozpaczyci poczekaj na zwycięstwo lub porażkę. Twoje nerwy są małą częścią francuskiego arsenału. Zarządzaj nimi mądrze.

IX. Szukaj schronienia w tym, co wieczne: wierze, patriotyzmie, mądrości. W trudnych momentach oddaj się lekturze, wielkim sentymentom i wielkim książkom.

X. Wierz we Francję. Ona przeżyła setki inwazji. Przetrwiała. Przetrwa¹.

Te dziesięć przykazań dla cywilów w czasie wojny autorstwa Maurois zamieścił dziennik „Le Figaro” w numerze z 27 maja 1940 roku – i można

powiedzieć, że była to publikacja nieco spóźniona. Pod koniec tego miesiąca większość czytelników tego szanowanego tytułu wydawała się już daleka od zachowania spokoju (reguła VIII), poszukiwania ukojenia w lekturze (reguła IX) i odporności na plotki (reguła III).

Najwięcej trudności jednak sprawiało im przestrzeganie reguły V: nie przemieszczaj się, jeśli podróż nie jest niezbędna.

Zosi dłoń podał wujek, młodszą siostrę rodzice włożyli do wózka, trzymiesięcznego brata wzięli na ręce. I tyle. Żandarmi, którzy przed momentem zapukali do domu, powiedzieli, że nie ma czasu niczego pakować. Mają po prostu wyjść i iść. Dokąd? Sami zobaczą, niech kierują się za ludźmi.

Drogi wydawały się zbyt wąskie, żeby ich pomieścić. Wozy, wózki rolnicze, taczki, rowery, niemowlęce gondole i spacerówki, czasem samochody. Zbieranina wszystkiego, co da się załadować i co można toczyć lub ciągnąć, rozdyma się na pobocza, łąki, pola. Ale też piętrzy: na wozach chwieją się kratownice, niczym pergole obrośnięte bluszczem garnków, wiader, patelni. Na wózkach i taczkach balansują miękkie, ściśnięte sznurkiem piramidy kołder i poduszek. Na rączkach rowerów dyndają chusty, na siodełkach i bagażnikach prześcieradła, rozdęte mieszaniną „tego nie zostawię” i „bez tego nie idę”. W wózkach dziecięcych, tak dociążonych, że niemal szorują po ziemi, zasiadły nie tylko dzieci, ale i dziadkowie. Ich nogi wystają poza pojazd, majtają się w sposób nieprzystający ani do wieku, ani do okoliczności. Na samochodach skrzynie, walizki; w środku kierowcy kręcą kierownicami przy wyłączonym silniku. Nie oni prowadzą, a koń – samochody przywiązano do wozów, by nie marnować benzyny.

Wozy, wózki rolnicze, taczki, rowery, wózki dziecięce, czasem samochody, a do wszystkich tych pojazdów doczepione dziesięć milionów ludzi: pchających, ciągnących, przytrzymujących, chroniących, wierzących, że gdzieś indziej będzie bezpieczniej. Czegoś takiego Europa nie widziała i nie zobaczyła później przez cały XX wiek. Historykom na opisanie tego epizodu braknie słów ze współczesnego słownika. Najodpowiedniejszym, jakie znajdą, będzie biblijny „exodus”.

Pierwsi zaczęli iść Belgowie. Z domów wypędziły ich niemieckie samoloty, które 10 maja zakończyły „dziwną wojnę”, atakując nie tylko ich kraj, ale też Holandię i Luksemburg. Jak tłumaczyły francuskie gazety, hitlerowcy „sięgnęli po swoją niemal klasyczną technikę”, bombardując zarówno obiekty militarne, jak i cywilne. Cywile wsiedli więc na rowery lub ruszyli piechotą w stronę zachodniej granicy. Z przedmieść Paryża odbierały ich furgonetki i autobusy jadące na stołeczne dworce, gdzie harcerze i pracownicy Czerwonego Krzyża wydawali jedzenie oraz ciepłe napoje. Belgowie, trzymając w rękach klatki z ptakami czy własnoręcznie zrobione kuchenne ścierki, powtarzali reporterom francuskich gazet, że „przecież byliśmy neutralni”².

10 maja bomby spadły na Belgię, Holandię i Luksemburg, a także – choć z o wiele mniejszą siłą – na Nancy, Lille, Lyon, Colmar, Pontoise. Zabiły dwie osoby, w gruzy obróciły dwa domy. Dzień później zabitych jest już setka. Niemcy atakują od strony Ardenów, lesistych gór, z innego miejsca, niż się spodziewano. To nie uzbrojona linia Maginota, tu granicy strzegą rezerwiści, starsze roczniki, które niemal wpuszczają Niemców do Francji. Ci zajmują Sedan, zdobywają Arras, idą na północ³. Panują nie tylko na ziemi, ale i w powietrzu. W całym regionie słychać wybuchy i wycie syren. Do uciekających dołączają Francuzi. Władze mówią, że mają kierować się na zachód, a jeszcze lepiej na południe. Tam będą bezpieczniejsi.

Ludzka rzeka rozlewa się na drogach północnej Francji, by przez kilka tygodni po nich meandrować, to zatrzymując się, to znów ruszając naprzód, zmieniając kierunki, plany, zdanie, podążając za dobrymi radami, gubiąc się i odnajdując. Marsz ma swój nieregularny rytm i regularny strach, karmiony wspomnieniami z 1914 roku, zdjęciami z Polski, plotkami o gazie musztardowym, wiadomościami o belgijskich i holenderskich miastach, których już nie ma.

Dziesięć milionów ludzi idzie i się boi.

Rodzina Zosi nie ma samochodu, nie ma wozu, nie ma też zapasów jedzenia. Mijają pole, na którym stoi krowa. Ojciec Zosi bierze pustą butelkę, spróbuje wydoić trochę mleka dla dziecka. Jeśli dopisze mu

szczęście, może wystarczy dla wszystkich, bo wszystkim chce się pić. Jest bardzo ciepło, to jedna z najpiękniejszych wiosen stulecia. Słońce ani na chwilę nie chowa się za chmurę, oświetla ich sylwetki jak aktorów na scenie. Widać ich z daleka, widać ich z wysoka.

Ojciec schodzi z drogi, rusza polem, ludzka rzeka zostaje za jego plecami. Idzie dalej i dalej, w końcu staje się tylko małą figurką. Mama rusza za nim z myślą, która towarzyszy jej od początku wojny: bez niego nie zostanie, bez niego nie da rady. Teraz na polu mającą już dwie figurki. A z nieba zaczynają spadać bomby.

Na dźwięk samolotów ludzka rzeka piętrzy się, jej nurt przyspiesza, ale tylko na moment, by zaraz rozlać się na boki, w rowy, w pola, byle dalej, byle zniknąć ze słońca, z widoku. Kto może, wpełza pod wóz, pod koronę drzewa, w ręce matki czy siostry, a kto nie ma schronienia, ten przylega do ziemi, chce zmienić się w ziemię, w kamień, w grudkę gliny, zniknąć. W jednej chwili wszystko staje się hukiem i wyciem. Niemieckiemu ostrzałowi zawsze towarzyszy wycie syren, ludzie mówią na nie „trąby jerychońskie”. Ta broń prawie nic nie kosztuje, a jest taka skuteczna. Szarpie umysły, wbija się w nie tak głęboko, że nawet po dekadzie, dwóch, po pół wieku Zosia będzie wpadać w panikę, gdy usłyszy wycie samolotu.

Gdy trąby cichną, nic nie jest na swoim miejscu. Zosia nie widzi ojca, nie widzi matki, nie ma krowy, do której szli. Wujek wkłada malutkiego brata w ramiona starszego małżeństwa z sąsiedztwa. Przypilnujcie. Sam pcha wózek z młodszą siostrą, Zosia idzie przy nich.

Już wtedy mało mówi, tylko patrzy wkoło. Stoją tu puste stodoły i stajnie, w których można spędzić noc, choć często trzeba spać pod gołym niebem. Sklepy, niektóre wciąż działają, ale chleb kosztuje w nich tyle, że jego skórka również dobrze mogłaby być wypieczona ze złota. Opuszczone miasta, na jedną noc przyjmujące nowych mieszkańców i rankiem pustoszące znowu. Walizki, których nie ma już kto nieść. Wypisane na płotach imiona, nazwiska, adresy: idziemy tutaj, rozdzieliliśmy się tam, czekamy jeszcze gdzie indziej. Żołnierze bez dowódców, dowódcy bez żołnierzy, mężowie bez żon, żony bez mężów, dzieci bez matek, matki bez dzieci. Dzieci z plakietkami na szyjach: imię, nazwisko, znak czerwonego

krzyża. W czasie exodusu swoje rodziny zgubiło dziewięćdziesiąt tysięcy dzieci. Potem przez wiele miesięcy drukowano ich zdjęcia w gazetach.

Dziesięć milionów ludzi idzie, wraca, krzyżuje swoje szlaki. Czasem przysiadają na swojej albo porzuconej przez kogoś walizce. Ile to już idziemy? Tydzień? Dwa? I po co? Na południe nie ma już sensu. Niemcy czekają na linii Sommy. To może zawróćmy i idźmy na północ, do portów? Może stamtąd zabiorą nas statki. Popłyniemy do Anglii, albo jeszcze lepiej: do Ameryki, do Kanady. Tam nigdy nie ma wojny.

Czasem mijają ich jadące w tym samym kierunku niemieckie czołgi.

Czasem mijają ich francuskie wojska. Dokąd mamy iść? Donikąd, nigdzie nie pójdziecie, nie zabiorą was żadne statki. Wracajcie do domu. Zostaniecie we Francji, która właśnie przegrywa wojnę. Dokładniej: w strefie okupowanej, a od reszty kraju oddzieli was linia demarkacyjna.

Płomień oporu

Zaczął od tego, że rząd wszedł w kontakt z wrogiem, by przerwać działania bitewne. Potwierdził, że się wycofują, że są zalewani przez siły wroga. Przyznał, że technika i taktyka tych sił zaskoczyły francuskich wodzów. A potem wziął oddech i od nowego zdania, jakby rozpoczynał nowy rozdział, podjął: „Czy jednak zostało powiedziane ostatnie słowo? Czy powinna się rozwiać nadzieja? Czy klęska jest ostateczna? Nie! Wierzcie mi, bo mówię do was ze znajomością rzeczy. Otóż powiadam, że dla Francji nic nie jest stracone. [...]. Ta wojna nie ogranicza się do nieszczęsnego obszaru naszego kraju. Tej wojny nie kończy bitwa we Francji. Ta wojna jest wojną światową. Wszystkie błędy, wszystkie opóźnienia, wszystkie cierpienia nie zmienią faktu, że istnieją w świecie środki niezbędne do zmiżdżenia pewnego dnia naszych wrogów. Dziś rozgromieni przez siłę mechaniczną, w przyszłości możemy zwyciężyć przez większą siłę mechaniczną. W tym tkwią losy świata. [...]. Cokolwiek by się stało, płomień francuskiego ruchu oporu nie powinien zagasnąć – i nie zagaśnie”⁴.

Tak 18 czerwca 1940 roku generał Charles de Gaulle mówił na falach BBC, a swoje przemówienie powtarzał przez kilka wieczorów z rzędu, lecz

jego słowa nie docierały do tych, do których dotrzeć powinny. Usłyszeli je Brytyjczycy i nieliczni Francuzi. By mogły trafić do zbiorowej francuskiej świadomości, musiały przedrukować je gazety: „Le Petit Provençal”, „Le Petit Marseillais”, „Le Progrès de Lyon”; trzeba było powielić je na plakatach i ulotkach, a przede wszystkim powtarzać z ust do ust.

Powtarzali je mieszkańcy Nord i Pas-de-Calais ze świeżym wspomnieniem exodusu w głowach. Powtarzali je ci, którzy żyli we Francji, a których ojczyzny skapitulowały kilka dni temu, kilka tygodni temu, kilka miesięcy temu. Powtarzali je uczestnicy strajków z czasów wielkiego kryzysu i weterani wojny domowej w Hiszpanii z latami partyzanckich doświadczeń. Powtarzali je sobie wszyscy, w których sercach pojawiło się to, co de Gaulle poetycko nazwał „płomieniem oporu”.

Choć przez całą wojnę powstaną dziesiątki podziemnych organizacji, to te wywodzące się z ruchu robotniczego będą działać najprężniej. Najpierw pod nazwą Organisation spéciale de combat i Bataillons de la jeunesse, potem jako Francs-tireurs et partisans français (FTPFF). Wreszcie, pod koniec wojny, zjednoczą się z innymi organizacjami podziemnymi, tworząc razem Forces françaises de l'intérieur (FFI), na które Polacy pieszczotliwie będą mówić „fefiki”. Za swój znak, w odpowiedzi na niemiecką swastykę, obiorą krzyż lotaryński – croix de Lorraine.

FTPFF: Wolni Strzelcy i Partyzanci Francuscy. A co z innymi narodowościami? Dla nich, tak samo jak wcześniej w związkach zawodowych, stworzono siostrzaną strukturę: FTP-MOI: Francs-tireurs et partisans – main-d'œuvre immigrée, Wolni Strzelcy i Partyzanci – Imigrancka Siła Robocza. Wśród nich – dziesiątki tysięcy Polaków.

„Jak on się nazywa?” „Jean-Pierre”. „Kim jest?” „Moim wujkiem”. „Dokąd jedziemy?” „Do Lille, z wizytą”. „Jeszcze raz, bez wizyty, żebym nie musiała tłumaczyć do kogo”. „To jest Jean-Pierre, mój wujek, jedziemy do Lille”. „Dobrze”.

Mogłaby tak powtarzać bez końca. Zawsze kiedy proszą ją, by coś powiedziała, do kogoś podeszła, skinęła głową albo przeciwnie – siedziała cichutko, czuje się jak aktorka. Dziś jej sceną jest peron. W rolach głównych, oprócz małej Liany: zadająca pytania mama Waleria i Jean-

Pierre, który tak naprawdę nazywa się Kostek, pochodzi z Rosji i nijak nie wygląda na Francuza.

Uroda Liany też zwraca uwagę. Dziewczynka ma niebieskie oczy, blond włosy jak puszek, okrągłą buzię, zadarty nos. Według niektórych jest idealnym dzieckiem, ideałem w ogóle. Stojący na peronie niemiecki żołnierz nie może oderwać od Liany wzroku. Podchodzi, a im bardziej się zbliża, tym piękniej Liana się uśmiecha (dziś jej rola polega przede wszystkim na odwracaniu uwagi). Już jest tuż obok, zaraz się odezwie. Powie coś w rodzaju: „Jaka urocza dziewczynka! Po cóż będą się państwo z nią tłoczyć w drugiej klasie, zapraszamy do nas, czy nie będzie przyjemniej?”.

Rzeczywiście, bardzo przyjemnie. Liana szczebiocze całą drogę, mama uśmiecha się uprzejmie do niemieckich pasażerów, głowa Jeana-Pierre’a miarowo uderza o ściankę wagonu. On tak od dziecka, ledwo wsiądzie do pociągu, już śpi, taka natura, panie oficerze, ale, proszę zauważyć, na stacji końcowej budzi się niezawodnie. O! Całkiem jak teraz! Pięknie dziękujemy, dobrego dnia, wysiadamy. I może tylko nogi lekko uginają się na schodkach wagonu i potem, gdy idzie peronem, jedną ręką trzymając Lianę, a drugą podając Kostkowi. Wygląda na to, że się udało.

Takie podróże Waleria i Liana odbywały regularnie. Zwykle do Lille, gdzie mieszkała ciocia, Maria Kania. Pracowała w „Gazecie Polskiej”^[9] i miała znajomości w Résistance. To ona przerzucała ich dalej, do partyzantów ukrywających się poza miastami, czasem nawet za granicę. Trasy były stałe, role przydzielone, tylko twarze Jeanów-Pierre’ów się zmieniały.

Dłoń, którą Waleria podaje córce podczas tych nerwowych podróży, nie ma już czarnych obwódek pod paznokciami. Same paznokcie też już odrosły. Waleria wyszła za mąż, od kilku lat nie chodzi do sortowni. Nie musi, jej mąż jest górniczym asem – pracuje za dwóch, a zarabia może nie za dwóch, ale nieźle. Finansowo sobie radzą, poza tym jednak, pod pewnymi względami, średnio dobrana z nich para. Waleria – towarzyska, aktywna, ambitna, z artystycznym drygiem; społecznica. On – małomówny, po pracy całymi dniami siedziałby w domu i grał na skrzypcach ludowe melodie. Silny, czasem lubi się popisywać, potrafi podnieść stół zębami.

Lubi też się ładnie ubrać. Zarabia, więc co miesiąc chce, żeby kupować mu nową koszulę.

W czasie wojny te koszule to nie kaprys, lecz mus. Wszyscy, których Waleria wyprowadza z domu, dostają nowe ubrania, dla niepoznaki. „Z gołą dupą kiedyś zostanę” – wyrywa się pewnego dnia ojcu. Wyrywa się, ale to tylko nerwy, on rozumie. Wszyscy rozumieją. W Nord i Pas-de-Calais w walkę w szeregach Résistance angażuje się czterdzieści tysięcy Polaków. W sabotaż czy nieujęta w struktury pomoc – jeszcze więcej.

Drukują: tłumaczone na język polski francuskie ulotki, własne pisma.

Strajkują: jedzenia w sklepach jest mało, pieniędzy mało, a oczekiwań dużo – górniczy region powinien dostarczać węgiel dla Niemiec. Wracają więc praktyki z czasów wielkiego kryzysu: znów trzeba pracować więcej, wydajniej, szybciej, tyle że za mniejsze pieniądze i w większym strachu. I tak samo jak podczas wielkiego kryzysu strajk pełza po kopalniach, w których znaczną część załóg stanowią Polacy⁵. W maju 1941 roku w szybie numer siedem w Dourges rozlega się krzyk: „Vive la grève”, cichną świdrujące węgiel młoty. Nie mija pół godziny, a praca staje we wszystkich szybach, nie mija pięć dni, a pracę przerywa ponad sto tysięcy górników z Nord i Pas-de-Calais. Dyrektorzy kopalń piszą w raportach: „Wszystko wygląda normalnie, spokój, brak agitacji, tylko nikt nie przychodzi do pracy”⁶. Wyliczają: szyb Saint-Marc – osiemdziesiąt procent absencji, szyb Agache – dziewięćdziesiąt procent. Dodają, że to kobiety namawiają mężów do pozostania w domach, a same stają przed bramami kopalń i utyskują na tych, którzy jednak wybrali się do pracy. Dzieci po szkole bawią się w strajki. Kilkulatki wychodzą na ulice, w rękach trzymają kartki z napisami: „Grève générale. Nous voulons du pain et des pommes de terre. Nous avons autant faim que nos parents”. „Strajk generalny. Domagamy się chleba i ziemniaków. Jesteśmy tak samo głodni jak nasi rodzice”⁷. Rozpętuje się największy strajk w okupowanej Europie, który potrwa kilkanaście dni i pozbawi Rzeszę miliona ton węgla. Setki strajkujących pozbawi wolności lub życia^[10]. Część zmusi do zejścia do podziemia.

Tną: trzy kable, cztery kable, siedem kabli telefonicznych dziennie.

Niszczą: sypią piasek w maszyny, spuszczaają do szybów wózki z urobkiem, rozkręcają śruby przy złączach rur doprowadzających powietrze do młotów pneumatycznych.

Malują: wykradzionymi z kopalni farbą i smołą smarują na murach antyhitlerowskie hasła. Pędzle, na których często wydrapane są ich inicjały, trzymają mocno w rękach, żeby nie zgubić ich w czasie biegu, nie zostawić w bramie, jeśli przyjdzie skryć się w mroku. Matki szykują dla nich ciepłe kąpiele, piorą usmarowane farbą kopalniane ubrania.

Powtarzają: „Il vaut mieux mourir debout que de vivre à genoux”. Lepiej umrzeć, stojąc, niż żyć na kolanach. Po tym, jak Niemcy napadają na ZSRR, mówią sobie, że sam sabotaż nie wystarczy. Trzeba przejść do akcji zbrojnych.

Kombinują: broń robiona samodzielnie, prawdziwa i atrapy, którymi można straszyć niemieckich żołnierzy, broń kradziona, broń, której nie oddano po kapitulacji.

Podpalają: wrześniowe powietrze w Vimy cuchnie od dymu. Ogień rozpełza się na gigantycznym terenie, który kiedyś był miejscem pamięci ofiar I wojny światowej, a przez Niemców został zamieniony w parking. Teraz tysiące wojskowych ciężarówek płoną. Dynamit potrzebny do ich podpalenia Polacy zabrali z kopalni.

Kradną: strażnik w prochowni w Beaumont-en-Artois nie ma już ani siły, ani broni. Obezwładniło go i rozbroiło dwudziestu trzech mężczyzn. Teraz w pośpiechu wnoszą dynamit. W ciągu nocy uda im się ukraść pół tony wybuchowego proszku.

Nucą: „Il y a des pays où les gens au creux des lits font des rêves. Ici, nous, vois-tu, nous on marche, nous on tue ou on crève”^[11]. Są kraje, w których ludzie śnią w swoich łóżkach. My tutaj, widzisz, idziemy, zabijamy lub giniemy.

Rozkręcają: sześć razy próbują wykoleić pociąg na trasie Mons-Valenciennes. Brakuje klucza do rozkręcania szyn, ruch jest większy, niż się spodziewali, lecz wreszcie znajdują trwające kwadrans okienko. Odkręcają szynę, odsuwają ją na bok. Przewraca się najpierw lokomotywa, potem wagony, jeden za drugim, jak piętnaście kostek domina. Przez sześć dni

pociągi nie są w stanie jeździć do Belgii. Przez sześć dni węgiel nie zasila niemieckiego przemysłu.

Wysadzają: linie kolejowe – fragment toru wylatuje w powietrze, gdy lokomotywa najedzie na prymitywną konstrukcję, baterię z kieszonkowej latarki połączoną z przewodami elektrycznymi i spłonką. Fabryki – na kawałki rozpadają się maszyny w Bleuse Borne, gdzie produkuje się części do niemieckich okrętów wojennych. Słupy wysokiego napięcia – kiedy żelazne konstrukcje walą się na ziemię, drży cała okolica, a niebo jaśnieje od iskier.

Nućą, dalej na tę samą melodię: „Ami, si tu tombes, un ami sort de l'ombre à ta place”. Przyjacielu, gdy upadniesz, ktoś wyjdzie z cienia i zajmie twoje miejsce. Słowo „przyjaciel” śpiewają razem z Francuzami. Zniknęli „les sales Polonais”, ci brudni Polacy, ich miejsce zajęli „amis”, „frères” „camarades”. Przyjaciele, bracia, towarzysze.

Zabijają: tygodniami rozpracowują Soldatenheim, lokal dla oficerów w Lille. Pod płaszczami upychają granaty i pistolety. To sobotni wieczór, w środku pełno. Odbezpieczone granaty wpadają między stoliki, seria z karabinu maszynowego tnie powietrze. Ginie dwadzieścia sześć osób, sporo zostaje rannych.

Wielu znanych jest z nazwiska. Rudolf Larysz i Jan Rutkowski z głównego komitetu strajkowego w 1941 roku. Działający w komitetach lokalnych Stanisław Wolański, Paszkiewicz, Trafiał, Andrzejewski (Courrières), Jan Knapa (Nœux-les-Mines), Władysław Kudła (Hersin-Coupigny), Jan Blacha (Barlin), Jan Bloj (Billy-Montigny). Szczepan Marcinkowski „Rémy”, który wraz z Władysławem Niklem i Józefem Krawętkowskim tworzy pierwszą grupę oporu w departamencie Nord⁸, a później, też w grupie towarzyszy, kradnie pół tony dynamitu⁹. Tadeusz Cichy „Pawłowski”, z grupy Włocha Eusebia Ferrariego, rozrzuca ulotki i podkłada materiały wybuchowe. Antoni Chrost „Pépé”, który wojnę poznał już w Hiszpanii, i jego grupa: Kazimierz Nowakowski „Grom”, Michał Stupka „Hanys” i Edmund Piotrowicz „Maksim” – to po ich działaniach pociąg posypał się jak domino¹⁰. Maszyny w Bleuse Borne wysadził Sandor Seredziak, spolonizowany Węgier, i jego bojowa grupa

z Thiers. Na kasyno w Lille napadli Bronisław Kania, Feliks Burczykowski i Józef Zakrzewski „Witek”.

Nawet jeśli nie trafili do podręczników, ich historie można znaleźć w archiwach. Ale wielu pozostało całkiem anonimowych. Ci, a zwłaszcza te, które ukrywają, karmią, szykują kąpiele, piorą ciuchy i robią wszystko to, co zwykle wokół jawnej czy podziemnej armii zrobić trzeba, nigdy nie trafiają do podręczników.

Wśród niezliczonych Jeanów-Pierre’ów, którymi opiekuje się Waleria, dwóch jest szczególnych: Jan Kieszkowski i Stanisław Bochenek, Janek i Staś. Janek jest tak młody, że do Walerii mówi „mamusiu”, a Liana nie może się tej „mamusi” nasłuchać. Jej polski – brzydki, stłumiony, splątany, nie wiadomo nawet, czy to polski, czy francuski, czy może śląski, bo na osiedlu sporo jest Ślązaków. Liana wstydzi się mówić „mama”, mówi „maman”, a tu w domu rozbrzmiewa język Janka, taki piękny, z samej Warszawy. I Janek też jest piękny, lubi ją, traktuje jak młodszą siostrę, nosi na barana.



Jan Kieszkowski (trzeci od lewej w górnym rzędzie), prawdopodobnie w Rouffach, 1945

Źródło: archiwum rodzinne Liany Sztor

Obaj na północ Francji zostali przywiezieni do pracy, mieli wydobywać dla Niemców węgiel w kopalniach. Nie oni jedni. Dużo było zwłaszcza rosyjskich jeńców, pojmanych po tym, jak Niemcy i ZSRR stały się wrogami. Robotnicy zjeżdżają brudni, wyjeżdżają jeszcze brudniejsi. Łażnie niby działają, ale wielu górników woli się myć w domach. Tak szybciej, tak wygodniej. Jak wśród dziesiątek, setek obsypanych pyłem mężczyzn, którzy co dzień pracują pod ziemią, wolnych i w niewoli, rozpoznać tych właściwych? Niemieccy strażnicy ich pilnują, ale – widać – nie dość uważnie. Co raz któremuś udaje się wymknąć z kopalni. Potem idzie gładko, odpowiedni gospodarz już został uprzedzony, że przyjdą chłopaki do ukrycia.

W rodzinie Walerii można kryć się w dwóch miejscach: u niej w mieszkaniu albo lepiej – u babci. Babcia mieszka nie w samym miasteczku, tylko na przedmieściach. Razem z dziadkiem prowadzą tam gospodarstwo, do dyspozycji mają parter, piętro, szopki, komórki. Mają też lokatorów – ciągle nowe twarze, czy między nimi ktoś zwróci uwagę na te kopalniane? Mają robotników sezonowych – kogoś dziwi, że jacyś nieznajomi pracują na polu? Mają wreszcie estaminet – zabawny lokal, z szyldem tak pokraczonym, jakby ktoś malował litery patykami. W weekendy odbywają się tam potańcówki, w tygodniu można wstąpić na kieliszek wina. Czy garda napije się wina? Oczywiście na nasz koszt. Proszę usiąść, opowiadać, co dobrego, a przede wszystkim – co złego, szepnąć słówko, jeśli mamy się czego bać. A nawet jeśli mamy, jesteśmy przygotowani. Tyle tu komórek, komóreczek. W jednej z nich klatki z królikami, z boku klatek małe wgłębienie. Wystarczy wsunąć w nie dłoń, pociągnąć, klatki się przesuną, a za nimi ukaże się wnęk. W sam raz na człowieka. Jesteśmy przygotowani. Liana siedzi cichutko w babcinej kuchni i uśmiecha się do panów w mundurach.

Mieszkanie Henryki nie miało skrytek, za to sąsiadka z góry była bardzo interesująca. Wprowadził się do niej mężczyzna pod czterdziestkę. Kulturalny, przyszedł na dół, przywitał się, uśmiechnął. Tylko z przedstawianiem się wyszło odrobinę niezręcznie: „Rackiewicz” – tak powiedział. Dziwnie, jak prezydent na wychodźstwie.

Sąsiad odwiedzał ich regularnie, co tydzień. Ojciec Henryki skrzyknął kilkoro dzieci z okolicy – od teraz u nich w mieszkaniu będą odbywały się lekcje polskiego. Raczkiewicz wyjaśnia, kiedy „u” otwarte, a kiedy „o” z kreską, kiedy „ż”, a kiedy „rz”. Uczy nie tylko polskiego. Nigdy nie powiedział, kim jest z zawodu, lecz wystarczy trochę posłuchać, żeby wiedzieć, że to wykształcony człowiek. Opowiada o Mieszku I, o Bolesławie Chrobrym. Jest ujmujący, dowcipkuje. Młodszą siostrę Henryki nazywa dla żartu swoją „synową”; podobno w Polsce ma syna.

Henryka bardzo go lubi, cieszy się, gdy pewnego dnia Raczkiewicz ma nocować nie w mieszkaniu na górze, tylko u nich. Choć nerwowa to wizyta, nieplanowana. Najpierw wpadła sąsiadka, wywołała ojca do przedpokoju. Chwilę szeptali. Potem ojciec poszedł do warsztatu mamy. Tam oczywiście cztery panny, śmiech, latające strzępki. Tata wziął pudełko z guzikami. Nie wiadomo po co, na co mu w kuchni guziki? Jakiś rozkojarzony, ledwo wyszedł z warsztatu, pudełko wypadło mu z rąk. Metalowe guziki rozsypują się na wszystkie strony, niesie się rumor, jakby grad blaszany, że umarłego by na nogi postawiło. Czesława wstaje, przecież on sam nie wyzbiera. A może co się stało? Ojciec kiwa na nią ręką, zamknij za sobą drzwi, przybliź się, słuchaj: będzie u nas spał Raczkiewicz, nauczyciel z góry, ulokujemy go w najmniejszym pokoju, ale to tajemnica. Nikomu nie mów.

Ciężkie buty tupią po schodach. Henryka przez całą wojnę widziała Niemca z bliska tylko raz – żołnierz szedł pod rękę z dziewczyną, a wypolerowane cholewy lśniły na jego łydkach. Jak to możliwe, żeby przez całą wojnę widzieć tylko jednego Niemca, skoro Zosia i Liana widywały ich bez przerwy? Saint-Étienne, miasteczko Henryki, jest po drugiej stronie linii demarkacyjnej, to Francja Vichy, tak zwana wolna strefa. Wolna – przynajmniej do 1942 roku, gdy Niemcy zajęli i tę część – tylko od czego? Francja Pétaina to rządy autorytarne, reakcyjne, ksenofobiczne, codzienność przepustek, aresztowań, przeszukań. Rytm życia podobny do tego na północy, tylko administracja inna.

Henryka słyszy, jak nogi w ciężkich butach uderzają o stopnie, wbiegają na górę. Przystają zaraz nad nią, ale już po chwili zmierzają w dół, mijają drzwi do jej mieszkania, schodzą dalej, aż w końcu cichną całkiem.

Inna jest wojenna rzeczywistość na północy i południu Francji, inny jest też polski ruch oporu. Północ ma robotniczy charakter, komunistyczne sympatie. Tutaj silne są polskie sekcje Francuskiej Partii Komunistycznej, Organizacja Pomocy Ojczyźnie, Związek Młodzieży Polskiej „Grunwald” czy Związek Kobiet Polskich imienia Marii Konopnickiej. Południu bliżej do emigracyjnego rządu w Londynie. Tu działają żołnierze Wojska Polskiego we Francji, których w 1940 roku nie udało się ewakuować, tu powstaje Organizacja Wojskowa generała Juliusza Kleeberga, która później przerodzi się w Polską Organizację Walki o Niepodległość (POWN).

Północ czyta związane z komunistami „Nasz Głos”, „Naszą Walkę”, „Posiew”. Południe – wydawane przez POWN pisma „Walka”, „Komunikat”, „Wyzwolenie”¹¹. Północ lubi słuchać audycji nadawanych przez Wolnych Francuzów z Algieru, czasem z ich odbiorników płyną dźwięki stacji „Kościuszko”, nadającej z ZSRR. Południe łowi w eterze polskie głosy emitowane przez BBC.

Wiosną 1944 roku organizacje obu nurtów wejdą w skład Forces françaises de l'intérieur. Na przełomie 1944 i 1945 roku zaś z polskich oddziałów walczących wcześniej w szeregach FTP-FFI utworzone zostaną 19 i 29 Zgrupowania Piechoty Polskiej przy 1 Armii Francuskiej. Wezmą one udział w kampanii lotaryńsko-alzackiej, wyzwolą miasto Colmar, 14 marca 1945 roku sforsują Ren, dotrą do źródeł Dunaju i zatkną na budynkach polskie i francuskie flagi. Koniec wojny zastanie ich nad Jeziorem Bodeńskim, tam, gdzie zbiega się szwajcarska, austriacka i niemiecka granica. Będą jedynymi polskimi jednostkami walczącymi na froncie zachodnim, które w całości wrócą do kraju¹².

To w ich szeregach znajdą się Janek i Staś. Liana wyraźnie zapamiętała, jak cała ulica przyszła ich pożegnać. Przysyłane przez Jasia zdjęcia, na których chłopak pozuje w mundurze, jej rodzina starannie chowała w szufladzie i zabierała ze sobą wszędzie tam, gdzie poniosło ją życie.

Zawroty głowy

Jeśli Zosia gdzieś czuła się bezpiecznie, to w szkole. Nauczycielki robiły, co mogły, żeby dzieciom nic się nie stało. Kiedy zaczynały wyc syreny, wyprowadzały uczniów z klas, kazały ustawić się na dziedzińcu pod daszkiem, zaraz przy ścianie, przykleić do niej plecami, a same stawały na dwóch końcach szeregu, jakby to, że zamkną dzieci niczym kłamrą, miało uchronić je przed ostrzałem. Nigdy nie zostawiały nikogo samego.

Do szkoły jednak chodziło się rzadko, lekcje co i rusz odwoływano. Trzeba było bać się samemu. Najpierw, na początku wojny, bomb i wody. Thivencelle to miasteczko pełne kanałów – jak przyjdą Niemcy, to otworzą śluzy i wszystkich nas potopią. Nie potopili, ale bliscy Zosi ludzie ginęli w inny sposób.

Koleżankę, córkę kopalnianego policjanta, zabił granat wrzucony przez okno do domu. Jej ojciec współpracował z Niemcami, może chciał, może musiał. Miał zginąć on, zginęła dziewczynka.

Tadeusz Cichy „Pawłowski”, ten, który wraz z innymi członkami grupy Ferrariego rozrzuca ulotki i wysadza różne obiekty, to brat mamy Zosi, dla niej samej – wujek Tadek. Niemcy przychodzą go szukać dwa razy w tygodniu. Wałą w drzwi i robią rewizję. Na szczęście się mijają. Żołnierze przychodzą o szóstej, a wujek z kolegami jeszcze przed świtem. Myje się, bierze od szwagra ubrania i leki. Ledwo wychodzi, wchodzą Niemcy. Przetrzęsają szafy, wyrzucają ich zawartość na podłogę. Ciuchy, papiery, szkolne zeszyty, jedzenie. Czasem lepiej samemu pokazać, co się ma, niż czekać, aż oni zniszczą. Ojciec wyjmuje z kredensu paczkę biszkoptów. To rarytas. Podczas wojny przydział na słodczyce dostawały tylko dzieci, czasem były to biszkopty, czasem cukierki. „A kto zjadł jeden biskwit?” – pyta w zdenerwowaniu, bezmyślnie, nieostrożnie. Zosia już otwiera buzię, żeby odruchowo odpowiedzieć, już usta układają jej się w „T”, pierwszą literę imienia wujka, gdy nagle tata chwyta ją tak mocno, że prawie dusi. „Gdybyś dokończyła, to już by im więcej nie trzeba było” – tłumaczy potem.

Wtedy, tak jak wiele razy wcześniej i później, wujek Tadek uszedł cało. Los nie był jednak na tyle łaskawy, by pozwolić mu szczęśliwie doczekać

końca wojny. Zastrzelili go w lutym 1942 roku. Historyk Jan Zamojski pisze, że zginął w trakcie akcji pomocowej dla Ferrariego¹³. Na stronie Stowarzyszenia Ren i Dunaj, zrzeszającego byłych członków ruchu oporu, można przeczytać, że zastawiono na jego grupę zasadzkę¹⁴, we francuskich źródłach, że zginął z bronią w ręku¹⁵.

Niemcy przyszli potem do domu Zosi ze zdjęciem wujka, pytali mamę, czy to jej brat. Nie, absolutnie, nigdy nie widziałam tego człowieka.

Józef, młodszy z braci, ten, z którym Zosia szła do Dunkierki, trafił do obozu jenieckiego. Mama wozila mu gotowaną fasolę. Fasolę wymieniało się za bimber, a bimber pędziło nocą z wina, na które też przysługiwał comiesięczny przydział. Przydział był również na mleko – rodzinie Zosi należały się dwa litry dziennie – i na chleb. Chleba było mało.

Pewnego ranka, kiedy po mamę przyjechali żandarmi, kazali zbierać się na posterunek i teraz tam wyjaśniać, czy na pewno nie zna tego chłopaka ze zdjęcia, chleb skończył się bardzo szybko. Młodsze rodzeństwo ledwo zjadło, już chce znowu. Wołają „daj!”, lecz Zosia nie ma im czego dać. Przypomina się jej, że tata chodzi czasem na łąkę za domem, zbiera pieczarki i przypieka je z solą na westfalce – małym piecyku. Idzie, zbiera, smaży. Mówi siostrze i bratu, żeby się uspokoili, bo zaraz będzie jedzenie. Ale oni dalej swoje, aż Zosi kręci się w głowie od tych krzyków, aż robi jej się niedobrze, zaraz będzie wymiotować. Wychodzi przed dom. „Co się dzieje, dziecko?” – pyta sąsiadka. „Niedobrze mi”. „A co tu tak czuć?” „Chcieli jeść, nie miałam im czego dać, pomyślałam, że usmażę grzyby”. „Raczej chciałaś rodzeństwo wytruć!” – zaczyna krzyczeć sąsiadka i kończy na wyzwiskach.

Tyle strachów, tyle śmierci, tych o włos i tych ostatecznych. Łącznie zginęło ich pięć tysięcy. Paweł Hanke, Bernard Olejniczak i Jan Bałdyga – podczas wielkiego strajku w 1941 roku. Sandor Sereziak został rozstrzelany. Feliksa Burczykowskiego aresztowano krótko po napadzie na kasyno i stracono w cytadeli w Arras. Nim skończy się wojna, życie straci jeszcze dwóch jego braci. Bronisława Kanię złapano na dworcu autobusowym, został zgilotynowany na dziedzińcu więzienia w Douai. Stanisława Wolańskiego wywieziono do Dachau. Lista ciągnie się jeszcze długo. Krótko po wojnie wydrukowano pocztówki z podobiznami

poległych i napisem: zginęli za Francję. Później upamiętniające ich tablice zawisły na murach miast; do dziś w państwowe święta przystrajają je trójkolorowe wstążeczki.

Teraz, gdy zachęceni przez nauczycielkę wyszli przed szkołę, Zosi też kręci się w głowie, ale nie od zatrucia, tylko od hałasu i upału. Domy idą, a im bardziej się zbliżają, tym wyraźniejszy kształt zyskują. To nie domy, to czołgi! Z wieżyczek wychylają się żołnierze. Zosia dostrzega dwóch o ciemnych twarzach. Mają uśmiechy, których nie zapomina się do końca życia. Z czołgów pod nogi dzieci lecą cukierki. Zosia łapie kilka i biegnie do siebie.

Wpada do środka, a tam mama i sąsiadki, wszystkie płaczą. Jedna próbuje śpiewać jakąś wojskową pieśń. Zosia aż przystaje z rozczarowania. „Mamo, co ty?! W taki dzień?! Amerykanie weszli do miasta! Mamo?!” „Nic, nic, dziecko, nic”.

Zosia ma osiem lat. W takim wieku jeszcze się nie wie, że można płakać z radości.

6 Jadziem do domu, dość tych zagranic

Dziewczynki takie jak ona nie miewają tremy. Wchodzą na scenę i od razu wiedzą, co robić. Wiedzą, że trzeba stanąć prosto, złączyć nogi i podnieść palec. Dyrygent, zauważywszy ten gest, zapyta, co zagrać. Wtedy odpowiada się: Straussa. Jeśli pojawi się prośba o doprecyzowanie, można westchnąć, wznieść oczy do nieba albo unieść brwi. Kilka sekund poczekać, powoli wypuścić powietrze i wtedy wreszcie powiedzieć: walca. To pierwsza część show, uwertura zaledwie. Potem następuje właściwa partia: kombinacja wygięć, gwiazd, mostków, wymachów rąk, które składają się na występ w stylu Isadory Duncan.

Jak daleko imitacji do oryginału? Nie ma to wielkiego znaczenia, publiczność i tak jest zachwycona. Taka malutka, a taka zdolna. Co za dziecko! Jakie śmiałe! To właśnie ta śmiałość w czasie wojny pozwalała jej szczebiotać do żołnierza w wagonie, a teraz każe wchodzić na scenę, gdy tylko nadarza się okazja. Dorośli na jej występy mówią „pląsy”.

Na scenie Lianie nie zawsze towarzyszy orkiestra. Czasem bywa spokojniej, charakter spotkania jest poważniejszy, a dziewczynka nie tańczy, tylko recytuje wiersz lub śpiewa piosenkę. Na takie okazje ma uszyte dwa stroje: jeden baletnicy i jeden krakowski, z haftowanym gorsecikiem. Wiersze i piosenki w repertuarze Liany też są ludowe, tradycyjne, choć obok nich pojawiają się nowsze, patriotyczne. Te ostatnie, tak samo jak scenariusze spektakli, mama Liany pisze sama bądź dostaje w listach od przyjaciół z Polski. Niektóre przysyła Janek.

Dla Liany im wiersz dłuższy, tym lepszy. Jeśli jest krótki lub jeśli ma wyrecytować tylko jeden, nie chce zejść ze sceny. Nawet kiedy kurtyna już opadnie, ona i tak unosi materiał, przekrada się dołem, wbiega na proscenium i bisuje, choć nikt jej o to nie prosi. Dziecięcym głósikiem

śpiewa: „Ta Dorotka, ta malusia”. Kradnie uwagę ważnym paniom i panom na mównicy. Publiczność wciąż jest zachwycona.

Liany nikt tego nie uczył. Umie sama z siebie, a mama stwarza jej niezliczone okazje do rozwijania talentu. Wojna dobiegła końca, jednak Waleria nadal działa społecznie. Już nie w podziemiu, a jawnie, nie ukrywa, tylko rozgłasza, nie przewozi innych, tylko jeździ sama. Zamiast rozpowszechniać wiadomości po cichu – przemawia z trybuny. Związała się z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego, działa też w Związku Kobiet Polskich. Malutka, na fotografiach zawsze w pierwszym rzędzie, zwykle w eleganckim zestawie: żakiet i ołówkowa spódnica, włosy ułożone w miękkie fale.

Na zdjęciu, które kiedyś pokaże mi jej córka, Waleria w otoczeniu innych kobiet pozuje przed budynkiem. Mężczyźni, może z braku miejsca, może dla żartu, a może czyniąc zadość osobliwej koncepcji fotografa, zostali w środku i wyglądają przez okna, podobni duchom ze starego horroru. Miejsce, w którym wykonano zdjęcie, samo podsuwa filmowe skojarzenia – to kino Printania. Zwykle ogląda się tu filmy, ale gdy zachodzi potrzeba, może stać się też salą konferencyjną. W ostatnich miesiącach potrzeba zachodzi bardzo często. Na zaimprovizowaną mównicę wchodzi urzędnicy, aktywiści, członkowie polonijnych stowarzyszeń. W teczkach przynoszą gazety i różnokolorowe formularze, w rękach trzymają kartki, na których zanotowali cytaty. Na przykład takie:

„Przywrócenie wszystkich swobód demokratycznych, równości wszystkich obywateli”.

„Natychniastowa poprawa bytu szerokich rzesz narodu”.

„Płace ustawowo podniesione do norm zapewniających minimum egzystencji”.

„Odbudowa i rozbudowa instytucji Ubezpieczeń Społecznych na wypadek choroby, inwalidztwa, bezrobocia oraz ubezpieczenia na starość”.

„Nowoczesne prawodawstwo w dziedzinie ochrony pracy, rozładowywanie nędzy mieszkaniowej”.

„Odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach”.

I wreszcie: „Stoją przed nami gigantyczne zadania”¹.

Wielkie słowa niosą się po Printanii. Niosą się też po dziesiątkach innych kinowych czy teatralnych sal w całej północnej Francji, niosą się w centrum kraju i na południu, wszędzie tam, gdzie są polskie osiedla. Wybrzmiewają w siedzibach związków, wołają z polskich gazet, które na rowerach rozwożą nastoletni, nierzadko ledwo czytający po polsku chłopcy. Są podawane z ust do ust w kolejce do sklepu, przy hydrancie, gdy w sobotę myje się chodniki; w dni wolne krążą nad stolikami w estaminetach, a w dni powszednie w klatkach zjeżdżających w dół kopalnianych szybów. I choć każda z tych wygłaszanych czy drukowanych przemów brzmi trochę inaczej, wszystkie sprowadzają się do jednego: czas wracać do domu.

Zasoby

Gdyby chodziło o coś mniejszego: mieszkanie, dom, gospodarstwo nawet, można by powiedzieć, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Tyle pracy, a każda taka niezbędna, tak niecierpiąca zwłoki.

Kraju nie było przez prawie pięć lat, a teraz wrócił. W wyobraźni przywołuje ten sam obraz, w sercu tę samą emocję, ale przecież w rzeczywistości jest inny. Na wschodzie go ubyło. Nie ma już w jego granicach Lwowa, nie ma Wilna z jego miejską elegancją, nie ma pól, które rodzą złote zboże i warzywa wielkie jak w bajkowych opowieściach, nie ma ziemi, z której tryska ropa, przyciągając żądnych przygód i fortuny awanturników. W innych miejscach przybyło: na północy polskie stały się jeziora i porty, na południu i zachodzie miasta o równo wytyczonych ulicach i rzędach porządnym murowanych domów. Południowo-zachodnia Polska jest teraz górzysta, porośnięta lasami. Na jej powierzchni pobudowano najrozmaitsze fabryki: tkanin, porcelany, skór, huty szkła i metalu, w jej głębi zaś wydrążono labirynty korytarzy, w których wydobywa się węgiel.

Nowa polska władza wiąże z tymi zdobyczami wielkie nadzieje. Niemcy pozostawili fabryki nadmiernie wyeksploatowane, często wyposażone w przestarzały sprzęt, jednak bez celowych zniszczeń. Tylko kopalnie węgla brunatnego na Dolnym Śląsku zostały zatopione, ale ich

wyposażenie jest nienaruszone. Już w roku zakończenia wojny górnicy na Dolnym Śląsku są w stanie wyrwać ziemi dziennie 5,8 tysiąca ton węgla dobrej jakości²; cały kraj w 1946 eksportuje ponad dwanaście milionów ton³.

To dopiero początek, bo ambicje związane z wydobywaniem są wielkie. Węgiel to „główna podstawa naszego gospodarczego i politycznego bytu – pisze na łamach „Dziennika Polskiego” rektor Akademii Górniczej w Krakowie, doktor Walery Goetel. – Już przed wojną Polska była na piątym miejscu pod względem wydobywania węgla na całej kuli ziemskiej, osiągając w najlepszych latach z części zagłębia znajdującej się w Polsce produkcję 46 milionów ton rocznie”. Teraz, po zmianach terytorium, możemy wydobywać i 100 milionów. Polska ziemia oddaje to bogactwo – jak na górnicze standardy – łatwo: pokłady są grube, na niewielkich głębokościach, a niebezpieczeństwo gazów czy wybuchu pyłu węglowego występuje rzadko. Zasoby zdają się niewyczerpane: w krajowych zagłębiach kryje się 65 miliardów ton węgla, w Europie nie ma takich nikt, poza Anglikami i Niemcami.

Kopalnie to skarb nie tylko w ekonomicznym, lecz również społecznym znaczeniu. Pracę znajduje w nich kilkadziesiąt tysięcy robotników i pracowników umysłowych, a wokół kopalni wyrastają inne zakłady, jak choćby huty czy koksownie. Dziś wszyscy ciężko pracują, jednak wiedzą, że wkrótce będzie żyło im się lepiej. „Przemysł węglowy jest główną podstawą dla podniesienia dobrobytu i stopy życiowej mieszkańców”⁴ – podsumowuje Goetel.

Słabym punktem tego planu są ludzie. Na Dolnym Śląsku brakuje rąk do pracy pod ziemią. Jeńcy angażowani w kopalniach w czasie wojny zostali wypuszczeni, część górników Sowieci wywieźli do pracy w Donbasie i Kazachstanie. Prawie połowę, a w niektórych miejscach nawet dziewięćdziesiąt procent stanowisk zajmują Niemcy, oni jednak zaraz mają zostać wywiezieni za zachodnią granicę⁵. Kto miałby ich zastąpić? Ci, którzy przyjadą tu z „ziem dawnych”, gdzie byli rzemieślnikami, kupcami, pracownikami fabryk, a teraz na zachodzie kraju chcą szukać zgubionego przez ostatnie lata szczęścia? Próbowano tego, ale z marnym skutkiem.

„Siły te, nieobyte z górnictwem, bo rekrutujące się z pracowników rolno-leśnych, porzucają w krótkim czasie pracę wśród krzyków i wyzwisk, a w licznych przypadkach zabierają ze sobą co się da, na przykład lampy karbidowe, buty, ubrania ochronne i robocze, koce, prześcieradła”⁶. A może przesiedleńcy ze Wschodu, gdzie zostawili swoje nauczycielskie, aptekarskie czy urzędnicze pensje albo częściej – żyzne pola? Również próbowano i również z marnym skutkiem, i oni potrafią porzucić stanowiska po kilku dniach. Do roboty w kopalniach nadają się tylko ci, którzy wcześniej pracowali przy nafcie w Borysławiu i Drohobyczu, ale nawet oni sprawdzają się głównie na sortowni⁷. Może więc lokalna ludność? To też niemal niemożliwe – przecież na Dolnym Śląsku zostały niemal wyłącznie kobiety, dzieci i starcy. Kto więc?

„Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego dążyć będzie do najszybszego powrotu emigracji do Kraju i podejmie kroki dla zorganizowania tego powrotu”. We Francji mieszka lub przebywa prawie pół miliona Polaków, w Belgii – kilkadziesiąt tysięcy. Mają doświadczenie w pracy w kopalniach. Część z nich sympatyzuje z socjalizmem lub komunizmem, popiera postulaty ruchu robotniczego, należy do związków zawodowych bądź powstałych już po wojnie organizacji politycznych: sekcja francuska „lubelskiej” PPS pod koniec 1947 roku liczy 2,5 tysiąca członków, oddział Polskiej Partii Robotniczej we Francji w 1946 roku ma ich dwadzieścia pięć tysięcy, a rok później – czterdzieści jeden tysięcy⁸. Są wykształceni, nawet jeśli to tylko edukacja w szkole podstawowej, potrafią czytać, pisać i rachować. Ze swoją praktyką i wiedzą mogą pełnić nawet kierownicze stanowiska. Przyzwyczajeni do życia w mieście, w wielokulturowym środowisku. Jeśli przyjadą, to z własnej woli. Z bogatszego kraju. Przedmioty, które przywiozą, będą tej zamożności dowodem. Będą jak sygnał: nie było nam źle, ale wróciliśmy. Wybraliśmy nową Polskę. Są idealni.

Zresztą, przecież oni już wracają. Gdy tylko skończyła się wojna, do Polski zaczęli zjeżdżać członkowie „Grunwaldu”, aktywiści z Francuskiej Partii Komunistycznej, weterani wojny w Hiszpanii. Dołączali się do transportów tych, których z angielska nazywano dipisami (*displaced*

person), a którzy w wyniku wojennej zawieruchy znaleźli się daleko od własnego kraju i nie mogli do niego powrócić samodzielnie⁹.

Wróciło też, jak już wiemy, około dwóch tysięcy żołnierzy służących w 19 i 29 Zgrupowaniu Piechoty Polskiej. Wśród nich Janek i Staś. Do kraju przybyli 18 listopada 1945 roku, a uwieczniła to kamera kroniki filmowej. W pełnym rynsztunku maszerują ulicami Krakowa i Warszawy, pod hełmami i czapkami – błyszczące oczy, szerokie uśmiechy; całe powitanie to parada uśmiechów. „Les Polonais wracają do nas jako Polacy – relacjonuje lektor. – Witającym ich serdecznie rodakom mówią: nauczeni twardą szkołą, przydamy się ojczyźnie, chcemy jej służyć nadal tak, jak służyliśmy dotychczas”¹⁰. Wzdłuż chodników tłumy, z których operator wyławia radosne szczerbate dzieci o pызatych buziach, szczelnie otulone kapturami kurtek, oraz ubrane w kożuszki kobiety, które porwane przez żołnierzy w ramiona, delikatnie przechylają się do tyłu, jak więdnące kwiaty.

W Polsce na te przyjazdy patrzono z radością, we Francji na wyjazdy z zazdrością. Polaków zaczynało ogarniać coś, co można by nazwać „gorączką walizkową”. Przed konsulatami ustawiają się kolejki, gazety apelują, żeby nie próbować dopisywać się do transportów przeznaczonych dla żołnierzy i byłych jeńców wojennych. Nie kombinować – czekać. Na wszystkich przyjdzie pora. Trzeba tylko wszystko starannie zorganizować. Nie da się, ot tak, sprowadzić do kraju tylu tysięcy ludzi.

Umowa

Zdjęcie opublikowano na pierwszej stronie „Gazety Polskiej”. Kadr wcale nie wygląda na służbowe spotkanie, wręcz przeciwnie: sześciu mężczyzn, z których kilku zdjęło marynarki, uchwycono w pantomimie właściwej swobodnej konwersacji. Ktoś strzepuje popiół do popielniczki, ktoś unosi brwi w zdumieniu, ktoś wspiera głowę na dłoni. Fotografia jest niewyraźna, ale z treści zamieszczonego obok niej tekstu można wywnioskować, że znajdują się na niej między innymi ambasador Stanisław Skrzyszewski, francuski minister spraw zagranicznych Georges Bidault oraz minister

pracy Ambroise Croizat. Powyżej tłustą czarną czcionką napisano: „5000 górników wraca do kraju”. Litery są tak duże jak te w winiecie, a z niedługiego artykułu można się dowiedzieć, że 20 lutego 1946 roku został podpisany w Paryżu układ w sprawie repatriacji do Polski wykwalifikowanych górników przybyłych do Francji przed wojną. Mają wyjechać w ciągu czterech miesięcy, poczynając od kwietnia”¹¹.

Oficjalna nazwa umowy brzmiała: Arrangement franco-polonais au sujet du rapatriement des mineurs polonais actuellement en France¹². Na dwóch stronach zapisano najważniejsze zasady powrotu Polaków do kraju. Reemigracją ma kierować Komisja Mieszana Polsko-Francuska, w której skład wchodzi między innymi przedstawiciele francuskiego ministerstwa pracy i ministerstwa przemysłu, ambasady polskiej w Paryżu, Rady Narodowej Polaków we Francji (powołano ją w 1945 roku, by koordynować działalność tych organizacji polonijnych, które opowiedziały się za Polską Ludową) oraz dwaj reprezentanci związków zawodowych. To właśnie do tej komisji mają się zgłaszać chętni na wyjazd, to ona wyznaczy ich do konkretnego transportu, zgodnie z miesięcznym planem powrotów. Rodziny mogą zabrać ze sobą rzeczy, które są ich własnością (do określonej wagi). Zabiorą też ze sobą wszystkie prawa, które nabyli we Francji, przede wszystkim to do emerytury. Przed wyjazdem każdy zostanie przebadany przez komisję lekarską, która zdiagnozuje stopień ewentualnej niepełnosprawności.

Francuzi zobowiązali się do wszelkich administracyjnych ułatwień w przygotowaniu transportów, jednak powroty miały być zaplanowane tak, by nie dezorganizować pracy w kopalniach, a liczba wyjeżdżających rozłożona po równo na wszystkie zakłady. Słowa takie jak „dezorganizacja” każą myśleć o tym, jakim problemem dla francuskich przedsiębiorców był odpływ polskich górników. Jego skalę najlepiej oddają liczby: w II wojnie światowej śmierć poniosło sześćset tysięcy francuskich obywateli, a około dwóch milionów znalazło się w obozach koncentracyjnych i jenieckich. Straty wojenne Francji obliczono na półtora miliarda franków, odbudowy wymagały fabryki, mosty, gospodarstwa domowe. Nagły wyjazd tysięcy Polaków, którzy stanowili koło jednej piątej wszystkich zatrudnionych

w górnictwie, a rocznie wydobywali blisko dwadzieścia pięć milionów ton węgla, uczyniłby tę sytuację jeszcze trudniejszą¹³.

Wyjazdów do Polski nie można było zablokować – każdy po wojnie ma przecież prawo wrócić do ojczyzny. O powrotach mówiła też konwencja z 1919 roku. Pod umową zostają więc złożone trzy podpisy, przybite trzy pieczęcie.

Podobne porozumienia podpisano jeszcze dwukrotnie: 28 listopada 1946^[12] oraz 24 lutego 1948 roku^[13]. We wrześniu 1946 roku francuski minister spraw zagranicznych wydał też notę dotycząca powrotu rodzin rolniczych^[14]. Łącznie planowano sprowadzić do Polski prawie czterdzieści tysięcy robotników różnych profesji wraz z rodzinami¹⁴.

Poruszenie

Popołudnia na górniczych osiedlach znów zrobiły się pracowite. W wielu domach mieszkańców o tej porze nie uświadczysz. Wszystkich gdzieś gna – na polskie zebranie, na polskie spotkanie, na próbę polskiego teatru, na trening polskiej drużyny. Gdzie tylko istnieje jakieś polskie skupisko, istnieje i polonijna organizacja, a każda ma swoje własne święta, defiluje ze sztandarem przez miasto.

– Po wojnie zrobiło się poruszenie, jakby inny duch w ludzi wstąpił – mówi dzisiaj Władysław.

W czasach, które wspomina, jest nastolatkiem, wzorowym uczniem, który po polsku nauczył się czytać z prenumerowanej przez rodziców „Gazety Polskiej”. Niekiedy lekturę przerywa mu głos właściciela gospodarstwa, gdzie pracują rodzice. „Anielka! A co tu tak pachnie?” – woła mężczyzna od progu, gdy przychodzi do nich z wizytą, a przychodzi często. Energia w polskich domach tak buzuje, że Francuzi nie mogą wytrzymać z ciekawości.

W niedziele też nie ma odpoczynku. Trzeba wziąć rower i objechać polskie osiedla, zwoływać ludzi na zebrania i tłumaczyć, żeby wracali do Polski, że na Ziemiach Odzyskanych czeka praca, że miasta stoją puste, gospodarstwa rolne czekają. Pokazać ulotkę, egzemplarz „Gazety Polskiej”.

Tę ostatnią Władysław nazywa „głównym nośnikiem propagandy, ale w pozytywnym sensie”.

Ludzie słuchają, czytają, a każdy wyciąga z tego to, czego sam pragnie. Władysław opowiada o swoich sąsiadach, siedmioosobowej rodzinie pracującej w małym gospodarstwie:

– Ojciec był w tym gospodarstwie wszystkim: zarządcą, rolnikiem, pastuchem, kierownikiem. Pieścił tę ziemię jak swoją, chociaż nie była jego. Kochał ją i marzył, żeby kiedyś pracować na własnym kawałku. I Polska mu tę ziemię dała. Jak mieli nie chcieć jechać?



Waleria (na środku w górnym rzędzie) w Montigny-en-Ostrevent, około 1944

Źródło: Archiwum rodzinne Liany Sztor

Waleria też jest jedną z tych, którzy zwołują, przemawiają i zachęcają.

– Dzisiaj ludzie mówią, że to była propaganda. A ona robiła to sama z siebie. Z wiary i z serca – opowiada jej córka.

Belgia

Podobne poruszenie widać i w Belgii, gdzie mieszka Andrzej, ten, któremu rodzice na osłodę za pracę w kopalni podarowali akordeon. Polacy kupują tam cegielki na zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych – udaje się zebrać dwieście trzydzieści tysięcy franków. Kiedy dowiadują się, że górnicy z wałbrzyskiej kopalni Biały Kamień potrzebują młotów pneumatycznych, organizują zrzutkę pieniędzy na ich zakup. Delegacja belgijskiej Polonii sama zawozi je do kraju.

A na jej czele jedzie Edward Gierek – wówczas przewodniczący Rady Narodowej Polaków w Belgii. Jak znalazł się na tym stanowisku? Jak w ogóle trafił do Belgii? Co się z nim działo podczas dekady, która upłynęła od wydalenia go z Francji? Podobnie jak na innych górników zmuszonych do powrotu do kraju w wyniku ekspulsji, tak i na niego nie czekało tam wiele. „Byłem bez pieniędzy, bez pracy, bez środków do życia. Wszystko musiałem zaczynać od nowa. W rodzinnych stronach nic się w zasadzie nie zmieniło. Ta sama szara ziemia, to samo ciemne, ciężkie niebo. Taka sama – tu trochę większa, tam trochę mniejsza – bieda” – napisze po latach, dodając, że to doświadczenie ostatecznie ukształtowało jego światopogląd. „Wracając do Polski, jako wydalony za rewolucyjną działalność, wiedziałem, że przekroczyłem w moim życiu polityczny Rubikon. Opowiedziałem się za walką o lepsze życie”¹⁵.

Z braku innych ofert Gierek zatrudnił się w cegielni – zamiast wypłaty pracodawca dawał mu cegły, które sam musiał sprzedawać. Później został powołany do armii, wreszcie, w 1937 roku, mimo dotychczasowych trudnych emigracyjnych doświadczeń, zdecydował się ponownie wyjechać do pracy za granicę. Tym razem do Belgii. Pojechała z nim już żona, Stanisława. „Tutaj trzymała nas tylko bieda”¹⁶ – podsumuje potem Edward.

Zamieszkali w Limburgii, dużym ośrodku górniczym i sporej polskiej enklawie – pod koniec lat trzydziestych w Belgii żyło ponad sześćdziesiąt tysięcy polskich emigrantów, z czego czterdzieści pięć tysięcy pracowało w kopalniach węgla. Powrót do pracy w kopalni (co przypłaci pylicą płuc) sprawia, że Edward Gierek wraca również do działalności politycznej. W 1939 roku wstępuje do Komunistycznej Partii Belgii, co w tamtejszym

polonijnym środowisku trudno poczytać za wyjątkową decyzję: w przededniu II wojny światowej co siódmy członek KPb był polskim emigrantem.

W czasie wojny angażuje się w działania ruchu oporu, pomaga w przygotowaniu akcji sabotażowo-dywersyjnych i dostarcza żywność jeńcom wojennym; znosi regularnie przeprowadzane w jego domu rewizje. Wraz z sukcesami wojennymi ZSRR w Belgii rośnie poparcie dla lewicowego podziemia, wraz z zakończeniem wojny zaś rozpoczyna się walka o polityczne i światopoglądowe wpływy w środowisku polskich emigrantów. „O ile dotąd wszyscy opowiadali się za wspólną Polską, o tyle obecnie pojawiało się dodatkowe pytanie: za jaką, lubelską czy londyńską. Ludzie przeżywali rozterki i dylematy” – napisze Gierek, dodając, że i on nie był od nich wolny. „Jako komunista byłem zwolennikiem dokonującej się w kraju rewolucji i z tego punktu widzenia nie miałem wątpliwości. Mój ówczesny dylemat polegał na tym, czy wracać do kraju, czy pozostać na emigracji [...]. Nie wiedziałem, co mnie w kraju czeka. Ludzie nowej władzy nie byli mi znani. Krążyły o nich różne opinie”. Jednak sam kierunek zmian – czy raczej składane przez nową władzę obietnice – oceniał pozytywnie, tak jak i duża część belgijskiej Polonii. „Ogromny wpływ na nastroje wśród emigracji miały hasła zawarte w Manifeście [PKWN]. One przecież wyrażały pragnienia i nadzieje tych, którzy wyjeżdżali z kraju w poszukiwaniu pracy i godnego życia. Z satysfakcją przyjmowałem program społeczny, reformę rolną, zapowiedzi uprzemysłowienia kraju i wyrwania go z zacofania i nędzy. Byłem dzieckiem tych czasów, które zmuszały mnie do poniewierki na obczyźnie. Czy mogłem myśleć inaczej?”¹⁷

Wstępuje do Związku Patriotów Polskich w Belgii, który opowiada się za PKWN-em, zostaje przewodniczącym wspomnianej Rady Narodowej, później członkiem jedenastoosobowego komitetu nowo utworzonej Polskiej Partii Robotniczej w Belgii. W swoich wystąpieniach, między innymi tym wygłoszonym w maju 1946 roku, podczas zjazdu belgijskiej emigracji, nawołuje do jedności wewnątrz polonijnego środowiska i solidarności z potrzebującym pomocą krajem. Na apelach się nie kończy – Gierek organizuje zbiórkę na rzecz Ziemi Odzyskanych, dystrybuuje

okolicznościowe cegiełki. A przede wszystkim namawia ludzi do wyjazdu. „Od początku 1945 roku systematycznie zachęcaliśmy Polaków do powrotu do kraju. Jesienią i zimą 1945 roku coraz częściej na łamach »Polski Dzisiejszej« pojawiały się informacje o odjazdach kolejnych grup repatriantów. [...]. Miały także miejsce liczne wyjazdy indywidualne. Najpierw ruszyła młodzież polonijna organizowana przez »Grunwald«, później starsi górnicy, wreszcie całe rodziny. Wiedzieli, że czeka ich życie niełatwe, ale jednak jechali. Ich patriotyzm i gotowość współuczestnictwa w budowie nowej Polski były silniejsze od obaw i uprzedzeń oraz perspektyw trudności, które przyszło im pokonywać”¹⁸.

Instrukcja powrotu

Francusko-polskie umowy o reemigracji mają tylko po kilka stron, jednak kto na ich mocy chce wrócić do kraju, musi wypełnić stos papierów. Żeby się w tym wszystkim nie pogubić – bo każdy brak i każde zaniedbanie może skutkować niewpuszczeniem do transportu – delegat na Francję Generalnego Pełnomocnika Rządu do spraw Repatriacji rozsyła do polskich gazet proste instrukcje. Wskazówki dla reemigrantów składają się z pięciu punktów, które krok po kroku trzeba przejść¹⁹.

Krok pierwszy: wypełnić kwestionariusz. Można go pobrać na przykład w najbliższym Komitecie reemigracyjnym, konsulacie albo bezpośrednio od polsko-francuskiej komisji. Dokumenty mają różne kolory, zależne od zawodu: te dla górników są białe, dla rolników zielone, dla wykonujących inne zawody i niepracujących – różowe. „Kwestionariusze winny być dokładnie wypełnione. Nie należy pominąć żadnego członka rodziny, gdyż może to spowodować nieumieszczenie na liście wyjeżdżających. Należy bardzo dokładnie wypisać rubryki odnoszące się do ubezpieczeń społecznych. Opuszczenie powyższych danych może spowodować trudności w uregulowaniu należnych rent”. Na formularzu uzupełnia się dane osobowe, datę i miejsce przyjazdu do Francji, zawód wyuczony i wykonywany, nazwę pracodawcy. Są też pytania o plany i możliwości: „Czy wyjeżdżający ma upatrzone miejsce osiedlenia i pracy w Polsce?”.

„Czy posiada rodzinę w Polsce? (podać adres)”²⁰. Trzeba też wskazać wagę bagażu i datę planowanego wyjazdu (ta będzie uwzględniana w miarę możliwości).

Krok drugi: odesłać kwestionariusz. Można to zrobić za pośrednictwem komitetu reemigracyjnego, który przekaże go do Komisji Mieszanej, lub bezpośrednio (adres: Paryż, plac Fontenoy 7). Trochę inaczej wygląda sytuacja w przypadku górników – oni swoje formularze mogą zanieść również do dyrekcji kopalni, a ta wyda im pokwitowanie.

Krok trzeci: zdobyć dwa zaświadczenia. Certificat de paiement des impôts – dla tych, którzy płacą podatki (lub, jeśli ktoś nie płaci, certificat de non-imposition), oraz zaświadczenie od gospodarza o uregulowaniu czynszu. Z Francji nie można wyjechać z długami.

Krok czwarty należy do władz: to one wydadzą wyjeżdżającym paszporty zbiorowe, na które polskie konsulaty wyrobią, również zbiorowe, wizy wyjazdowe. Indywidualne paszporty są tylko dla tych, którzy nie mają żadnych dokumentów.

Krok piąty: można zacząć się pakować. „Reemigranci mogą zabrać całkowity posiadany dobytek: meble, sprzęty kuchenne, automobile itp.”, trzeba jednak mieć dowód, iż zostały nabyte co najmniej na sześć miesięcy przed powrotem do kraju. „Nie wolno zabierać psów, kotów ani drobiu”. Można natomiast wywieźć oszczędności, warunek to wymiana pieniędzy francuskich na polskie za pośrednictwem PKO. „Wymiana odbywa się przed wyjazdem na dworcu, gdzie na dzień przed odejściem każdego pociągu czynne będzie biuro wymiany pieniędzy”. To, ile pieniędzy można wymienić, zależy od stażu pracy. Jeśli ktoś przepracował we Francji pięć lat, może wymienić sto tysięcy franków, jeśli dziesięć lat – sto pięćdziesiąt tysięcy, a jeśli więcej – dwieście tysięcy. Wyższe sumy wymagają przedstawienia dowodów pochodzenia takich środków.



Odjazd reemigrantów z Douai, lipiec 1946

Źródło: archiwum rodzinne Liany Sztor

Gdy wszystkie formularze zostaną już złożone, lista rzeczy do zabrania spisana, a oszczędności policzone, pozostaje czekać. O wciągnięciu na listę wyjeżdżających komisja poinformuje reemigranta z miesięcznym wyprzedzeniem. „O dokładnej dacie wyjazdu pociągu reemigrant zostanie powiadomiony dodatkowo”²¹. Polskie władze zaś muszą się postarać, żeby wagony odjechały pełne.

Lista

Alfred, ten, który jeździł rowerem na potańcówki i pokochał dziewczynę o francuskiej urodzie, siedzi przy radiu i płacze. Dziś już się nie dowiemy, jaka to była audycja. Może reportaż, może serwis informacyjny, a może redaktor w studiu przepytывał eksperta. Wiemy za to – bo opowie o tym po latach jego córka Daniela, która jest tak podobna do pięknej matki – że płynące z odbiornika słowa dotyczyły Polski, a konkretnie tego, jak kraj wygląda po wojnie. Gdy opowieść dobiegła końca, Alfred miał mokłą twarz, w głowie zaś konkretny plan. Zaraz wstanie, pójdzie do kuchni do

matki, do ogrodu do żony albo do warsztatu do ojca i powie, że chce wracać do Polski. Potem wypełni formularz, zgłosi wszystkich do komisji i razem wrócą do kraju, za którym tęskni i w którego odbudowie chce pomóc.

– Nie wiem, za czym on tęsknił, co on mógł pamiętać – stwierdza Daniela na koniec tej historii. – Przecież kiedy wyjechał z Polski, był małym dzieckiem.

Zostać czy wrócić: pytanie, które zadaje sobie rodzina Alfreda, pytanie, które zadaje sobie prawie każda polska rodzina. Gdyby – jak często się robi w chwilach rozterki – podzielić kartkę pionową linią na pół, po lewej wpisać „za”, a po prawej „przeciw”, bilans wyglądałoby mniej więcej następująco.

Zniszczenia, o których Alfred słyszał w radiu, można by wpisać i w rubryce „za wyjazdem”, i „przeciwko wyjazdowi”. Z jednej strony zniechęcały. Mówiono o nich w radiu i pisano w gazetach. W domach Polonii w latach czterdziestych czyta się „Narodowca” i „Gazetę Polską”. Ich profile różnią się od siebie. Pierwszy, o długiej, wywodzącej się jeszcze z Westfalii historii, ma katolicko-konserwatywny charakter. Drugi tytuł, młodszy, ukazujący się we Francji i Belgii, jest wspierany przez nową polską władzę. Obraz powojennych zniszczeń obydwu dzienniki odmalowują jednak podobnie. Na ich łamach pojawiają się dramatyczne wyliczenia: „Polska wyszła z wojny zrujnowana biologicznie i gospodarczo. Straciła wskutek zbrodni hitlerowskich około 7 milionów obywateli, w tym wymagające wiele lat do zastąpienia kadry naukowców, techników i fachowców. Setki miast i tysiące wsi polskich, z Warszawą, Poznaniem, Białymstokiem, Gdańskiem i Wrocławiem, leżą w ruinach. Przemysł w wielu okolicach kraju przedstawia smutny obraz po rabunkowej gospodarce okupanta lub po zniszczeniach spowodowanych działaniami wojennymi”²². Redakcje drukują wypowiedzi ważnych osób, takich jak były prezydent USA Herbert Hoover, który mówi, że „serce się rozdziera, patrząc na położenie żywnościowe Polski. Jest ono najgorsze z tego, co widziałem”²³. Pojawiają się też działające na wyobraźnię porównania: „Na ulicach i placach Warszawy leży 20 milionów m³ gruzu – to znaczy 4 miliony wagonów albo 200 tysięcy pociągów, które trzeba uruchomić,

aby usunąć gruzy zniszczonych domów”²⁴. Można też przeczytać reportaże ze zniszczonej stolicy. Takie obrazy musiały budzić przerażenie wśród wszystkich, jednak na przerażenie każdy reagował inaczej – jedni chęcią przeczekania, inni wolą działania.

Kto bowiem czytał polonijne gazety, w tego głowie pojawiała się wizja Polski zniszczonej, ale też podnoszącej się z gruzów, mającej plan odbudowy. W kraju wychodzi już czterdzieści jeden dzienników, szyją się miliony ubrań, produkowanych jest czterysta tysięcy wózków dziecięcych rocznie, trzysta tysięcy rondli wyjedzie z fabryk w samym 1946 roku²⁵. Ołtarz Wita Stwosza wrócił do Krakowa i znów otwarta jest Katedra na Wawelu, dźwiga się z gruzów Warszawa („W ciągu roku na gruzach i zgliszczach powstało miasto tętniące życiem. Zaopatrzone w gaz i elektryczność, z liniami tramwajowymi i 2 milionami metrów sześciennych odbudowanych domów mieszkalnych”²⁶). Pisze się o pomocy z zagranicy, pożyczce na odbudowę, o tym, że „życie posuwa się wielkimi krokami naprzód”. Odbudowę wpisujemy więc po lewej stronie, do kolumny „za wyjazdem”.

Polska się odradza, ale wciąż brakuje rąk do pracy. Potrzebni są inżynierowie, elektrycy, majstrowie maszynowi, ludzie do obsługi turbin i nastawni, palacze kotłowi, technicy budowlani, ogrodnicy, prawnicy i nauczyciele. Przede wszystkim jednak potrzebni są górnicy: „Najbardziej wartościowy element górniczy – od lat 20 do 45 – wyginął na skutek działań wojennych i deportacji. Stąd też wielkie zapotrzebowanie na siłę roboczą” – mówi w „Gazecie Polskiej” inżynier Fryderyk Topolski, generalny dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego. „Polska liczy zatem na górników polskich z Francji?” – pyta dyrektora dziennikarz. „Oczywiście. Jest to niezmiennie ważne zagadnienie. Szczególnie kopalnie na Śląsku Opolskim są prawie bez siły roboczej, a na Dolnym Śląsku pracuje większość Niemców”²⁷. Jesteśmy potrzebni, liczą na nas, możemy przyłożyć rękę do ważnej sprawy – to wszystko idzie na lewą stronę kartki, do kolumny „za wyjazdem”.

Czekają na nas i zorganizowali nam podróż. Wrócić do Polski – to teraz takie łatwe! Dziennikarz „Gazety Polskiej” przed odjazdem pierwszego

pociągu przepytuje konsula generalnego w Paryżu, obywatela Tomasza Piętkę. „W jakich warunkach odbędzie się transport górników?” „Ministerstwo Ziem Odzyskanych daje do dyspozycji dziesięć pociągów, składających się z wagonów krytych, w większości towarowych. [...]. Każdy pociąg zaopatrzoney będzie w kuchnię polową, która wydawać będzie ciepłą strawę. Oprócz tego francuski Urząd Apropowizacyjny przydzieli każdemu reemigrantowi żywność w racjach”. Spod domów we Francji podróżujących zabiorą na stacje samochody zapewnione przez Komisję Reemigracyjną. Pociągi zaś pojedą prosto do Wałbrzycha lub Zabrza, bez przesiadek. „Czy przygotowane są już mieszkania dla górników?” „Po przybyciu do kraju górnicy z Francji otrzymają przydzielone im mieszkania po wysiedlanych Niemcach [...]. Mieszkania są już pod kontrolą Komitetu Opieki nad Repatriantami. W każdym mieszkaniu jest woda, elektryczność i zlew. W każdym mieszkaniu kuchnia na węgiel i gaz”. „Do jakich prac skierowani będą nasi górnicy?” „W zależności od kwalifikacji obejmą kierownicze stanowiska, które dotąd były i są jeszcze w rękach Niemców”. To dorośli, a co z dziećmi, z młodzieżą? „W Wałbrzychu znajduje się szkoła zawodowa, kształcąca wykwalifikowanych górników i techników przemysłu węglowego. Szkoła zawodowa jest całkowicie bezpłatna”²⁸. A więc wszystko już dla nas przygotowali – na lewą stronę, „za wyjazdem”.

I wreszcie, skoro już mowa o perspektywach dla dzieci, w tej samej kolumnie „za”: przyszłe życie w kraju. Bo przecież na wojennych gruzach ma powstać nowa Polska, o wiele bardziej przyjazna robotnikom niż ta, z której wyjechali. „Radykalne reformy przeorały cały system ustrojowy. To nie ta sama Polska, co była przed wojną. [...]. Trzeba wiedzieć i zdawać sobie sprawę, że w Polsce przeorywa się dziś cały dotychczasowy system społeczny, ulega przeobrażeniu cały przedwojenny porządek. Czyni się to pod znakiem poprawy życia warstw pracujących”²⁹. Oznaki już widać. Robotnicy zostają dyrektorami kopalń i hut; tylko w 1945 roku na stanowiska kierownicze awansowało ogółem 1581 osób³⁰. Praca jest ciężka, ale nie cięższa niż we Francji. „[...] coraz bardziej się poprawia. Na karty żywnościowe przydział jest już dostateczny [...]. Obiad jemy

w stołówce. Mieszkanie jest dobre, dwa pokoje z kuchnią”³¹ – mówi reporterowi „Gazety Polskiej” jeden z górników pracujących w Wałbrzychu. Dziennikarz zaś osobiście sprawdza, czy rozmówca nie rozminął się z prawdą. Wszystko się zgadza – obiad smaczny (barszcz na rosole i kluski z gulaszem), mieszkania z ogrodami, jasne, duże pomieszczenia. Dla dorosłych są w nowej Polsce stanowiska, dla dzieci już drukuje się sześć milionów podręczników³², dla młodzieży otwarto trzydzieści osiem ludowych uniwersytetów, a w szkołach zawodowych szykują się zmiany: poza właściwymi przedmiotami mają się w nich znaleźć też kursy „natury ogólnej”, traktujące o planowaniu gospodarczym i nowym ustroju Polski, a cała nauka zostanie wydłużona. „Są też czynione starania o to, aby jak największa liczba młodzieży pracującej w wieku od piętnastu do osiemnastu lat – mogła uczęszczać na wieczorowe kursy zawodowe”³³.

W 1948 roku do Polski wraz z jednym z transportów pojechał francuski reporter Jacques Estager. Wrażenia z podróży opisał w broszurce zatytułowanej *Découverte de la Pologne 1948*. W Polsce z jego relacji niczego nie brakuje, wszystko, co można znaleźć w sklepach we Francji, znajdzie się i tam. Cukiernie są na każdym rogu, a na półkach bułeczki z makiem, chałki, naszyjniki precli, croissanty, brioszki i anyżowe chlebki. Można kupować je kilogramami. Na ulicach wokół wózków sprzedawców słodczy unoszą się małe, różowe obłoczki cukru. Cukier sprzedaje się na wolnym rynku, kawę na wolnym rynku, sklepów jubilerskich i perfumerii jest tyle, ile nad Sekwaną. Barbara, młoda Polka z Bruay-en-Artois, która podróżowała z Estagerem, zabrała na zapas dwanaście szminek. Była niemal zawiedziona, gdy się okazało, że na miejscu może znaleźć te same marki. Co więcej, stać ją na nie: podstawowa pensja górnika to 12 tysięcy złotych, ale dzięki systemowi premii i pracy na akord może zarobić 30 tysięcy, a jeśli jest przodownikiem pracy – nawet 70 tysięcy. Czteroosobowa rodzina miesięcznie na żywność wydaje od 7 do 8 tysięcy złotych. „Poziom życia polskiego górnika osiągnął i przekroczył poziom życia górnika francuskiego”³⁴ – zapewnia Estager. „Powiedzcie naszym przyjacielom we Francji, że na temat Polski krąży dużo kłamstw. Jesteśmy

szczęśliwi tu, w naszej ojczyźnie, gdzie tyle się robi dla robotników” – proszą go rozmówcy³⁵. Przez piętnaście dni pobytu w Wałbrzychu Estager nie znajduje ani jednej osoby, która żałowałaby powrotu do kraju.

Ale po lewej stronie listy znalazłoby się jeszcze coś, coś, czego nie rozważa się w myślach. To uczucie, które się rodzi, gdy człowiek na moment przestaje być osobny, a staje się częścią większego organizmu, niesionego wspólną emocją. Gdy chce być z innymi, iść z innymi, być tacy jak inni. Różnie można to nazwać: zbiorową gorączką, magią tłumu. Niezależnie jednak od nazwy, to uczucie ma wielką moc. To ta moc pozwalała wielokrotnie rozkwitać ideom, wyprowadzała obywateli na ulice, obalała władze, zmieniała porządki. A teraz ściąga do Polski dziesiątki tysięcy ludzi. Bo zaraz po wojnie w górniczych osiedlach Nord i Pas-de-Calais można było odnieść wrażenie, że wszyscy wracają do kraju.

Każdy transport jest szczegółowo odnotowywany: 15 maja odjechały sto pięćdziesiąt cztery rodziny, 12 czerwca – sto pięćdziesiąt sześć rodzin. Gazety opisują przebieg podróży i powitania w Polsce. Na dzień przed wyjazdem nie śpi całe osiedle, polskie kolonie stają się nagle jakby jedną wielką rodziną, w której każdy żegna się z każdym. „A płaczą przeważnie wszyscy. Jedni z radości, że jadą. Drudzy ze smutku, że oni jeszcze nie. »Jedźcie, przygotujcie dla nas miejsce«” – mówią³⁶. Na dworcach jest czarno od odprowadzających.

Nie wszyscy są anonimowi. Prasa publikuje reportaże o co ciekawszych reemigrantach, którzy niby są wyjątkowi, a jednak tacy jak wszyscy. Do kraju wracają na przykład państwo Gwiazdowie. Jest ich czternaścioro: rodzice, jedenaścioro rodzeństwa i dwunaste dziecko w drodze. Jak pisze o nich ukazujący się we Francji magazyn „Polska i Świat”, to cała „polska konstelacja z Ostricourt”. Na wigilię muszą dwa stoły pożyczać, makaronu od razu gotują kilogram, ciuchy donoszą jeden po drugim, ojciec buty zeluje, ale mówią, że są szczęśliwi, dobrze im razem. „Kochamy się, ludzie my są proste, niewiele chcemy, pracujemy, a teraz do Polski jedziemy na swoje. Bylibyśmy pojechali już wcześniej, ale tak jakoś my się nie obejrzeli, a tu bocian znów do nas” – mówi pani Gwiazdowa.

Fotograf ustawił dzieci rządkiem do zdjęcia: od największego do najmniejszego. Dziewczynki mają kwieciste spódnice, chłopcy eleganckie

koszule. Doskonale wiedzą, co chcą robić w Polsce: będą lotnikami, fryzjerkami, aktorkami, a smak pracy już dobrze znają: latem zarabiały przy zbiorze ziemniaków, żeby było na wstążkę do włosów, na nowe buciki. Matkę mają rozgadana, za to ojca konkretnego: „Jadziem do Polski, dość tych zagranic”³⁷ – rzuca.

Czyli jechać. Po pracę, po edukację. Zdecydowanie jechać. Bo to nasz kraj, bo wreszcie jest sens wracać, bo nas potrzebują, bo wszystko już przygotowane, bo będziemy na swoim, bo nasze dzieci mogą mieć lepiej niż my. Jechać więc.

A może nie jechać? Bo tu praca, bo tu, po tylu latach, wreszcie nasze miejsce, bo tu nasze dzieci się urodziły i chodzą do szkoły. Zdecydowanie nie jechać, bo jeśli tak desperacko nas potrzebują, to może czegoś nam nie mówią? Bo nie wiemy, jak ta pomoc, której od nas oczekują, ma dokładnie wyglądać. Bo po tym, co robiliśmy w czasie wojny, Francuzi traktują nas jak swoich. Bo wciąż się dorabiamy, a nasze dzieci i tutaj mogą mieć lepiej od nas. A więc nie jechać.

Argumentem „przeciw wyjazdowi”, tym do wpisania po prawej stronie listy, jest też poprawa warunków pracy na miejscu – Francja, potrzebująca pracowników do podźwignięcia przemysłu po wojnie, kusi polskich górników kolejnymi korzystnymi dla nich przepisami.

Reszta racji „przeciw” zapisała się już tylko w pamięci i ustnych relacjach. Ich śladów nie znajdziemy w gazetach, kronikach filmowych, dokumentach. Są niewyraźne, jak blaknąca z czasem bibułka. Składają się ze strzępków, z ech, które docierały z Polski i nijak nie dały się połączyć z oficjalnym przekazem.

Na przykład: „Pamiętacie tych dwóch chłopaków, z którymi służyłem w armii? Wrócili do Polski w 1945, mówili, że zaraz jak przyjadą, napiszą, co tam w domu. Żaden list od nich nie przyszedł”.

Albo: „Ciocia napisała, ale jakieś dziwne rzeczy. »Nie mamy miodów«. Do nas też dziwnie piszą. »Siedźcie, gdzie jesteście«. Lub: »Dobrze tu temu, kto się nie wychyla«”.

Po osiedlach krąży też plotka, od której ścisła w żołądku: ci, którzy urodzili się na terenie obecnego ZSRR, jadą nie do Polski, ale na Syberię.

Pionowa linia, po lewej „za”, po prawej „przeciw”. Na pół dzielą się nie tylko kartki w zeszytach, ale całe miasteczka, osiedla, rodziny, małżeństwa, narzeczeństwa.

W rodzinie Liany chcą wracać niemal wszyscy. Dziadek, którego kiedyś zatrzymywano przed każdym 1 maja, żeby nie urządzał manifestacji, i który tyle lat czekał na zmianę ustroju. Wracać chce mama, bo sama przecież nawołuje do powrotu – wierzy w nową Polskę, w nową władzę. Wątpliwości ma tylko jej młodsza siostra, ciocia Helena. Dobrze jej we Francji.

W rodzinie Alfredy chce wracać ojczym. Przekonuje ludzi do wyjazdu pierwszym transportem, wiosną 1946 roku. Oni przyjeżdżają do Polski w sierpniu.

W rodzinie Franciszka chce wracać ojciec, namawia dzieci. Wie, że sam jest zbyt stary, słaby i schorowany, żeby zakwalifikować się do transportu. Potrzeba kogoś, najlepiej syna, ewentualnie zięcia, kto będzie mógł wziąć udział w odbudowie kraju. Karolina odmawia, Józef odmawia, Leon odmawia. Karolina i Józef mają już rodziny, a Leon ciekawe plany na przyszłość. Przydała mu się nauka w gimnazjum, zwłaszcza angielski. Gdy do Francji weszły brytyjskie wojska, zaczął pracować jako tłumacz, a żołnierze polubili go na tyle, że zabrali ze sobą do Niemiec. Z czwórki dorosłych dzieci na wyjazd godzi się tylko Stanisław, najmłodszy – Franciszek i Władysław, też pojedą. Po latach będą wspominać, że byli zbyt młodzi, żeby ktoś pytał ich o zdanie.

W rodzinie Henryki chce wracać ojciec. Przegląda „Narodowca” i mówi: jest inaczej, niż było, jest dobrze, wszystko się rozwija, nie ma biedy. Dlaczego by nie jechać? Wyjazd odradza wujek, który służył w Armii Andersa. Przyjechał na urlop, jeszcze przed Monte Cassino, i mówił, że do Polski już nigdy nie wróci, że tam nie jest tak, jak opowiadają, żeby nie wierzyć agitatorom. Ale to jemu prawie nikt nie uwierzył.



Rodzina Liany wyjeżdża do Polski. Liana to dziewczynka z kokardami, za nią brat Maryś, po prawej tata (w kaszkiecie) obejmuje mamę, Douai, 1946

Źródło: archiwum rodzinne Liany Sztor

W rodzinie Andrzeja chce wracać ojciec: kto wie, kiedy znowu się zacznie gadanie, że Polacy „zabierają pracę”. Teraz są pociągi, zawiozą ich, trzeba korzystać, bo nie wiadomo, co będzie później. Nie chcą wracać matka i siostra: w sklepach zaczęły się już pojawiać towary, materiały, można by kupić ładne ubrania.

U Marii, Zosi, Danieli i Władysława chce wracać ojciec, u Mariana ojczym. Prawie w każdej rodzinie, która chce wracać, na powrót nalega jej głowa.

Chcą jechać starsi, ci, którzy nawet po dwudziestu latach we Francji wciąż czują, że są tu tylko na chwilę. Nie chcą jechać młodzi – oni są tu od zawsze, a szkoła, pierwsze miłości, koledzy i marzenia o przyszłości pozwalają myśleć, że będą na zawsze. Małym dzieciom jest to obojętne. Słyszały, że w Polsce można zobaczyć niedźwiedzia polarnego.

Chcą jechać mężczyźni – rezonują w nich patriotyczne tony. Nie chcą jechać kobiety – one doskonale wiedzą, że to na nie spadnie trud urządzania życia na nowo.

Chcą jechać ci, którzy już we Francji flirtowali z socjalizmem – wreszcie ich ojczysty kraj stał się krajem robotników. Nie chcą jechać ci, którzy mieli związki z polską armią i rządem w Londynie – nie wiedzą, czym teraz jest ich ojczysty kraj.

Chcą jechać ci, którzy z Polski wyjechali w latach dwudziestych – po dwóch dekadach pamięć o kraju dzieciństwa ciągle jest żywa, jeśli nie żywsza. Nie chcą jechać ci, którzy przyjechali z Westfalii – dla nich Polska nie jest już realnym bytem, tylko idea. Czas koloruje, wygładza, zabliznia, ale też zaciera.

Po lewej „za”, po prawej „przeciw”. Zapisz, zważ, policz, lecz do wyniku się nie przywiązuj. W ostatniej chwili i tak zdecyduje serce.

7 Kierunek: Wałbrzych. Nastrój wspaniały

Wciąga głęboko powietrze, zwija dłoń w pięść i uderza lekko. Raz, drugi. Głuchy odgłos niesie się wkoło. Gdyby był, toby usłyszał. Jeśli go nie ma – kłopot. Chłopak uderza trzeci raz i uwalnia oddech, powoli, długo, póki zebra się nie zapadną. Nagle drzwi odskakują. „Co jest?” „Panie profesorze, ja chciałem powiedzieć, że nie przyjdę więcej do szkoły, bo wyjeżdżam. To znaczy rodzice wracają. To znaczy my wszyscy jedziemy. Do Polski”. „Władysław, co ty gadasz? Dzisiaj?!” „Tak, mam pociąg o trzynastej”. „A papiery masz?”

Pierwszy list od matki przyszedł w połowie lutego. Drugi pod koniec. Słała je regularnie, co dwa tygodnie, a w każdym było mnie więcej to samo. „Synu – pisała – jak możesz nas zostawiać? Ja, ojciec, twoi bracia i twoja siostra, wszyscy ruszamy w drogę. Zostaniesz tu sam i kto wie, co cię czeka”.

Chował te listy do szafy. Porządna szafa, pojemna, jedna na trzech. Do tego trzy łóżka i trzy krzeselka – tyle składa się na pokój w internacie polskiej szkoły. Skromnie, ale Władysław, uczeń drugiej klasy, jest zadowolony. Kiedy ludzie pytają, gdzie mieszka, odpowiedź mile łaskocze gardło: przy rue de Lota, w XVI dzielnicy, najelegantszej w Paryżu, dwa kroki od Lasku Bulońskiego. Współlokatorzy w pokoju też nie najgorsi. Zwłaszcza Edek, szkolny starosta, obrotny chłopak. Żal to wszystko zostawiać.

„Proszę, żebyś natychmiast udał się do ambasady i załatwił niezbędne dokumenty”. Listy od matki przychodziły zawsze w plamach, litery rozmazane. Musiała płakać, pisząc, bo niemożliwe, żeby za każdym razem deszcz rozmył po drodze. A jeszcze w grudniu wszystko wyglądało tak dobrze...

Kiedy na Boże Narodzenie przyjechał z Paryża do domu, rodzice oznajmili, że wracają do Polski. Zawsze o tym mówili – odkładali pieniądze na książeczkę PKO z myślą o powrocie, a za to, czego nie odłożyli, kupowali przez rodzinę ziemię w kraju: morgę, pół morgi, żeby wrócić już na swoje. W okolicach maja miał być zorganizowany transport. Bracia już wiedzieli, nie narzekali, siostra była za mała, żeby narzekać. On też nie narzekał, przynajmniej nie wprost. Wiedział, że z ojcem trzeba fortelem. Najlepiej fortelem ubranym w konkret. „Semestr będę miał zepsuty” – tłumaczył, a w głowie cały czas dźwięczało: jakie „wracamy”? Wy wracacie, ja jadę. Mnie nigdy tam nigdy nie było. „Wracajcie sami w maju, ja dołączę w lipcu”. „W Polsce też jest szkoła” – ojciec był twardy. „I dokąd pójde? Do trzeciej klasy czy do drugiej? Będę rozdarty. A tak skończę szkołę, dostanę świadectwo za drugą klasę gimnazjum, od razu zapiszę się do trzeciej”.

Już widział w wyobraźni to rozdanie świadectw. Poprzednio zakończenie roku odbyło się na Sorbonie, w amfiteatrze Richelieu. Piękna sala: ławy ustawione w półokrąg, na ścianach stiuki, za pulpitem klasycystyczne malowidło, młeczne światło wpada przez szklany sufit. Maturzyści wychodzą na podwyższenie. Jest i gość honorowy: ambasador Polski, Jerzy Putrament. „Szkoda by było stracić rok...”

Może jechać, tylko jeszcze nie teraz. W Paryżu tak miło w maju!

– To miasto można przemierzyć tysiąc razy i za każdym odkryć coś nowego – mówi dzisiaj Władysław.

Z klas w budynku Polskiego Czerwonego Krzyża widać, jak zielenią się Pola Elizejskie. W tygodniu wykładają im w Luwrze historię sztuki – Mezopotamia, Egipt, Grecja, wszystko na wyciągnięcie ręki. W weekend można wziąć z kolegami łódkę i popływać na jeziorze w Lasku Bulońskim albo iść do kina ze swoją sympatią. Modowym hitem są amerykańskie bluzy z demobilu. W 1945 sprzedawali je prosto z samochodów, jeszcze mokre – jeden wyprał i rozwiesił, a drugi myk, ze sznurka, do auta i na sprzedaż. W ciągu dwóch powojennych lat ten handel nieco uregulowano. Powstały specjalne sklepy, w których sprzedaje się wszystko, od amerykańskich ubrań po samochody. Do bluzy: koszula, spodnie, wszystko oprócz czapek, czapki są zarezerwowane dla żołnierzy. Papierosy:

wyłącznie camele albo pall malle, po paleniu guma do żucia. O amerykańskim stylu pisano nawet piosenki.

Żał to wszystko zostawiać... Minął jeden miesiąc, drugi. Piętrzą się listy w szafie. Nikomu nie powiedział, że chyba będzie jechał, tylko jej. Popłakała się. Plecy jej drżały, a na tych plecach grube warkocze podskakiwały w górę i w dół.

„Proszę, żebyś natychmiast udał się...” – pisze znowu matka. Ze szkoły do polskiej ambasady nie jest daleko, można iść piechotą. Drogę zna, był tam kilka razy ze szkolną wycieczką. Stawia kroki, lecz bez przekonania. Idzie tak, żeby nie dojść. Od ostatniego listu minęły trzy tygodnie. Do wyjazdu został niecały tydzień. Rodzice wszystko mają załatwione od początku roku, on nie ma nic. Może za późno? Pewnie za późno. Tak, za późno. Idzie z coraz większym przekonaniem. Nie uda się, przecież nie zdąży. Będzie miał czyste sumienie. Jutro napisze: „Mamo, próbowałem, nic już nie da się zrobić. Nie martwcie się o mnie, do zobaczenia w lipcu”.

Kiedy wchodzi do biura, wszystko ma już poukładane. Podaje imię, nazwisko i tłumaczy: „Moja rodzina jedzie 19 maja do Polski, chciałbym do nich dołączyć, ale nie zdążyłem się zapisać na transport”. Mały urzędnik prosi, żeby chwilę poczekać, wstaje zza biurka, wychodzi. Wraca z drugim, trochę większym. Większy w krzyk. „A co ty sobie, gówniarzu, myślisz?! Że to jest wycieczka? Jakby każdy się chciał tak wpisywać i wypisywać, to wiesz, co by było? Ja mam do jednego pociągu trzystu ludzi! Nigdzie nie pojedziesz!”

No i fajnie.

„Siadaj, czekaj”.

Niefajnie.

Biegają, załatwiają. Przychodzi trzeci urzędnik, jeszcze większy, mówi to samo: gówniarz, setki ludzi, nie możemy, nie pojedziesz. Czekaj.

Czeka. Dwadzieścia minut? Pół godziny? Czeka. Wreszcie przychodzi czwarty urzędnik. Największy. Ma ze sobą papiery. Imię, nazwisko, ojciec, matka, data urodzenia. Zdecydowanie niefajnie. Jeden pyta, drugi pisze, tabelka, linijka.

Władysław stoi, siedzi, sam nie wie, w głowie mu się kręci od tej biurokracji. Pachnie majem, tuszem, dymem z papierosów. Masz, idź teraz

z tym sam do Francuzów, do ichniego ministerstwa, żeby nikt potem nie mówił, że naginamy procedury. Może ci się uda.

A może się nie uda. Ostatnia szansa.

Krok za krokiem, dobrze, że wszystko w centrum miasta, blisko szkoły i internatu. Rażniej. Chociaż urzędnicy też jakby znajomi. „Gosse, qu'est-ce que tu penses? Que c'est fait tout de suite? Que tu es le seul à partir?!” Co ty sobie myślisz, dzieciaku? Że to się robi od ręki? Że tylko ty wyjeżdżasz?

Władysław, już przyzwyczajony, czeka. Pogadają, pokrzyczą, ale jakąś decyzję muszą podjąć. Przecież widzą, że stoi przed nimi piętnastolatek, dziecko jeszcze. To już nie wojna, dziecko samo nie zostanie.

„Assieds-toi!” Siadaj! Siada. „Montre-nous, qu'est-ce que tu as là”. Pokaż, co tam masz.

Rozkłada powoli papiery, jakby od tej powolności litery miały się zamazać, wyblaknąć. Ostatnia szansa...

„Ah bien, bien... regardons”. Dobrze, spójrzmy...

„Władysław! Papiery masz?!” – głos profesora Dębskiego, kierownika internatu, niesie się po korytarzu. Ma, wydali od ręki, jeszcze życzyli szczęśliwej podróży. „A świadectwo masz?” Ma. Dyrektor zmieszał go z błotem bardziej niż polscy i francuscy urzędnicy razem wzięci, ale świadectwo wypisał. Sam kazał Władysławowi się sklasyfikować, tylko poprosił o uczciwość. „Starosta! Starosta jest? – rzuca gdzieś w przestrzeń Dębski. – Zwołuj mi tu zaraz wszystkich do sali balowej”.

Dziwna to sala balowa. Niby jest parkiet, marmurowy kominek, stiuki, ale zamiast orkiestry i roztańczonych par szkolne ławki, a za przepierzeniem piętrowe łóżka. Wlewa się teraz między te ławki dwadzieścia osób, trzydzieści, może czterdzieści. Dziewczyny w płacz. Z jednymi tylko się kolegowano, z innymi przyjaźniło, a jeszcze inne właśnie zdały sobie sprawę, że może i do nich za chwilę przyjdzie list z domu: „Córko! Proszę, żebyś natychmiast...”. Władysław nie jest pierwszy, w szkole teraz co kilka miesięcy widuje się takie scenki: wychodzą razem z internatu, on zasmarkany, ona zapłakana.

Profesor Dębski w pamięci uczniów zapisał się jako ten, który każdą sytuację zwykł opisywać za pomocą militarnej retoryki. W ową majową

niedzielę ta skłonność przejawiała się mniej więcej tak: „Dzisiaj żegnamy kolegę. Karny był z niego żołnierz, solidny, lecz teraz na innym froncie przyjdzie mu walczyć. Wraca do Polski, do ojczyzny”. Władysław zaczyna się zastanawiać, o co chodzi z tym „solidnym”, ale zaraz przestaje, bo sam musi zabrać głos. Przemawia do kolegów, a w emocjach nie bardzo wie, jakie słowa wypowiada (albo po prostu dziś już ich nie pamięta). Chyba coś o tym, jak ważna była dla niego ta szkoła, z jakim żalem ją opuszcza, jak trudno się żegnać. Bo właściwie jak się żegnać? Najpierw trzeba podejść do dziewczyn, tak wypada, ale co dalej? Henia, jego sympatia z warkoczami grubymi jak nadgarstki, płacze. Poklepać ją po ramieniu? Uścisnąć rękę? W końcu przytula ją i całuje w policzki. Potem inne koleżanki też, ale ją pierwszą.

Biorą mu walizkę, biorą szkolną torbę. Wypadają na zewnątrz, tak ładnie, tak ciepło, idą środkiem ulicy. Chciałoby się myśleć, że idą na spacer, na łódki, lecz nie tym razem. Teraz do metra, na Porte Dauphine. To jedna ze stacji uchodzących za symbol Paryża. Zaprojektowana przez Hectora Guimarda, z daszkiem rozchodzącym się jak płetwy ryby i rozedrganym napisem „Métropolitain”. Doskonale wychodzi na zdjęciach, do dziś uwiecznia się ją na pocztówkach. Kolega Władysława zdejmuje osłonę z aparatu. Akurat zostało kilka klatek, idealnie. Dyżurny fotograf internatu każe jednak ustawić się nie pod secesyjnym daszkiem, tylko na tle krzewów, majowo ukwieconych. Profesor w środku, uczniowie w kilku rzędach. Gdzie jest Henia? Nie poszła z nimi?

„Henryka, a co ty tu beczysz po kątach? – kierownik internatu najwyraźniej postanowił wyreżyserować pożegnanie Władysława od początku do końca. – Bierz sobie przyzwoitkę i na dworzec!” Jak dziś tłumaczy Władysław, w 1948 roku wciąż było nie do pomyślenia, żeby młoda dziewczyna sama spacerowała z chłopakiem. Nawet jeśli to chłopak „solidny”. Nawet w Paryżu. Nawet jeśli chodziło tylko o to, by uściskać tego solidnego chłopaka na pożegnanie na Gare du Nord.

Walizka i torba ze szkoły lekkie, trochę ubrań, kilka rzeczy kupionych rano na drogę, szkolne zeszyty. W zeszytach starannie wyrysowana kobra, kornik, szkielet ryby, rozwój żaby. Cieniutka atramentowa linia na białych kratkach.

Jest i zeszyt w linie, a w nim tabela. Mianownik: kto, co? Serce. Dopełniacz: kogo, czego? Serca. Celownik: komu, czemu? Sercu. Takich tabel jest sporo. Mówić po polsku nauczył się w domu. Czytać – z gazet, które kupował ojciec. Brał kolejne numery „Gazety Polskiej” i rozszyfrowywał nagłówki, najpierw opuszczając wszystkie „rz”, „cz”, „ą”, „ę”, a potem z reszty liter klejąc słowa. Kleił każdego dnia, godzina, dwie godziny. Po pół roku czytał płynnie, ale z pisaniem wciąż szło kiepsko. Kiedy dwa lata wcześniej zdawał egzamin do polskiej szkoły, dopuścili go warunkowo. „Za trzy miesiące masz pisać po polsku” – powiedzieli. Czy było trudno? Uwinął się. Po prostu się uwinął, jak zawsze. Teraz, w nowym życiu, pisanie po polsku się przyda...

A czy to się przyda? „Le plus beau pays du monde / C’est la terre où je naquis; [...]. On y parle un doux langage / Le plus beau qu’on ait formé; / L’étranger devient plus sage / Quand il se met à l’aimer / Heureux qui reçut la chance / De l’ouïr dès son berceau / Car la langue de la France / Est un chant toujours nouveau”^[15]. Wiersz zapisał w zeszycie, ale nauczył się go też na pamięć. „Na pamięć” to po francusku „par cœur” – „przez serce”.

W gazetach ogłoszono, że transport górników do Polski zaplanowany na środę, 19 maja 1948 roku, odjedzie ze stacji Nogent – Le Perreux o godzinie siedemnastej. Wagony jednak stać będą już od poniedziałku, a podróżnych uprasza się o pakowanie rzeczy wcześniej. Rodzina Władysława na stację jedzie we wtorek rano. Nie korzystają ze zorganizowanego transportu. Odwozi ich gospodarz. Kiedy dwadzieścia lat później Władysław przyjedzie do niego w odwiedziny, ten otworzy szampana, a na drogę da mu dwie butelki przedniego koniaku dla ojca.

Majowe słońce nad Nogent – Le Perreux pali chyba jeszcze bardziej niż w Paryżu. Trudno wytrzymać, tym bardziej że na stacji nie ma wielu atrakcji. Budynek niewielki, miasteczka wokół niego skromne. Powietrze, od upału i od tej podróży, aż naelektryzowane. Jeszcze kilkadziesiąt godzin. A gdyby tak ostatni raz do Paryża?

Łapie autobus, to nie tak daleko, ledwie piętnaście kilometrów, jakieś pół godziny drogi. Pół godziny na obmyślenie planu. Władysław kombinuje

tak: do internatu już nie pójdzie, za duże zamieszanie. Zaczai się przy metrze i poczeka, aż ktoś będzie szedł ze szkoły.

Pół godziny nie minęło, idzie Walentyna. Idealnie, mieszka w tym samym pokoju co Henia. „Walentynka!” Odwróciła się. „Walentynka, jestem!” „No widzę, że jesteś. Lepiej mi powiedz, co tutaj robisz”. „Zobaczyłbym się jeszcze raz z Henią. Pójdiesz po nią?” „Poszłabym, ale przecież ona pomyśli, że jej kawał robię!” Władysław odwraca rękę dłonią do góry, jedna szlufka, druga, zegarek zostawia na skórze wilgotny ślad. „Masz, pokaż jej, to uwierzy”.

Uwierzyła. „Do widzenia” powiedzieli sobie w Lasku Bulońskim. To miało być już ostatnie i na zawsze.

Miło z takim wspomnieniem w sercu. Można się go uchwycić, kiedy ostatnią noc we Francji spędza się nie we własnym łóżku, tylko w wagonie. Ludzie moszczą się na tym, co zabrali, rosną prowizoryczne posłania z pakunków. Młody zwinie się w kłębek i śpi, a starszy? Kiedy dzisiaj pytam, Władysław mówi, że było mu starszych żal. Niektórzy wspominali później, że podróż była dla nich koszmarem. Jednak jego zdaniem, w porównaniu z niewiadomą, która czekała u celu, była niczym. Pytam też, jak ten cel sobie wtedy wyobrażał. Niczego sobie nie wyobrażał. Przypomina sobie teraz tylko list od cioci. „Siedźcie tam, gdzie siedzicie” – pisała.

W internacie polskiego gimnazjum wszystko jest idealnie zorganizowane. Takie na przykład jedzenie: wydawane w okienku, pierwsze, drugie danie, a na stołach koszyki z chlebem – każdy może brać, ile chce. Siedzi się przy długich stołach, a język musi się nielicho natrudzić, żeby jednocześnie uporać się z kęsami i słowami, które, wbrew dobremu obyczajowi, pojawiają się w ustach w tym samym czasie.

„Henryka!” To Dębski. Matko, co on? „Henryka! Co ty tu robisz o tej porze?” „Ja?...” „Tam Władysław szaleje po peronach i ciebie wygląda! Zbieraj się i jedź!” Jezu, jaki wstyd... Dębski, kawalarz, nigdy nie odpuści. „No, dziewczyno – głos kierownikowi zmiękł, jakby rozpuściła się gdzieś ta ironiczna blaszka. – Zbieraj się, jedź, jeszcze zdążysz”.

Dziewczyny rzeczywiście się śmieją, ale w tym śmiechu nie ma śladu kpiny. Biegnij, Henia, szybciotko!

Władysław spaceruje po stacji. Stacja niewielka, ale to dobrze, nie ma już co się oddalać, zaraz siedemnasta. Niebo nad głową majowe, niebieskie, gdy się zamyka oczy, ten błękit długo zostaje pod powiekami. Kawałek błękitu jest też na peronie. Blisko, coraz bliżej. Już widać, że błękit ma dwa warkocze. „Co ty tu robisz?!” „Dębski mnie wygonił!”

– Wpadła na peron w ostatniej chwili w sukience niebieskiej jak niebo – wspomina dzisiaj Władysław, a w jego ustach to banalne porównanie nabiera uroku. I dodaje jeszcze: – Co miłość potrafi...

Obiecali sobie, że będą pisać. Czy coś jeszcze? Nawet jeśli, to choć wokół stały setki osób, nikt owych deklaracji nie usłyszał. Uszu każdy ma tylko dwoje, a na dworcu mieszanka śmiechu, płaczu, pospiesznych porad, gwizdka konduktora i szczęku drzwi od wagonów. Trzeba wyteńczyć słuch i wzrok, bo przecież słowa nie wsuniesz do kieszeni, widoku nie zwiniesz w kulkę i nie wepchniesz do torby. Chcesz je zachować, musisz wryć w pamięć. Par cœur.

Bagaż podręczny

Pociągi z Francji odjeżdżają wiosną i latem, przynajmniej raz w miesiącu. Wyruszają z Paryża, Lens, Douai, Valenciennes, Lyonu, Bruay-en-Artois, Montceau-les-Mines, Saint-Étienne, Carmaux, Capdenac, Viviers i innych miejsc na terenie całego kraju.

Dworzec w Lens, z którego odchodzą najczęściej, jest maleńki. To podłużny budynek z wieżą na jednym z boków, która nadaje całości zabawny kształt, budzący skojarzenia z lokomotywą. We wnętrzu wzdłuż każdej ze ścian biegnie wąska mozaika, przedstawiająca robotników z najróżniejszych gałęzi przemysłu. Górników umieszczono na tle ceglanych domów; zbici w tłumek, ramię przy ramieniu, unoszą w górę swoje lampki.

Na tym niewielkim dworcu pociągi z reemigrantami musiały ciągnąć się daleko poza perony. Każdy złożony z czterdziestu–pięćdziesięciu wagonów, z których dwadzieścia przeznaczono dla pasażerów, a w kolejnych

ulożono bagaże. Na drzwiach od zewnątrz przymocowano zielone gałązki, których młode listki w czasie jazdy drgały od pędu powietrza. Miejscami poutykano je tak gęsto, że podróżni mieli wrażenie, jakby „znaleźli się w jakiejś ogrodowej alei”. Przymocowano też flagi i szarfy, biało-czerwone, musiały pięknie wyglądać na zielonym tle. Małe flagi wetknięto dzieciom do rąk, niech machają na pożegnanie. Na ścianach wagonu rozklejono plakaty i pierwsze strony z „Gazety Polskiej”, przymocowano portrety polityków, a białą farbą wypisano hasła: „Wracamy do kraju”, „Jedziemy kuć czarny diament w naszej Ojczyźnie, aby pomóc naszym braciom w odbudowie”, „Serdecznie witamy Cię, nasza Ziemia ukochana, i Was, Bracia i Siostry, po tak długich latach naszej tułaczki za chlebem”, „Na Ziemiach Odzyskanych wykujemy potęgę Polski”¹.

Obok wagonów stały wojskowe samochody – to nimi, często już na kilka dni przed wyjazdem, zwożono dobytek reemigrantów. Z danych polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych wynika, że amerykańskie ciężarówki w samym 1946 roku pokonały sto sześćdziesiąt tysięcy kilometrów i spaliły sześćdziesiąt tysięcy litrów benzyny².

Co zabiera się do Polski? Wszystko zależy od tego, kto pakuje.

W skali rodziny bagaże liczy się w setkach kilogramów. Mimo zapewnień, że w Polsce czekają w pełni wyposażone domy, wielu reemigrantów bierze, ile może. „Narodowiec” już w pierwszym roku akcji reemigracyjnej apeluje o umiar. „Zwracamy więc uwagę, żeby zabierano tylko naprawdę pożyteczne meble i przedmioty, a nie ładowano pozbijane ze skrzyń stare rupiecie, skrzynie z próżnymi butelkami, stare, rozlatujące się graty itp. Co zaś do bagażu, to winien to być naprawdę jedynie podręczny bagaż, a nie drugi pełen wóz zabierany do wagonu przeznaczonego dla podróżujących. [...]. Artykuły żywnościowe należy brać z sobą tylko takie, które konserwują się przez dłuższy czas, a nie zabierać ze sobą całe worki chleba. Artykuły żywnościowe oraz ciepła potrawa będą wydzielane w drodze w ilości dostatecznej na utrzymanie”³. Francuzi zaopatrują pociągi w prowiant na dziesięć dni. Przykładowo: dwa i pół tysiąca kilogramów chleba, tysiąc konserw mięsnych i rybnych, sto

dwadzieścia kilogramów cukru, tyleż konfitur, masła i czekolady, sto osiemdziesiąt kilogramów makaronu, osiemdziesiąt kilogramów kawy⁴.



Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej we Francji Stanisław Skrzyszewski (tyłem) i polscy repatrianci wyjeżdżający do kraju, Francja, 1946

Źródło: CAF/PAP



W tych własnoręcznie zbijanych skrzyniach, które potem przez dekady zalegać będą na strychach poniemieckich domów, Polacy upychają mniejsze sprzęty, urządzenia i odświętne ubrania. Osobno pakują łóżka, szafy, kredensy, stoliki. Do legendy przejdą ładowane na wagony samochody, górnicze wiertła i maszyny rolnicze – wszystko z myślą o odbudowie Polski.

Były i bagaże niematerialne: „Gazeta Polska” w numerze z 25 maja 1946 roku zaleca, by na drogę wziąć kulturę osobistą i dobry humor. Zalecenie brzmi jak wyjęte ze słownika kolonijnego wychowawcy, ale dalej robi się poważniej. Redaktorzy apelują, by pamiętać, że jadąc przez Europę, reprezentuje się ojczyznę.

Najwięcej emocji wywołuje jednak bagaż podręczny, liczony w „weź, ile uniesiesz”. Trudno oprzeć się wrażeniu, że na nowe życie bierze się co popadnie. Albo raczej: co w serce wpadło.

Rodzice Zofii biorą porcelanę – prezent ślubny. Elegancki serwis, malowany w pastelowe kwiatki, pyszni się w kredensie do dziś.

Andrzej z Belgii, wbrew zakazowi, bierze psa. Pakują bagaże na ciężarówkę, a Ferdek czeka, merda ogonem. Ludzie zwykle psy zostawiają, byle tylko nie na łańcuchu, byle furtki nie zamykać, a psina da sobie radę. Z Ferdkiem jednak jest inaczej. Andrzej go lubi, paśli razem kozy. Wskakuj więc na pakę, piesku liskowaty, bury fest, pojedziemy do Polski razem. Na miejscu będziemy się martwić, co dalej z pieskiem robić.

Liana: krakowski gorsecik.

Maria: koraliki. To koleżanki już na peronie zakładają jej na szyję kolorowe kulki nanizane na sznureczki, jeden sznur, drugi i jeszcze taki malutki, w sam raz na dziecięcą rączkę. Zawsze myślała, że jej nie lubią, one takie ładne, ona taka brzydka. (Nie była brzydka, na zdjęciach z dzieciństwa ma zawadiacki uśmiech, zmrużone oczy i gęste włosy związane kokardą). Dekorują Marysię jak lalkę, a po policzkach lecą im lezki, całkiem jak te koraliki. „Przestańcie, ja wrócę, we wrześniu wrócę, przecież zacznie się szkoła” – uspokaja je Maria, bo cały czas myśli, że ten wyjazd do Polski to tylko pierwsze w życiu zagraniczne wakacje.

Henryka: pudełko guzików.

Rodzina Daniela: piękną komodę i kilka innych mebli, podobnie jak rodzina Alfredy.

Rodzina Franciszka: pół wagonu mebli.

Marian: gazety. Tyle tam o nich miłych słów! Na przykład: młodzi z „Grunwaldu” zorganizowali dziesięciu swoim kolegom i koleżankom wyjeżdżającym w czerwcu 1947 roku z Bruay-en-Artois wieczornicę. „Niejedna łąza się poląła, gdy przemawiał prezes” – czytamy w zachowanym do dziś wycinku bez daty i tytułu. Są też wypowiedzi członków Organizacji Pomocy Ojczyźnie, którzy mówią czytelnikom: „Do zobaczenia w Polsce”, i tłumaczą: „Wolność zdobyliśmy, ale dobrobyt trzeba wybudować w mozolnej i wytrwałej pracy”. I jeszcze: „Wracamy do kraju przepojeni nie tylko szczęściem i radością, że wreszcie mamy swój dom, ale wracamy z mocnym postanowieniem wyłożenia wszystkich sił dla jego odbudowy gospodarczej i utrwalenia zdobytej władzy ludowej”⁵. Obok tych słów: pięciu uśmiechniętych mężczyzn na portretowych fotografiach.

Wszyscy bez wyjątku biorą zdjęcia.

Jest jeszcze kategoria inna, której bagażem nazwać nie sposób – człowiek to przecież nie bagaż, zwłaszcza kiedy tym człowiekiem jest ktoś bliski. Jednak z drugiej strony w sposobie, w jakim znajdowali oni miejsce w transporcie, było coś z pospiesznego pakowania tobołka, który potem przez całą podróż trzyma się na kolanach.

Zabieraniu rzeczy i zabieraniu ludzi czasem towarzyszy ta sama myśl: „Myślałam, że dam radę bez, ale jednak nie”. Mierzy się taki skarb wzrokiem, niby odkrywa na nowo, po czym odsuwa na próbę, lecz przy każdym oddaleniu coś ściska w sercu. Jakby od człowieka do owego skarbu biegła niewidzialna żyłka, może i naciągliwa, ale wiadomo, że gdy pęknie z trzaskiem, to dotkliwie zaboli, może nawet okaleczy. Negocjuje się więc: może się zmieści? Może się nie rozdzielimy? Czasem się udaje i bierze człowiek ów skarb ze sobą. Nawet jeśli wieko walizki albo drzwi wagonu trzeba dociskać na siłę. Tak było z Heleną.

Młodsza siostra Walerii różniła się od niej tak, jak tylko mogą różnić się siostry. Waleria – wiadomo: zaradna, odpowiedzialna. Helena: energiczna, impulsywna. W 1946 Heleną targnął akurat impuls, żeby nie jechać. Tu jej dobrze. W ręku porządny fach: w czasie wojny była sanitariuszką, w sercu wolność: nie dalej jak kilka miesięcy temu rozstała się z partnerem, nie dalej jak za kilka tygodni do Polski wyjedzie Walerka, a potem rodzice. Zostanie sama. Tyle swobody! Poza tym jakież impuls mógł targnąć sercem Heleny, jeśli za organizację transportów latem 1946 roku odpowiedzialny był nie kto inny, jak jej rodzona siostra?

Odjeżdżali w lipcu, Helena na pożegnanie przyszła więc w letnim ubraniu, tylko żakiet narzuciła na ramiona. Za jedyny bagaż ma torebkę na pasku, w niej drobiazgi, szminka, sreberko z czekolady, bilet do kina. Walerka w swoim żywiole – uwija się, załatwia formalności; jest ważna. Ona wszystko umie załatwić. Potem będą mówić na nią: „rodzinne Houston”. Walerka pojedzie, a Helena zostanie. Sama. Płacz już się gdzieś zbiera, ale to nic nadzwyczajnego, tutaj w każdej rodzinie ktoś płacze. Tyle że Walerka jest bystra, więc rozpoczyna mniej więcej taki dialog: „Helena, decyduj się, jedziesz czy zostajesz? Ostatnia szansa”. „Ale jak?...” „Jedziesz czy zostajesz?” „Ale jak mam jechać? Bez dokumentów, w jednej sukience?” Walerka uwija się, załatwia; jest ważna. Pakuje siostrę do

wagonu Polskiego Czerwonego Krzyża. Helena ze swoim doświadczeniem sanitariuszki nawet tam pasuje, nikt nie zadaje zbędnych pytań.

I jeszcze ostatni toast. Ostatnie p'tit vin we Francji. Kandydatów do podniesienia kieliszka jest wielu. Może być to ambasador Skrzyszewski, konsul generalny Piętka, mer Lens, mogą to być reprezentanci Rady Narodowej Polaków we Francji, kierowniczka Wydziału Opieki Społecznej w ambasadzie, reprezentanci sekcji polskich przy CGT, syndykatu górników, Polskiej Partii Robotniczej albo Polskiej Partii Socjalistycznej – przy odjeździe każdego z transportów na dworcu pojawiał się ktoś z nich. Zanim jednak podnieśli kieliszek i wychylili jego zawartość, musieli powiedzieć kilka słów. Zwykle miały one podobną treść i podobną temperaturę, a brzmiały na przykład tak: „Jedziecie jako żołnierze, nie na wywczas – na znój i trud szarego dnia. Życie wasze było ciągłą walką o postęp i demokrację – w Ojczyźnie czeka Was podwójny obowiązek pracy i walki z faszyzmem”⁶. To ambasador Skrzyszewski. „Pierwszy raz pociągi z górnikami jadą nie na zachód, ale na wschód, do Ojczyzny. Tam czeka na was praca. Przestajecie być tułaczami, a stajecie się gospodarzami nowej, demokratycznej Polski”⁷ – to przedstawiciel konsulatu. Reprezentanci francuskich kopalń i związków zawodowych dziękują za lata pracy na rzecz Francji i życzą powodzenia. Sąsiedzi kolejny raz pytają odjeżdżających, dlaczego nie chcą zostać, czy naprawdę było im tak źle?

Głos zabierają też sami reemigranci. Mogą powiedzieć jak obywatel Lewandowski, prezes Rady Narodowej w Ostricourt: „Jedziemy odbudowywać Polskę, która jest krwią zbryzgana”⁸. Albo jak obywatel Szela: „Wracamy do kraju jako świadomi obywatele. Przyrzekamy wypełnić wszystkie nasze obowiązki! Żegnam wszystkich. Wytrwajcie, bądźcie ufni i cierpliwi. Ojczyzna się na nas nie zawiedzie”⁹. Czasem piszą wiersze: „Więc, Francjo, żegnaj, »pour toujours«, na zawsze. / Idź w słońce, w szczęście i nie zwalnij kroku, / Niech dla Cię losy wciąż będą łaskawsze. / Patrz! Ja śpiewałem, teraz łzę mam w oku...”¹⁰.

I jeszcze raz: sztandary w górę, i hymn, i zdjęcie, zawsze takie samo: wstążka drewnianych wagonów, a wokół tłum. I już gwizdek, szcęk drzwi,

pierwszy obrót kół – jadą. Na moment zostaje po nich w tłumie pusta szczelina, ale po chwili znika, jak obłoczek pary na horyzoncie.

Pociąg

Kiedy myślę o Europie zaraz po II wojnie światowej, wyobrażam sobie makietę – jedną z tych, które czasem ustawia się w muzeach, z gipsu, a może z jakiegoś sztucznego tworzywa. Ulepiono na niej wzgórza, które pomalowano zieloną i szarą farbą. Wyżłobiono długie linie, których dno i ścianki pokryto błękitem – to rzeki. Są też płaskie fragmenty, na przemian zielone i niebieskie, nieregularne, jak umaszczenie jakiegoś zwierzęcia – to jeziora, pola, łąki. Te elementy pozostają niezmiennie, jednak poza nimi zmieniło się wszystko. Kreślone czerwoną przerywaną linią granice – zatarte i przesunięte, pomalowane na szaro klocki imitujące domy, urzędy, fabryki, katedry i uniwersytety – rozrzucone w nieładzie, jakby ktoś wypuścił z ręki kości do gry. Mosty i wiadukty pęknięte na pół, złożone w literę „V”, której szpic wbija się w wodę i ziemię.

W tym bezładzie wiją się srebrne szyny. Ich sieć jest gęsta, odnogi sięgają we wszystkich kierunkach, rozdzielają się na dwoje, troje, znów łączą w grube węzły, obiecując dotarcie do niemal każdego zakątka tego kontynentu o naruszonym porządku. Wystarczy jednak przyjrzeć się odrobinę uważniej, żeby dostrzec, jak długa i trudna to będzie droga. Srebrne nitki nierzadko trzymają się na ostatnim splocie: szyny są wygięte, spękane, przerwane, a czasem nie ma ich wcale. Niekiedy nie ma też stacji, z których można by odjeżdżać i do których można zmierzać, nie ma przepraw, którymi pokonywało się rzeki, nie ma wagonów. Są za to żołnierze, którzy na granicach, a niekiedy i wewnątrz państw sprawdzają dokumenty podróżnych, zaglądają w każdy zakamarek, każą się zatrzymać czy zjechać na bocznice i stać długimi godzinami. Trzeba przepuścić węgiel, maszyny, ziarno – to transporty ważniejsze niż te z ludźmi.

Mimo to jadą. Powoli, niewygodnie, naokoło, nadkładając po drodze kilometrów, cała Europa wraca do domu. Najpierw żołnierze, byli jeńcy, więźniowie obozów koncentracyjnych, ludzie wywiezieni na roboty przymusowe. To do nich należą transporty w 1945 roku. Potem jadą cywile,

ci, którzy uciekli przed wojną w 1939, i ci, którzy wyjechali na zarobek dekady temu. Pociągi zwożą ludzi z północy: z Danii, Skandynawii. Pociągi zwożą ludzi z południa: z Rumunii i Jugosławii. Zwożą ze wschodu: z ziem, które kiedyś były polskie, a teraz stały się częścią ZSRR. Wreszcie zwożą ich z zachodu: z Niemiec, z Belgii, z Francji. Większość pociągów kieruje się na południowy zachód Polski – to ziemia, którą trzeba jak najszybciej zaludnić tymi, którzy zetrą z fasad niemieckie napisy, z rogatek zdejmą nakreślone gotykiem drogowskazy, wyburzą stare pomniki i wzniosą nowe. Stworzą swoje domy, szkoły, zakłady pracy i miejsca rozrywki, w których będzie się mówić po polsku i kształtować kraj według nowych zasad.

Gdy jednych ludzi przybywa, innych ubywa. To Niemcy odjeżdżają „do siebie”, robią Polakom miejsce. Właściwie nie tyle odjeżdżają, ile są wywożeni. Zgodnie z planem terytorium Polski ma opuścić 3,5 miliona Niemców. Gazety nagłówkami na pierwszej stronie obwieszczają każdy kolejny transport, odliczają, ilu jeszcze ich zostało i jak szybko mogliby wyjechać. Zostają po nich mieszkania, meble, ubrania, czasem nawet niepokładane w szafach czy szufladach, tylko przewieszane przez oparcie krzesła, sztucce odstawione na brzeg talerza. Zostają bezpieczeństwa na chwilę, ale nowi właściciele już do nich jadą.

Do kraju Polacy wracają w wagonach towarowych, które czasem nazywa się „bydlęcymi”. Część reemigrantów dziś wzdryga się, słysząc to określenie. Jakie „bydlęce”, przecież było tak wygodnie! Rozłokowywano ich rozmaicie, ale najczęściej po dwie rodziny w jednym wagonie – to całkiem sporo miejsca. W niektórych transportach w wagonach instalowano drewniane prycze, częściej jednak na podłogach układano sienniki. Były świeże, nabite, pachnące – czegoż chcieć więcej, jeśli pociąg dudni i sam kołysze do snu.

Na końcu każdego wagonu wygospodarowano przestrzeń na prowizoryczną łazienkę, chociaż nie ma się co oszukiwać – staranna toaleta wchodziła w grę tylko na dłuższym postoju, a i wtedy trzeba było poczekać w kolejce. W czasie postoju można było też przygotować coś ciepłego do jedzenia. Na piecyku w kuchennym wagonie często bulgotała zupa dla

wszystkich, na obiad lub kolację, przedpołudniowe posiłki każdy przygotowywał we własnym zakresie. A na deser – czekolada z UNRRA.

Na sienniku albo z nogami przewieszonymi przez otwarte drzwi wagonu, ze śladami czekolady na zębach albo z lekko szumiącym w głowie winem, które zabrali na drogę, pojedą przez siedem dni, dziesięć, czternaście, czasem dłużej. A czasem wręcz przeciwnie, krócej: tylko cztery. W tym przypadku przed oczami podróżnych przesuwać się będą nie lasy, pola i miasta, lecz bezkresny błękit. Bo na makiecie Europy jest i morze. Nim pociąg na dobre się rozpędzi, warto spojrzeć na nie na chwilę.

Kolos

Legenda, olbrzym, miasto na wodzie. 160 metrów długości, 22 metry szerokości, 7 pokładów: słoneczny, łodziowy, spacerowy oraz pokłady A, B, C, D, 318 kabin zdolnych pomieścić ponad 800 pasażerów. Do ich dyspozycji: czytelnia, bary, restauracje, sala gimnastyczna, kino, kaplica. Gdyby potrzebna była pilna reperacja, czy to mienia, czy własnego wyglądu: szewc, krawiec, magiel, fryzjer. Najlepszej jakości, zaprojektowany jeszcze przed wojną przez najlepszych polskich artystów. To dzieło sztuki, to cacko, to narodowa duma. Płynię po nich.

Zbliża się, chociaż jeszcze go nie widzą. Zbici w tłumek na nabrzeżu w Hawrze patrzą w ciemność, w której co rusz rozbłyska jakiś portowy sygnał. 710 osób (a z odprowadzającymi nawet tysiąc) spogląda w jednym kierunku, przestępuje z nogi na nogę, wymienia uwagi, czyni nawet zakłady, z której strony nadpłynie, a gdy już się zjawia, wszyscy rzucają się w kierunku pokładu. Postawić stopę na Batorym to jakby już odrobinę być w domu.

Transatlantyk, zwykle kursujący na linii Gdynia–Nowy Jork, a po drodze zawijający tylko do Anglii i Danii, w maju 1949 roku zacumował w Hawrze specjalnie dla nich. To wyjątkowy kurs, nigdy przedtem i nigdy potem reemigranci nie wracali w ten sposób. Przyczyną tej anomalii były logistyczne i dyplomatyczne problemy – w ostatniej chwili Francuzi cofnęli pozwolenie na przejazd przez ich strefę okupacyjną w Niemczech¹¹. Rozwiązaniem okazał się luksusowy transatlantyk.

Teraz przed nimi cztery dni drogi, choć na statku takim jak Batory mogłoby być i czterdzieści. Jak podsumował reporter „Polski i Świata”, relacjonujący ten niezwykły transport: w takich warunkach nic tylko jeść, spać i jechać! Polacy w kajutach czują się lepiej niż w swoich dotychczasowych domach, łóżka są tak wygodne, że chcą się do nich kłaść, mimo że nie czują senności. Wstać jednak warto, choćby na posiłek. Na śniadanie serwuje się tutaj jajecznicę, konfitury, kawę. Barman rozlewa alkohole: „Może być un demi, może być także un apéro lub cokolwiek innego, jak na lądzie francuskim”¹². Dzieci, te podeksycytowane szkraby, które zadręczają pytaniami załogę i marzą – o zgrozo – o sztormie, można oddać pod opiekę „mamy okrętowej”, niani, która się nimi zajmie i pozwoli dorosłym skupić na nieco ważniejszych sprawach, jak choćby rozmowa. Jaki temat najpopularniejszy? Oczywiście: przyszłość. Cecylia, z lokami do ramion, okrągłą buzią i cienkim sznurkiem perełek pod szyją, przytula się do swojego męża o chłopięcej urodzie. Rejs Batorym to ich podróż poślubna. Zaplanowali, że dzieci urodzą im się w Szczecinie. To piękny plan, plan na całe życie, ale można snuć i plany mniejsze. Na przykład: kto obok kogo będzie mieszkał? „Na chwilę przed odjazdem się poznali, a będą sąsiadami. Franciszek Węgiel zamieszka w Zakrzowie, a Józefina Warchoń w oddalonej o cztery kilometry Wielowsi. Od razu w kumy się pozapraszali. Królewskie to będzie kumowanie”¹³. Można też od razu zakreślić się wokół sprawunków. Jak notuje reporter, „Robert Benisz jest oczkiem w głowie całej polskiej gromady. Jest bowiem fromagiste z Basses-Pyrénées, specjalistą od camemberta. Towarzysze podróży chwają się nim, jakby był przynajmniej akordeonistą. Bez przerwy każą mu opowiadać o tym, jak się ten ser wyrabia. On gada, a im ślinka cieknie. Już sobie jego przyszły adres co bardziej łakomi zapisali. Na Śląsk jedzie”¹⁴.

Na zbiorowym zdjęciu – tym klasycznym kadrze, na którym stłoczeni pasażerowie, oparci o balustradę widokowego pokładu, rzucają ostatnie spojrzenie na ląd – wyglądają lekko, swobodnie. Mężczyźni zdjęli marynarki, kobiety pozwalają, by wiatr delikatnie unosił im sukienki. Jakby jechali na wakacje.

Sen

Noc. Jak boli. Jakby ktoś wraził wrzeciono do środka i nim kręcił, a z każdym obrotem w brzuchu rozlewała się fala o ostrym grzbiecie. Czuć ją w pępku, czuć ją w nerkach. Najpierw każe się skulić, a potem jednak wstać, stanąć pokracznie, z ciałem zgiętym w pół, z głową zwieszoną, z oczami wbitymi w podłogę. Na tę podłogę między sienniki też wylewa się fala. To dziecko się rodzi. To jeszcze nie Polska, ale dokumenty maluchowi wystawimy już w Polsce. Niech ma w papierach, że w Polsce urodzony.

Dziecko, gdzie moje dziecko? Noc, ręce rozgarniają ją na oślep. Po palcami czyjaś twarz, ramię, krawędź walizki, słoma, miękkie tobołki. Jednak przede wszystkim przez kilka strasznych chwil pustka, ale zaraz ktoś wciska w ręce gładki, chłodny kształt metalowego uchwytu. Tutaj jest twoje dziecko, wózek przetoczył się na drugi koniec wagonu.

Dzień. Gdzie my jesteśmy? Jeszcze we Francji. „Jeszcze możemy zrezygnować. Weźmiemy dziecko i po prostu wysiądziemy. Chcesz?” – szept do ucha. „Chodźcie, chodźcie do drzwi, widzicie? Nasze miasteczko, nawet widać dom!” „Ani kroku – matka łapie syna za koszulę na karku jak kociaka. – Ani się waż”.

Co wy tam robicie? Przestańcie łaskotać siostrę w stopy. Jak chce spać, niech śpi. Co za dzieci! Nie biegajcie, pociąg zahamuje i będzie nieszczęście. Uważajcie w tych drzwiach, trzymajcie się. Nie machaj tak nogami, będzie drzewo przy torach, to ci tę nogę urwie. Nie włączcie na walizki. Stoimy, ale nie rozłóżcie się. Jeśli chcecie sikać, to za wagon, tylko nie dalej, bo pociąg ruszy i zostanieie tu sami. Przestańcie krzyczeć, przestańcie płakać. Nic złego się nie dzieje. Jedziemy. Stoimy, trzeba przepuścić inny transport. Zostaw ten rower, nie będziesz teraz na rowerze jeździł. Chodźcie, nagotowaliśmy zupy, gorąca, smaczna. Nie wiem, gdzie jest twoja kulka, nie wiem, gdzie jest twoja książka ze szkoły, nie wiem, jak długo jeszcze, pani kierowniczką mówi, że kilka dni. Tak, teraz jesteśmy w Niemczech.

W Niemczech – strach. Z ust do ust krążą plotki o napadach na pociągi, w których wiezie się dorobek życia. W powietrzu lecą kamienie, spadają gradem na ściany wagonów. Zamknijcie drzwi, czym prędzej. Nie,

otwórzcie, patrzcie, jakie biedne dzieci przy torach. Są jeszcze pomarańcze? Rzućmy im kilka pomarańczy. Lecą pomarańcze, lecą walizki, z walizek lecą ubrania, z worków zapasy jedzenia, z zawiniątek zdjęcia, pierścionki, z kieszeni drobiazgi drogie i bez nazwy. Co tam macie? Co wywozicie? To na pewno dary z UNRRA? To na pewno wasze rzeczy? Kontrola, rewizja, granica, to nie żarty, to jest strefa okupowana. Już po wszystkim, już spokój.

A co to za rumor tam z tyłu? Skąd? Z końca składu, z ostatniego wagonu. Tam? Ten wagon pusty jedzie i młodzież sobie orkiestrę urządziła. Zabrali akordeony, skrzypce, banjo nawet, to grają. Niech się bawią. Komuś wina? Jak się tu miło państwo urządzili, na następnym postoju zapraszamy do nas. Powiedzcie, co planujecie? Do pracy w kopalni? A młodzi, kim dzieci chcą być? Henia tłumaczką, Marysia nauczycielką, Władysław inżynierem. Jak pięknie.

Czekajcie, postój, kilka godzin postoiemy. „Zapraszam państwa przed wagony” – to głos Walerii. Ma szczęście ten, kto z nią jedzie! Jest kierowniczką transportu i kieruje nim wzorowo. U niej jedzenia zawsze starcza dla wszystkich, ona zawsze wie, o której skończy się postój, to ona wymyśliła, żeby nowo narodzone dziecko zarejestrować w Polsce, niech od razu ma polską metrykę. A teraz przechadza się wzdłuż pociągu w swoim eleganckim kostiumie, bucikach na niskim obcasie i szczupłą dłonią pokazuje, żeby zajmować miejsca, gdzie się da, choćby na trawie. „Liana, Maryś, wchodźcie na wagon”, a dziewczynce i jej bratu nie trzeba dwa razy powtarzać. Liana, oświetlona tym razem nie reflektorem, tylko lipcowym słońcem, mówi wierszyk, mama sama go dla niej napisała. Maryś przesuwa smyczkiem po strunach skrzypiec, a z instrumentu wydobywa się melodia, głęboka i smutna, jakby niepasująca do tego letniego krajobrazu, niesie strofy o Warszawie. Nagle wśród podróżnych robi się uroczyście, jakby było święto. Bo i mamy święto. Nowe święto – 22 lipca.

Wsiadajmy z powrotem, jeszcze trochę drogi przed nami, jeszcze cała Czechosłowacja. Stamtąd możemy wysłać telegram: „Transport górników w drodze do Kraju pozdrawia Gazetę Polską z Pragi”¹⁵. Albo „Jutro o 10 wyjeżdżamy, kierunek Wałbrzych. Nastrój wspaniały. Jutro będziemy w Polsce. Górnicy pozdrawiają Wychodźstwo”¹⁶.

Znowu stoimy. Zróbcie zdjęcie. Kto ma aparat? Zróbcie zdjęcie na pamiątkę! Teraz jest idealnie, tory zakręcają i jeśli wychylisz się przez drzwi, możesz uchwycić cały pociąg. Przystrojone gałązkami wagony wyginają się w delikatny łuk, a potem biegną już prosto. Ich końca nie widać, niknie między drzewami. Drzewa tworzą las, tak gęsty i równy, jakby ktoś sadził go od linijki, a potem z tą samą linijką w rękę pilnował jego wzrostu. Na fotografii ciemna ściana drzew stanowi tło dla pociągu. Z przodu, na pierwszym planie, ku torom zbiega skarpa porośnięta wysoką trawą i kwiatami na cienkich łądogach. Kobieta w białej sukience wyszła z wagonu i idzie teraz w tę łąkę, wiedzona sobie tylko znanym powodem. Cała ta scena skąpana jest w miękkim, ciepłym świetle, takim, jakie słońce daje letnim popołudniem. Gorąco leje się wtedy nie tylko z nieba, ale paruje też z ziemi, a wraz z nim unoszą się zapachy roślin, potu, świerkowej żywicy. W takich godzinach na świecie robi się cicho, robota leci z rąk, słowa staczają się z języków coraz bardziej leniwie, aż wreszcie głowa opada na ramię, a przed przymkniętymi oczami zaczynają przesuwać się obrazy przeszłe i przyszłe, jakby patrzyło się na krajobraz umykający za oknem pociągu.

Jeszcze kilkaset kilometrów, kilkadziesiąt, kilka, tylko patrzeć, jak będą na miejscu. Może na czyimś biurku dźwięczy telefon, może przychodzi telegram, a może po prostu ktoś biegnący w rachunkach, liczeniu dni, prędkości i kilometrów po prostu szturcha w ramię kolegę na małej stacji w Międzylesiu czy w biurze wałbrzyskiej kopalni i mówi: już czas. Rozwijajcie stare transparenty, a jeśli starych nie ma, weźcie kawałek materiału, farbę i wielkimi literami piszcie: „Witamy was, rodacy z Francji, na prastarej piastowskiej ziemi”. „Koledzy, wspólnym wysiłkiem naszym odbudujemy odrodzoną ojczyznę”. „Witajcie, już na zawsze z nami”. Narwijcie kwiatów, ułóżcie je w bukiety, zielone gałęzie splećcie w wieńce, pokrójcie chleb, kiełbasę, nasypcie cukierków, nastrójcie instrumenty, a jeśli to noc, zapalcie latarnie. Jeszcze tylko dzień, jeszcze tylko kilka godzin drogi od nas. Zaraz tu będą, trzeba ich powitać.

Plan powitań mają nie tylko precyzyjnie ułożony, ale też wielokrotnie przećwiczony – powtarzają go przy przyjeździe każdego transportu

górników. Na granicy w Międzylesiu postój i poczęstunek, potem prosto do Wałbrzycha, nie na główny dworzec, tylko na bocznice kopalni Biały Kamień albo Victorii. Sylwetka pociągu na horyzoncie albo wesoły gwizd lokomotywy są jak sygnał, który wprawia powitalną maszynę w ruch. Transparenty wędrują do góry, orkiestra chwytą za instrumenty: najpierw hymn, potem *Rota* i *Międzynarodówka*. Przerwy między pieśniami wypełniają okrzyki „Niech żyją!”. Gdy jedno i drugie wybrzmia, przychodzi czas na przemówienia. Wśród witających zwykle pojawia się reprezentacja załogi kopalni, rady zakładowej, lokalnych władz, partii. Na powitanie pierwszego transportu przybyła też posłanka Krajowej Rady Narodowej Aniela Makuchowa, która sama niedawno powróciła z Francji. W przemówieniach jeszcze raz podczas tej długiej podróży padają słowa o zniszczeniach, odbudowie, pracy, wyzwaniach i nowej Polsce. Cieszymy się, że jesteście, wiemy, że pracy się nie boicie. Głos może zabrać też ktoś z przybyłych. Na przykład reprezentant organizacji młodzieżowych, który przyjechał pierwszym transportem, mówił tak: „Polska przedwojenna była nam macochą, która skazała nas na tułaczkę. Dziś, aczkolwiek biedniejsza – będzie nam matką. Do niej właśnie przybyliśmy. Ale wiele było cierni na tej drodze. Peszyli nas, stawiali przeszkody. »Po co jedziecie do Polski, zginiecie z głodu« – straszili pachołkowie Andersa w czasie przejazdu przez Niemcy i Czechosłowację. Strachy na lachy – myśmy ani razu nie zwątpili”¹⁷. Z Francji nie przyjeżdżają z pustymi rękami, oprócz rzeczy osobistych często przywożą pamiątki czy podarunki. Z pierwszym transportem przybył biało-czerwony sztandar. Wręczając go przewodniczącemu rady zakładowej, reemigranci mówią, że chcą, by stał się on „sztandarem walki o utrwalenie zdobyczy demokratycznych i socjalnych górników kopalni Biały Kamień”¹⁸.



Powitanie repatriantów z Francji na dworcu w Międzyzlesiu, 1948

Źródło: bk/PAP

W tłumie witających są i dziennikarze. „Wysypuje się bractwo szybko na perony – skrobia w swoich notesach. – Niektórzy płaczą... tak – wyraźnie płaczą jak bobry – ten i ów rzuca się na ziemię, na prastarą piastowską ziemię i przytyka do niej usta. Polska! Polska! Po tylu latach – Polska! Skurcz chwyta za gardło”¹⁹. Takie artykuły ukazują się nie tylko w kraju, bo pociągami przyjeżdżają też korespondenci „Gazety Polskiej”, by opowiedzieć rodakom we Francji, jak wygląda ta reemigracja. Piszą na przykład tak: „Są rzeczy, które musi się przeżyć samemu. Przeżyjecie je, gdy i wy z kolei przekroczycie w drodze powrotnej po raz pierwszy od wielu lat granicę Polski. Wtedy usłyszycie ciszę, jaka nastąpiła w nocy z 20 na 21 maja na małej stacji granicznej w Międzylesiu, gdy przebrzmiały dźwięki »Jeszcze Polska« i ludzie z pierwszego transportu zaczęli schodzić z wagonów powoli i w jakimś świątynnym skupieniu na peron, który był polską ziemią”²⁰. A potem dziennikarze krążą w tłumie, zaczepiają, dopytują o pierwsze wrażenia. „Możemy śmiało je określić jako miłe rozczarowanie. Liczyliśmy, że zastaniemy gruz i lepianki – otrzymaliśmy natomiast, cały nasz transport, w ciągu trzech godzin po przyjeździe mieszkania, z których jesteśmy zadowoleni. Jeśli chodzi o aprowizację – otrzymujemy bezsprzecznie więcej chleba, cukru i tłuszczu aniżeli we Francji”. I jeszcze kilka słów o tym, jak się żyje teraz we Francji, jakie są nastroje? „W każdym mieszkaniu polskim (Polonia francuska liczy 600 000 ludzi) wisi orzeł biały, a pod nim portrety prezydenta, premiera, marszałka i wicepremiera Gomułki. Gdy zawiadomiono nas, że możliwym jest powrót do kraju, i wielu z nas nie wierzyło w takie szczęście aż do ostatniej chwili, biura repatriacyjne zapełniły się. Bądźcie pewni, obywatelu [...], wrócą rodacy z Francji, wrócą jak jeden mąż do Ojczyzny”²¹.

Wracają! Wracają! To ruch na horyzoncie czy tylko powietrze drży od upału? Jadą, jadą! Orkiestra! I raz, i dwa, i trzy!

Obudźcie się, wstańcie, to już. Słyszycie, jak grają? Już widać stację! Ale nie pchajcie się, po kolei, odsuńcie od drzwi, każdy chce zobaczyć. I jak? Jak tam jest?

Rodzice Marysi wychodzą z wagonu. Długo wodzą wzrokiem po stacyjnych budynkach, widocznym w oddali mieście, przygotowanym poczęstunku, orkiestrze, ważnych i oficjalnych gościach, a obrazy tutejsze

łączą z tymi, które widzieli po drodze. Wreszcie ojciec zatrzymuje spojrzenie na swojej żonie i cicho, jakby samymi tylko ustami, mówi: „Boże, co ja zrobiłem, że was tu przywiozłem?”.

Gra

Na Boże Narodzenie 1949 roku redakcja „Polski i Świata” podarowała czytelnikom sympatyczny prezent: grę planszową *Podróż dookoła Polski z przeszkodami*. Na jednej stronie rozkładówki nadrukowano mapę z wyrysowaną trasą, na drugiej umieszczono krótką historyjkę stanowiącą wprowadzenie do rozgrywki: „Korzystając z urlopu, kilku naszych rodaków postanowiło zwiedzić swój kraj ojczysty. Aby jak najlepiej poznać wszystkie zakątki Polski, podróż swoją postanowili odbyć na rowerach. [...]. Ponieważ nie wszyscy mamy możliwość, a wszyscy chcielibyśmy poznać nasz Kraj, pójdźmy w ich ślady i w miłej grze towarzyskiej odtwórzmy podróż naszych rodaków po Polsce”. Obok mapy są i „prawidła gry”, dość klasyczne: gracz rzuca kostką, a od wylosowanej liczby oczek zależy, o ile narysowanych na planszy pól przesunie się jego pionek. „Kolarzy czeka jednak w podróży wiele niespodzianek i przeszkód”: a to stocznię w Szczecinie trzeba odbudować, a to kopalnię zwiedzić, a to fabrykę wagonów we Wrocławiu obejrzeć, a to pierników w Toruniu pojeść²².

To musiało być przyjemne: w Boże Narodzenie usiąść przy choince i z rodziną przesuwając pionkami po wydrukowanej Polsce. A co gdyby Polska nie była wydrukowana, tylko prawdziwa, gdyby przemierzali ją nie kolarze, tylko reemigranci, a o ich losach decydowałyby nie „prawidła gry”, tylko urzędowe przepisy? Jak wtedy wyglądałaby „podróż przez Polskę z przeszkodami”?

Gra zaczynałaby się w kilku miejscach: Dzierżycach, Międzyzlesiu, Szczecinie, Gdańsku, Zgorzelcu, Koźlu i Legnicy. Wszystkie te miejsca nazywają się „punktami przyjęcia Państwowego Urzędu Repatriacyjnego”²³, organu powołanego w 1944 roku. To tam trafiają reemigranci po przekroczeniu granicy. W ciągu trzech pierwszych lat po

wojnie punkty te wydały 75 806 739 posiłków²⁴, prowadziły 241 placówek służby zdrowia, 114 kąpielisk i 60 komór dezynfekcyjnych. Urodziło się w nich 2742 dzieci²⁵. Łącznie, przez cały okres swojej działalności, czyli w latach 1944–1951, Państwowy Urząd Repatriacyjny zorganizował przemieszczenie 9 147 490 Polaków²⁶.

Rzuć kostką.

Startujesz w Międzylesiu – to tutaj najczęściej przekraczają granicę pociągi z reemigrantami z Francji. Przed długim budynkiem stacyjnym z cegły czeka już na ciebie komitet powitalny.

Rzuć kostką.

Wysiadłeś z pociągu. Ekipa fotografów wykonuje ci zdjęcie legitymacyjne. Przedstawiciele organów bezpieczeństwa wpisują twoje imię i nazwisko do długich tabel, po czym wydają ci tymczasowy dowód tożsamości²⁷.

Rzuć kostką.

Jeśli rzut wypadł szczęśliwie – od razu jedziesz dalej. Prawdopodobnie pozwolą ci wybrać kierunek: Wałbrzych (najpopularniejszy), Zabrze, Gliwice, Kędzierzyn. We wszystkich tych miejscach potrzeba górników do pracy. Przed podjęciem decyzji konsultujesz się z tymi, którzy przyjechali z tobą w jednym pociągu czy wagonie – lepiej trzymać się razem.

Jeśli rzut wypadł mniej szczęśliwie – czekasz jedną kolejkę. Razem z innymi pechowymi graczami kierujesz się do schroniska PUR, którego bramę ozdabia napis: „Witajcie nasi rodacy”. Praca w kuchni wre. W czterech dużych kotłach warzy się gulasz, każdy na powitanie dostaje talerz wypełniony po brzegi. Danie ponoć świetnie smakuje z polskim chlebem. W schronisku odebrać możesz mleko dla dzieci i paczkę żywnościową, w środku której kryją się pieczywo, konserwy i marmolada. Dodatkowo oferowana jest zapomoga w kwocie stu złotych oraz bony uprawniające do otrzymywania posiłków przez trzy dni. Jeśli czyjaś sytuacja materialna jest wyjątkowo trudna, może otrzymać również zapomogę rzeczową: buty, ubranie, koce²⁸.

Jeśli rzut wypadł całkiem nieszczęśliwie, czekasz dwie kolejki. Dowiadujesz się, że dla ciebie i innych reemigrantów z transportu nie ma

jeszcze przygotowanych mieszkań, zostajesz więc w schronisku PUR – tydzień, dwa, czasem dłużej.

Rzuć kostką.

Gratulujemy, jedziesz dalej. Mijas „punkty przelotowe” PUR. Możesz zjeść w nich coś ciepłego i uzyskać prostą pomoc medyczną.

Rzuć kostką.

Konwojent PUR, który miał opiekować się twoim pociągiem, oddalił się w nieznanym kierunku. W efekcie twój transport, zamiast na Śląsk, został skierowany do zupełnie innej części Polski²⁹. Cofasz się na poprzednie pole.

Rzuć kostką.

Na jednej ze stacji twoim przyjazdem zainteresowali się działacze Polskiej Partii Robotniczej. Pytają, czy nie chciałbyś odbyć stosownego szkolenia i wstąpić w szeregi milicji lub ludowego wojska. Stoisz jedną kolejkę.

Rzuć kostką.

Wysiadasz z pociągu, ale to nie Wałbrzych, Gliwice czy Bytom, tylko zupełnie inne miasto. Dowiadujesz się, że skierowano cię nie tam, gdzie potrzebowano górników, lecz tam, gdzie potrzebowano wagonów. Czekasz na kolejny transport³⁰.

Rzuć kostką.

Dojechałeś do punktu docelowego, ale wciąż nie ma dla ciebie mieszkania. Znów trafiasz do schroniska. Tam, dla zabicia czasu, sięgasz po gazety rozłożone na stoliku. Trafiasz na kilka artykułów o takich jak ty reemigrantach z Francji. „Jestem bardzo zadowolony z powrotu. Wszystkie dzieci mają pracę”. „[Górnicy] zajmują nowoczesne mieszkania dwu-, trzy-, cztero-, a nawet pięciopokojowe z kuchniami i łazienkami”. „To nie to, co we Francji. Tu czysto, ładnie i zdrowo”. „To, co zarabialiśmy we Francji, na pewno każdy zarobi i tutaj”. „Wszyscy powinni wrócić do kraju”³¹. Stoisz jedną kolejkę.

Rzuć kostką.

Opiekę nad tobą przejmują przedstawiciele lokalnego zjednoczenia przemysłu węglowego³². Podstawiają na dworzec samochody, które

zawożą cię do nowego domu. Prawdopodobnie znajduje się on przy ulicy lub w dzielnicy, którą zapełnią tacy sami reemigranci jak ty. Będziecie trzymać się razem.

Rzuć kostką.

Ty już przyjechałeś pociągiem, ale twoje bagaże i meble jeszcze nie. Przyjadą za kilka dni. Stoisz jedną kolejkę.

Rzuć kostką.

W twoim nowym domu nie ma okien. Mówisz, że nie chcesz w nim mieszkać.

Rzuć kostką.

Samochody zawożą cię do kolejnego domu. W tym nie ma żadnych sprzętów. Mówisz, że nie chcesz w nim mieszkać.

Rzuć kostką.

Samochody zawożą cię do jeszcze jednego domu. W tym nie ma podłóg. Mówisz, że nie chcesz w nim mieszkać. Kopalniani urzędnicy tracą cierpliwość i mówią, żebyś dalej radził sobie sam.

Rzuć kostką.

Znajdujesz lepszy dom, ale dowiadujesz się, że został on już przydzielony innemu osadnikowi.

Rzuć kostką.

Dom, który znalazłeś, został już przeznaczony na siedzibę urzędu.

Rzuć kostką.

Dom, który znalazłeś, okazuje się zajęty przez dzikich osadników.

Rzuć kostką.

Rzuć kostką.

Rzuć kostką.

W tej grze nawet dotarcie do mety trudno uznać za wygraną.

Opisany wcześniej powrót Batorym był jednym z ostatnich transportów zorganizowanych specjalnie dla reemigrantów. Rząd francuski nie zgodził się na podpisanie kolejnej umowy. Argumentów była cała lista: podobne umowy z innymi państwami już wygasają, mamy ułatwienia wizowe dla obywateli, którzy chcą indywidualnie starać się o wyjazd do ojczyzny, od wojny minęło już kilka lat i Polska powinna samodzielnie organizować

transporty, a wreszcie: francuska gospodarka też potrzebuje robotników. Najistotniejsze było jednak to, że opadła żelazna kurtyna i stopniowo pogarszały się relacje dyplomatyczne Polski i Francji.

W ten sposób rok 1949 zakończył okres masowej reemigracji Polaków znaną jako Sekwany. Od teraz do kraju można było wracać międzynarodowym pociągiem na koszt państwa. Transporty, organizowane za pośrednictwem Orbisu, odbywały się mniej więcej raz w miesiącu³³.

8 Gdzie ta Polska?

„To jest Hitler, Hitlerowi łeb urwiemy”. Maryś prostuje jedną rękę, drugą naciąga gumkę, mierzy. „Masz, teraz będzie dobrze, strzelaj”. Liana bierze od niego procę, wypuszcza kamień. Porcelanowa figurka rozpryskuje się z trzaskiem. „Ha! Dawaj następnego!”

Figurki to żadne hitlery, tylko małe królowny, pastereczki i myśliwi stojący rzędem w etażerce. Pewnie są coś warte, ale matka gotowa zrobić rodzeństwu awanturę, gdyby wzięli którąś ze sobą. Powtarza, że cudzego zabierać nie wolno, nawet jeśli właściciela już nie ma i nawet jeśli wszyscy inni biorą. Liana i Maryś mogą więc tylko biegać po pustych domach i dla zabawy niszczyć, co zostało. Jak po hitlerach, to trzeba zniszczyć. Dziwna to może zabawa, lecz tutaj wiele jest powodów do zdziwienia.

Na przykład Marysia dziwi się pogodzie.

Z pociągu na stacji Jedlina wysiedli we wrześniu. Niby złota polska jesień, a ona już marznie na kość. Na rozgrzewkę dobre byłyby pieczone kasztany, takie pyszne. Do ich przyrządzenia potrzebna specjalna patelnia z dziurkami, którą układa się na dwóch cegłach, same kasztany zaś trzeba lekko naciąć – inaczej mogą eksplodować. Tutaj nie ma ani specjalnej patelni, ani kasztanów, nie ma też pomarańczy, melonów, brzoskwiń, są tylko jabłka.

Smak pieczonych kasztanów to zapowiedź zimy. Ale cóż to za zima! We Francji cieniutką warstwę śniegu zgarniało się z trawników, rozcierało w dłoniach, pakowało do buzi, żeby białe dziwo zbadać wszystkimi zmysłami. Jeśli zdarzały się zasy, to chyba tylko z liści platanów, w które można było się zakopać po czubek głowy. Tutaj śniegu spada tyle, że rano nie sposób odepchnąć drzwi wejściowych. Sypie i sypie, mrozi i mrozi. Marysia znajduje sanki po Niemcach. Kiedy pierwszy raz idzie z bratem na górkę, zjeżdżają tak długo, że odmrażają sobie nogi. Nie bardzo rozumieją,

co się stało. Co to znaczy „odmrozić nogi”? We Francji zimą wkładali tylko skarpetki. Brat szaleje na nartach, wujek szaleje na nartach, sąsiedzi szaleją na nartach, ale zima potrafi mieć o wiele smutniejsze oblicze. Niektórzy się zaziębiają, chorują tygodniami, umierają na zapalenie płuc. Na polską zimą potrzebna jest ciepła odzież, a oni przywieźli tylko letnie sukienki, sandały, kapelusiki. Mama wydziergała im na drutach passe-montagnes, czyli kominiarki, jednak przydałoby się coś więcej. Najlepiej płaszczyk.

Na długiej liście „rzeczy do zrobienia po przyjeździe” – oprócz pozycji takich jak „znaleźć mieszkanie”, „rozpocząć pracę”, „posłać dzieci do szkoły” – zwykle znajdował się jeszcze jeden punkt: odwiedzić rodzinę. Zobaczyć bliskich, których często ostatni raz widziało się kilkadziesiąt lat temu albo których nie widziało się nigdy i znało tylko z listów. Ojciec Marysi, żeby ten punkt zrealizować, musiał pojechać pod Kielce. Nawet dziś podróż pociągiem z Jedliny do Kielc trwa blisko dziesięć godzin, po wojnie musiała trwać jeszcze dłużej. Zanim dotarł, słońce zdążyło zająć, on zgłodnieć, w ustach mu zaschło. Zapukał do jednego z domów, otworzyła kobieta. Poprosił o szklankę wody, a ona zniknęła w głębi domu, żeby za chwilę wrócić z kubkiem. Podaje mu go, patrzy uważnie, ale ledwo widzi zarys twarzy. Wokół ciemno; jeśli gdzieś w Kieleckiem jest elektryczność, to na pewno nie na uliczce za cmentarzem, przy której stoi jej rodzinny dom, ich rodzinny dom.

„Władek?”

Popłakała się. Nie widzieli się dwadzieścia cztery lata.

Ugościli go, nakarmili. Mieli przy domu tkalnię, produkowali materiały, były z tego pieniądze, niewiele, tyle żeby dało się przeżyć. Władek, coś by ci się należało z tego domu. Co niby? Co wy mi z tej biedy chcecie dać? Damy ci materiał na płaszcz dla córki.

W Jedlinie poza sankami i nartami są też inne zabawy. Na przykład Rosjanie bawią się w Białej Sali. Niemcom, którzy jeszcze zostali w mieście, każą grać do tańca. Biała Sala to piękny budynek – w Parku Zdrojowym, z lśniącym parkietem i gigantycznymi oknami. Rosjanie nie chcą wpuszczać tam Polaków. Nie chcą też wpuszczać ich do kina, a wyświetlają takie piękne filmy! Polacy nie mogą oglądać, ale mogą pilnować – kinem opiekuje się mężczyzna, który po rozpoczęciu seansu za

złotówkę wpuszcza do środka Marysię i jej koleżanki. Zamontował im nawet ławkę za ekranem. Oglądają, tyle że z ich perspektywy w pięknym świecie rosyjskiego filmu wszystko jest na opak.

Henryka, Władysław i Alfreda dziwią się szkole.

Jeszcze tak nie było, żeby polskie dziecko miało problemy w szkole. Chyba że jest to polska szkoła.

Henryka, ta prymuska, która we Francji przeskakiwała po dwie klasy i dostawała obrazki za najlepsze wyniki, pokazuje swoje świadectwo dyrektorowi szkoły. Co to jest? Jeśli Henryka chce iść do liceum, to musi mieć polskie świadectwo ukończenia polskiej szkoły podstawowej, które jest napisane po polsku. Henryka bardzo chce iść do liceum, a potem na romanistykę. Zapisują ją do siódmej klasy, choć przecież we Francji skończyła już podstawówkę.

U Władysława jeszcze większy bałagan. Jest 1948 rok, zaczyna obowiązywać nowy system edukacji. Nie ma już szkół powszechnych, gimnazjów i liceów, jest jedenaście klas, podzielonych na dwa stopnie: podstawowy (klasy I–VII) i licealny (klasy VIII–XI). Jak w ten galimatias wpasować francuskie wykształcenie? Dyrektor kręci nosem na widok jego świadectwa, jakby nie widział świetnych ocen z matematyki, biologii, geografii. „U nas jest wysoki poziom” – mówi. Ostatecznie wszystko kończy się pomyślnie. Władysław zaczyna naukę w IX klasie, czyli odpowiedniku dawnej III gimnazjalnej, nie traci ani jednego roku nauki, ale nerwy na samo wspomnienie dyrektora szarpią nim do dziś. Zwłaszcza na ten „wysoki poziom”, bo co to była za szkoła w tym Bolesławcu... Żal wspominać. Klasa przepełniona – dwa roczniki upchnięte razem. Budynek ledwo co opuścili żołnierze. Uczniowie pościągali ze strychu meble, zamiast ławek mają stoły, zamiast krzeseł – ogrodowe fotele. Tablice całe w dziurach, ponoć służyły Rosjanom za tarcze strzelnicze.

U Alfredy dykcja była od początku przychylniejsza – dziewczyna pokazała certificat d'études primaires i od razu przyjęli ją do placówki na Starym Zdroju w Wałbrzychu. Siedzi w ławce i patrzy na kolegów. Niczego im nie zazdrości, ani śniadania, ani ubioru, tylko tego, że gdy nauczyciel wywołuje ich do odpowiedzi, polskie słowa płyną im z ust tak lekko, tak swobodnie.

Zosia trochę dziwi się biedzie, ale bardziej temu, że może być jeszcze smutniej niż w czasie wojny.

Ma jedną koleżankę. Żadna z nich nie mówi dobrze w języku drugiej, ale to nie szkodzi, rozmawiają każda we własnym. Kiedy koleżanka się uśmiecha, skóra na jej policzkach zwija się w wiotkie fałdy. Na rękach ma bąble jak małe poduszcзки, gdy pękają, sączy się z nich płyn. Zosia czasem przynosi jej z domu coś do jedzenia, lecz to za mało. Dziewczynka gaśnie w oczach, aż wreszcie znika całkiem.

Jest jeszcze koleżanka ze szkoły, siedzą razem w jednej ławce. Ta dziewczynka też jest autochtonką i też pewnego dnia znika. Nie ma jej jeden dzień, drugi, trzeci. Zosia została sama w ławce i patrzy na pierwszy śnieg za oknem. Myśli – pewnie zachorowała. Smuci się chwilę, aż słyzy, że ktoś mówi: „Jaka chora?! Wczoraj widziałem, jak po wodę leciała w tych swoich letnich butach”.

Buty Zosi też nie mają się dobrze. Z całą garderobą jest kiepsko, letnie sukienki powoli się wydzierają, zimowych nie przywieźli, a nowych raczej nie będzie – chyba że zdarzy się cud. Takim cudem może być UNRRA (dziś Zosia mówi, że do końca życia nie zapomni tego słowa) albo niespodzianka z dawnego domu. Tym razem zdarza się niespodzianka. Kiedy wyjeżdżali do Polski, hodowane przez ojca gołębie oddali sąsiadowi pod opiekę, a on zajął się nimi tak dobrze, że jeden z ptaków zdobył nagrodę na wystawie. Sąsiad zrobił sobie zdjęcie z tym gołębem: beret, koszula z podwiniętymi rękawami, figlarny uśmiech, a w rękach ptak. Trzyma go tak mocno, że tylko łepiek wystaje ze splecionych dłoni. Sąsiad wsuwa zdjęcie do koperty razem z pieniędzmi z nagrody. W sam raz na nowe buty.

Brat Zosi dziwi się wszystkiemu. Gdy wysiedli na dworcu, szarpał ją za rękę, pytając: „Gdzie jest Polska?”, „Kiedy wreszcie przyjdzie?”.



Sąsiad rodziny Zosi z francuskiego osiedla. W rękach trzyma gołębia nagrodzonego na wystawie

Źródło: Archiwum rodzinne Zofii Satyły

Powszechne jest zdziwienie kłopotami mieszkaniowymi. Marysia przeprowadza się raz. Jej rodzina najpierw zajmuje ładny domek, lecz droga do niego wiedzie przez parcelę, gdzie stacjonują Rosjanie. Żołnierze zaczepiają dziewczyny, rodzice boją się o siostrę Marysi. Trzeba szukać bezpieczniejszego miejsca.

Rodzinie Władysława proponują różne domy: bez drzwi, bez okien, bez ogrzewania, jest nawet propozycja zamieszkania przy zakładzie obróbki kamienia. Wreszcie sami znajdują lokum – zajmują pół gospodarstwa opuszczonego przez Rosjan.

Henryka musi zamieszkać w pomieszczeniu przeznaczonym na sklep, na parterze. Za pieniądze, które rodzice przysyłali z Francji, wujek kupił im dom pod Poznaniem. Tyle że gdy rodzice Heni do niego zapukali, budynek miał już lokatorów. Stał wcześniej pusty, to ktoś zajął. Zostało im tylko to pomieszczenie na sklep.

Za to u Franciszka sprawę mieszkania udało się załatwić zaskakująco gładko. Po przyjeździe jego ojciec wybrał niewielki dom na wzgórzu, z trzema gruszami w ogrodzie, prawie taki, z jakiego wyjechał przed wojną. Tyle że niedługo się nim cieszył. Kilka lat później zmarł w szpitalu. Syn z Francji przysłał penicylinę – za późno.

Marian dziwi się brzydocie.



Dom, którego połowę po przyjeździe do Wałbrzycha zajęła rodzina Franciszka,
około 1946

Źródło: archiwum rodzinne autorki

Tyle od matki słyszał, jak w Polsce ładnie, a w jej rodzinnym Dębnie pod Przeworskiem najładniej. A zimą? W święta? Bajka! Wiezie syna w zimową bajkę, to bożonarodzeniowy prezent. Wsiadają w Rzeszowie, pierwsza myśl w głowie Mariana: Jezus Maria, dziura nie z tej ziemi. Stacja – do niczego. Latarnie – gazowe, do niczego. Miasto – brzydkie, nawet nie zniszczone, tylko jakieś takie byle jakie. Nic w nim nie ma. Mówi matce: takiego miasta jak Rzeszów to ja nie widziałem nigdy, to jest niemożliwe, takich miejsc na świecie nie ma. Czeka, synku, Dębno zobaczysz. W Dębnie: domy drewniane, bez wody, bez światła, bez biegnącej do nich bitej drogi. Spanie na piecach kaflowych, nocą krowę słyszać zza ściany. Pierwsza myśl: natychmiast wracać do Francji.

Nie ma jednak powrotów do Francji. Ale jeśli ktoś bardzo chce, może sobie Francję odtworzyć.

Wilcze Gardło

Zaprojektowano to miejsce tak, by było malowniczo – na działce pod miastem, zaraz obok gęstego mieszanego lasu. Wzdłuż wijącej się przez pola drogi w równych odstępach zasadzono drzewa, upodabniając ją do parkowej alei. Na końcu malowniczej trasy zbudowano zaś długi, wysoki budynek z bramą. Kto stanąłby przed tą bramą o świcie w dzień wiosennego przesilenia, zobaczyłby, że promienie słońca przechodzą dokładnie przez jej środek.

Wiozą ich tutaj ciężarówki – chevrolety z odkrytą paką^[16]. Na pace oprócz ludzi zmieścił się podręczny bagaż. Wśród walizek, poduszek, instrumentów i narzędzi ogrodniczych jeden przedmiot jest szczególnie cenny: biało-czerwony sztandar z orłem, który uszyto ręcznie, a później przyczepiono do wagonu wiozącego ich do Polski.

Jadą powoli, omijając powalone na drogę konary. Kiedy przejeżdżają przez umieszczoną w długim budynku bramę, nie ma już słońca. Jest późny wieczór, ciemno. Zeskakują z paki samochodu i zapadają się w błoto po same kolana. Taki to jest rynek na osiedlu Wilcze Gardło, wydzierżawionym przez Gliwickie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego. Osiedlu, które miało się zaludnić reemigrantami z Francji.

Co tam rynek, przez rynek przejdziesz i wrócisz do domu, choćby ubłocony. Najważniejsze są domy – o spadzistych dachach, wielorodzinne, dwurodzinne, jednorodzinne, im dalej od tonącego w błocie rynku, tym mniejsze. Budynkom na zewnątrz niczego nie brakuje, za to wewnątrz – wszystkiego. Piwnice zalane, z kuchni ukradziono nawet piece, nie ma żadnych sprzętów. I nie ma większości dawnych lokatorów. Ci, którzy nie wyjechali, wyglądają zza firanek. Patrzą, jak nowi przybysze kręcą się po rynku; ze sterty zwiezionych tu szpitalnych łóżek wybierają meble dla siebie, a potem zanoszą do domów. Tam postawią je obok skrzynek służących za krzesła i desek wspartych na ceglach – prowizorycznych stołów. Urządzają się.

Oczy za firankami należą do Niemców. Do niedawna to było ich osiedle, nie Wilcze Gardło, tylko Dankopfersiedlung Eichenkamp¹ – wzorcowe osiedle zbudowane dla członków oddziałów szturmowych NSDAP,

weteranów I wojny światowej oraz zwykłych Niemców, ale o zweryfikowanym pochodzeniu. Przy rynku, według zamysłu architekta, zamieszkać mieszkali urzędnicy i członkowie osiedlowej elity, nad lokalami usługowymi – ich pracownicy i właściciele, a przy szkole – nauczyciele. Przestrzeń dla wszystkich urządzono schludnie, prosto, w tak zwanym germańskim duchu.

Teraz jednak Niemców ma tu nie być, nie tylko w Wilczym Gardle, lecz w ogóle w Polsce, i to jak najszybciej. Wyjeżdżają, są wywożeni, robią miejsce dla Polaków. Czym prędzej, bo głód mieszkaniowy jest ogromny. Jak wyliczają badacze, w czasie wojny w polskich miastach i wsiach zniszczeniu uległo ponad półtora miliona mieszkań, na samych Ziemiach Odzyskanych liczba izb mieszkalnych zmniejszyła się o blisko połowę². Te zaś, które przetrwały wojenną zawieruchę, często nie nadawały się do zamieszkania – zagrzybione, zawilgocone, pozbawione szczelnych dachów, okien, drzwi.

Kreślone przez propagandę obrazy czekających na reemigrantów przestronnych, wygodnych i przede wszystkim dostępnych mieszkań okazały się dalekie od prawdy. Teraz „Francuzi” opowiadają o długich i uciążliwych poszukiwaniach domu, o tygodniach spędzonych w schroniskach Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, reporterzy donoszą zaś o „skandalu mieszkaniowym”³. Tłumaczą, że dla reemigrantów sytuacja ta jest bardzo dotkliwa, gdyż w poprzednim miejscu zamieszkania mieli doskonałe warunki⁴. Włodarze miast, by zaradzić problemowi, dokwaterowują, przesiedlają i ścieśniają. Mieszkaniowe niedobory próbuje się również łątać domkami fińskimi. Polska po części nabyła je od Finlandii w zamian za węgiel i koks, a po części od Związku Radzieckiego (ten zaś otrzymał je od Finlandii w ramach reparacji wojennych). Domki lokowano w Warszawie, Gdańsku, Zagłębiu Dąbrowskim i na Górnym Śląsku. Z myślą o reemigrantach z Francji wzniesiono dwa całe osiedla fińskie, na katowickich Bogucicach i Załęskiej Hałdzie. Choć domki te, wyposażone w kuchnię z piecem węglowym, łazienkę, dwa pokoje, piwnicę i poddasze, mogły wydawać się wygodne, ich standard znacząco odbiegał od tego, do czego górnicy przywykli we Francji. Jak opisuje historyczka sztuki Agata

Szydłowska w książce *Futerał. O urządzeniu mieszkań w PRL-u*, w 1950 roku Instytut Budownictwa Mieszkaniowego przyjrzał się warunkom, w jakich żyją ich mieszkańcy. Na Bogucicach nie doprowadzono elektryczności i wodociągów, na Załęskiej Hałdzie – kanalizacji i gazu, na obu osiedlach występował problem z nieczystościami, które zalewały piwnice lub podpływały do zlewu kuchennego. Część mieszkańców korzystała z wychodków, bywało również tak, że z uwagi na brak wyposażenia łazienek pomieszczenia te wykorzystywano jako składziki⁵. Pewną pociechę w tej zbieraniu bolączek stanowiły ogródki, gdzie uprawiano warzywa, sadzono kwiaty, hodowano króliki. Całkiem jak we Francji.



Dom reemigrantów z Francji na tzw. Ziemiach Odzyskanych we wsi Dębica, powiat pyrzycki, 1948

Źródło: NAC

W Wilczym Gardle nie było domków fińskich, były domy poniemieckie. Z około trzech tysięcy mieszkańców zostało tylko kilkanaście rodzin. Garstka ludzi, którzy wolą nie kłuć w oczy tych „nowych”. Wiedzą, że teraz to polskie osiedle. Czy raczej – „francuskie”. Dorosłego strach w domu

zamknie, ale dziecka pod kluczem nie utrzymasz. Mali Niemcy wychodzą na ulice Wilczego Gardła, z początku niepewnie, potem coraz śmieiej. Kopią piłkę, przychodzą do szkoły, zaczynają się stawać kolegami. I tylko nie chcą powiedzieć, gdzie jest skarb Hitlera. „Francuskie” dzieciaki same muszą rozkopywać ogródki przy domach. Za najcenniejsze znalezisko uznają hełm.

To w czasie wolnym, popołudniami, bo rano rodzice do kopalni, a dzieci do szkoły. W 1948 roku czasopismo „Górnik” opublikowało reportaż z Wilczego Gardła. Jest w nim dużo zabarwionych propagandą słów o wysokim standardzie życia, o tym, że górnikom na Górnym Śląsku powodzi się tutaj nie gorzej niż w Pas-de-Calais, jest i obrazek ze szkoły. „Na korytarzach i w salach gwar i hałas. Dzieciaki biegają poubierane w dziwaczne kostiumy. Przygotowują się do odegrania czarodziejskiej baśni *Trzewiczki szczęścia*. W polskiej szkole uczą się polskie dzieci”⁶.

Polskie dzieci urodzone we Francji od święta odgrywają baśnie, ale na co dzień czują się tak, jakby występowały w kabarecie. Na przykład w takim skeczu z matką reemigrantką i dyrektorem szkoły, który nierzadko jako jedyny w placówce dobrze mówi po polsku. Rzecz dzieje się w jego gabinecie.

Dyrektor zadaje jakieś pytanie.

Dziecko (patrząc na matkę): Czego on ode mnie chce?

Dyrektor: Nie rozumiesz? To masz tutaj zadanie, rozwiąż. Matematyka wszędzie taka sama.

Dziecko (nadąsane) oddaje kartkę z rozwiązaniem zadaniem.

Dyrektor: Nieźle, nieźle, szósta klasa.

Zmiana dekoracji, teraz jesteśmy w szkolnej klasie.

Nauczyciel: Co to jest rzeczownik?

Dziecko (do kolegi): O co on mnie pyta?

Kolega: Nad tablicą masz definicję, przeczytaj sobie.

Dziecko: Niby po jakiemu ja to mam czytać?!

I znowu zmiana dekoracji, z powrotem jesteśmy w gabinecie dyrektora.

Dyrektor (do dziecka): Pół roku już się tu uczysz, jak to możliwe, że ciągle nie mówisz po polsku? Co z tobą jest nie tak?

W domu, w ramach korepetycji, rodzice dają dzieciom do czytania gazety. Z ich ust wydobywają się poprawne dźwięki, ale młodzi nie mają pojęcia, co znaczą słowa, w które się układają. Starsze dzieci idą do liceum do Gliwic. Tam wybierają sobie przedmioty dodatkowe: francuski, łacinę. Nauczyciele krzyczą, że to nie do pomyślenia, żeby się obcych języków uczyć, a po polsku nie umieć. Lecz rodzice też nie mają łatwo. W kopalnianych korytarzach nowi koledzy mówią do nich po śląsku. Może inaczej nie umieją, a może nieco złośliwie dobierają słowa: „pyrlik”, „sztrom”, „kulik”. „Co, pieroński Żorzu? Nie rozumiesz?!”

Żorz nie rozumie, ale w samym Wilczym Gardle ani śląski, ani polski nie są potrzebne. Tu mieszkają tylko „Francuzi”, łącznie przyjeżdża ich półtora tysiąca. W tych domach pod miastem, pod lasem, za wysokim murem z bramą, nikt im się nie naprzykrza, a i oni nie potrzebują nikogo. Mają swoje władze – na administratora osiedla wybrali reemigranta, Ludwika Skibę, mają swoje sklepy z ulubionymi towarami – największe dostawy wina w Gliwicach zawsze jadą do Wilczego Gardła, mają swoje rozrywki – gdy na zewnątrz jest ładnie, można pograć w bule, a jeśli pogoda nie dopisuje, zaprosić przyjaciół na partyjkę belotki, mają swoją orkiestrę – nazywa się W, gra na instrumentach przywiezionych z Francji i często występuje na weselach. Zwykle pobierają się on z Francji i ona z Francji. Jeśli jest inaczej, to, które z Francji nie pochodzi, zaraz po ślubie kupuje zeszyt i notuje francuskie słówka. Nawet Niemcy, ci, którzy na początku trochę się bali, nauczyli się po francusku. Teraz można się z nimi dogadać, porządni z nich sąsiedzi.

W Gliwicach nazywają to miejsce „Małym Paryżem” albo „Małą Francją”. Tak mówili na nie w latach czterdziestych, tak mówią i dzisiaj. Gdybym chciała poznać przepis na winniczki z masłem i czosnkiem, mogę zapukać do drzwi w uliczce przy rynku. A gdybym przyjechała wiosną, na ciągnących się wzdłuż drogi polach mogłabym rano dostrzec postaci wypatrujące wśród traw liści mlecza.

Mała Francja

Wilcze Gardło to osiedle szczególne – wyizolowane, społecznie jednolite, niemal samowystarczalne, w którym półtora tysiąca reemigrantów zatopiło się na lata jak owad w bursztynie. Drugiej takiej enklawy nie ma nigdzie, są jednak miejsca podobne. I jest ich sporo.

Po wojnie Śląsk jest usiany Małymi Francjami. Tworzą archipelag miast, osiedli, ulic z pozoru typowych – tak samo jak inne biednych, tak samo zrujnowanych, z takim samym trudem dźwigających się z wojennej zawieruchy – ale jednak szczególnych. Na czym owa szczególność polegała? Zobaczcie sami. Witajcie w Małej Francji.

Żeby tu trafić, nie musisz mieć mapy – wszystkie te miejsca leżą blisko siebie, oddalone jedno od drugiego o kilka, kilkanaście kilometrów, zawsze w sąsiedztwie kopalni. Jest więc Mała Francja w Kamiennej Górze, gdzie zamieszkali dziadkowie Liany. Jest w Jugowie – tu mieszka Liana z mamą i bratem. Jest w świebodzickiej dzielnicy Pełcznica. Jest na wałbrzyskim Poniatowie, ze stolicą przy ulicy Rodziny Burczykowskich, tych samych Burczykowskich, którzy zginęli, walcząc we francuskim ruchu oporu. Jest na Białym Kamieniu, również w Wałbrzychu; dzielnicę nazywa się z francuska „Blanc Caillou”, a w jednym z szeregowych jednorodzinnych domków mieszka tu Alfreda. Jest w Jedlinie-Zdroju, tam znajduje się dom Marysi i tam na ulicy Kościelnej gra się w bule. Jest Mała Francja w Bolesławcu, gdzie zamieszkała rodzina Władysława. Jest Mała Francja przy Fałata w Bytomiu, w Boguszowie-Gorcach, w Zabrze...

Granicy Małej Francji nie wskazuje tabliczka, ale rozpoznasz ją niezawodnie, choćby po dochodzących głosach – polskiego tu niemal nie uświadczysz, chyba że wśród najstarszych, a i to tylko wtedy, gdy rozmawiają między sobą albo gdy chcą, by ich rozmowy nie zrozumiały dzieci. Rozpoznasz ją po wyglądzie ludzi. Tu każdy dzień przypomina niedzielny poranek w innych miejscach, gdy poboczem ku kościołowi suną elegancko ubrane tłumy (choć akurat w Małej Francji do kościoła chodzą nieliczni). Kobiety w sukienkach z barwnych materiałów, marszczonych w zmyślne fałdki, z upiętymi włosami, w kapeluszach. Mężczyźni – w beretach, z szyjami omotanymi apaszką. Z tymi dwoma akcesoriami

zdają się nie rozstawać, nawet gdy robią sobie zdjęcia przed kopalnią, zakładają fulary na ubrudzone węglem szyje. Dzieci w wydzierganych sweterkach, podkolanówkach zdobionych kokardką, pomponikiem czy guziczkiem, który choć mały, przyszyty jest tak zgrabnie, że przyciąga oko. Brudzi się to wszystko, niepraktyczne, czasem nawet przeszkadza w zabawie, ale za to jakie ładne! Ładnie ubranych ludzi mijają rowerzyści – tutaj prawie każdy ma rower. Eleganckie pary, zwłaszcza te młodsze, czasem chwytają się za ręce, patrzą na siebie przez moment i przystają na środku ulicy, żeby się pocałować. Ot tak, swobodnie, lekko. Nie lekceważ takich scenek. Nie ujrzysz ich nigdzie poza Małą Francją.

Rozpoznasz ją również po muzyce. Wystarczy, byś w sobotni czy niedzielny wieczór przyszedł pod hotel Grunwald, do sal na Sobięcinie, Poniatowie, Pogórze, do lokali, które noszą nazwy „Mały Wersal” albo „Lido”, a do twoich uszu doleczą dźwięki walców, tang, jazzowych kompozycji, piosenek Charles’a Treneta i Maurice’a Chevaliera. Jeśli zajrzysz przez okno, zobaczysz pary wirujące w tańcu. A jeżeli obrócisz się za siebie, może uderzy cię widok pustych ulic. Wszyscy są w środku, nikogo nie ma na zewnątrz. Komunikacja szwankuje, przyjazd autobusu to loteria, ale oni potrafią brnąć w śniegu przez kilka kilometrów, żeby tylko zatańczyć. „Dla nas liczył się tylko taniec”, „Dla nas te spotkania były jak msza” – będą mówić po latach. Taneczne wieczorki szybko stają się znane. Z Wrocławia przyjeżdżają studenci, żeby pobawić się z „Francuzkami”. Tańczyć chciałby każdy, ale nie każdy umie. Zdaniem reemigrantów tutejsi Polacy nie potrafią się bawić lekko, bez pijaństwa i awantur.

Możesz też zamknąć oczy i zasłonić uszy, a potem wciągnąć głęboko powietrze i wtedy poczujesz zapach Małej Francji. Rano będzie to kawa, ważniejsza od śniadania, a właściwie zastępująca śniadanie, bo komu potrzebny jest ten pierwszy poranny posiłek, chyba tylko dzieciom. Po południu pieczone ziemniaki i słodkie ciasto ze świeżymi owocami. I jeszcze wiosną – konwalie w ogródku, które zrywa się z początkiem maja i wręcza temu, kogo się kocha. Zapachy ledwo uchwytnie, rozpoznawalne tylko dla tych, którzy wiedzą, czego szukać, składają się na niezwykłą mieszankę, nośnik wspomnień silniejszy niż słowa i obrazy.

W Małej Francji nie musisz mieć ani mapy, ani kieszonkowego przewodnika. Oni sami z chęcią oprowadzą, każdy z tych dźwięków, obrazów, zapachów wzbogacą o jakiś szczegół. Liana opowie o filiżankach kawy – gdy sąsiadka przychodzi z wizytą, mama posyła ją do sklepu kolonialnego po pięć deko, na więcej ich nie stać, ale kawa rano i kawa na spotkanie musi być. Maria mogłaby opowiedzieć o francuskich kalendarzach ozdobionych pejzażowymi fotografiami – jej mąż tak bardzo je lubił, że znajomi z Francji co roku przysyłali mu kolejny egzemplarz. Alfreda o babci – kiedy słyszy, jak dziewczynka i jej siostra parują, wyzywa je od „selerów”. Dziewczynki chichoczą i rozmawiają szeptem, ale dalej po francusku. Tak najłatwiej. Henryka dorzuci nieco o kuchni: na obiad jarzyny. Pierogi, bigos – to rzeczy kompletnie nieznane. A na szczególną okazję, sylwestra czy 14 lipca, coś subtelnego: faszerowane pomidory albo cytryny z sardynkami. Oczywiście o ile uda się je dostać.

Najpiękniej jednak po Małej Francji oprowadzi Daniela. Może dlatego, że do Polski przyjechała, kiedy była malutka. A może dlatego, że nigdy nie wyjechała z Francji.

Uśmiechnie się do ciebie, zrobi kawę, poczęstuje kruchym ciastem, rozłoży zdjęcia na stole, wskaże, że za nią francuski mebelek, który do dziś sprawuje się pięknie, i na twoje zdziwienie, że jak to – „przyjechała, choć nigdy nie wyjechała”, odpowie tak:

– Ja żyłam w Polsce, a byłam we Francji. Moja mama umarła we Francji. We Francji w Kowarach, w Wysokiej Łące. W szpitalu mówiła tylko po francusku, gdy pielęgniarka próbowała protestować: „Pani Heleno, ja nie znam francuskiego”, to moja mama, ta cicha, łagodna, spokojna mama, aż unosiła się na łóżku i pytała: „To czemu przez całe życie się nie nauczyłaś?!”.
Tuż po przyjeździe zmieniała mieszkania do skutku, aż przywiodła ich do Małej Francji przy Burczykowskich. A tam: rodzina – „Francuzi”, przyjaciele – „Francuzi”, goście – „Francuzi”, wokół słyszy się tylko francuski. Mała Daniela uczy się czytać na roman-photo, książkach z fotoopowieściami przysyłanych z Francji.

Daniela opowie takich anegdot dużo: o tym, że jej ojciec nie uznawał śniadań, że ona z ciekawością zajadała u koleżanek sałatę ze śmietaną

i zabielałe zupy, tak inne od tych, które gotowała mama, że w soboty uwielbiała tańczyć z wujkiem, który potrafił nie tylko poruszać się en français, ale i grał na mandolinie. O tym, że gdy jej mama opuszczała Małą Francję, wystarczyło, by powiedziała kilka słów, a ludzie już komentowali: „Pani to chyba nie jest Polką”, że gdy tata pojechał do sanatorium, kuracjusze przewalili go „Francuzik”, komplementowali garnitur, buty. Z sanatorium pisał do żony kartki: „À ma petite femme, chère et aimée, de son petit mari. Bisous, je pense à toi”. „Do mojej żony, drogiej i kochanej, od męża. Całusy, myślę o tobie”. Niby z Zakopanego, a jakby z Paryża.

Pocztówki się nie zachowały, ale Daniela pokaże fotografie, na których rodzice wyglądają jak filmowa para – on w ciemnej marynarce i szerokich spodniach w kant, ona w białej sukience z kołnierzykiem, z torebką na cienkim pasku przewieszoną przez ramię. To ich pierwsze zdjęcie po przyjeździe do Polski.

Czas będzie płynął, ciasto z talerzyków zniknie, kawa ostygnie, a Daniela w swojej opowieści wyrośnie z tańców z wujkiem, z obiadów u koleżanki, z roman-photo. Będzie miała szesnaście lat i problem. Rodzice w sobie zakochani, w książkach ludzie zakochani, w filmach zakochani, a ona? Gdzie ona znajdzie miłość?

– Jak to? – pytasz, a ona się śmieje.

– Nie mieściło mi się w głowie, że mogłabym wyjść za Polaka. Wydawało mi się, że oni zupełnie inaczej żyją. Jak miałabym się odnaleźć w takiej rodzinie? I jeszcze rodzice tak często powtarzali: „u nich”, „u nas”. „U nich” to znaczyło w Polsce, „u nas” – we Francji. Zapytałam kiedyś tatę: „Tato, a kim my właściwie jesteśmy?”. Nic nie odpowiedział. Bąknął tylko jakieś „a wiesz...”.

Bo „Francuzi” nie tylko trzymali się razem, nie tylko tańczyli razem, ale i życie wiązali z innymi „Francuzami”. Osadników ze wschodu czy z centralnej Polski unikali. Słyszeli plotki na ich temat: że w łazienkach trzymają zwierzęta, że oszłamia ich blask w żarówce albo woda w kranie. Bliżej już było im do niewielkiej grupki Greków, ocalałych z Holocaustu Żydów, śląskich autochtonów czy nawet do Niemców⁷. Gdy Daniela jest

dzieckiem, obok nich mieszka taka para: ona Niemka, dwudziestoletnia, on „Francuz”, zaraz przed trzydziestką, bardzo przystojny.

– Przychodziła do mojej mamy pożyczać dla niego roman-photo – opowiada. – Pukała i mówiła tak: „Pani Helena, ja poproszę te książki, bo ten mój mąż, ta stara kurwa, jak nie ma tych książek, to w domu nie siedzi”. Kiedy drzwi się za nią zamykały, rodzice patrzyli po sobie i pytali: „Boże kochany, czy ona wie, co ona mówi?”. Chyba nie wiedziała, bo całkiem zgodnie było z nich małżeństwo.

Wiele było zgodnych małżeństw, bo w Małej Francji, oprócz języka, śpiewu, smaków, strojów i zapachów, była i miłość. Jak to miłość młodych – wesoła, jak to miłość w biedzie – smutna, jak to miłość wśród swoich – łatwa, jak to miłość po wojnie – trudna. Za to jak mało gdzie i rzadko kiedy – na całe życie. I może po tym też rozpoznałbyś to miejsce. Posłuchaj tylko.

Trzy historie o miłości

Historia pierwsza, w której wszystko zaczyna się od tańca

Gdyby mogła, toby pewnie nie poszła. Nie ma ochoty się malować, nie przepada za rozmowami, publicznie lubi tylko śpiewać. W szkolnym chórze na dwa głosy z koleżanką wykonywała nową piosenkę o Stalinie. Utwór nie bardzo jej się podobał, ale sam występ już tak – natura obdarzyła ją pięknym głosem, tak jak wszystkich w jej rodzinie. Powinna jednak pójść. Gdy zatrudniała się w garbarni, do metryki dodała sobie dwa lata. Deklarowanego wieku i tak nikt nie sprawdza, a niepełnoletniej mogliby nie przyjąć. Formalnie ma więc osiemnaście lat, a kto to widział, żeby taka duża panna w domu siedziała, gdy w Glinicy, na sali obok zakładów skórzanych, potańcówka. „A gdy przyjdzie nowy tydzień / Marzyć będziesz, że / Wreszcie przy sobocie / W wieczór, po robocie / W walcu znów spotkamy się”^[17].

Stoi więc. Razem z koleżanką mają sprzedawać kotyliony, ale na razie zajęły miejsce koło kaloryfera i patrzą po sali. Dziewczyny wystrojone, chłopcy eleganccy, wirują w tańcu, a między nim on. Trudno go nie zauważyć, komik i tancerz w jednej osobie, wokół niego zawsze wianuszek

ludzi. Kozaka tańczy tak, że ludzie schodzą się na jego występy. Skąd potrafi? Gdzie się nauczył? Chyba nigdzie – talent. Prawie każdy „Francuz” ma talent albo do muzyki, albo do tańca. I teraz właśnie podchodzi do nich i prosi do tańca. Patrzy na Marysię, a Marysia patrzy na Jankę. „Jania, ja nie umiem tańczyć, idź z nim...” „Ale ja nie Janię proszę, tylko ciebie”. Podaje jej rękę. Jeden takt, drugi, trzeci, jeden krok, drugi, trzeci. „Tu dances comme une vache espagnole”. Tańczysz jak hiszpańska krowa – śmieje się z niej. „Mówiłam, że nie umiem. Nie będę tańczyć”. „Nie wstydź się, ja cię nauczę”.

I poprosił ją też do następnego tańca. I kolejnego. Cały wieczór.

Z wojska w Białymstoku pisał do niej listy: „Droga Marysiu”. Nie pojechała na przysięgę, bo przecież nie byli parą, a poza tym to tak daleko. Zostały listy: „Miła Marysiu”.

Pierwszy urlop dostał po półtora roku, do Jedliny jechał dwa dni, dwa dni wracał, a urlopu miał tydzień. Gdy przyjechał, była sobota. Marysia wróciła z pracy o trzynastej i od razu do łazienki, zmyć z siebie zapach skór. Rozczesuje mokre włosy.

„Twój narzeczony przyjechał”. „Jaki narzeczony?” – na słowa brata grzebień prawie wypadł jej z ręki. „No Leon!” „Leon...” – tyle czasu minęło, że już prawie zapomniała, jak on wygląda.

Na wieczorną zabawę Marysia wkłada modny góralski sweter. On niby nie zwraca na nią uwagi, ale gdy tylko znika mu z oczu, rozpytuje w tłumie o dziewczynę we wzorzystym sweterku. W końcu łapie ją przy wyjściu, w ostatniej chwili: „A gdzie ty idziesz? Zabawa dopiero się zaczyna!”. Jest elegancki, poważny – ma już rangę plutonowego.

Z Białegostoku znowu przychodzą listy: „Kochana Marysiu”. W wojsku doskonale wiedzą, jak tańczy, proponują, żeby po służbie poszedł do „Mazowsza”, ale on nie chce, ma inne plany.

Na sylwestra idą razem. Obydwoje już świetnie tańczą i nie mogą się natańczyć. Kiedy północ bije, Leon podchodzi do Marysi i składa jej życzenia. Przecież przed chwilą już mi życzyłeś. Ale ja chcę jeszcze raz. Całe życie.

Pobierają się w latach pięćdziesiątych. Marysia z Francji i jej mąż Leon z Francji. Jej siostra też ma męża z Francji. Wujek żonę z Francji. W całej

rodzinie chyba tylko jedna ciotka wyszła za Polaka.

Historia druga, w której szukając jednego szczęścia, znajduje się drugie

„Waleria, idź zobacz na dół, jakiś Francuz się tu błąka”. „A to poza mną nikt tutaj nie mówi po francusku? Na całą radę wojewódzką nie ma ani jednego, który mówi?” Pokręciła głową, wstała, poszła. I tak miała już wychodzić.

Rzeczywiście, był. Trochę przestraszony, trochę wychudzony. Zabrała go ze sobą i tak Bruno, le vrai Français, prawdziwy Francuz, wszedł w życie jej rodziny i został w nim na zawsze.

Pod siedzibą Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych we Wrocławiu Bruno błąkał się przez chwilę. Po świecie jednak błąkał się od dobrych kilku lat. Niemcy złapali go, gdy walczył w Résistance. Płakał po nim ojciec wdowiec, płakali polscy przyjaciele z ruchu oporu. Szczególnie bliska Brunonowi była trójka z miejscowości Escaudain: dwóch chłopaków, braci, i ruda dziewczyna.

W ręce Niemców Bruno wpadł przy granicy z Alzacją i Lotarynią. Stamtąd zawieźli go do Breslau, potem do obozu w Gross-Rosen. Nie wiadomo, gdzie wypalili mu dziury w ścięgnach nad kostkami, przez co do końca życia chodził w osobliwy sposób. W obozie za współwięźniów miał politycznych Francuzów i rosyjskich jeńców wojennych. Kiedy Rosjanie byli już pod Strzegomiem, Niemcy popędzili osadzonych do wagonów i wywieźli do Dachau.

Wolność przyszła wiosną 1945 roku. Przez lata wspominał swój pierwszy posiłek po wyzwoleniu – kostkę masła znalezioną przy magazynie z żywnością. Jedzenie, które prawie przypłacił życiem. Po wojnie, jako były więzień obozu, wyjechał na rehabilitację do Szwecji, potem wrócił do Francji. „Mam nową kobietę – powitał go ojciec. – Urządziliśmy się tutaj, myśleliśmy, że już nie wrócisz. Twój przyjaciele? Już ich tu nie ma, wszyscy wyjechali do Polski”. „Ale dokąd?” „Nie wiem. Może w Czerwonym Krzyżu wiedzą”.

Zapytał w Czerwonym Krzyżu. Nie wiemy, prosimy poszukać we Wrocławiu. Zapytał we Wrocławiu. Nie wiemy, może jeszcze popytaj. Więc

chodzi, pyta, błąka się. Waleria spod siedziby związków zabiera go do Kamiennej Góry. Igły w stogu siana można szukać i stamtąd. Obiecuje, że pomoże mu przez swoje kontakty, ale niech Bruno wie, że ona nie ma dla niego zbyt dużo czasu.

Szuka i jednak znajduje. Jeden brat został architektem, drugi inżynierem, a piękna ruda dziewczyna ma już innego.

Helena, siostra Walerii, została nauczycielką. Ma nie tylko zawód, ale też własne mieszkanie i całkiem sporo czasu. Myśli sobie w tym czasie o Francji, z której przyjechała w jednej sukience. Miło z Brunonem powspominać Francję. Zatapiają się we wspomnieniach tak bardzo, że chłopak zapomina, kogo właściwie szukał.

Historia trzecia, w której brzmią dwa głosy

Mama, Waleria zwana Wałą, jest od smutku, córka, Weronika zwana Werką, od miłości. Była jeszcze Felicja zwana Felą – sortowała węgiel w belgijskiej kopalni. Feli już dawno nie ma, więcej się o niej nie dowiemy, ale to ona jest pierwszym ogniwem tej historii. Jest wreszcie i Andrzej, który do Polski zabrał się z pieskiem Ferdkiem, burym fest. Andrzeja też już nie ma, jego historii strzegą Wała z Werką. Wała pilnuje smutku, a Werka miłości. Opowiedzą tę historię na dwa głosy. Zaczyna Wała, głosem spokojnym i smutnym.

Ona z natury niebrzydka, a z ubrania i fryzury – wręcz ładna. On ładny i bez dodatków. Włosy układały mu się w fale, kwadratowa szczęka, a w twarzy wszystko jakby rozbiegało mu się na boki: brwi, płatki nosa, kąciaki oczu ciągnęły ku policzkom, układając się w uśmiech. To Wała miała zauważyć później, na razie widzi tylko plecy. Stoi przed nią przy ołtarzu, a ona już po samych tych plecach wie, że dumny. Dumny družba na ślubie jej kuzynki, Milki. Obok niego dwie druhny, gryfne, zwłaszcza ta z kosmykami jak płynne złoto. Jak ktoś ma takie włosy, to i w serce potrafi wlać złoto. Ze złotą dziewczyną tańczył najwięcej, z Wałą tylko raz.

To było lato, zimą dumny družba z dziewczyną jak płynne złoto poszedł na zabawę sylwestrową, a ona przelała mu się przez ręce i popłynęła w inne. Jaka duma to zniesie? Nowy rok jeszcze na dobre nie nastał, a on już pisał do Milki: daj mi adres tej, z którą tańczyłem tylko raz. Wała, nie

wygłupiaj się, adresu nie dawaj, przecież to Francuz. Niech Milka powie, że masz innego, od Francuza trzymaj się z daleka. Dziewczyny, co wy mówicie, jaki Francuz, on z Belgii! Wala, on z Belgii tylko przyjechał! We Francji się urodził, we Francji do szkoły chodził. Francuz. Po prostu Francuz. Wiadomo, co o Francuzach mówią: Francuz rozpuszczony, Francuz w Boga nie wierzy, do kościoła nie chodzi. Francuz zbałamuci i zostawi. Francuzi tylko ze swoimi chcą się żenić. Francuz dumny. Francuz ważny. Francuz przystojny. Francuz ubrany. Francuz szarmancki. Francuz jak całuje, to jakby człowiek wirował w tańcu. Francuz jak tańczy, to jakby człowiek w obłokach wirował. Stare panny sarkają, a młode zazdroszczą: lepszy Francuz niż chłopak ze wschodu, a nawet niż nasz chłopak, choćby i spod Warszawy.

Kiedy Francuz dostał adres, przyjechał do niej nie ze wschodu, nie z zachodu, ale z północy. Długa droga, choć krótka: z Bytomia do Zabrzegu jest tylko sześćdziesiąt pięć kilometrów, ale trzeba jechać trzema pociągami, a potem jeszcze dreptać do Bronowa kolejne sześć kilometrów, tam dom Wali. Drepcze za pierwszym razem sam, potem za każdym kolejnym drepczą już we dwójkę, ona odprowadza go na dworzec, a śnieg skrzypi im pod butami. On w długim eleganckim płaszczu, ona nie wiadomo w czym. Chciałoby się powiedzieć, że w czymś lichym, bo w domu oprócz niej ósemka rodzeństwa, albo wręcz przeciwnie: w czymś nowym, bo w domu, owszem, ósemka rodzeństwa, ale Wala pracuje w fabryce, to robota lżejsza niż w polu i pieniądze większe. On pracuje w kopalni, na zmiany. Tak sobie drepczą, milczą i myślą. Szmat drogi, jest czas, żeby pomyśleć. Czasem ważne decyzje podejmuje się w milczeniu. Dwa skrzywienia w końcu zlewają się w jedno.

Chata Walerki mała, dzieci dużo, jeden pokój, wszyscy w pokoju, tylko matka w kuchni. Czasem ważne sprawy załatwia się w kuchni. „Wiecie, ja będę się żenić”. „A co ty taki prędko?” „Robię na zmiany, nie pasuje mi, żeby tak jeździć”. „Teraz nie może być ślubu, dopiero co syna wydałam”. „W kwietniu?” „Świnię muszę odkarmić”. „Wrzesień?” „Niech będzie wrzesień”.

Dom mały, lecz ściany szczelne. Wala dopiero następnego ranka dowiaduje się od matki, że wychodzi za mąż. Nawet nie spytał, czy jej się

podoba. A może nie musiał? Może wiedział już od tego wesela? Albo z tego skrzypienia.

I jaka ta miłość Francuza? Kupuje kwiatki? Ma fular pod szyją? Kaszkiet? Daje prezenty? Na pewno, przecież to Francuz. Oni jak malowanie. Chwyci w pasie na ulicy, przyciągnie, pocałuje. Nie, on nie taki. On cichy, małomówny. Jakie kwiatki? Był wtedy w ogóle zwyczaj, żeby kwiatki kupować? Dziewczyny szepczą: „Co ta Wala? Mogła mieć każdego, wybrała obcego”.

Szybko ślub, wcześniej tylko zapowiedzi. Ksiądz grzmi z ambony. „Są tu tacy, co chcieliby do ołtarza, a metryki chrztu nie mają, może wcale chrztu nie mają?”. Walerka w ławce kuli się ze wstydu. Mogła mieć każdego, wybrała niewierzącego – szepczą złośliwi. Są jednak i dobre głosy: Wala, spokojnie, Wala, on nie taki. Sam do kościoła nie pójdzie, ale jak rodzina przyjeżdża do niego z wizytą, to już tak. Zobaczysz po ślubie.

I już wrzesień, i już po ślubie. Mieszkają z teściami w niewielkim pokoiku, kuchnia, łazienka na korytarzu. Mieszkają na kupie i jeszcze chwala, że lepiej tutaj niż w Belgii, ciasno, ale na swoim. Elegancki płaszcz musiał oddać ojcu. To była tylko pożyczka na zaloty. Miał za to rower. Piękny! Zachowało się zdjęcie, jeszcze z Belgii: cienka ciemna rama, kierownica prosta, srebrna. On też prosty: prowadzi rower chodnikiem lekko, bez wysiłku. Cały jest lekki, bez wysiłku. Za nim, na drugim planie, ludzie w marynarkach, w płaszczach, w kaszkietach, a on z gołą głową, w koszulce polo. W wyobraźni można zobaczyć, jak przechyla się do przodu, na moment zawisa nad kierownicą, żeby przerzucić nogę nad siodłem, i już rusza przed siebie ulicą. Na kierownicy jest dzwonek, dźwięczy pewnie czysto, a otuleni w palta przechodnie spoglądają przez ramię i rozpierzchają się na boki.

To było, jak mówi Wala, takie „jego coś” – po pracy wyjść z domu i przejechać się na rowerze. Sprzedał to swoje coś, żeby było za co wyprawić u brata chrzciny. Został mu jeszcze akordeon. Nie tylko on ma akordeon, ale nie każdemu akordeon uratował głowę.

Ledwo Andrzej przyjechał do Polski, wzięli go do wojska, a on wziął ze sobą harmonię. Wziął i bez przerwy grał. Najpierw tylko dla siebie, lecz zaraz usłyszeli go koledzy, więc grał dla kolegów, potem usłyszeli go

przełożeni, więc dla przełożonych. Całe koszary słuchały, jak Andrzej wydobywa dźwięki z instrumentu z dziesiątkami białych guzików. Nie pozwalali mu się ruszyć z koszar. Zostań, Andrzej, graj dla nas. Wreszcie napisał do siostry (na imię jej było Antonina, piękna Antonina, przywiozła z Francji bursztynową broszkę): „Weź ode mnie tę harmonię, bo mi życie nie dają. Przywieź trąbkę”. Zostań, Andrzej, graj dla nas. Zagraj francuskiego walczyka. Grał, a dźwięk niósł się ponad las otulający koszary. Idziecie do lasu? To ja z wami. Nie, Andrzej, zostań, graj, tam jamy i jary, wystające korzenie. Tam dużo cienia, dziupli, w dziuplach nie wiadomo, co się czai, nie wiadomo, kto się czai, dzieją się tam dziwne rzeczy, złe rzeczy. Bandy na żołnierzy napadają. Ludzie idą, a trupy wracają. I jak tu nie mówić, że muzyka mu głowę uratowała?

To było na długo przed ślubem, ale po ślubie Andrzej gra dalej. Za dnia przebiera palcami po węglowych grudach, wieczorem (jeśli ma akurat wolne, bo przecież robi na zmiany) po białych klawiszach. Przebiera na weselach, na zabawach, na imieninach. Palce przyciskają to klawisze, to stopkę wódki. Rzadko, niewiele, symbolicznie, nigdy nie przychodzi do domu pijany, czasem tylko podchmielony, ale to i tak dla Wali za dużo. Odstaw to, Andrzej, zostaw imprezy, zostaw harmonię. Mało pieniędzy? To i ja się zatrudnię z tobą na kopalni. Moja mama, Fela, pracowała w Belgii na sortowni, to i ja w Polsce mogę. Z cukru jestem?

Rodzi im się Weronika, a z jej pojawieniem mnoży się miłość. Teraz, gdy Werka jest już w tej historii, rwie się do opowiadania, pokazywania. Puszcza z kasety nagranie – o, takiego walczyka grał tata. Nie przesadza, naprawdę pięknie grał. Cały czas dodaje coś do opowieści matki. Wszystkie „przystojny” i „zdolny” są od niej. To ona ma kluczyk do spiżarni z bakaliarni. Nabrała ich pełne garście, obdziela nimi hojnie.

Rzuca pomarańcze. Cztery. Tyle tata kupił jednego roku przed Bożym Narodzeniem i kazał schować w piwnicy razem z choinką, żeby zrobić mamie niespodziankę. Rzuca cukier puder, biały jak śnieg. Werka stoi w tym śniegu po kostki i patrzy, jak z przystanku odjeżdża tramwaj z tatą w środku. Jest karnawał, a tata zamiast Werki pilnuje akordeonu. Instrument zabrał, dziecko zostawił, chociaż zaraz szybciotko po nie wrócił. Tak szybciotko, jak zjeżdża się z górki na sankach. Tata ciągnie je pod górkę,

ona zjeżdża z górki. Ma szczęście ta Werka, taki tata! Ma szczęście ta Wala.
Mogła mieć każdego, a wybrała czułego!

9 Nowy typ człowieka

Kiedy tylko dziadkowie zasypiali, wymykała się z domu. Otwierała okno pokoiku na pierwszym piętrze i na daszku garażu stawiała krzesło. Potem wystarczyły trzy zgrabne skoki: z parapetu na krzesło, z krzesła na daszek, z daszku na zasypaną śniegiem ziemię, i już ruszała w świat. Wcale nie daleki, biegiem pokonywała tylko kilka ulic, które dzieliły dom dziadków od rynku w Kamiennej Górze. Choć w tym przypadku „dom” nie był najtrafniejszym określeniem. Po przyjeździe do Polski jej dziadek zatrudnił się jako organizator ruchu sportowego. Miejsce pracy – hala sportowa, miejsce zamieszkania – pomieszczenia nad halą sportową. To właśnie tam Liana ma swój pokój.

Biegiem więc przez białe ulice, szybciej ślizgiem po lodzie, bo na rynku czeka już koleżanka Luda. Zdaniem Liany polska zima jest koszmarna. Latem, kiedy przyjechali, Polska miała jeszcze jakiś urok, chłód jednak rozebrał ją z kolorów, nie dając w zamian niczego, czym można by przykryć niedostatki. Jednej nocy zasypało ich tak bardzo, że ciocia Helena musiała wyskakiwać przez okno, żeby odkopać drzwi wejściowe.

Z Ludą jednak zimna jakby nie ma, jest tylko zabawa, tym lepsza, że nie wiedzą o niej dziadkowie. Dziewczynki rzucają się w zasy i rękami rzeźbią w śniegu anielskie skrzydła. Albo inaczej: lepią sobie fotele i toczą długie rozmowy w zimowym salonie. Jak to zwykle z dobrymi i tajnymi zabawami bywa, psują je dorośli. W tym przypadku owym dorosłym jest ojciec Ludy. Pewnego wieczoru, gdy wraca z drugiej zmiany, nakrywa dziewczynki na rynku. Wygania je do domów, a sam puka do drzwi dziadków Liany. Czy oni wiedzą, co wnuczka wyrabia nocami? Czy matka wie? Nikt nie wie, dziadkowie śpią, matka pracuje – zawodowo, społecznie, bez przerwy.

Zaczęła, ledwo przyjechali do Polski. Z pociągu poprowadziła ludzi przez Jugów, w górę ulicy. Tu puste domy, wybierajcie, kto gdzie chce zamieszkać. Dla was ten? Tamten? Wszyscy już wybrali? A ty, Walerko? Twoja rodzina gdzie zamieszka? Dla nas ten ostatni, na samej górze. Niewielki, ale wystarczy. Bierze, co jest, co władza daje. Rozdziela meble z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego – zostały wprowadzić rzeczy po Niemcach, ale do zdomowienia każdemu czegoś brakuje, to stołu, to krzesła, to naczyn. Walerka pomoże, załatwi. Rozdziela jedzenie, najpierw to, które zostało z transportu, później to przysyłane przez UNRRA. Dziś Liana mówi, że dzięki mamie żaden z reemigrantów nie był głodny. Zakłada pierwszy sklep kolonialny. Organizuje transport dla górników pracujących w kopalni w Nowej Rudzie, już nie muszą pokonywać piechotą prawie ośmiu kilometrów. Po pracy – odpoczynek. Razem z „Francuzami” otwiera teatr, ma dla aktorów teksty, ma stroje i rekwizyty. Kapelusze, które przywiozła z Francji, bardziej nadają się na scenę niż na ulicę. Są eleganckie, ale nie chronią przed chłodem, a zima coraz bliżej. Opał również załatwi. Waleria, filigranowa aktywistka w spódnicy i żakiecie, pomaga urządzić się ludziom. Władzy też pomoże się urządzić.

Wyborcza gorączka

Władzę w Polsce od czerwca 1945 roku sprawował Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, powołany na mocy ustaleń z konferencji w Moskwie, pod nadzorem trzech mocarstw koalicji antyhitlerowskiej. Jak wskazywała nazwa, miał to być jedynie organ doraźny, pełniący swoją funkcję do czasu przeprowadzenia demokratycznych wyborów. Choć ustalenia z Poczdamu nakazywały zorganizować je na początku 1946 roku, władze długo czekały z ogłoszeniem terminu. Nic dziwnego – działacze Polskiej Partii Robotniczej i satelickich organizacji, stanowiący trzon TRJN, doskonale zdawali sobie sprawę, że nie cieszą się poparciem społecznym pozwalającym na zwycięstwo w wolnych wyborach. Głosowanie więc odwlekano, a kiedy wreszcie ogłoszono jego datę: 19 stycznia 1947 roku, w ruch poszły wszelkie dostępne administracyjne, propagandowe i siłowe narzędzia, mające zapewnić komunistom wygraną.

Polska Partia Robotnicza wraz z Polską Partią Socjalistyczną, Stronnictwem Ludowym i Stronnictwem Demokratycznym utworzyły wspólną listę wyborczą o nazwie Blok Demokratyczny. Jedynym opozycyjnym ugrupowaniem dopuszczonym do wyborów było Polskie Stronnictwo Ludowe, którego członków poddawano najróżniejszym szykanom. „Stronnictwo p. Mikołajczyka wspiera i krajowe, i światowe ogniska podżegaczy wojennych”; „protektorzy Niemiec są protektorami Mikołajczyka”; „przyjaciółmi p. Mikołajczyka za granicami kraju są mężowie stanu, którzy szykują Polsce grób” – pisano w gazetach¹.

Blok Demokratyczny na listach wyborczych otrzymał numer trzeci. „3” na pierwszej stronie w gazecie; „Głosuj na 3, to twoja lista” – czerwonymi literami w poprzek strony; „3 to stałość granic i ład wewnętrzny” – wyróżnione ramką; „Coraz bliżej wybory. Coraz bliżej ten dzień, który stanie się dniem zwycięstwa wszystkiego, co w Polsce twórcze, ofiarne, świadome”² – w tekstach dziennikarzy. Opisywani przez nich mieszkańcy Ziemi Odzyskanych mieli okazywać niezachwiane poparcie dla Bloku, i to na długo przed pójściem do urn. Ofiarnie wpłacali na Fundusz Wyborczy PPR: Wrzeszcz Jadwiga – tysiąc złotych, Bernard Maciej – tysiąc złotych, Czyżyk Irena – pięćset złotych³. Kupowali cegielki, organizowali zabawy sylwestrowe ze zrzutką. Przedwyborcze zebrania robili szoferzy, kolejarze i przedstawiciele przemysłu dziewiarskiego, na wiecach we Wrocławiu gromadzili się rzemieślnicy, kupcy i pracownicy spółdzielczy, by przez aklamację przyjąć rezolucje, w których zobowiązali się do głosowania na numer trzeci⁴, manifestacje w Wałbrzychu zaś „swoją liczebnością przeszły najśmielsze oczekiwania organizatorów”⁵. „Robotnicy Jeleniej Góry jawnie głosować będą za Blokiem Stronnictw Demokratycznych”⁶ – deklarowali. I wreszcie: „Każdy Polak na Ziemiach Odzyskanych głosuje na listę nr 3”⁷.

Gdzie w tym przedwyborczym napięciu „Francuzi”? Nie ma ich wśród cytowanych przez gazety robotników, nie pokazują ich sylwetek kroniki filmowe, próżno szukać informacji o zebraniach wyborczych organizowanych przez nich lub tylko dla nich. Ryzykowne byłoby jednak stwierdzenie, że planowali głosować na opozycję. Z większym prawdopodobieństwem można założyć przeciwny scenariusz. Jak podaje

badacz polskiej emigracji Paweł Sękowski, spośród pięćdziesięciu tysięcy emigrantów, którzy w latach 1946–1947 powrócili do ojczyzny, co najmniej siedemnaście tysięcy było członkami francuskiego oddziału Polskiej Partii Robotniczej. „Oznacza to, że co najmniej trzydzieści pięć procent repatriantów aktywnie sympatyzowało z reżimem politycznym nowej Polski”⁸ – wnioskuje na tej podstawie. Liana do dziś pamięta wierszyk, który ułożyła dla niej mama, z puentą: „Niech mój głos dziecięcy na cały kraj leci, żeby każdy Polak głosował na numer trzeci”.

19 stycznia 1947 roku, dzień wyborów, jest zimny i wilgotny. Według prasowych relacji na Dolnym Śląsku pierwsze do urn ruszają Żary, tu już od szóstej rano pod drzwiami lokali wyborczych czeka spory tłumek⁹. W Namysłowie osiemdziesięcioletni obywatel Turkiewicz, wychodząc z komisji, oświadcza głośno: „Tylko trójka zapewni mojej ojczyźnie dobrobyt”. W tym samym mieście wiernych do komisji prowadzi ksiądz: „Tylko na trójkę radzę głosować moim parafianom”. Koledzy z zakładów pracy idą do lokali razem. W Legnicy swój głos oddaje wspólnie siedmiuset kolejarzy. W Wałbrzychu dla wyborców zorganizowano „rozgrzewalnię”, by nie musieli marznąć przed siedzibami komisji. Furmanki z wyborcami blokują drogi, przez udekorowane miasta zdaje się płynąć morze ludzi. W Złotoryi „w grzywy koni wplecione białoczerwone wstążki. Wszystkie kobiety w odświętnych strojach. Wiele z nich przyjechało do głosowania razem z dziećmi”. Do klap płaszczy przypięte szpilką karteczki z wyrysowaną starannie trójką.



Wizyta przedwyborcza Michała Roli-Żymierskiego w Wałbrzychu, 16 stycznia 1947. Maszerujący niosą transparent wzywający do głosowania w nadchodzących wyborach parlamentarnych na listę nr 3 – Bloku Stronnictw Demokratycznych, czyli koalicji Polskiej Partii Robotniczej z kilkoma mniejszymi, podporządkowanymi jej partiami politycznymi

Źródło: NAC

W Jugowie Liana z matką idą na przedzie pochodu, zaraz za orkiestrą, dalej wszyscy „Francuzi” z ich ulicy. Wyszli z domów w ludowych strojach, kto nie miał, włożył najelegantszą sukienkę, garnitur, wyczyszczony płaszcz. To dla nich święto i jak przystało na święto, idą procesją, w dół ulicą Jabłońską, aż do lokalu wyborczego w Ludwikowicach. Po głosowaniu wszyscy pójdą razem dalej – U Sroki jest zabawa. Będą tańce, ma zagrać „francuski” zespół. W tym gronie tajemnicy wyborczej nie ma – wszyscy będą głosować na „trójkę”. Może nawet zagłosują bez kolejki, bo ci, którzy przychodzili w zorganizowanej grupie, doprowadzani przez partyjnych aktywistów, nie musieli czekać w ogonku dla indywidualnych wyborców. Głos do koperty, koperta do urny.

Z głosowaniem tak w Ludwikowicach, jak i na całym Dolnym Śląsku wyborcy nie zwlekają. Do godziny dziesiątej rano głos ma oddać 40 procent uprawnionych. Około trzynastej redaktor „Trybuny Robotniczej” odbiera telefon – gmina Wleń w powiecie Lwówek skończyła

już głosowanie, parę minut później kolejny – to wybory skończył sam Lwówek. O godzinie dziewiętnastej frekwencja miała przekroczyć 90 procent. Po dwudziestej pierwszej zaczynają sływać pierwsze wyniki wyborów. „ZWYCIĘSTWO! ZWYCIĘSTWO!! ZWYCIĘSTWO!!!” – ogłaszają redaktorzy.

Dosypywanie kart do urn, podmienianie urn, podmienianie protokołów, fałszowanie list – piszą dzisiaj o tych wyborach historycy.

Ale na razie jest 1947 rok i jest zwycięstwo. U Sroki parkiet zapełnia się roztańczonymi parami z Jugowa i Ludwikowic. Ich wyborczy wieczór jest odświętny, lecz noc niespokojna. Kiedy wracają do domów, padają pierwsze strzały. U Walerii jest telefon, jedyny na całej ulicy. Dzwoni, a głos w słuchawce mówi, żeby nie wychodzić z domu, zamknąć, a najlepiej zabarykadować drzwi, okna zasłonić.

Strzały w nocy – przerażający to dźwięk, lecz jednocześnie znajomy. Według Liany kule nie pierwszy raz latały nad „francuską” ulicą. Jest przekonana, że strzelali członkowie Werwolfu, niemieckich partyzanckich oddziałów, albo Ukraińcy, którzy mieli się kryć po lasach. W świetle ustaleń historyków bardziej prawdopodobni wydają się zdemoralizowani wojskowi, milicjanci, szabrownicy albo zwykli bandyci¹⁰.

– Mama dostawała pogrożki, że ją odstrzelą – opowiada dzisiaj Liana. – Za co? Za to, że jest przywódczynią komunistycznych „Francuzów”.

Pamięta listy przysyłane do domu, karteczki przyczepiane do drzwi i do płotu, których autorzy pisali, że Waleria ma się wynosić.

Waleria dostała pistolet. Czuje się z nim bezpieczniej, kiedy wraca po nocy z delegacji, z niezliczonych wizyt w Nowej Rudzie, Kłodzku, Świdnicy. Ale co pomoże jeden pistolet w taką noc? Lepiej – tak jak poradził głos w telefonie – zabarykadować się w domu. Helena i Maryś przesuwiają szafy, zasłaniają nimi okna. Wszyscy wchodzą na piętro. Waleria nie śpi całą noc, a rano oznajmia, że tutaj mieszkać się nie da. Przeprowadzają się do Kamiennej Góry, a nowy adres zdradzają tylko najbliższym znajomym. Strzelanina i pogrożki nie są jednak dla Walerii powodem, by zrezygnować z aktywności politycznej i społecznej, z członkostwa w PPR. Wygrane wybory też nim nie są, bo przecież tyle jeszcze do zrobienia. Zimą wziąć sanki, latem włożyć wygodne buty

i w drogę, na wieś, namawiać chłopów do łączenia gospodarstw, do zakładania spółdzielni. Dla młodzieży otworzyć świetlicę, przygotować wystąpienie na zebranie, jako przedstawicielka związku zawodowego skontrolować warunki pracy kobiet. Ogrom obowiązków!



Osiedle górnicze w Wałbrzychu, 1948–1949

Źródło: NAC

Ludzie patrzą na Walerię i gadają. Mówią różne rzeczy, czasem miłe, że „wszystko potrafi załatwić”, że świetna z niej organizatorka, a czasem uszczypliwe. Na przykład że jest „agitatorką”. Liana nawet dziś się napina, gdy słyszy to słowo.

– Agitator to ktoś, komu się płaci. Dla mnie: wredny typ. A moja mama naprawdę wierzyła w to wszystko.

Nie ona jedna. „Francuzi” – komuniści. „Francuzi” popierają nową władzę. „Francuzi”, którzy wrócili do Polski na zaproszenie komunistów, którzy przyjechali w pociągach udekorowanych portretami Bieruta, którzy już w wagonach celebrowali nowe komunistyczne święta. We Francji należeli do CGT i CGTU, w Polsce też zapisują się do związków zawodowych. I do partii, najpierw do PPR i PPS, potem do PZPR. Szybko pną się w hierarchii. „[Powracający z Francji] znajdują tu prawie na

wszystkich szczeblach swoich rodaków reemigrantów. A to od zastępcy naczelnego dyrektora, przez wicedyrektorów czy dyrektorów na kopalniach, sztygarów i nadgórników oraz urzędników w przemyśle węglowym. To samo począwszy od starosty, przez burmistrzów, wójtów i sołtysów w administracji państwowej lub w organizacjach i partiach politycznych”¹¹ – podsumowuje na łamach „Górnika” Jan Warowny, który sam przyjechał z Francji, a teraz jest zastępcą naczelnego dyrektora Dolnośląskiego Zjednoczenia Przemysłu Węglowego.

W Wałbrzychu, gdzie skupisko reemigrantów jest szczególnie duże, zaczyna się mówić, że „tutaj rządzą Francuzi”. „Francuzi” po latach odpowiadają, że przyjechali odbudowywać ojczyznę i robili tylko to, o co ich poproszono.

„Wzywamy pod nasze sztandary każdego młodego robotnika, chłopca i inteligenta, każdą młodą robotnicę, chłopkę i inteligentkę”^[18]. Alfreda zapisuje się do Związku Młodzieży Polskiej.

„Niech żyje braterstwo narodów słowiańskich!” Franciszek zna nie tylko francuski, potrafi się dogadać również po angielsku i po niemiecku i chętnie służy swoimi umiejętnościami. Jedzie jako tłumacz na festiwal młodzieży do Bukaresztu. Na pamiątkę przywozi okolicznościową apaszkę, na której dzieci o różnych kolorach skóry, ubrane w tradycyjne stroje, trzymają się za ręce.



Franciszek (po lewej) prawdopodobnie na Światowym Festiwalu Młodzieży
i Studentów w Bukareszcie, 1953

Źródło: archiwum rodzinne autorki

„Niech żyje Polska Partia Robotnicza, bojownicza o wolność Narodu Polskiego”. Franciszek służy też swoim czasem. Za pracę przy kampanii wyborczej do sejmu otrzymuje okazały dyplom ozdobiony biało-czerwoną szarfą. W domowych zbiorach ma i inne pamiątki. Na przykład kartę uczestnictwa w Zlocie Młodych Przodowników Budowniczych Polski Ludowej, zorganizowanym w Warszawie w 1952 roku. Na karcie wyrysowano panoramę stolicy z rusztowaniami, wypisano cytaty z Bieruta i broszur ZMP. Jest również zaproszenie na akademię z okazji dziesiątej rocznicy powstania Polski Ludowej i dyplom poświadczający nadanie odznaki „Zasłużonego Przodownika Pracy Socjalistycznej”. I wiele innych podobnych dokumentów.

„Pracą naszych młodych rąk zagospodarujemy Ziemię Zachodnie”. Maria w niedzielę staje na rozstajnej drodze i czeka, aż odbierze ją samochód. Jeździ na wieś pracować w czynnie społecznym.

Od polityki, czyli od kultury

Bywało, że zaangażowanie w odbudowę Polski i umacnianie nowego ustroju miało charakter incydentalny, zamykało się w jednej akcji, inicjatywie czy w pewnym okresie życia konkretnego człowieka. Bywało jednak i tak, że aktywistyczny zryw zaważył na całej przyszłości, karierze i pozycji społecznej. Dla Mariana praca w szeregach Służby Polsce stała się lekcją na resztę lat, zgodnie zresztą ze sloganem tej organizacji: „Służba Polsce – wielka szkoła życiowa nowego pokolenia”.

Ta lekcja zaczęła się jednak w innej instytucji, w szkole górniczej działającej przy kopalni. Marian rozpoczął tam naukę krótko po przyjeździe. Część tygodnia w pracy, część tygodnia w szkole, trochę na dole, trochę na górze, a nie wiadomo, gdzie gorzej.

Na dole – robota ciężka, ale byłaby do wytrzymania, gdyby nie ojczym.

– Co to była za cholera – wspomina Marian. – Szedł i jadł. Od windy do stanowiska miał z kilometr, więc zanim dotarł na miejsce, śniadanie było już zjedzone. Nie było już powodu, żeby przerywać pracę. Brał się do roboty i robił do końca zmiany, bez żadnej pauzy. Mówił, że nie po to przyjechał do Polski, żeby odpoczywać.

Nikt nie chce z nim pracować w brygadzie, przydzielają mu więc Mariana, bo ten przecież nie może odmówić.

W szkole – niewiele lepiej. Na trzydziestu uczniów w klasie dwudziestu przyjechało z Francji. Nie tylko mówią inaczej, ale też liczą inaczej, zadania rozwiązują inaczej. Tylko rozrabiają tak samo jak młodzi na całym świecie. Na przykład rzucają zapalonymi zapalnikami w różne przedmioty, im cenniejszy przedmiot, tym lepszy. Poza Marianem nikt nie ośmiela się jednak rzucić w portret „najważniejszego wodza”. Wizerunek zajmuje się ogniem i szkołę też jakby ktoś podpalił. Dyrektor grzmi: jak nikt się nie przyzna, to wszystkich was wyrzucę. Marian przyznaje się honorowo, a w nagrodę za cywilną odwagę dostaje wezwanie do Urzędu Bezpieczeństwa. Idzie razem z ojczymem.

– Zależało mu, żebym pracował, a nie żebym siedział w więzieniu – wspomina.

Więzienia nie będzie, ale jakieś konsekwencje muszą być. Bo przecież wszyscy widzieli: koledzy i nauczyciele, dyrektor słyszał. Odejdiesz ze szkoły, pójdziesz do Służby Polsce na szkolenie. Po szkoleniu pytają: gdzie chcesz iść do pracy? Marian odpowiada: do Warszawy, budować Polskę. Budować Polskę, powiadasz? To zapraszamy do Krakowa, a właściwie do Nowej Huty.

Na miejscu lokują ich w okrągłych namiotach, trochę przypominających jurty, pięć brygad, po dwieście osób każda. Spędzą tutaj trzy miesiące – względnie krótko, bo są i brygady sześciomiesięczne, są nawet roczne. Przez ten czas mają się uczyć czytać i pisać (na propagandowych filmach widać, jak młodzi ludzie, którzy chęć wstąpienia w szeregi junaków SP potwierdzili kilkoma krzyżykami, siedzą w szczerym polu i stawiają w zeszytach pierwsze litery)¹², władać karabinem (obok szkolnych tablic na obrzeżach wielkich budow stają tarcze strzelnicze), a po obowiązkach mogą dla relaksu pograć w siatkówkę (są zaimprovizowane boiska). Przede wszystkim jednak mają pracować. Brygada Mariana zbuduje bloki na jednym z nowohuckich osiedli.

Mariana murarska robota jednak nie interesuje. Przez trzy miesiące nawet nie zobaczył powstającego kombinatu. Bo i po co? On przyjechał do Huty jako zastępca dowódcy brygady do spraw politycznych.

– A co to znaczy do spraw politycznych? Prawie tyle co do spraw kultury – przekonuje dzisiaj.

Przez trzy miesiące Marian organizuje: wykłady o tym, czym jest Służba Polsce, jakie są założenia komunizmu, w jakim kierunku ma się rozwijać Polska gospodarka, jak wygląda historia ruchu robotniczego...

– Politycznie to ja byłem dobrze przygotowany, zawsze się przykładałem.

A do tego rzeczywiście kultura:

– Występy, piosenki, tańce, nie nowoczesne rock and rolle, tylko ludowe mazurki, i wycieczki po okolicy. Te ostatnie szczególnie lubiłem – wylicza.

Z każdym dniem podoba mu się na tym politycznym stanowisku coraz bardziej. Zadaje sobie pytanie: może właśnie to jest praca, którą mógłby wykonywać przez całe życie?

Po wyjeździe z Nowej Huty wraca do swojego Kędzierzyna. Zatrudnia się jako aparatowy w Zakładach Azotowych – daleko, zdawałoby się, od politycznych funkcji. Zostaje brygadzystą, etatowym członkiem rady zakładowej, potem jej przewodniczącym. Lubi to stanowisko, jest trochę jak w junakach: pogadanki, zabawy, wycieczki. Minie jednak kilka lat, a polityka sama upomni się o niego.

Potrzeba więcej takich ludzi

Przyglądają się „Francuzom” inni mieszkańcy Dolnego i Górnego Śląska, przygląda się i władza. Prasa poświęca im sporo uwagi, choć nie są ani najliczniejszą, ani najbardziej „egzotyczną” grupą, która zjechała po wojnie, bo przecież mieszkają tu również Polacy z Rumunii i Jugosławii, są też Grecy – uchodźcy po przegranej przez komunistów wojnie domowej. Mało kogo jednak zauważa się tak często jak „Francuzów”. Konkurs na górniczy pamiątnik? Wśród laureatów reemigrant z Francji. Reportaż o sytuacji mieszkaniowej? Zajrzyjmy do mieszkań reemigrantów z Francji. Nowo otwarta szkoła zawodowa? O opinię zapytajmy syna reemigranta, siedzi w pierwszej ławce. Nowe maszyny w kopalniach? Pod ziemią natrafiamy na pracującego górnika, który niedawno powrócił z Francji.

Dziennikarze mają dla nich szpalty, politycy duże słowa: powitania, podziękowania, nieustające namawianie do powrotu tych, którzy wciąż pozostają we Francji. Mają też gesty, ale raczej puste. Za kwiatami, sztandarami, uściskami dłoni rzadko idą decyzje mające realny wpływ na poprawę warunków pracy i standardu życia. Słowa się wypowiada, a gesty wykonuje najczęściej wtedy, gdy „Francuzi” mogą posłużyć za ilustrację sprawności nowego państwa. To oni według oficjalnej propagandy mieszkają w wyremontowanych domach, jeżdżą nowymi liniami autobusowymi, uczą się we właśnie otwartych szkołach i osiągają sukcesy w zakładach pracy wyposażonych w nowe maszyny. Mają być żywym dowodem na to, że polskiemu państwu można zaufać, a ono tego zaufania nie zawiedzie.

Stanowią doskonały przykład. To nowi Polacy. „W Wałbrzychu powstaje nowy typ człowieka, tworzą go ci, którzy wrócili z tułaczki na obczyźnie. [...] Potrzeba nam [...] więcej [...] ludzi pracy, ludzi z doświadczeniem, a takimi są reemigranci, którzy dziś wysuwają się na czoło tak w pracy zawodowej, jak i społecznej, i w administracji”¹³. To dzięki nim w mieście wyrosły żłobki, przedszkola, prewentoria, świetlice. W Kędzierzynie repatriantki założyły spółdzielnię pracy „Promień”, w której szyje się pantofle i konfekcję, w Gliwicach powstaje przedszkole i ośrodek zdrowia. „Kroczymy śmiało i pewnie ku lepszej przyszłości”¹⁴.



Grupa chłopców, reemigrantów z Francji, gra na boisku w dwa ognie, Wrocław, 1948

Źródło: W. Sadowski/PAP

„Francuzi” doceniani i zauważani są przede wszystkim dlatego, że większość z nich wykonuje zawód górnika. W wyniku akcji reemigracyjnej przemysł węglowy przyjął 14 362 pracowników kopalń z Francji. Nominalnie to stosunkowo niewiele – ogół zatrudnionych w górnictwie w 1949 roku wynosił 215 tysięcy osób¹⁵ – lecz to wyjątkowo cenni pracownicy. Na emigracji zdobyli wiedzę i praktykę, jakich nie ma żadna inna grupa osadników. Ich kompetencje są niezbędne do zapełnienia miejsc po Niemcach, którzy opuścili Polskę po wojnie. „Bardzo dobrzy górnicy to ci, którzy wrócili do kraju z zagranicy, z Francji, Belgii, Westfalii. Obeznani są z niejedną kopalnią i nie lękają się żadnej pracy”¹⁶ – mówi inżynier Stachurski z kopalni „Centrum” w Bytomiu. A Józef Szczęśniak, dyrektor Centralnego Zarządu Przemysłu Węglowego, potwierdza: „Do sukcesów, jakie osiągnął polski przemysł węglowy na przestrzeni ostatnich lat, w niemałej mierze przyczynili się górnicy reemigranci z Francji, Belgii, Rumunii i innych krajów”¹⁷. To oni wydobywają „czarne złoto”, które odgrywa kluczową rolę gospodarczą, a także polityczno-propagandową.



Uczniowie szkoły górniczej w Wałbrzychu, 1948–1949

Źródło: NAC

„Polski węgiel odbudowuje Europę”¹⁸. Choć tego rodzaju hasła wygłaszano często i przy różnych okazjach, jedna z nich była szczególna. To przedsięwzięcie miało przyciągnąć nie tylko tłumy rodaków, ale i gości z zagranicy, jednym i drugim udowadniając, że Polska sprawnie radzi sobie z zagospodarowywaniem Ziem Odzyskanych, które trzy lata po wojnie stanowią już integralną część jej terytorium. Miało pokazać, że kraj w imponującym tempie, z rozmachem dźwiga się z wojennych zniszczeń. Onieśmielić skalą, oczarować estetyką, zachwycić myślą technologiczną i oszołomić energią społeczeństwa, które zmierza do ambitnego celu.

Zapraszamy na Wystawę Ziem Odzyskanych. Poszukajmy na niej „Francuzów”.

Wystawa

Widziana z daleka, przypominała miniaturę nowoczesnego miasta. Wzdłuż jego ulic wyrosły niskie pawilony ciągnące się niczym produkcyjne hale, strzelające w niebo prostopadłościanny, przeszklone sześciany, cylindryczne wieże; wyrósł wreszcie centralny punkt założenia – iglica tak wysoka, że

aby dostrzec jej czubek, trzeba było odsunąć się kilka kroków i zadrzeć głowę, aż niejednemu zwiedzającemu chrupnęło w karku.

W pawilonach stanęły gigantyczne maszyny, fragmenty linii produkcyjnych, laboratoryjne stoły, małe tkalnie, wytwórnie zeszytów i porcelany. Pokazywano materiały, kryształy, kajaki, protezy kończyn i kościelne świece. Częstowano piwem, wyrobami mlecznymi i cukierkami, które można było jeść wprost z fabrycznej taśmy. Powstały dom rolnika, rybaka i osada bobrów. Nad głównym placem wystawy rozpięto ażurowe łuki – trzy, tak jak plan trzyletni i trzy lata, które upłynęły od zakończenia wojny. Znalazło się również miejsce na sztukę – Jan Cybis i Jerzy Wolff namalowali tryptyki, Henryk Stażewski i Bohdan Urbanowicz pokazali prace na szkłe, Xawery Dunikowski zaś wyrzeźbił *Robotnika*; umieszczono go na wysokim cokole i natychmiast okrzyknięto „głębszym, ludzkim symbolem Wystawy”¹⁹. Stworzone przez artystów monumentalne postacie zatraconych w pracy kobiet i mężczyzn górowały nad tłumem, który poruszał się po terenie wystawy niczym po futurystycznym lunaparku. Oprócz części edukacyjnej i gospodarczej znalazła się tu bowiem również część ludyczna, z karuzelami, huśtawkami i elektrycznymi samochodzikami. Przemieszczanie się między nauką i rozrywką ułatwiał miniaturowy pociąg, przewożący zwiedzających z jednego krańca ekspozycji na drugi. „Mam wiele podziwu dla waszych inżynierów i artystów, którzy stworzyli to wielkie dzieło” – miał powiedzieć po obejrzeniu tego bogactwa Pablo Picasso, jeden z zagranicznych gości²⁰.

Na trwającej od 21 lipca do 31 października 1948 roku Wystawie Ziemi Odzyskanych można było szukać wielu nowych rzeczy, ale można też było próbować odnaleźć kawałek własnego życia. Przez moment popatrzeć, jak wykonywana każdego dnia praca prezentuje się w eleganckiej przestrzeni pawilonów, posłuchać, jak brzmi oficjalna opowieść o tym elemencie gospodarczej maszyny, której samemu jest się częścią. „Francuzi” tej opowieści o sobie mogli szukać na przykład w pawilonie włókienniczym – część reemigrantek, tak jak matka Liany, znalazła zatrudnienie w zakładach konfekcyjnych. Albo w pawilonie porcelany, fajansów i wyrobów szklanych – Polska Kronika Filmowa uwieczniła młodą reemigrantkę z Francji, która „macza pędzel w szczerym złocie, aby ozdobić nim

kobaltowy talerz”²¹. Mogli przyjrzeć się gazetkom ściennym w kularach Hali Ludowej, poświęconym kulturze czasu wolnego, i pomyśleć o tworzonych przez siebie teatrach i zespołach muzycznych, a potem spojrzeć na ścianę, gdzie umieszczono portrety przodowników pracy – spośród „Francuzów” rekordowe wyniki osiągnęli wtedy górnicy Sierny, Zaczek i Kleczek, a tysiące innych podjęło wyzwanie współzawodnictwa²². Mogli wreszcie przewertować katalog ekspozycji i znaleźć tam słowa: „Ze wszystkich stron Polski i z całego świata powrócili Polacy, by odbudować polskość tego terenu, zetrzeć wszelkie napływowe ślady niemieckie. Dziś ludność Ziemi Odzyskanych składa się z różnych elementów: polska ludność rodzima stanowi tu 21,2 procent, repatrianci i reemigranci 35,5 procent, przesiedleńcy 43,3 procent ogółu ludności. Łączy te – różne, jeśli chodzi o pochodzenie, tradycje, zwyczaje i dialekt – grupy wspólna praca i wspólne cele”²³.

Przede wszystkim jednak Francuzi w poszukiwaniu opowieści o samych sobie powinni się udać do Pawilonu Czterech Kopuł. To tam znajdowała się rotunda poświęcona węglowi. A w tej rotundzie – cuda. Jej sklepienie zbudowano z węglowych brykietów, z którymi kontrastują podświetlane tablice. Pod węglowym sklepieniem można obejrzeć film o węglu, ba! – można na żywo zobaczyć, jak wydobywa się węgiel. Kilku wałbrzyskich górników uderza kilofami w kamienną ścianę, inni łopatom nabierają czarne grudy, ładują je na gumową taśmę, ta zaś, poruszana zmyślnym mechanizmem, pnie się ku górze, wywożąc cenny surowiec na światło dzienne, by zaraz z powrotem zrzucić go pod górniczą łopatę. To nie syzyfowa praca, to wystawiennicza magia – podziemny świat zbudowany na powierzchni. „Płynię na ruchomych taśmach strumień czarnego złota, nasza najpewniejsza waluta. Spoglądam z podziwem na górników w stalowych hełmach, awangardę klasy robotniczej” – mówi lektor kroniki filmowej²⁴.

Płynię na ruchomych taśmach czarne złoto – dużo tego złota czy mało? Poziom wydobycia w Polsce i Europie ilustrują zwieszające się z sufitu kule, omawiają tablice informacyjne. Według katalogu wystawy w 1945 roku produkowaliśmy 27 milionów ton, w 1947 – 59 milionów ton,

a w 1949 będziemy produkować aż 70 milionów²⁵. Zakończy się wtedy trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej, którego głównym celem „jest podniesienie stopy życiowej pracujących warstw ludności powyżej poziomu przedwojennego”²⁶.

Wystawę Ziem Odzyskanych w ciągu stu dni jej trwania odwiedziło półtora miliona zwiedzających. Polaków często przywożono do Wrocławia w ramach wycieczek z zakładów pracy, ale byli też goście zagraniczni, między innymi delegaci czterdziestu sześciu krajów, którzy pod koniec sierpnia zjechali do Wrocławia na Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju. W ich gronie zaś: Irène Joliot-Curie, Paul Éluard czy wspomniany już Pablo Picasso.



Górnicy przed kopalnią w Wałbrzychu, 1948–1949

Źródło: NAC

Ten ostatnio stał się tematem całkiem sporego zbioru anegdot. „Boże! Przecież to kubizm w czystej postaci” – wykrzyknął malarz, oglądając

ziemię z okien lecącego na Dolny Śląsk samolotu. „Czy pozwoli pani, że ściągnę marynarkę?”, zapytał sąsiadkę podczas uroczystej kolacji, by już po chwili zrzucić także krawat i koszulę i wyeksponować przed współbiesiadnikami opalony tors. Siebie rozbierał, rodzinę zaś chciał ubrać w zakopiańskie kożuchy – krój i zdobienia podhalańskiego okrycia uznał za zachwycające. Na kartkach notesu i kawiarnianych serwetkach tworzył miniaturowe szkice, które potem rozdawał nowym znajomym. Pod jego hotelem koczowały tłumy gapiów, co śmielsi przedzierałi się do hotelowej kawiarni. Niektórym udawało się dotrzeć nawet pod drzwi pokoju malarza. On sam od miłośników swojej twórczości się nie izolował – przed jednym z admiratorów, w rewanżu za wyrazy uznania, wykonał taniec brzucha. Składał autografy, dawał się fotografować, pozwalał nagrywać kronice filmowej²⁷.

Picasso stał się pożywką nie tylko dla anegdot powszechnie znanych, lecz też zupełnie osobistych. Liana upiera się, że i ją uwieczniono w odcinku kroniki filmowej z udziałem genialnego malarza. Przeglądając dziś archiwalne nagrania, ujęcia z nią nie sposób znaleźć. Ona jednak doskonale pamięta, jak mama uprzedzała znajomych: „Patrzcie, patrzcie! Tu Lidzia będzie w tej kronice”. Więc jak mogłoby jej nie być? Czy matka, która brała dziewczynkę na wszystkie ważne polityczne i społeczne wydarzenia, mogłaby nie zabrać jej do Wrocławia? I może rzeczywiście, tak jak wiele razy wcześniej, wypchnięto Lianę do przodu, żeby podała rączkę, wręczyła kwiaty, powiedziała wierszyk. Robiła to tyle razy w domach kultury, na otwarciach, powitaniach, rozdaniach dyplomów; na mostach i przejściach granicznych. Córka reemigrantki z Francji była idealna. Oni wszyscy byli idealni. Przynajmniej przez jakiś czas.

10 Dowcip o małpie

Mówi, że czekała jak piesek. Bo tak: pociąg na stację w Świebodzicach, gdzie teraz mieszkają, planowo powinien wtoczyć się o godzinie dziewiętnastej dziesiąt. Ona wpadała na dworzec kilka minut wcześniej, hamowała tuż przy krawędzi peronu i wypatrywała lokomotywy. Czasem z megafonu płynął komunikat o opóźnieniu i wtedy należało uzbroić się w cierpliwość, dreptać, siadać, czekać. Kiedy wreszcie pociąg wjechał na stację, w tłumie wypatrywała jednej, szczupłej i niskiej sylwetki. Jeśli ta sylwetka się pojawiła, można było chwycić ją za rękę i wrócić do domu. Jeśli się nie pojawiła, to oznaczało, że mamę w ostatniej chwili wysłano na delegację. Wtedy też właściwie można by iść do domu, ale Liana wołała usiąść na ławce i mimo wszystko czekać, choć nie bardzo było na co. Siedzieć, patrzeć na tory, aż zrobi się bardzo późno i bardzo zimno. Jak ten piesek.

Bo Walerię wciąż gna. Zatrudnia się w Kamiennej Górze w Zakładach Przemysłu Lniarskiego. Przy maszynie „w konfekcji” nie pracuje nawet kilku miesięcy. Jej córka tłumaczy dziś, że ktoś musiał usłyszeć, jak pyskuje, w emocjach mówi, że ludzie sami wiedzą, jak pracować, że niepotrzebne im pouczenia kierowników. Wybierają ją do rady zakładowej, szybko zostaje przewodniczącą.

– To musiał być odruch. Ludzie wiedzieli, że ona załatwi, co trzeba. Dziewczyna po kilku klasach francuskiej podstawówki... – wspomina córka.

Waleria, członkini Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, pnie się coraz wyżej w związkowej hierarchii: Kamienna Góra, Świebodzice, Wałbrzych, wreszcie Wrocław. Z rady zakładowej do powiatu, z powiatu do województwa. Jeździ, rozmawia, sprawdza, czy kobietom w fabrykach

niczego nie brakuje: czy mają szatnie, łazienki, odpowiednią odzież, miejsce do odpoczynku. Bywają wieczory, gdy córka bezskutecznie czeka na nią na dworcu, ale są też takie, kiedy Waleria zabiera ją ze sobą. Zwykle na wieś. Waleria zwołuje dziewczyny z „konfekcji”, po pracy w fabryce są potrzebne do pracy w polu, w jednej z rolniczych spółdzielni produkcyjnych. To ciężka robota. Jednak według Liany te wyjazdy były jak piknik – najpierw obowiązki, a potem zabawa, tańce. Wiele z tych dziewczyn należy do Służby Polsce, w zakładzie obsługują maszyny, mieszkają w internacie. Panują tam surowe zasady – trzeba wracać nie później niż o dziesiątej, a przecież tylko płot dzieli ich budynek od męskiego internatu uczniów szkoły drzewnej. Chciałoby się pobyć razem. Waleria organizuje im zabawy, żeby przynajmniej na nich mogli się spotkać.

– Te dziewczyny, z Polski nawet nie B, tylko C, przyjeżdżały na Śląsk. Zdobywały zawód, zakochiwały się, zakładały rodziny, układały sobie życie. I tak lubiły moją mamę... Ona była matką chrzestną dla niezliczonej liczby dzieci – opowiada Liana.

Zachowały się fotografie, na których pozują z Walerią.

Tutaj część osób stoi, kilka przykucnęło w rzysku, między nimi beczka. Waleria z uśmiechem udaje, że wlewa do niej coś z wiadra, mężczyzna obok podnosi do ust pełny kufel. Liana mówi, że to na pewno piwo na ugaszenie pragnienia po całym dniu pracy.

Tutaj pochód, dziewczyny w ludowych strojach albo galowych bluzkach trzymają transparent: „Kobiety wszystkich krajów w walce o pokój łączcie się”. Zaraz za sztandarem ktoś niesie portret Bieruta.

Tutaj przykryty materiałem długi stół, za stołem tłum ludzi, nad stołem napis: „Niech żyje zjednoczona partia polskiej klasy robotniczej”. Waleria była delegatką na kongresie zjednoczeniowym PPR i PPS.

I kolejne, przerobione na pamiątkową pocztówkę. Waleria na mównicy, słuchają jej mężczyźni przy stołach nakrytych kraciastymi obrusami, za nimi gazetka ścienna: „Przez plan sześcioletni do dobrobytu”.

Na zdjęciach Waleria często jest w tej samej sukience: letniej, z granatowej żorzęty, ozdobionej wzorem w białe kwiaty. Czasem narzuca

na nią marynarkę, czasem jasny, obszerny płaszcz. Pytam, czy to jej ulubiona.

– Jedyna – odpowiada Liana. – Mama miała jedną sukienkę i jedną szminkę.

Jedna sukienka, jedna szminka i jedna wypłata, bo męża już nie ma. Aresztowano go i słuch po nim zginął.



Waleria (w białej chuście z lewej) pomaga podczas prac w polu, 1951

Źródło: archiwum rodzinne Liany Sztor

Mamy was na oku

Co mógł zrobić mężczyzna po przyjeździe z Francji? Pierwsza, najbardziej oczywista droga zawodowa wiodła do kopalni. Tam czekało na niego zajęcie pewne, przyzwoicie płatne, ale, tak samo jak we Francji, wykańczające fizycznie. Niektórym udawało się uniknąć pracy pod ziemią poprzez awans na kierownicze stanowisko, był to jednak – wbrew zapewnieniom propagandy – scenariusz zarezerwowany dla lepiej wyedukowanej, bardziej obrotnej i politycznie zaangażowanej mniejszości. Większość reemigrantów trafiała na dół, a za wieloletnią pracę płacili zdrowiem. Najczęściej zabierała je pylica. Domki na wzgórzach, te, które zajmowali po przyjeździe do kraju i z których malowniczego położenia tak bardzo się cieszyli, stawały się dla nich więzieniami. Z płucami zapchanymi węglowym pyłem byli zbyt słabi, by je opuszczać. Gdy próbowali wyjść na spacer do położonego niżej miasta, w drodze powrotnej przystawali przy każdej furtce, próbując złapać oddech. W odpowiedzi na rzucone przez sąsiadów „ça va?”, „w porządku?”, machali tylko ręką.

Była jednak i druga droga, pozornie lżejsza, łatwiejsza, może nawet w oczach niektórych prestiżowa. Wiodła ona do służb mundurowych. Stanowiska w nich zaoferowano między innymi byłym członkom francuskiej partyzantki, żołnierzom 19 i 29 Zgrupowania Piechoty Polskiej 1 Armii Francuskiej. Tą drogą poszedł Janek – ten, który ukrywał się we francuskim domu Walerii. Liana w Polsce widziała go raz, podczas wizyty w Warszawie, stał wtedy na warcie. To była zima, Liana opatulona w królicze futerko, do Wrocławia dojechała w parowozie. Może w innych wagonach brakowało miejsc, a może tylko w lokomotywie było ciepło. Dzisiaj już nie pamięta. Pamięta za to, jak bardzo chciała podbiec do Janka, ona, w tym króliczym futerku, jak mała kuleczka, on w mundurze, prosty, elegancki.

Ojciec Liany też włożył w Polsce mundur, tyle że milicyjny. Nie z własnej woli – we Francji był górnikiem, planował być nim też w Polsce.

– Wcielili go zaraz po przyjeździe, niby do wojska, ale to była milicja. Dlaczego? Nie mam pojęcia – mówi dzisiaj jego córka, a po chwili zastanowienia dodaje, że mogło chodzić o język. – Urodził się w Westfalii,

świetnie mówił po niemiecku. Może tutaj, zaraz przy granicy, potrzebowali właśnie takich funkcjonariuszy?

Jest więc milicjantem, więcej – jest komendantem. Pewnej nocy na przełomie 1947 i 1948 roku na posterunku rozlegają się strzały, ktoś próbuje wdrzeć się do budynku. Liana znowu mówi, że to niemiecka banda. Że przyszli szukać broni. Znaleźli i zastrzelili wszystkich oprócz jej ojca. Może dlatego, że dogadał się po niemiecku?

Wrócił po tym do domu, ale na krótko. Liana z Marysiem przez uchylone kuchenne drzwi patrzyli, jak wczesnym rankiem trzech mężczyzn zabiera tatę.

Zabiera, ale dokąd? Waleria pyta na posterunku, pyta we Wrocławiu, pyta oficjalnie – nikt nic nie wie, niczego nie widział, niczego nie słyszał. Pyta więc nieoficjalnie. Na salę gimnastyczną w Kamiennej Górze przychodzą funkcjonariusze urzędu bezpieczeństwa. Brat Walerii, Janek, pokazuje im bokserskie triki, a między ciosami pyta, czy nie wiedzą czegoś o jego szwagrze. Może i wiedzą. Na przykład, że jest zdrajcą – skoro przeżył, musiał być w zмовie z Niemcami. Albo że jest szpiegiem, od samego przyjazdu do Polski wyglądał na podejrzanego. Albo że nie sprzyja ludowej władzy – we Francji wyrażał poparcie dla Armii Andersa (Liana mówi nawet: „zapisał się do Armii Andersa”). Wreszcie pojawia się konkret: aresztowany, ale bez możliwości kontaktu.

Znika ojciec Liany, znikają i inni, czasem na kilka tygodni, czasem dni, czasem tylko kilka godzin, bo władza przygląda się „Francuzom”. Najpierw spojrzenie ma łaskawe, wita z otwartymi ramionami, stawia za wzór, nazywa „nowym typem człowieka”. Potem jednak zaczyna patrzeć podejrzliwie, próbując zgadnąć, co też powracający z Zachodu mają w głowach. Z uwagą obserwuje byłych partyzantów ruchu oporu czy aktywistów z przywódczą smykałką, a także tych, którzy za granicą należeli do Polskich Sił Zbrojnych bądź do prawicowych albo kościelnych organizacji. Dlaczego naprawdę wrócili do kraju? Czy kierował nimi patriotyzm, czy może całkiem inne pobudki? W co wierzą? Czego tu chcą?

Jak opisuje historyczka Aneta Nisiobęcka, poszukiwania rzekomych szpiegów „państw imperialistycznych”, admiratorów zachodniego systemu, dywersantów, sabotażystów, antykomunistycznych propagandystów

zaczynały się zaraz po przyjeździe reemigrantów do kraju. W punktach PUR, obok jadłodajni, ambulatoriów i noclegowni, działały też placówki urzędu bezpieczeństwa¹. W kopalniach i fabrykach agenta można było spotkać w dziale kadr, w windzie zjeżdżającej codziennie pod ziemię, w kopalnianym korytarzu, w łaźni. Spośród przyjezdnych próbowano werbować informatorów donoszących o „nastrojach” w tym środowisku. Na co zwracały uwagę ich czujne oczy? Lista zachowań mogących wzbudzić podejrzenia była długa: odmowa oddania francuskiego paszportu, formalne starania o powrót do Francji, prowadzone w kopalni rozmowy, w których zestawiało się warunki pracy we Francji i Polsce, z korzyścią dla tej pierwszej, czytanie obcej prasy, słuchanie radia, wreszcie – wymiana korespondencji z rodziną czy przyjaciółmi, który zostali nad Sekwaną.

Krzyżowały się spojrzenia, ciągnięto za języki, czyniono sugestie, pisano raporty. Pracownicy urzędów bezpieczeństwa kreślili charakterystyki reemigrantów. W dokumentach z Wałbrzycha prezentowanych przez Nisiobęcką „Francuzi” opisywani są jako ludzie „mniej więcej o zapatrywaniach demokratycznych”, z zaznaczeniem, że część z nich, zwłaszcza pochodzący ze środkowej i wschodniej części kraju, może pozostawać pod wpływami Kościoła lub rządu w Londynie. Czym skutkują owe wpływy? Autor jednego z raportów tłumaczył to następująco: „Ci pepesiacy londyńscy, którzy przyjechali do kraju jako reemigranci mogli być specjalnie nastawieni przez agentów Andersowskich, by Unas w kraju uprawiali ferment w srod robotników i szeptana propagandę i pisanis do Francji do pozostałych Ob. Polski nie prawdziwe rzeczy o sytuacji unas w kraju, ażeby ci nie spieszyli się z wyjazdem do kraju i tym samym chamować rozwój w naszym przemyśle, a oni we Francji urabiać tych ludzi do znieawidzenia Polski Ludowej”².

Podejrzliwość osiągnęła apogeum pod koniec lat czterdziestych, wraz z rosnącym napięciem między wschodnim a zachodnim blokiem państw. Incydem, który dodatkowo mógł podsycać obiekcje władz wobec „Francuzów” w tym okresie, stała się tak zwana sprawa Robineau, jedna z najgłośniejszych afer szpiegowskich PRL. Jej główny bohater, André Robineau, był dyplomatą, pracownikiem konsulatu w Szczecinie. Śledztwo, rozpoczęte w 1949 roku, miało wykazać, że oficjalni przedstawiciele

Francji w Polsce prowadzą działalność szpiegowską. Robineau szybko przestał być jedynym podejrzanym – w sumie w toku całego postępowania przez areszty przewinęło się trzysta osób. W 1950 roku na ławie oskarżonych obok Robineau zasiadło pięć. Najłagodniejszy wyrok wydany przez sąd brzmiał: sześć lat więzienia; najsurowszy: kara śmierci.

Choć sprawa Robineau dotyczyła kręgów dyplomatycznych, negatywnie wpłynęła na sytuację reemigrantów. W akcie oskarżenia znalazła się sugestia, jakoby byli oni grupą „podejrzaną”, której w zamian za dostarczanie szpiegowskich informacji obiecywano ułatwienie powrotu do Francji. Jak pisze socjolog Władysław Markiewicz, „kiedy posiadanie rodziny za granicą i utrzymywanie z nią kontaktów poczytywano za okoliczność politycznie obciążającą, emigranci znaleźli się na cenzurowanym”, a nieufność wobec nich zaczęła przyjmować wręcz maniacki charakter. „Częste powoływanie się na doświadczenia francuskie oraz ciepły stosunek do Francji jako »drugiej ojczyzny« i sympatię do narodu francuskiego poczytywano im za apologię »zgniłego Zachodu« lub kosmopolityzm”³ – tłumaczy.

Machina podejrzliwości, w której tryby wrzucono nie tylko „Francuzów”, ale i innych reemigrantów, osiągnęła gigantyczne rozmiary. Jak pisze historyk Dariusz Stola, „z około 2 milionów osób, które po wojnie wróciły z Zachodu, UB objęło swym zainteresowaniem (wciągnęło do kartotek) aż pół miliona, penetrując ich środowiska przy pomocy około 700 informatorów i 30 rezydentów”⁴. Jednak w porównaniu ze skalą inwigilacji informacje, które udało się pozyskać służbom i które miałyby obciążać „Francuzów”, wydają się błahe. Informatorzy w raportach pisali, że reemigranci żałują decyzji o powrocie, że liczyli na wyższe stanowiska, że wymieniają listy z rodziną pozostałą na Zachodzie, że otrzymują od nich paczki: „KOŁEK Julian przybył do kraju z Francji i po powrocie do kraju osiedlił się w Wałbrzychu i pracował na kopalni Mieszko w charakterze górnika. Na naszym terenie przebywał w środowisku górników reemigrantów z Francji. Zachowanie się jego niczem nie wyróżniało się ani nie zasługiwało na uwagę. Z zakresu pracy zawodowej wywiązywał się ku zadowoleniu swych przełożonych. Natomiast jak wynika z przeprowadzonej rozmowy z ob. NAKLEWICZ Józefem czł. PZPR

górnikiem kopalni »Mieszko«, znającym dobrze Kołek Juliana to tenże w początkowym okresie po swym powrocie do kraju, miał się wyrazić do Naklewicza, że jest niezadowolony z powrotu do kraju, ponieważ myślał, że w Polsce będzie od razu na stanowisku. Następnie wiadomym jest Naklewiczowi, że w czasie tym Kołek pisał listy do Francji, krytykując ówczesną sytuację w Polsce. Dopiero z chwilą gdy brat jego KOŁEK Edward został sekretarzem Kom. Zakładowego PZPR kop. »Mieszko« uaktywnił się i jego ustosunkowanie się obecnej rzeczywistości radykalnie zmieniło się na pozytywne⁵. Takie donosy nie dawały podstawy, by nazwać kogoś szpiegiem, agentem Zachodu, dywersantem; by postawić go przed sądem albo zamknąć w więzieniu. Wystarczały czasem jednak, by przenieść na gorsze stanowisko, zwolnić, przesłuchać, aresztować, namawiać do współpracy. By zburzyć spokój i po raz kolejny sprawić, że ktoś, kto miał przecież wrócić „do siebie”, poczuł się obco.

Gesty sprzeciwu

Mija kolejny rok, ojca Liany wciąż nie ma. Trudno bez niego, widać to gołym okiem. Liana co wieczór starannie wycina z gazety obrys stopy, a potem taką papierową wkładkę wciska do buta. Prowizorka trochę pomaga na dziury w podszwach. Wspierają ich dziadkowie, ale ileż oni mogą zaoferować: dziadek zajmuje się sportem, babcia szyje, robi maści, suszy zioła, pomaga odbierać porody. Sama zaraz będzie mieć problemy – jeden z lekarzy powie, że „znachorka” odbiera mu pracę.

Stalin umiera wiosną, ojciec wraca do domu latem. Gdzie byłś? Wszędzie. Siedziałem w celi, kułem kamień w kamieniołomach, budowałem metro w Warszawie. To już nie mąż Walerii i ojciec Liany, to jego cień. Płuca szarpie mu kaszel, ciało ma tak słabe, że całe dni spędza w łóżku, nie jest w stanie pracować. Wreszcie do wycieńczenia dochodzi kolejny zdrowotny cios – udar. Mama Liany bierze zwolnienie na opiekę nad mężem, a w domu robi się jeszcze biedniej.

Maryś po trzech latach wraca z wojska. Pojechał chłopczyk, wrócił mężczyzna. Z rękawów koszuli wychodzą nadgarstki, nogawki spodni

kończą się tak wysoko, jakby chłopak miał brodzić w wodzie. Waleria bierze pożyczkę, żeby kupić mu ubranie. Pieniądze wystarczą na spodnie, koszulę, marynarkę, ale co z resztą? Waleria po kolei wyprzedaje to, co przywiozła z Francji, co ma cennego – radio, zegarek, ubrania. Zostaje z tą jedną szminką i jedną sukienką.

I w tej jednej sukience – na zjazd, na mównicę, na marsz, bez słowa narzekania.

– Nie mogłam tego zrozumieć – opowiada Liana. – Jak mogła udzielać się społecznie, jeśli władza zabrała jej męża i nie chciała nawet powiedzieć, co się z nim dzieje. Ta władza, która teraz rządzi. Ona jednak nie, to był typowy związkowiec. Zawsze dla ludzi, zawsze zaangażowana, zawsze w myśl zasady: dbam o własne podwórko, robię tyle, ile mogę zrobić, nie interesuje mnie wielka polityka. I tak do końca życia.

Chociaż nie do końca pod partyjnym sztandarem. W połowie lat pięćdziesiątych na oficjalnym zebraniu Waleria oddaje legitymację. Rzuca ją z mównicy, robi się afera. Potem tym, którym ufała, opowiadała dowcip o małpie, która została sekretarzem. Wulgarny, nie nadaje się do przytoczenia. Dość powiedzieć, że miał obrazować merkantylizm władz.

– Francuski komunizm był ideą zupełnie niespójną z tym, z czym spotkali się po przyjeździe do Polski – tłumaczy Liana. – Mój dziadek, który przez dwadzieścia lat czekał na moment, w którym będzie mógł wrócić do Polski, zmarł w 1957, mój ojciec odszedł rok wcześniej. I choć to dziwnie zabrzmiało, nawet się z tego cieszę. Nie musieli już dłużej patrzeć na to złodziejstwo i zakłamanie.

Nie tylko Waleria zdecydowała się wyrazić sprzeciw. Choć nie wszyscy reemigranci wykonywali tak spektakularne gesty jak ona, publicznie rezygnując z członkostwa w partii czy związku zawodowym, wielu z nich znajdowało sposób na okazanie swojego niezadowolenia.

Najbardziej radykalnym wyborem było całkowite wypisanie się z komunistycznej rzeczywistości, czyli próba powrotu na Zachód. Pomysł, zdawałoby się, niemal awanturniczy – paszporty i zgody na wyjazd w pierwszych latach po wojnie wydawano niezwykle rzadko, więc marzącym o powtórnej emigracji pozostawało nielegalne opuszczenie kraju. W przypadku zatrzymania za podjęcie ryzyka płaciło się wysoką

cenę – uciekinierowi groziło więzienie, nierzadko poprzedzone brutalnym przesłuchaniem.

W pewnym stopniu krytykę można było w bezpieczny sposób manifestować publicznie. Odbywało się to oczywiście za pośrednictwem kanałów i w formach akceptowanych przez komunistyczną władzę. Sporadycznie, ale jednak, pojawiały się w gazetach artykuły na przykład z takimi opiniami „Francuzów”: „My, młodzi zorganizowani w ZWM w oddziale Pełcznica, domagamy się, ażeby nam umożliwiono warunki do nauki i pracy, abyśmy wyrosli na dzielnych pionierów odradzającej się Ojczyzny. Żądamy, aby mieszkania naszych rodzin znalazły się w mieście Wałbrzych lub w pobliżu, aby móc po pracy zająć się nauką, co w chwili obecnej z powodu oddalenia od ośrodków naukowych jest dla nas niemożliwością”⁶. Drugi dostępny jawny kanał stanowiły związki zawodowe. Na związkowych zebraniach reemigranci mogli raportować zauważone przez siebie nieprawidłowości i zgłaszać pomysły na ich naprawę, a z możliwości tej korzystali często i zaangażowaniem. „Emigranci stanowią wprawdzie element najbardziej produktywny i zdyscyplinowany wśród załóg kopalnianych, ale z drugiej strony przysparzają kierownictwu kopalń sporo kłopotów. Są – jak się ich określa – elementem trudnym we współżyciu, gdyż stale coś krytykują, nigdy z niczego nie są zadowoleni” – pisał Władysław Markiewicz. Na poparcie swoich słów przytaczał przykłady skarg „Francuzów” dotyczących niesprawiedliwych wynagrodzeń i bałaganu panującego w kopalniach⁷.

Niektórzy, by dać upust swojemu rozgoryczeniu powojenną polską rzeczywistością, kierowali do władz listy. Pisali na przykład tak: „Wiedziałem dobrze, że w Polsce płoty kielbasami nie będą ogrodzone, ale nigdy nie spodziewaliśmy się tak marnego położenia w jakim się znajdujemy, na kartki są bardzo małe przydziały dzieci są bardzo marnie odżywiane, na wolnym rynku ja ze swojego zarobku nie jestem w stanie dokupić. [...]. Praca jest utrudniona, a przewozi mnie komunikacja kolejowa, my mieszkamy od miejsca pracy 15 km, rano wyjeżdżamy do pracy o godzinie czwartej, a wracamy po południu o piątej, wagony nieogrzewane, czasem stoimy w polu dwie i trzy godziny marznąc,

człowiek zapada na zdrowiu i traci nadzieje [...]. W dowód załączam mój odcinek miesięcznego zarobku, czy mogę z tego wyżyć!”⁸. Jeszcze inni nie ograniczali się do słania pism: w lutym 1949 roku w kopalni „Victoria” wybuchł strajk przeciwko nowemu, niekorzystnemu dla górników systemowi wynagrodzeń. Po kilku godzinach protestujących rozpendzili funkcjonariusze milicji i urzędu bezpieczeństwa⁹.

Ostatecznie pozostawała droga najmniej spektakularna i najbardziej powszechna: o narzekaniach w rodzinnym gronie, listach ze skargami słanych do Francji, dowcipach na temat komunistycznej władzy i próbach uzyskania dostępu do nieocenzurowanych informacji mówią niemal wszyscy reemigranci.

Do rozczarowania warunkami życia i pracy w Polsce należałoby dodać jeszcze jeden element: szok wywołany zetknięciem z metodami stosowanymi przez komunistyczne władze, o czym sami reemigranci, z oczywistych względów, rzadko mówili głośno. Niektórych działań – aresztowań, przesłuchań, inwigilacji – doświadczali osobiście, o innych dowiadywali się z nielicznych, filtrowanych przez cenzurę, ale jednak docierających do „Francuzów” doniesień z zagranicy. Wedle relacji mojej babci dziadek zrezygnował z członkostwa w partii po tym, jak dowiedział się o krwawym stłumieniu przez Armię Radziecką powstania węgierskiego w 1956 roku.

Owszem, we Francji w niektórych okresach, zwłaszcza w pierwszej połowie lat trzydziestych, byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii. Pracodawcy nie płacili im sprawiedliwie, spotykali się z ksenofobią w wymiarze zarówno towarzyskim, jak i administracyjnym, bywało, że za udział w strajku karano ich wydalaniem z pracy lub ekspulsją. Jednak opresja stosowana przez polskie władze na masową skalę – w tym sytuacji, gdy jeden z członków rodziny po prostu zniknął – musiała być dla nich wstrząsem. Tym większym, że przeżywanym nie na obczyźnie, ale we własnym kraju, do którego tak serdecznie byli zapraszani, i zafundowanym im przez partię, która deklaratywnie opowiadała się za wolnością, równością, postępem i dobrem ludzi pracy – tymi samymi ideami, które wyznawały dziesiątki tysięcy polskich robotników zrzeszonych we francuskich związkach zawodowych.

Komunizm, który Polacy we Francji poznali jako ruch zmierzający do nadania robotnikom podmiotowości, dążący do poprawy warunków ich pracy, umożliwienia im awansu społecznego i podniesienia poziomu życia, w polskim wydaniu okazał się reżimem. Podczas gdy w demokratycznej Francji był jedną z dostępnych opcji politycznych i światopoglądowych, realizującą interesy pewnej części społeczeństwa, w Polsce przyjął formę narzuconego z zewnątrz systemu, a za fasadą sprawiedliwości i postępu kryły się brutalne mechanizmy służące zdobyciu i utrzymaniu władzy.

Reemigranci zawiedli się na polskich komunistach, którym początkowo wierzyli – takie stwierdzenie przychodzi na myśl, gdy analizuje się postawy „Francuzów”. Z pozoru trudno odmówić mu słuszności. Najpierw wsparcie dla budowy nowego systemu, potem krytyka polskiej rzeczywistości, wycofanie, rezygnacja z członkostwa w partii, próby powrotu na Zachód – prosty łańcuch światopoglądowych przemian, którym mieliby podlegać. Gdy jednak przyjrzeć mu się bliżej, widać, że łańcuch to kruchy, przy pierwszym szarpnięciu ognia rozpadają się w palcach.

Już komunistyczne poglądy „Francuzów” wydają się trudne do potwierdzenia. Tych, którzy przyjechali do Polski jako dorośli, już nie ma, deklaracji z pierwszej ręki więc nie uzyskamy. Nie ma też pamiętników z tamtego tużpowojennego okresu ani badań w obiektywny sposób oddających ich przekonania. Ostatni żyjący dziś reemigranci przybyli do Polski jako nastolatki lub dzieci, nikt z nich nie był wtedy w wieku, kiedy można już mówić o ugruntowanym światopoglądzie lub świadomości klasowej. Gdy opowiadają o swoich rodzicach, ich postawę określają jako „socjalistyczną” lub „lewicową”, słowo „komunizm” pada w ich wypowiedziach rzadko.

– Czy wierzyli w przekaz partii? Owszem, początkowo tak, bo był pozytywny – tłumaczy Daniela. – Pomoc, solidarność, obowiązkowa nauka, ochrona zdrowia, sprawiedliwa płaca. Co w tym złego?

O sympatyzowaniu z komunistycznymi ideami i wierze w nowy ustrój mogłyby świadczyć działania – członkostwo w partii, namawianie innych Polaków do powrotu do kraju, udział w kampanii wyborczej, nieodpłatna praca „społeczna” podejmowana w odpowiedzi na wezwania władzy. Jednak działania owe trudno uznać za charakterystyczne dla reemigrantów.

Do PPR w ostatnim roku jej istnienia należało prawie milion osób, do Związku Młodzieży Polskiej około dwóch milionów, czyli prawie czterdzieści procent mieszkającej w Polsce młodzieży. Dodatkowo uproszczeniem byłoby odczytywanie każdego takiego gestu jako ideologicznej deklaracji. Część z nich czyniono bez głębszej refleksji, naśladując postawy bliskich, znajomych czy rówieśników. Swoje wyjazdy na czyny społeczne Alfreda wspomina tak:

– To było modne, rozpowszechnione. Czy coś dobrego z tego wyniknęło? Czy my naprawdę komuś pomogliśmy? Tego nie wiem. Miałam jakieś grabie czy motykę, zawożono nas na wieś, więcej było uciechy z tego, że człowiek jest w plenerze, niż roboty. Zresztą tej naszej pracy toby na złamanym kiju nie powiesił, przecież nie mieliśmy ani praktyki, ani kwalifikacji.

Inni odpowiadali na apele rządzących, chcąc zapewnić sobie lepszy byt – takie pobudki mogły kierować tymi, którzy włączali się we współzawodnictwo pracy. Za większą efektywność obiecywano wyższą pensję i nagrody rzeczowe. Jeszcze inni, tak jak na przykład Maria, bali się konsekwencji, jakie mogłyby ich czekać, gdyby odmówili podjęcia dodatkowej pracy. W jej relacji regularne wyjazdy na wieś były przykrym obowiązkiem, dodatkowym wysiłkiem po całym tygodniu.

Wielu wreszcie – i ta motywacja pojawia się najczęściej – wierzyło, że współpracując z nową władzą, biorą udział w odbudowie Polski. Reemigranci, przynajmniej początkowo, wsparcie dla rządzących komunistów pocztywiali za gest patriotyzmu. Była to postawa, którą można by wyrazić w stwierdzeniu: „Dziś mamy takie rządy i taką Polskę. Angażujemy się w jej rozwój, nie czekając na idealne warunki”.

Co więcej, po latach czują dumę z tego, czego dokonali podczas odbudowy, a oskarżenia o umacnianie komunistycznego reżimu są dla nich bolesne. W rozmowach chętnie prezentują katalog osiągnięć: sprawna organizacja pracy w kopalniach, budowa nowych osiedli, rozwijanie życia społecznego i kulturalnego, a poza Dolnym Śląskiem – wkład w wielkie projekty i inwestycje PRL, odbudowę Warszawy i budowę Nowej Huty. Na próbę sprowadzenia tego wszystkiego do politycznego gestu reagują zdecydowanym zaprzeczeniem.

– Teraz to nie wiadomo, czy można się przyznawać do tego, co zbudowaliśmy. Strach – mówiła mi kilka lat temu Władysława Wojcieszak¹⁰, prezeska Stowarzyszenia Francuzów i Repatriantów z Francji na Dolnym Śląsku. Choć sama do Wałbrzycha przyjechała ze wschodu, jej mąż był reemigrantem znanym z Sekwany. Po jego śmierci to ona przejęła kierowanie stowarzyszeniem. – Gdybym miała określić polityczną orientację reemigrantów, powiedziałabym, że byli ludźmi o lewicowych poglądach, którym zależało na poprawie warunków pracy i życia. A nawet jeśli byli z nich komuniści, to mieli zupełnie inne cele niż te, które dziś im się przypisuje, robiąc z nich zwolenników ideologii. To byli normalni ludzie, którzy widząc, że dzieje się coś złego, szli do związków zawodowych, walczyli o prawa pracowników, o swoje prawa. Ich głównym celem był powrót do Polski, jakakolwiek by ona była. Po wojnie wytyczono nowe granice, powołano nowy rząd i powiedziano: to teraz jest wasz kraj. Na co mieli czekać? Wiedzieli, że innego nie będzie. Wracali więc do domu, do siebie, tylko to się liczyło. Mieli w głowie zapał, solidarność, myśl o społecznych projektach. Nie musieli tego robić, mogli zostać we Francji i spokojnie żyć.

Gdy Liana była kilkulatką, na rodzinnych spotkaniach wpełzała pod stół, a kiedy nieco podrosła, po prostu stawała w drzwiach pokoju albo przysiadła na jednym z krzeseł. Jeśli zachowywała się dostatecznie cicho, dorośli zapominali o jej istnieniu i pozwalali rozmowie swobodnie płynąć. Matka powtarzała swój ulubiony dowcip o sekretarzu. Mąż ciotki Heleny nalegał, by wracać do Francji. Zgromadzone wokół stołu towarzystwo zaczynało wtedy Lianie przypominać zastęp aniołków z bożonarodzeniowej szopki, które powoli, rytmicznie poruszają głowami w górę i w dół, potakując.

11 Medale i grosze

I Marian został politykiem. Dzisiaj żartobliwie mówi:

– Głupi zawsze ma szczęście.

A już poważnie dodaje:

– Byłem lewicowy, nic złego nie zrobiłem, niczego się nie wstydzę.

Gdy już został przewodniczącym rady zakładowej w Zakładach Azotowych w Kędzierzynie, to nic, tylko by wycieczki robił. W niedzielę z okien pracowniczego autobusu pokazywał ludziom Polskę, „brzydszą od Francji, ale też ładną”.

Na początku lat sześćdziesiątych miał jechać na wycieczkę o wiele dalszą – do samej Francji, do córki ojczyma. Ostatecznie jednak za granicę wyjechała tylko jego żona ze szwagrem. On dostał wiadomość: będzie kandydatem na posła. Kilka tygodni wcześniej do Azotów przyjechała delegacja z Warszawy, zadawali pracownikom pytania: „co robisz?”, „jak robisz?”, „co byś zrobił, gdybyś został posłem?”. Marian opowiadał o budownictwie mieszkaniowym, szkołach, pływalni, komunikacji. Po tygodniu zostało dwóch kandydatów, w tym on. I tak w 1965 roku został posłem na sejm IV kadencji, członkiem Komisji Pracy i Spraw Socjalnych.

Kiedy w Azotach Marian chce coś załatwić, omija komitet wojewódzki, zwraca się bezpośrednio do Warszawy. I załatwia – dwadzieścia pięć autosanów, dzięki którym robotnicy mogą wygodniej dojechać do pracy, lodowisko przy zakładach, basen. Co jeszcze? Nie pamięta.

– Robiłem i zapominałem. Jak dawali dyplom, to chowałem do szuflady i robiłem dalej.

W szufladzie dziś leżą: wyrazy uznania za długą pracę, medal pamiątkowy Służby Polsce, list pochwalny Towarzystwa Rozwoju Ziemi Zachodnich, legitymacja Towarzystwa Przyjaciół Żołnierza.

Interweniuje w sprawach mieszkańców swojego miasta, interweniuje i we własnych. W latach pięćdziesiątych, po ślubie, chce dostać mieszkanie. Pisze do Nowej Huty – że ją budował i wobec tego należy mu się tam lokal. Odpisują, że w Hucie nie ma dla niego ani pracy, ani mieszkania. Pisze do Komitetu Centralnego, że jeśli nie dostanie mieszkania, to wyjeżdżają z żoną do Francji. Po dwóch miesiącach dostaje odpowiedź: w Kędzierzynie, po oddaniu bloku przy ulicy takiej i takiej, numer taki i taki, mieszkanie będzie wasze. Chodzili z żoną patrzeć, jak ściany wyrastają z ziemi.

– Kiedy zostałem posłem, powiedziano mi, że należy mi się większy lokal, z pokojem na przyjęcie gości. Odmówiłem. Powiedziałem, że tu mi się dobrze mieszka, tu wychowuję dzieci. Samochód kupiłem bardzo późno, dopiero w 1975, dużego fiata, inni mieli auta o wiele wcześniej. Dziś nikt mi nie zarzuci, że skorzystałem ze stanowiska.

Za granicę wyjeżdża rzadko.

Pracy sporo, lecz pieniądze w jego ocenie niewielkie: najpierw etat z rady zakładowej, potem przez jedną kadencję dieta posła.

– Ja pracowałem czterdzieści pięć lat za półdarmo, ale po coś. Wszystkie dzieci jeździły wtedy na kolonie, Polska, Czechy, Bułgaria. Nikt nie głodował, nie było bezdomnych, bezrobotnych – przekonuje. – Zbudowaliśmy Nową Hutę, odbudowaliśmy Warszawę, Szczecin, Wrocław. To było coś.

I dodaje, że gdyby nie „Francuzi”, Polska byłaby „ho, ho” – tak daleko w tyle.

Henryka została księgową. Chciała być romanistką, ale komu potrzebny francuski w demoludach. Skończyła podstawówkę, skończyła technikum ekonomiczne, poszła do pracy w finansach. Złapała pierwszą posadę, która się trafiła, byle tylko pieniądze zarobić, jakiegokolwiek, byle szybciej, byle były. Z rodzicami zawarła układ: pensja idzie na utrzymanie domu, premie zostają dla niej. Kupuje za nie francuskie książki, czasem oryginalne, czasem, jeśli oryginalnych nie ma, przełożone na francuski z rosyjskiego. Za premię można kupić jedną taką książkę. „Buty byś sobie lepiej kupiła, nie książki” – mówi jej mama. Ale ja tak nie chcę – myśli Henryka. Stać ją tylko na jedną książkę, a chciałyby więcej. W Klubie Międzynarodowej

Prasy i Książki, czyli dzisiejszym Empiku, są czasopisma: „Paris Match”, „Le Figaro”, lecz takie drogie... Gospodaruje jednak pieniędzmi tak, żeby było i na książkę, i na buty, i na wczasy pracownicze raz do roku.

– Już nie mogłam wytrzymać. Ta bieda, wiecznie za czymś gonitwa – wspomina.

Bierze nadgodziny, zostaje kierowniczką działu, patrzy w tabelki i myśli, jak by się uwolnić od tych liczb. Dowiaduje się, że potrzebują kogoś w konsulacie francuskim w Gdańsku.

– We Francji ojciec marzył, że gdy dorosnę, będę pracować w konsulacie. Nie udało się tam, udało się w Polsce – mówi. Wystawia wizy, zwykle ludziom anonimowym, czasem sławnym. „Niech pani idzie szybko do okna! Widzi pani? Kto to jest, cyrkowiec jakiś?” – zaczepia ją raz wicekonsul. Za oknem mężczyzna: marynarka w kratę, fular w kropki, a na nogach coś tak intrygującego, że trudno znaleźć na to odpowiednie słowo. Kolorowy człowiek wchodzi do biura i pięknym głosem, z miękkim akcentem, przedstawia się: Niemen. W biurze długo śmieją się z tej historyjki.

– Konsulami byli Francuzi, zżyłam się z nimi – mówi Henryka. – Czułam się tam, jakbym nigdy nie wyjechała z Francji.

Po konsulacie jest francuska firma zaangażowana w budowę Świnouportu – bazy przeładunkowej w Świnoujściu. Potem, już społecznie, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. Z firmy jeździ na delegacje do Francji, a w ramach działań w Towarzystwie co miesiąc organizuje wystawy o kraju, w którym się urodziła.

– Jak raz uczepliłam się Francuzów, to już nie puściłam – podsumowuje.

Zofia też znalazła pracę w biurze, w administracji Zakładów Przemysłu Cukierniczego „Śnieżka”. Zamierzała studiować chemię, fascynowało ją, jak wiele potrafi natura. To raz. Dwa: od dziecka obserwowała mamę, która tak często potrzebowała wsparcia. Ona chciała być samodzielna, wybrać zawód, który da jej niezależność. Ale mama znowu potrzebowała pomocy, było młodsze rodzeństwo, nie było już ojca, nie było pieniędzy. Zofia skończyła więc liceum ogólnokształcące i poszła do „Śnieżki”. Siedzi w pokoju z dwoma koleżankami, do pracy zawsze rwie się pierwsza, nie narzeka, nie stęka. Stara się każdego zrozumieć, nie oceniać, wie, że tu

każdy jest inny, każdy skądś. Pyta sama siebie: co można zrobić dla ludzi? Ile można z siebie dać? Co zorganizować, żeby pracowało się łatwiej? Ludzie pytają: pani Zosiu, czemu pani taka inna? Skąd się pani tu wzięła?

Daniela została intendentką w szkole przy Dolnośląskich Zakładach Naprawczych Przemysłu Węglowego. To dobra praca, po latach Daniela z sentymentem wspomina uprzejmą młodzież. Potem, już w latach dziewięćdziesiątych, pomagała znajomej w biznesie. Znajoma szyła płaszczyki z resztek futer i skórek, Daniela z mężem sprowadzała dla niej z Paryża całe worki materiałów. Kiedy opowiada o tych wyjazdach, sporo mówi o skórach, ale więcej o ludziach.

– To był inny świat. Nie mogliśmy kiedyś znaleźć pewnego adresu, zaczepiłam kobietę, pytam, gdzie jest taka a taka ulica. A ona odpowiada: oj, daleko, ale jak zaczekacie piętnaście minut, to was podwiozę. U nas to byłoby nie do pomyślenia.

Władysław został inżynierem. Pokazuje mi swój życiorys spisany ręcznie na kancelaryjnym papierze. Wykształcenie: Politechnika Wrocławska, Wydział Mechaniczny; Uniwersytet w Tunisie, Instytut Języków Żywych; Akademia Górniczo-Hutnicza, Wydział Technologii i Mechanizacji Odlewnictwa; Akademia Ekonomiczna we Wrocławiu, Wydział Gospodarki Narodowej. Wszystko zwieńczone tytułem lub dyplomem. Praca zawodowa: Polska, Tunezja, Wybrzeże Kości Słoniowej. Dyrektor, dyrektor techniczny, główny specjalista. Praca społeczna: Naczelna Organizacja Techniczna, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Francuskiej. W tym ostatnim: wyjazdy, wystawy, konkursy recytatorskie, kursy języka francuskiego. Dziesięć stron zapisanych drobnym, eleganckim pismem.

Alfreda chciała zostać tłumaczką, jednak życie również te plany pokomplikowało. Idzie do pracy wcześniej, najpierw do fabryki obuwia, potem zatrudnia się w zespole adwokackim.

Liana – poszła na studia, najpierw na psychologię, potem na pedagogikę. Jeszcze zanim zdobyła wykształcenie, zaczęła pomagać mamie w pracy społecznej – na kursach uczyła robotników matematyki. Ona miała dziewiętnaście lat, oni trzydzieści lub więcej. Po studiach pracowała w sądzie, tworzyła zespoły kurateli dla dorosłych, pierwsze na Dolnym

Śląsku. W gazetach nazywali ją „menadżerką resocjalizacji”, chociaż w latach siedemdziesiątych mało kto znał to słowo. Potem było tworzenie sieci pomocy społecznej przy zakładach opieki zdrowotnej i na koniec kariery zawodowej – powrót do sądu. Tytuł magistra zdobyła jeszcze dwukrotnie, z prawa karnego oraz z zarządzania i organizacji służby zdrowia, do tego podyplomówki, kursy. Mówi, że uczyła się przez całe życie. A pracowała zawsze z ludźmi, zawsze tak jak jej matka.

Polityk, księgowa, pracownica administracji, inżynier, intendentka, psycholożka – byle dalej od kopalni, a jeśli już do kopalni, to byle nie pod ziemię, byle wyżej. Windą, która raz na zawsze można wyjechać na powierzchnię, jest nauka. Tuż po wojnie na Dolnym i Górnym Śląsku jedna po drugiej przy kopalniach otwierają się szkoły. Rodzajów jest kilka: trzyletnie szkoły przemysłowo-górnice, przyjmujące uczniów już po piątej klasie szkoły podstawowej, trzyletnie gimnazja przemysłowo-górnice, jednoroczne szkoły przysposobienia przemysłowego, wreszcie licea przemysłu węglowego dla tych, którzy planują studiować na Akademii Górniczo-Hutniczej¹. „Takich warunków jak dziś nie miał nigdy żaden uczeń szkoły zawodowej w Polsce. Nie tylko bowiem nauka jest bezpłatna, ale nadto uczeń otrzymuje pensję tak jak każdy robotnik, a oprócz tego normalną aprowizację i przydziały. Dla specjalnie uzdolnionych uczniów przewidziane są stypendia”² – chwala w gazetach.



Franciszek (u dołu pierwszy z prawej) z kolegami z I klasy Państwowego Liceum Przemysłu Węglowego, Dąbrowa Górnicza, rok szkolny 1949/1950

Źródło: archiwum rodzinne autorki

Reemigranci chętnie korzystają z tych możliwości: w 1947 roku jedna trzecia uczniów w szkołach przemysłowo-górnich i placówkach dokształcających Politechniki Wrocławskiej pochodziła z Francji. „Napływ tej młodzieży na Ziemię Odzyskane jest tak silny, że przejawia się to wyraźnie we wzroście szkolnictwa zawodowego. W ciągu ostatniego roku szkolnego ilość szkół górniczych wzrosła tu z 12 na 17, a ilość uczniów z 974 na 4000”³.

Gdzieś w tych statystykach jest mój dziadek, uczeń najpierw Gimnazjum Przemysłowo-Górnich (w którym z polskiego miał niedostateczny), potem Państwowego Liceum Przemysłu Węglowego, wreszcie Akademii Górniczo-Hutniczej (gdzie z francuskiego miał bardzo dobry). Po dyplomie zaproponowano mu kontynuację pracy naukowej, jednak odmówił. Przez całe studia korzystał ze stypendium, a to zobowiązywało do powrotu do kopalni. Za biurko, ale jednak. Pod ziemię zjeżdżał na kontrolę lub gdy zdarzył się wypadek. Kiedy wracał do domu, przebierał się, odkładał teczkę

i szedł do lasu. Spacerował czasem godzinę, czasem dwie i dopiero wtedy się uspokajał. Może kręcąc się po wałbrzyskich wzgórzach, wybiegał myślami daleko, a może – co, znając jego charakter, bardziej prawdopodobne – odtwarzał w głowie obrazki z minionego dnia, jeszcze raz i jeszcze, póki nie rozłożył ich na najmniejsze elementy i każdego z nich nie ocenił. Co mogło pójść lepiej? Czego należało przypilnować bardziej? Może wreszcie – co też by do niego pasowało – wracał myślą do czasów zaraz po przyjeździe do Polski, do tej końcówki lat czterdziestych, gdy sam pracował pod ziemią, i czuł teraz ulgę, że to już za nim. Że jednak w całej tej reemigracji miał trochę szczęścia.

Tutaj rządzą Francuzi?

O ile dzieci reemigrantów miały szansę wyboru drogi zawodowej, o tyle ich rodzice często byli jej pozbawieni. Przyjeżdżali do kraju jako górnicy, by pomóc w odbudowie kopalń, i choć wiele zapowiedzi władz nie znalazło odbicia w rzeczywistości, ten scenariusz rzeczywiście został zrealizowany. Na początku często niósł ich entuzjazm – podejmowali pracę, nie pytając o wynagrodzenie, godzili się na podwójne szychty i weekendy bez odpoczynku. Z czasem jednak zapał ustępował miejsca rozgoryczeniu, bo warunki, jakie zastali na miejscu, dalekie były od tych, które opisywano w polonijnych gazetach. Powojenna górnicza rzeczywistość to czterdzieści sześć godzin pracy w tygodniu, częste nadgodziny (w latach 1948–1949 górnicy pracowali średnio co drugą niedzielę), podwójne szychty w soboty, brak inwestycji w sprzęt, płace niby rosące, ale nie tak szybko jak ceny i koszty życia, dodatkowo częściowo wypłacane w naturze⁴.

Jak już wiemy, głośno wyrażane niezadowolenie bywa przyczyną problemów i zainteresowania organów bezpieczeństwa; zarzuca się nawet „Francuzom” „sabotowanie pracy klasy robotniczej”⁵. Ale i odwrotnie – domagających się lepszych warunków pracy górników kopalniana winda wiezie spod ziemi wprost do rady zakładowej, dyrekcji albo jeszcze dalej, na stanowiska w administracji państwowej. Tych drugich jest wystarczająco wielu, by mieszkańcom Wałbrzycha zaczęło mienić się w oczach: na

każdym kierowniczym stołku widzą już „Francuza”, nawet jeśli ten, kto na nim siedzi, nigdy we Francji nie był. By zaczęły krążyć plotki o zamkniętej grupie, klice, systemie wsparcia, do którego nikt z zewnątrz nie ma dostępu.

Ówczesni badacze tłumaczyli, że to kwestia kompetencji: doświadczenia w pracy społecznej, długiej działalności w ruchu komunistycznym, nabytych na emigracji cech przywódczych, znajomości środowiska robotniczego⁶. Takimi wyjaśnieniami plotek jednak nie sposób zagłuszyć. Utrwalił się więc na długie lata obraz „Francuzów” jako mocnych, wpływowych, trzymających się razem, dla których zarezerwowano najlepsze domy, stanowiska, miejsca w szkołach. Owszem, byli tacy, którzy po nie sięgali. Ale byli i tacy, którzy wstawali rano w domach, gdzie zawsze czegoś brakowało, a wieczorem wracali do nich po pracy, która zdawała się nie kończyć. I czasem naprawdę, a czasem tylko w myślach płakali ze złości lub niemocy.

Trzy historie o pracy

Historia pierwsza, w której dźwięczą kolczyki i medale

Czasem o małżeństwie można opowiadać godzinami, a czasem za jego opis wystarczy jedno zdanie. „Myśmy się kochali i szanowali, ale to były bardzo ciężkie czasy” – tak brzmi zdanie Marii.

Ciężar tych czasów można zważyć – kiedy biorę do ręki drewnianą kasetkę, ledwo udaje mi się ją utrzymać. Kasetka jest prostokątna, ozdobna i po Niemcu, który wyprowadził się z Polski w 1956 roku. Jeszcze wcześniej wyprowadził się z własnego mieszkania do sutereny, bo tam po wojnie było miejsce Niemca. Kasetkę ofiarował im na pamiątkę, krótko przed wyjazdem, lubili się z Leonem w kopalni. Teraz Maria trzyma w niej w medale męża, też na pamiątkę. Wyciąga po jednym i wymienia: krzyż chlebowy na trzydziestolecie pracy, na Barbórkę, za brak bumelki, za ofiarną pracę. Brzęczą pod palcami, a każdy inaczej, są w różnych kształtach i rozmiarach, na wierzchu kolorowo malowane, a pod spodem złote, choć nie było za nie ani złotówki. Najwięcej chyba dali za chlebowy – 30 groszy. Rozczarowania zdarzały się nie tylko przy

przyznawaniu medali, pojawiały się co roku, gdy zamiast trzynastki wręczano Leonowi talony.

„Ciężkie czasy” zwykle się wloką, rozmywają, trudno określić ich początek. Może zaczęły się wraz z przyjazdem do Polski, a może kilka lat później, kiedy Maria miała szesnaście lat, jej ojciec zmarł, a ona zamiast do szkoły pedagogicznej musiała iść do pracy. Ojciec zachorował na zapalenie płuc, posłano go do sanatorium, do Szczawnicy. „Kogo wy tutaj skierowaliście? Nieboszczyka?!” – mówią w Szczawnicy i wysyłają go do szpitala do Zabrza. Wychodzi na własne żądanie, do domu przywozi go karetka. Jest już bardzo szczupły, waży czterdzieści kilo. Wie, że umiera. Do domu schodzą się przyjaciele i sąsiedzi. Ojciec mówi sąsiadowi: mnie się buty z kopalni należą, pomóż żonie, żeby jej te buty wydali, będą dla syna. Nie wydali. Nie należy się.

Maria zaczyna więc pracę. To wtedy, żeby ją przyjęli, dodaje sobie dwa lata do metryki.

Na pewno ciężkie czasy były już, gdy urodził jej się synek. Mały co rano szedł pod opiekę babci, a Maria do garbarni. Fabrykę zbudowali Niemcy, Polacy zaś reklamowali ją tak: „Glinickie Zakłady Wyrobów Skórzanych w Glinicy są położone w odległości dziesięciu kilometrów od Wałbrzycha, w malowniczej miejscowości w dolinie rzeki Jedlinki, otoczonej niezbyt wysokimi Górami Wałbrzyskimi, porośniętymi lasem o charakterze mieszanym z przewagą drzew świerkowych”. Od końca wojny zakłady podniosły produkcję o kilkaset procent. „Pasy pędne Glinickich Zakładów Skórzanych wędrują do hut i kopalń Górnego Śląska, do Stoczni Gdańskiej i Szczecińskiej, do najmniejszych zakątków kraju. Gońce tkackie i inne artykuły techniczne włókiennicze, jak bicze meliorowe, chomątka, zderzaki, paski do nicielnic i klap, łapacze, podkładki pod gońce itp., dostarczane są do zakładów przemysłu włókienniczego województwa wrocławskiego i częściowo do Polski centralnej. Garbarnia Glinickich Zakładów Wyrobów Skórzanych produkuje przede wszystkim krupony pasowe, krupony meliorowe i skóry pergaminowe do przerobu w dziale przetwórczym oraz karki i boki podeszwowe i podpodeszwowe pozostałe z rozkroju tych skór, a przeznaczone do przemysłu obuwniczego”⁷. A wszystko to, te paski, łapacze, krupony, przechodzi przez ręce Marii.

W tych rękach nic nie ginie, przeciwnie, jakby odnajduje porządek, jej nie ma się chaos wielkiej hali. Pewnego dnia słyszy: jesteś taka dobra w liczeniu, damy cię na magazyn operacyjny. Wraca do domu i od męża słyszy: zgódź się, pracę będziesz miała lżejszą.

Na magazynie ręce może nie pracują tak ciężko, muszą za to pracować oczy. Kiedy tylko Maria spuści je na chwilę, z magazynu coś znika. Kiedy je podniesie, dostrzega, że od drzwi mrugają do niej inne. Cicho, Marysia, znamy się, Marysia, nic nie widziałaś, Marysia. Tylko mrugali, mrugali i brali. Maria boi się, że i ją zabiorą, prosto do więzienia. Za Stalina brali za nieupilnowanie państwowego, od jego śmierci niby minęło kilka lat, ale może i teraz wezmą, kto wie? A jeśli się sprzeciwi, to może jej coś zrobią? Boi się więc powiedzieć: nie bierzcie tych skór, bo mi na zelówki braknie. Cały czas w strachu, ma problemy z żołądkiem, kłopoty ze snem. Wreszcie mąż mówi: zwolnij się, nie możesz się tak denerwować.

Zwalnia się więc, a potem znowu zachodzi w ciążę i już nikt nie chce jej zatrudnić. Przez siedem lat.

Siedem lat nie ma na opłaty.

Siedem lat kombinuje, co maluchom dać jeść.

Siedem lat wydłuża, skraca, pruje.

Siedem lat gotuje z niczego.

Imieniny Marii wypadają pod koniec maja. Świątuje je w zimowych botkach, bo to już lepiej, niż świętować boso. Wreszcie idzie w tych botkach do dyrektora, prosić, żeby ją przyjął z powrotem. To nie pierwszy raz, „razów” jest tyle, że dyrektor grozi, że przy kolejnym utopi ją w basenie. Wreszcie przyjmuje, ale do najcięższej pracy, z mężczyznami.

O garbarni mówią, że można tu przyjść z ulicy, a w takiej pracy zawsze jest jakaś pułapka. Czasem to niskie zarobki, czasem harowa, czasem warunki, w których ryzykuje się zdrowie i życie. W garbarni można było wpaść do basenu, do dołu, w beczkę, w bęben, w silos. Pół biedy, jeśli jest tam woda; rzadko jednak jest woda, częściej kwas, siarczek, kto wpadł, z tego skóra schodziła. Palec może wpaść pod brzytwę, pod nóż do krojcowania tnący skórę na części. Zawsze jednak, niezależnie od szczęścia, znajomości i stanowiska, wpada się w smród, ten jeden, niepowtarzalny, charakterystyczny, ostry, duszący smród garbarni. Kiedy

mówię Marii, że moja mama też pracowała w garbarni, oddycha z ulgą. Może coś z tego zrozumie.

W domu Marii ciągle nie ma łazienki. Kiedy wraca do domu, wyciąga wannę, grzeje wodę i dopiero może się umyć. Siedząc w wannie, liczy pęcherze na dłoniach, pamięta jeden z wyników: szesnaście. Nie ma wanny, nie ma też innych rzeczy. Na przykład owoców. Ona wychowała się na pomarańczach; jej dzieci poznały smak mandarynek, dopiero gdy kupiła je w Peweksie. Gdyby mogła, zabrałaby te dzieci pod pachę, wpakowała na statek, do pociągu i ruszyła z nimi do Francji.

Pierwsze zaproszenie przyszło w latach sześćdziesiątych, dla niej i jej siostry. Kuzyn Jacques z Clermont-Ferrand włożył do koperty certificat d'hébergement – zaświadczenie, że mogą zamieszkać u niego, dwieście franków i deklarację, że je utrzyma, a jeśli coś się stanie, będzie za nie odpowiadał. Razem z listem z koperty jak obrazki wysypały się wspomnienia. Jazda na rowerowej przyczepce. Śmieszne kozy w gospodarstwie babci, która robi jej kawę z kozim mlekiem. Pola truskawek ciągnące się po horyzont, kanałami w wąwozach dopływa świeża woda. Ona z Kakim nad kanałem. Banany, pomarańcze, melony. „Co? Do Francji się wam zachciewa” – podśmiewali się w urzędzie. Jesteście w wieku produkcyjnym, nigdzie nie pojedziecie.

Tylko co tu produkować? Dla kraju surowce i towary, a dla siebie chyba tylko zmartwienia. Leon zatrudnił się na kopalni jako elektryk, Maria wciąż w tych skórkach, a pieniędzy ciągle mało. Dziwna rzecz z tą biedą. Do jednych się przykleja i raz przyklejona, nie chce puścić, innych za to omija z daleka. Bo na przykład Leon jest biedny, a jego siostra już nie. Jeździ regularnie na winobranie do Francji. Za zarobione pieniądze kupuje sobie malucha. „Zabrałabyś kiedyś i Leona” – mówi do obrotnej siostry teściowa. Zabrała, a jak Leon pojechał, to jakby kamień w wodę. Ani telefonu, ani listu, ani kartki. Miał taki charakterystyczny zwyczaj: kiedy wracał ze sklepu, siedł jak najszybciej, prawie na bezdechu, a kiedy już dotarł do domu, siadał i głośno posapywał. Maria budzi się w środku nocy i wydaje jej się, że słyszy to sapanie. „Mój Boże, to chyba Leon przyjechał” – rozgląda się, ale on przecież jak kamień w wodę.

W tych polskich sklepach, do których Leon chodził, żadnego wyboru, żadnych smakołyków, po pięć deko kawy stoi cała rodzina. W kółko tylko „nie ma, nie ma, nie ma”. Za to Leon wreszcie jest! Wrócił i od razu musi się tłumaczyć. Dlaczego się nie odzywałeś? Żadnego telefonu, żadnego listu? Bo oszczędzałem, Marysia, oszczędzałem! I wyjmuję, na co zaoszczędził: nie pięć deko, a sześć kilo kawy. Wyjmuję kolczyki dla niej, nie ze złota, tylko z takiego metalu, który nigdy nie rdzewieje. I dla dzieci nakupił! Dziś już nikt nie pamięta co, ale wszyscy pamiętają radość.

Historia druga, w której sypie czarny śnieg

Teraz będzie o pracy i smutku. Powinna więc mówić Wala, ale Werka szybka, rzutka, pierwsza rwie się do opowieści, przeskakuje przez miejsca i czasy. Rzuca obrazek z lat osiemdziesiątych. Z gabinetu dyrektora wychodzi odświętnie ubrana sekretarka: szpilki, sukienka, włosy ułożone. Jest jednak w tej elegancji jakieś drżenie, i jeszcze te oczy ze źrenicami jak czarne węgielki. Nie wiadomo: od ciemności czy od strachu.

„Werka, ja nie wiedziałam!” – mówi i potrząsa głową tak, że pojedyncze kosmyki wymykają się z eleganckiej fryzury. Dyrektor kopalni wymyślił, żeby z okazji Barbórki pracującym w sekretariacie dziewczynom zorganizować wycieczkę pod ziemię i na sortownię. Atrakcja zrobiła wrażenie. „Jakbym na własne oczy nie zobaczyła, tobym nie wierzyła! Ludzie, że jeszcze takie prace są na świecie!”

I teraz mówi już Wala. Emocjonalnie oszczędna, spokojna, wycofana. Przenosi opowieść z lat osiemdziesiątych do pięćdziesiątych, z gabinetu dyrektora do sortowni. Okna niby wielkie, fabryczne, ale szyby zalepione brudem. Wpada przez nie światło, jak zimowe słońce, w mdłej poświacie wirują płatki śniegu. Dziwny to śnieg – nie biały, a czarny. Negatyw śniegu. Zadymka, choć czarna, jest lepka niczym prawdziwy śnieg. Ostre, jakby zmrożone drobinki opadają na maszynię. Na płynące w górę i w dół taśmy, kaskady schodów, kruche mostki, dynamiczne pochylnie, zaskakujące spusty, szybkie zapadnie. To miejsce wygląda, jakby stworzył je ktoś, kto chciał bić rekord świata w dziwnym akrobatycznym dominie, w którym po pchnięciu jednej kostki kolejne kładą się na siebie, pokonując alpejskie zawijasy z cichym kliknięciem. Tutaj jednak nie plastikowe kostki

się kładą, tylko kamienie wymieszane z węglem. Kobiety oddzielają jedne od drugich.

Tyle widzę na zdjęciach. Widzę, ale nie rozumiem. Gdzie w takim miejscu człowiek? Ile siły trzeba mieć, żeby przerzucić bryłę węgla? Na czym przez osiem godzin przerzucania zawieszają się oczy i myśli?

Waleria tłumaczy mi tak: mężczyźni kopią pod ziemią węgiel. Potem zaczną kopać też kobiety, lecz w tej chwili to jeszcze wyłącznie męska robota. Węgiel jedzie na płuczkę. I do sortowni. A w sortowni już stoimy my i co niepotrzebne rzucamy do leja. Drewno – do leja. Żelastwo – do leja. Kamienie – do leja. Rękami, rękami, oczywiście, że rękami. Przydałoby się każdego z podstawówki na jeden dzień przysłać do pracy na sortownię, to zaraz by mu wróciła ochota do nauki. To nie jest robota, to jest harówa!

Tłumaczy dalej: drewno, żelastwo, kamienie do leja, a węgiel jedzie sobie czyściutki. Pod nami, na torach, już ustawione wagoniki, na końcu taśmy – drugi lej, czarne bryły sypią się nim do wagoników. Niektóre są tak wielkie, że musisz wziąć młot i walić w taką bryłę ile sił, póki nie rozbijesz. Jak wagon jest pełny, kładziesz się na wielką wajchę i wagoniki na dole się zmieniają. A z góry patrzą na nas chłopcy. Muszą patrzeć uważnie, żeby na czas zatrzymać taśmę z płuczki, żeby nas nie zasypało. Nie, nie pomagają, czasem tylko jak jakiś duży kamień. Albo zimą, bo najgorzej zimą. Woda z płuczki zamarza, tworzy się sopel pod sam sufit z węglem w środku. To nie jest robota, to jest harówa. Pani by nie uwierzyła, ile kobiety mają siły.

Czarny śnieg pada na maszynę, pada i na kobiety. Drobiny są wszędzie. W oczach – malują kobietom kreski „na Kleopatrę”, równiutko, tak jak trzeba, od kącika po kącik, bez rozmazywania. Pod paznokciami – zdobią je czarne półksiężycy. We włosach – czerń, najmodniejszy kolor w zakładzie. Tu nie ma innych, nie ma siwych, nie ma blondynek, są tylko te z ciemnym bależem. Myślałby kto – zakład kosmetyczny, ale to nie salon piękności, to harówa!

Po zmianie kobiety w łaźni starannie ścierają z siebie ślady tej harówy. Myją się ryżowymi szczotkami, każda naga, a kiedy odsłania się ciało, nie trzeba już nic mówić. Ta ma piersi obwisłe, brzuch obwisły. Brzuch

pamięta, że kiedyś było dobrze, a teraz jest źle. Kiedyś była trójka dzieci, mąż i Oberschlesien, a teraz jest tylko trójka dzieci. Mąż zmienił się w „losy nieznane”, a Oberschlesien w Górny Śląsk. Tamta zaś biustu prawie nie ma, taka chuda. Kiedy się zbliża, to najpierw miednica idzie, a potem dopiero reszta, przyczepiona do miednicy niczym szmaciana lalka do korpusu. Na majtającej się obok miednicy ręce-szmaciance czarny numer. W kącie stoi postać jeszcze inna, tej nic nie brakuje, ulewa jej się spod pach, znad kobiecości, a z ust jej się ulewa: na co wy tu, Polki, Francuzki, wschodniaki, na co wy tu przyjeżdżacie? Dorobić? A za nią, jeszcze dalej, jeszcze bardziej w kąciku, w ścianie już prawie, stoi jeszcze jedna, bladziutka, z blizną na brzuchu. Dzieci jej przez ten brzuch wyjęli, bliźniaki, nieżywe, mówią, że w wodzie czarnej jak węgiel. Nie dla kobiet to robota, mówili w szpitalu. To nie robota, to harówa.

Śladów kopalni nie da się zmyć, zawsze coś zostanie, czarny śnieg w uchu, czarny księżyc pod paznokciem. Każdego dnia zabierasz ze sobą odrobinę węgla, a potem starannie wydłubujesz ją kłębkiem waty okręconym o zapałkę. To kopalniana kontrabanda legalna, mimowolna, za którą nikt nie ściga. Jeśli jednak marzy ci się kontrabanda większa, musisz unieść sukienkę. A jak już uniesiesz, bądź bardzo ostrożna.

W sortowni wszystkie dziewczyny są biedne, wszystkie zmęczone, ale niektóre są też obrotne. Te obrotne chodzą na kęsy, na najlepsze kawałki węgla, cennego jak czarne klejnoty. Na kęsach sprytna dziewczyna robi tak: leci kawał drewna, kulok. Ona – cap! Bierze potem siekierkę i raz, raz, szybciotko rąbie kulok na małe deseczki, troszkę większe, rozmiaru szczapki do palenia. Teraz leci kawał węgla. Cap! Jeszcze szybciej! To kęs specjalny – płaski, równy, nie za mały, nie za duży. Szybkie ręce szykują z niego czekoladkę, batonik według kopalnianej receptury. Na zewnątrz szary, miękki wafelek deseczek, a w środku samo sedno – pożywny ciemny węgiel. Wszystko w praktycznym opakowaniu ze szmatki i drucika. Tak się robi zapasy na zimę, po troszeczkę, jedną czekoladę dziennie.

Gotowy batonik trzeba włożyć w torbę, a jak nie ma torby, to pod sukienkę, pod pasek, mocno związać. Że niby boli, ma się te dni i boli. Chłopaków na bramie nie ma się co bać, przecież oni wiedzą, wszystkie żony biorą, wdowy biorą, matki biorą. Wezmą i już mają węgiel na zimę.

A przydział sprzedadzą, będzie trochę pieniędzy, pożyje się odrobinę lżej. Zresztą, można i bez chłopaków na bramie. Wala pamięta jedną taką obrotną dziewczynę. Szczupła, trójka dzieci. „Wala, ja sobie nie umiem dać rady z tymi dziećmi, nie mam za co butów kupić” – mówi. A któregoś dnia pyta, czy Wala z nią pójdzie. „Chodź, ja ci wszystko pokażę” – kusi, a jej sprytne ręce oplatają ramię Wali.

W tej chwili Wala jest jak stateczek, gdzie nią posterować, tam popłynie. Czasem się opiera, strach wydyma jej spódnice jak żagiel, w inną stronę, lecz zaraz wraca na kurs. Tym razem to kurs na okienko w kopalnianym murze, bardzo sprytne, bardzo dziwne, bardzo nie wiadomo po co. Jakby ktoś chciał podziwiać z dziedzińca kopalni, co tam się dzieje na zewnątrz. Nic się nie dzieje, przechodnie patrzą w niebo. Nikt nie zauważa, że kobiety przez to okienko przerzucają pakunki z węglem.

Dziewczyny pakują więc te batoniki, a pakunki wyrzucają przez okienko. Wala dla siebie nie bierze, ale innym czasem pomaga. Boi się, chociaż koleżanki mówią, że sztygarzy wiedzą, że kopalnia bez kilku kawałków węgla nie zbiednieje. Huk maszyn i spadającego węgla zagłusza lęk, lecz walczyć z lękiem to jakby chwasty wyrywać: jeden wyciągniesz, a na jego miejsce wyrosną trzy nowe. W Wali też coś rośnie, małe ziarenko – Werka. Zachodzi w głowę, jak to będzie, kiedy Werka stanie się większa niż ziarenko, duża jak śliwka, jak jabłko, będzie rosła i rosła, aż w końcu wyskoczy spod spódnicy niczym węglowa czekoladka.

Oj, nie będzie ani lekko, ani wesoło. On będzie chodził do pracy na szóstą, a ty zostaniesz w domu z dziećmi. Jeśli nie skończy roboty, będzie musiał zostać pod ziemią, zwiozą mu tam tylko wodę i trochę chleba, ale ciebie nikt nie uprzedzi, nie powie ci, co się z nim dzieje. Minie czternasta, szesnasta, osiemnasta, a ty nie będziesz wiedzieć, czy to tylko praca, czy wypadek. Zaprowadzisz więc dzieci do sąsiadki, sama zaś pognasz na kopalnię. Autobusem, jeśli nie będzie autobusu, to na nogach, godzina marszu. Dowiesz się, że nie było wypadku. Uff, to z powrotem do dzieci. Siedzieć z nimi, do następnego razu, kiedy znów wybije czternasta, szesnasta, osiemnasta, a jego nie będzie.

I urodziła się Werka, teraz rośnie i rośnie, energiczna, ciepła, uśmiechnięta, dziecko jak kawałek cukru. Rośnie, to już nie dziecko, to

panienka, nie panienka, a kobieta. Spod palców sypie jej się już prawdziwy cukier. To dyplomowane palce, z papierami po szkole gastronomicznej, układają posiłki w stołówce w domu górnika. Zamieszanie takie, że nie ma czasu podpaski zmienić. Werka ma osiemnaście lat, słodkie palce i słone policzki. Przyszła pani z Sanepidu, zjadła obiad, dostała kotlet do torby, przejechała brudnym palcem po czystym talerzu i zabrała po dwieście złotych premii, tuż przed Bożym Narodzeniem. Idzie Werka do domu i płacze, chciała kupić smakołyków, prezenty, rodzicom pomóc, tyle miało być, a nic nie będzie. Aż się zwolniła z tego żalu. Tylko teraz żal jeszcze większy: ma wychodzić za mąż, ale jak to za mąż iść bez pracy? I wtedy znowu tata, kochany tata: Werka, jest praca w kopalni, pójdziesz jutro na sortownię. Werka aż podskoczyła, jest praca! Taka jak mamy, taka jak babci, ona doczepi kolejne ogniwo do rodzinnego łańcuszka.

Ogniwa są bliźniaczo podobne. Ten sam huk, pył, larmo. Takie same dziewczyny, czarne od węgla, zmęczone, z wojennymi doświadczeniami. Ta sama czekoladka. Nawet Werkę kłuje w brzuchu podobnie jak Walę. Tylko tym razem to nie córka, lecz synek. Kiedy Werka kładzie się na wajsze, żeby przepuścić kolejny wagonik, synek podwija nóżkę. Jak wyskoczył na świat, zapomniał jej rozprostować i tak już ma do dziś. Pamiątka po kopalni, która zostanie na zawsze.

Historia trzecia, w której balonik najpierw się nadyma, a potem pęka z hukiem

Przez Zabrze powoli płynie czarna rzeka. Na przedzie rodzina, dalej przedstawiciele rządu, władz wojewódzkich, partii politycznych, poczty sztandarowe, wieńce, wreszcie zwykli ludzie w liczbie stu tysięcy. Kto nie idzie ulicą, ten wygląda z okien, kto nie wygląda, ten chociaż wbił w donicę czy szczelinę ściany czarną chorągiewkę. Tłum jest tak gęsty, że tylko szczęściarze w tej ludzkiej masie wzrokiem uchwycą platformę ciągniętą przez cztery czarne konie. Na platformie trumna przykryta sztandarem, ułożona wśród brył węgla. Gra orkiestra, najpierw marsza żałobnego, potem, gdy już spuszczają trumnę do grobu, hymn państwowy i *Międzynarodówkę*. Sypią się kwiaty, rośnie kopiec wieńców⁸.

Gdyby jakąś nadprzyrodzoną mocą wślizgnąć się w ten stutysięczny tłum i podsłuchać, co szepczą między sobą stojący w cmentarnych alejkach górnicy, pewnie można by usłyszeć: „Tak jeszcze nigdy w Polsce nie chowali górnika”. Oraz wypowiedane nieco cichszym głosem: „Chcesz się dostać na sąd boski, pracuj jak Wincenty Pstrowski”. „Wincenty Pstrowski, górnik ubogi, wyrobił normę, wyciągnął nogi”.

Pstrowski był z tych, którzy pracy się nie boją. To można powiedzieć na pewno. Reszta jego losów to zbiór „być może” i „podobno”, bo on sam o sobie mówił niewiele. Co innego propaganda – ta umiłowiała go jak mało którego robotnika, a opowieści o nim snuła liczne i barwne.

Podobno już w jadącym do Polski wagonie, ledwo przekroczyli granicę, rozglądał się i pytał: gdzie ta kopalnia? Będzie praca w tej kopalni? Był na tyle znany ze swej pracowitości, że belgijskie kierownictwo nie chciało puścić go do kraju. „Wrócił [jednak] głuchy na wszystkie podszepty i plotki, głuchy także na głosy belgijskich sztygarów, którzy obiecywali mu wyższą płacę, bo żalowali go bardzo, tak był pracowity i rzetelny”⁹.

Zapisał się do kopalni „Jadwiga” na zabrzańskich Biskupicach. Warunki mieszkaniowe – średnie. Dla pięcioosobowej rodziny dwa pokoje i kuchnia, woda na korytarzu, toaleta na dworze. Warunki pracy nieco lepsze, na pewno bardziej komfortowe niż w Belgii, bo pokład jest na tyle wysoki, że przynajmniej nie trzeba szorować plecami o ścianę, jednak wypłata nędzna: około siedemdziesięciu złotych za dzień. Bochenek chleba kosztuje dwadzieścia pięć złotych¹⁰. Pstrowski głośno narzeka na niskie wypłaty, ale samo narzekanie niewiele daje. Zakasuje rękawy.

Na przodku harują tylko we dwójkę: rębacz Pstrowski i ładowacz Stanisław Popielarczyk. Mają trudniej niż inni, pracują w mniejszym zespole, ale wszystko jest przemyślane i wszystko na własne życzenie: ile wykopią, tyle zarobią. Czysta sytuacja, w której nie ma miejsca na bumelkę. Pstrowski i Popielarczyk są jak ludzkie maszyny. Rośnie im urobek, rośnie i pensja, z siedemdziesięciu do siedmiuset złotych za dniówkę. Za taką wypłatę można kupić prawie trzy kilo mięsa, dwa metry materiału na górniczą koszulę albo parę pończoch dla żony Katarzyny, pięćdziesiąt zeszytów dla dzieci: dla syna Feliksa, który po pracy w kopalni

działa w Związku Walki Młodych, dla Tadka, który uczy się w szkole górniczej, dla małej córki Danusi, która tak ładnie mówi po francusku.

Nie ma tygodnia, żeby Pstrowski z Popielarczykiem nie pobili rekordu „w wydzieraniu węgla ziemi”. Ten duet nie ma pustych przelotów, każda minuta dniówki jest cenna. Są pierwsi na dole i ostatni na górze, śniadanie jedzą w drodze na przodek, węgiel wybierają, zanim jeszcze opadnie pył po wybuchu. Nikt na Śląsku nie ma takich wyników!

Nie ma, ale może mógłby mieć? Może inni też są w stanie kopać na rekord, ale o tym nie wiedzą? Może o tym, jak pracować wydajniej, trzeba im powiedzieć?

Pstrowski z pomocą syna Feliksa, który zaraz rozpocznie naukę w szkole oficerskiej w Łodzi, pisze list otwarty do kolegów górników. Siadają przy kuchennym stole, pod jasną lampą. Wincenty dyktuje, Feliks pisze, bo ojciec, choć z młotem i kilofem radzi sobie doskonale, to z piórem kiepsko mu idzie. Końcówka tekstu, który stworzyli, w ostatecznej, upublicznionej wersji, brzmi tak: „W lutym br. wykonałem normę w 240 procentach, wyrębując 72,5 metra chodnika. W kwietniu wykonałem normę w 273 procentach, wyrębując 85 metrów chodnika, a w maju dałem 270 procent normy, wyrębując 78 metrów chodnika. Pracuję w chodniku o 2 metrach wysokości, a 2,5 metra szerokości. Wzywam do współzawodnictwa towarzyszy rębaczy z innych kopalń. Kto wyrobi więcej ode mnie?”¹¹.

„Trybuna Robotnicza” drukuje tekst na pierwszej stronie. Na trzeciej zamieszcza zaś reportaż *Tajemnica górniczego rekordu*, w którym redaktor Stanisławski zjeżdża pod ziemię, by poobserwować przodownika przy pracy. W jego opinii to skromny człowiek. „Zdaniem Pstrowskiego w tym przekraczaniu norm nie ma nic nadzwyczajnego. Rano przychodzi na chodnik, bierze wiertarkę, wierci sześć otworów. Trzy z nich nabija materiałem wybuchowym, bo na tyle pozwalają przepisy górnicze. Po odstrzeleniu i wybraniu węgla z chodnika następne trzy otwory są już gotowe, co daje oszczędność czasu” – referuje Stanisławski. Dalej opowiada już Pstrowski: „Po odstrzeleniu przychodzę na przodek chodnika, oglądam, czy wszystko w porządku. Jeśli tak, to puszczam motor i... za łopatę. Obaj z ładowaczem, aby tylko nowe trzy metry dziennie naprzód”¹².

Jest też zdjęcie: podłużna twarz, orli nos, pod nosem niewielki wąsik. Bez uśmiechu, tak żeby nie odsłaniać popsutych zębów. Zaiste, jak napisze kilka dni później „Dziennik Polski”: „Pstrowski nie jest bohaterem”¹³.

A może jest, tylko o tym nie wie? Może trzeba mu to dopiero uświadomić? Może jak odpowiednio wiele razy napiszemy, powiemy, ogłosimy, że Pstrowski to bohater, to naprawdę się nim stanie? Mógłby, bo przecież życiorys ma doskonały. Urodzony na Kielecczyźnie, oddany przez rodziców na służbę, potem zatrudnił się w kopalni „Mortimer” w Sosnowcu. Dokuczała mu bieda, dokuczał mu kryzys, więc w 1937 roku wyjechał do belgijskiego Mons. W czasie wojny walczył w ruchu oporu, po wojnie, tak samo jak tysiące innych polskich górników pracujących we Francji i Belgii, odpowiedział na apel o powrót do kraju, który rozpaczliwie potrzebuje rąk do pracy. Zaraz po przyjeździe zapisał się do PPR¹⁴, pomagał przy kampanii wyborczej do sejmu w 1947 roku. Naprawdę trudno o lepszą biografię.

Piszą więc o nim nie tylko „Trybuna Robotnicza” i „Dziennik Polski”, ale też „Głos Robotniczy”, „Przekrój” i „Żołnierz Wolności”, mówi o nim Polskie Radio, pokazuje go Polska Kronika Filmowa. Ścisną mu rękę Bierut, ścisną Gomułka, ścisną Cyrankiewicz, ścisną przedstawiciel Centralnej Rady Związków Zawodowych, ścisną żołnierze. Jest idealnym robotnikiem na czasy, gdy w Polsce wykluwa się idea współzawodnictwa pracy.

Jej wschodnie wcielenie i niedościgły wzór w jednej osobie to oczywiście Aleksiej Stachanow, który w 1935 roku w donieckiej kopalni ręcznie wyrobił bez mała 1500 procent normy, uzyskując 102 tony węgla. W Polsce współzawodnictwo pracy nominalnie rozpoczęło się zaraz po wojnie – w marcu 1945 roku, gdy pracownicy łódzkich fabryk włókienniczych, zrzeszeni w Związku Walki Młodych, zainicjowali Młodzieżowy Wyścig Pracy¹⁵. Rok później rywalizowały już inne branże w całej Polsce, w tym oczywiście górnicy. Stawką były premie pieniężne i honorowy sztandar. Współzawodnictwo wciąż nie miało jednak ani takiej skali, ani takiej energii, o jakich marzyła władza. Bardzo przydałby się rodzimy wzór, bohater, ktoś, kto rekordy bije sam z siebie. Chodziło nie tylko o ideę, ale również o liczby: wydajność w kopalniach wynosiła wciąż

zaledwie kilkadziesiąt procent tej przedwojennej, a przecież węgiel stanowił jeden z filarów powojennej gospodarki, podstawowe źródło dewiz. Co więcej, był niezbędny, by wywiązać się z umów zawartych z Moskwą, na mocy których polska strona corocznie sprzedawała go na wschód po specjalnych, zaniżonych cenach. Według ZSRR dostawy miały stanowić rekompensatę za cenne gospodarczo tereny na Dolnym Śląsku przekazane jakoby kosztem radzieckiej strefy okupacyjnej. Straty wynikające z tego skrajnie niekorzystnego układu liczy się w setkach milionów dolarów¹⁶.

Przykład Pstrowskiego wydaje się działać. Produkcyjne wyzwania podejmują kolejne kopalnie, tkalnie, fabryki; wyzywają się na pojedynki. „Ruch współzawodnictwa pracy zatacza coraz szersze kręgi w kopalniach polskich – czego dowodem jest liczba 2192 górników w przemyśle węglowym, którzy w październiku roku bieżącego wykonali ponad 180 procent normy”¹⁷ – pisał w 1947 roku „Dziennik Polski”. Słuchają Pstrowskiego bracia górnicy w kraju, słuchają i za granicą. Na III Zjeździe Przemysłowym Ziemi Odzyskanych, w Szczecinie, na Wałach Chrobrego, tak zwraca się do tych, którzy wciąż tułają się po świecie za chlebem, tak jak on kiedyś: „Bracia Polacy! Górnicy! Wracajcie do kraju, bo u nas nie jest tak, jak wam jest mówione. U nas nic teraz nie brakuje. My mamy to, co nam się należy: pracujemy. [...] I proszę was, abyście wracali z wiosną. [...] Będziem razem budować, będziemy dźwigać naszą Polskę, demokratyczną, ludową”. Mówi z przekonaniem, zdecydowanie, słyhać, że z pamięci, ale też – tak się przynajmniej wydaje – z serca¹⁸. Z podróży przywozi obrus z napisem „Szczecin 1947”. Katarzyna Pstrowska wyjmuje go tylko na specjalne okazje¹⁹.

Jednak zdaniem badaczy Pstrowski zdawał się odporny na propagandę. Poruszał go patriotyzm, partyjne przekazy już nie. Ponoć nie bardzo wiedział, czym jest całe to współzawodnictwo. Uważał, że uzyskuje lepsze wyniki niż koledzy dzięki wiedzy i doświadczeniu zdobytemu w Belgii. Adam Kuryłowicz, ówczesny sekretarz generalny Komisji Centralnej Związków Zawodowych, rozmowę z Pstrowskim wspominał tak: „Mówił: tyle lat pracowałem w kopalniach belgijskich, przyjechałem z wielkim doświadczeniem i patrząc, jak nasi górnicy pracują, ze swoimi metodami

przyszedłem i łatwo wydobyłem tę zwiększoną wydajność pracy. Jak mnie który dopędzi, powiedział tow. Pstrowski, to ja go dopędzę, to skoczę znowu o sto, dwieście procent, bo ja znam nowe metody, których jeszcze nie zastosowałem. Tak przedstawiał sobie współzawodnictwo pracy”²⁰.

Innych biorących udział w tym wyścigu też nie przekonuje idea, a przynajmniej nie tylko. Dla przodowników pracy są wyższe pensje, są też dobra niedostępne przeciętnym robotnikom. Pstrowski za swe wysiłki dostaje radio, wycieczkę do Moskwy na trzydziestolecie rewolucji październikowej, a na Barbórkę – Order Odrodzenia Polski. Z wycieczki przywozi żonie materiał na kostium, a koledze wędkę z duraluminium i jedwabny sznurek na ryby²¹.

Ale czy tytuł bohatera jest zarezerwowany dla Pstrowskiego? Czy nikt nie jest w stanie go pokonać? Niech się strzeże, bo inni też kopią! Czterdzieści tysięcy ludzi kopie, żeby wyrobić normę. Ba, wyrobić, wyrobić to wstyd. Tu trzeba wykonać grubo ponad sto procent. Jak donosi „Trybuna Robotnicza”, wkrótce przodowników są już setki: „Podane przez nas przykłady i cyfry ilustrują nową sytuację klasy robotniczej, która w Polsce Ludowej odgrywa rolę gospodarza i wykuwa swym wysiłkiem lepszą przyszłość swoją własną i całego świata pracy”. A oto te przykłady i cyfry: Thiel Alfons – 319 procent normy, Stiler Augustyn – 313 procent normy, Gejzler Aleksander – 313 procent normy. Pstrowski – „zaledwie” 292 procent²².

Chociaż takie rozmyślenia to marnowanie czasu, Pstrowski zamyśla się czasem na przodku. Pod Krakowem ma siostrę, która hoduje tytoń. Przysyła mu suche listki, a on potem wyjmując z kieszeni bibułki, skręca i ćmi papieros za papierosem. Stres taki, że trudno się na robocie skupić. Bo ten Thiel, bo Bugdołowie. Raz po raz przejeżdża językiem po dziąsłach. Jeszcze to. Trzeba zrobić z zębami porządek. Ludziom by się można było pokazać z uśmiechem. „On nie miał zębów i to go trapiło jakoś [...] – wspominała Katarzyna Pstrowska. – Pojechał do Katowic do dentysty, a ten mu powiedział, że aby założyć protezę, to trzeba kilka zębów wyrwać. Pojechał drugi raz i kazał sobie pięć zębów naraz wyrwać”²³.



Bał sylwestrowy członków rządu, 1947. Pierwszy z lewej Wincenty Pstrowski, obok premier Józef Cyrankiewicz, z prawej wicepremier Władysław Gomułka

Źródło: NAC

Potem ludzie gadali, że te zęby herosa powaliły. Po zabiegu stomatologicznym rany nie chcą się wygoić. Paskudzą się tak, że Pstrowski trafia do szpitala. Diagnoza: białaczka. W II Klinice Chorób Wewnętrznych Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie uwijają się przy nim doktor Julian Aleksandrowicz, profesor Tadeusz Tempka, szef kliniki, i docent Mieczysław Kubiczek²⁴. Na pomoc ściągnięto też naukowców z Francji, którzy w swoich badaniach rozpisują się o korzystnym wpływie transfuzji na leczenie białaczki. Przylatują wysłanym specjalnie po nich rządowym samolotem. Zaangażowano nawet wojsko; żołnierze mają oddawać krew dla przodownika pracy. Szpital wydaje się mieć jednego pacjenta. Aleksandrowicz zapamiętał, jak jeden z francuskich naukowców spytał go: „Czy wszyscy klinicyści w Polsce są zawsze tak dostojni i poważni?... Czy to tylko wynik choroby przodownika, zasłużonego obywatela, czy obecności władz?... Przypominacie mi »les ballons gonflés«”²⁵, nadęte balony.

Wysiłki jednak nie pomogły – 18 kwietnia 1948 roku Wincenty Pstrowski zmarł.

Pogrzeb wyprawiono z honorami. Przy trumnie, wystawionej w Domu Kultury Hutników, godzinami pełniono wartę, paliły się górnicze lampki. Nad tą trumną górnicy złożyli ślubowanie: będą dalej uczestniczyć we współzawodnictwie pracy. „Towarzyszu Wincenty Pstrowski – kończył swoją relację dziennikarz „Trybuny Robotniczej” – na zawsze pozostaniesz w pamięci klasy robotniczej. POLSKA LUDOWA NIGDY CIĘ NIE ZAPOMNI”²⁶.

12 Światowcy

Kupił jej papuzie głowy. Strelacje, te wielkie egzotyczne kwiaty o pomarańczowych, ostro zakończonych płatkach. Pięć sztuk związał wstążką, a na końcu łądyg kazał przyczepić pojemniczek z wodą. Przez cały lot trzymał je na kolanach, a koledzy się śmiali, że wiezie żonie bukiet z pustyni. Miał dla niej jeszcze pięć paczek kawy, kiedy wyjmował je z walizki, były wciąż ciepłe od algierskiego słońca.

To mógłby być początek opowieści o romantycznej przygodzie w odległej Afryce, ale nie będzie, bo przygoda trwała zaledwie tydzień. Tyle wystarczyło, by Franciszek orzekł, że ani on, ani polskie górnictwo nie mają na Saharze nic do roboty.

Do Algierii jakoś w drugiej połowie lat siedemdziesiątych (dokładna data przepadła w rodzinnych wspomnieniach) skierowało go Dolnośląskie Zjednoczenie Przemysłu Węglowego. Jako członek zespołu ekspertów miał stwierdzić, czy ten północnoafrykański kraj (bądź jedna z jego części – to kolejny niejasny szczegół) ma potencjał do rozwoju górnictwa. Szybko okazało się, że nie, słona woda i takiż piasek uniemożliwiały inwestycje. Na niekorzyść projektu działał też brak wykwalifikowanych pracowników – nikt za bardzo nie wiedział, jak się za to kopanie węgla zabrać. Polska ekipa wyjechała stamtąd tak szybko, że dziadek nie zdążył nawet wysłać pocztówek. Niezaadresowane widoczki z wielbłądami do dzisiaj leżą w pudełku na zdjęcia.

– Po co tam pojechał? Przede wszystkim dla pieniędzy – tłumaczy moja babcia. – Tylko za ten tydzień zapłacili mu sto pięćdziesiąt dolarów. Jak na ówczesne czasy – mała fortuna. A poza tym przygoda, możliwość zobaczenia kawałka świata.

Zachód był dla Polaków niemal zamknięty, otwierały się za to inne strony świata. Po II wojnie dawne kolonie afrykańskie zaczęły ogłaszać niepodległość, a Polska w większości przypadków szybko je uznawała. W ślad za deklaracjami dyplomatycznymi szły decyzje gospodarcze. Młode państwa musiały na własną rękę zorganizować przemysł, urbanistykę, sektor usług, naukę, opiekę medyczną. Polska zaś szukała rynków zbytu, a ponadto, z uwagi na rozwój uczelni, dysponowała kadrami, które można było wyeksportować. Swoją rolę w tej współpracy odegrała, rzecz jasna, polityka: Moskwa dążyła do rozszerzenia wpływów w Afryce Północnej i na Bliskim Wschodzie, z kolei z perspektywy państw arabskich i byłych kolonii blok wschodni jako sojusznik stanowił alternatywę dla negatywnie postrzeganego Zachodu¹ (w ten sposób polskie władze nawiązały bliskie relacje między innymi z reżimami Saddama Husajna w Iraku oraz Muammara Kaddafiego w Libii²).

I tak na północnoafrykański rynek zaczęły płynąć materiały i towary znad Wisły, a polscy specjaliści nadzorowali na miejscu budowę całych zakładów. W Maroku Polacy postawili cukrownię i kombinat chemiczny, w Libii miasto Barka (wcześniej metropolia o tej samej nazwie została zniszczona w wyniku trzęsienia ziemi), drogi, szkoły, farmy, domy jednorodzinne i kina, w Sudanie urządzenia dla stoczni rzecznej, w Tunezji fabrykę narzędzi i artykułów metalowych oraz zaprojektowali śródmieście Tunisu. W Algierii rozbudowali kopalnie rud cynku i ołowiu, wzniesli też stadion – wówczas największy w Afryce, a także podjęli się konserwacji zabytków (zadanie to wykonywali między innymi inżynierowie odpowiedzialni za odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie). W Egipcie z polskich części montowano samochody...³ Wyliczać można by jeszcze długo.

Ci, którzy wyjeżdżali do pracy za granicę, podpisywali umowy z polskim lub miejscowym pracodawcą. Gdy w grę wchodziła duża inwestycja, zawierano kontrakty zbiorowe, w których pośredniczyło jedno z przedsiębiorstw handlu zagranicznego: Budimex, Dromex czy Elektrim. W kontraktach indywidualnych rolę pośrednika odgrywał Polservice. Byli to przede wszystkim fachowcy o technicznym wykształceniu – inżynierowie budowy maszyn i górnictwa, geolodzy, architekci, geodeci,

byli też lekarze i nauczyciele, byli wreszcie wykwalifikowani robotnicy. Za granicą przebywali od kilku miesięcy do kilkunastu lat.

Co ich tam ciągnęło? Motywacje były podobne jak w przypadku mojego dziadka. Po pierwsze pieniądze – za pracę na kontraktach zagranicznych płacono w dolarach. Średnia miesięczna pensja inżyniera wynosiła mniej więcej pięćset dolarów, podczas gdy w Polsce zarabiano kilkadziesiąt. Do pensji można było dorobić, prowadząc na własną rękę nielegalny handel. W Afryce z zyskiem sprzedawało się wywiezione z Polski kurtki, karty do gry, ciemne okulary, breloczki i inne gadżety z wizerunkami nagich kobiet, alkohol. Wyjazd wydawał się więc żyłą złota; zarobione w ciągu kilku lat pieniądze wystarczały, by zbudować w Polsce dom, kupić samochód lub zrealizować inne materialne ambicje. Po drugiej przygoda – wyprawa zza żelaznej kurtyny do Afryki musiała się wydawać skokiem do słonecznego nieba.

Zainteresowanie podsycali też opowieści tych, którzy już spróbowali „afrykańskich saksów”. W listach lub bezpośrednio relacjonowali, że to praktycznie raj: ubrań nie trzeba prac, bo można cały czas kupować nowe, ciuchy są tanie i dostępne. Podobnie jak nieosiągalne w socjalistycznej Polsce czajniki elektryczne, zaparzaczkę do kawy, maszynki do makaronu, porcelanowe serwisy, komplety sztućców w drewnianych skrzyneczkach. Do pracy jeździ się przez gaj pomarańczowy, na targu można kupić cytryny, banany, granaty, oliwki, daktyle. Cytrusy na początku je się kilogramami, potem zaczynają się nudzić i tylko wyciska się z nich sok. Czasem trafi się mieszkanie w postkolonialnej willi. I jeszcze złoto, w życiu nie widzieli tyle złota. Polaków traktują tu jak królów, Polak bierze mniej od inżyniera z Zachodu, a kwalifikacje ma nie gorsze, może nawet lepsze, bo wyszkolony na rodzimych niedoborach wykazuje się imponującym technicznym sprytem. Można sprowadzić rodzinę. Dla kobiet wprawdzie nie ma tu pracy, ale żona poleży sobie na plaży i będzie zadowolona, kupi sobie kolorowe ubrania, biżuterię. A do Polski najlepiej wracać karawaną. Walizka za walizką, a w walizkach pieniądze⁴.

Warunki były naprawdę niezłe^[19], nie dziwi zatem, że chętnych zgłaszało się wielu. O wyjeździe decydowały jednak nie tylko odpowiednie zawodowe kwalifikacje. Na korzyść kandydata działały dobre relacje

z partią, nierzadko wręczano też łapówki. Atut stanowiły także kompetencje językowe. W Algierii, Tunezji, Maroku, niegdyś francuskich koloniach, wciąż bez trudu można było się dogadać po francusku. A reemigranci mieli to wszystko: tytuły inżynierów albo chociaż techników, doświadczenie, znajomość miejscowego języka, a czasem również dobre stosunki z partijną „górami”. Afrykańskie saksy stały dla nich otworem.

Ogłoszenie przeczytał w gazecie. Tekst informował, że niedawno powołano Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego „Polservice”, którego zadaniem jest eksport polskiej myśli technicznej. Podpisano już pierwsze kontrakty z krajami – jak to określano – „Trzeciego Świata” i poszukiwani są pracownicy, którzy mogliby te kontrakty zrealizować. Warunki aplikowania: wykształcenie wyższe, doświadczenie, biegła znajomość języków obcych. Szczęśliwie jechał akurat do Warszawy. Mimo że pociąg kołysał, przeczytał artykuł jeszcze dwa razy. Zakreślił adres, pod który trzeba się zgłosić.

To był 1964 rok, a Władysław miał już żonę, dwójkę dzieci i spore doświadczenie zawodowe. Charakter mu się jednak nie zmienił – jeśli była okazja, to ją chwycił, jeśli mógł zrobić coś samodzielnie, inaczej niż większość, to robił. Jeszcze tego samego dnia, kiedy tylko załatwił służbowe sprawy, idzie do Polservice’u, zobaczyć, na czym miałyby polegać ten „eksport polskiej myśli technicznej” do Afryki. Przepytyują go z wykształcenia, pracy, znajomości francuskiego, zapowiadają, że będzie jeszcze egzamin; wręczają gruby plik kwestionariuszy i listę dokumentów, które trzeba uzupełnić. Władysław myśli sobie, że nie będzie łatwo.

– Ale z drugiej strony Polservice’owi też musiało zależeć. W tamtym czasie znalezienie specjalisty z odpowiednimi kwalifikacjami, doskonałym stanem zdrowia i biegłą znajomością języka wcale nie było takie łatwe – wspomina.

Po dwóch miesiącach wysłała dokumenty i czeka na decyzję.

Decyzji jednak nie ma, czas leci, a jemu się wydaje, że już nic z tego nie będzie. Trudno. Jedzie z rodziną na wakacje do Darłówka, a po powrocie w skrzynce czeka koperta. Cienka, znaczy źle. Zaproszenie do Warszawy, znaczy jednak dobrze. Władysław ma się pilnie stawić w siedzibie

PolSERVICE'u. W Warszawie informują, że pojedzie do Tunezji, do zakładów Ateliers Mécaniques du Sahel.

W grudniu rozpakowuje walizki w Susie i na kilka lat przenosi do innego świata. Budują fabrykę od podstaw. Susa to ten region Tunezji, w którym nie ma już zieleni, wystarczy wyjechać z miasta, żeby po horyzont ciągnął się piasek. Nie taki jak na obrazkach, ale szary, zmieszany z kamieniami. Budować w takim miejscu to jakby budować na Księżycu, a oni wznoszą zakład śrubka po śrubce. Władysław przygląda się uważnie ich robocie. Jest szefem Wydziału Kontroli Jakości.

Po pół roku przylatuje do niego rodzina i znów czują się jak w Darłówku, tyle że jest to Darłówek w rajskiej wersji. Dostają mieszkanie przy ulicy Habiba Burgiby – pierwszego prezydenta niepodległej Tunezji. Aleją przyjemnie spacerować, wzdłuż ciągnie się szpaler palm, za palmami białe domy w modernistycznym stylu. A gdy dojdzie się do jej końca, już jest się na nadmorskiej promenadzie obstawionej kramikami.

Warunki mieszkaniowe, pensję, pracę Władysław wspomina jako „bardzo dobre”. Najlepsze jednak było samo to miejsce: wibrujące, egzotyczne, rwące do przodu.

– Byliśmy sto dwadzieścia kilometrów od Tunisu, w trzecim ośrodku Tunezji. Niby turystycznym, ale nie miał on nic wspólnego z sennym miasteczkiem. Kiedy przyjechaliśmy, działały tu cztery hotele, gdy wyjeżdżaliśmy, było ich osiemdziesiąt. Miało się wrażenie, że wszystko rośnie jak na drożdżach – opowiada.

Rozwija się miasto, rozwija się też jego kariera. Gdy budowa fabryki zostaje ukończona, jest już dyrektorem technicznym. To skomplikowana praca, ale radzi sobie bez problemów, zwyczajowo trwający cztery lata kontrakt przedłużają mu o dwa. To wyjątkowy przywilej.

On pracuje, a dzieci? Zapisuje je do francuskiej szkoły przy ambasadzie tego kraju, polskiego uczą się w domu, tak samo jak on przed laty. Zresztą, Władysław również idzie do szkoły. Po raz kolejny znajduje w gazecie ogłoszenie – dowiaduje się, że na Uniwersytecie Tuniskim otwarto Institut Bourguiba des Langues Vivantes. Dostaje się tylko na podstawie świadectwa maturalnego, na cenzurce miał piątkę z francuskiego. Zapisują go na pierwszy rok filologii.

Nie po to jednak jedzie się na inny kontynent, by tylko spacerować jedną promenadą. Oglądają, ile mogą. Te sto dwadzieścia kilometrów do Tunisu to zaledwie wycieczka – jeżdżą po Tunezji wzdłuż i wszerz, chłoną, co tylko można. Jadą i dalej: Algieria, Libia, Włochy, Francja, Austria, Szwajcaria, świat z afrykańskiej perspektywy zdaje się stać otworem.

Potem Władysław wyjedzie jeszcze do pracy na Wybrzeże Kości Słoniowej, lecz Tunezja pozostanie bliższa sercu. Przez kilkadziesiąt lat wraca do niej na wakacje, a kolejne dyrekcje zakładów AMS przyjmują go z honorami. Za każdym razem przywozi im prezent, jakąś pamiątkę z budowy nowego zakładu. W salonie w polskim domu rozwiesza ciemne drewniane maski, w doniczkach sadzi palmy.

Jak podaje politolog Jacek Knopek, na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w krajach Afryki Północnej pracowało około dziewiętnastu tysięcy Polaków, najwięcej w Libii – dziesięć tysięcy, najmniej w Mauretanii i Sudanie⁵. Trudno określić, ilu z nich było reemigrantami z Francji, lecz w opowieściach „Francuzów” wątek wyjazdów do Afryki czy na Bliski Wschód pojawia się często. Jeśli nie dotyczył ich osobiście, to krewnego, kolegi z pracy, sąsiada.

– Każdy, kto był przy zdrowych zmysłach i miał możliwość wyjazdu, wyjeżdżał – opowiada mi syn reemigranta; jego ojciec przez kilka lat pracował za granicą, choć on akurat w Jugosławii. – Tam było niemal wszystko, od słońca i ciepłego morza po towary w sklepach. Można było odetchnąć, posłać dziecko do zagranicznej szkoły, żeby nauczyło się języka. Tu nie było prawie nic. I jeszcze ta niepewność: kiedy znowu wezmą nas pod lupę?

Kto nie czuł się w Polsce do końca u siebie, ten z mniejszym wahaniem ją opuszczał. Jak mówiła moja babcia o „Francuzach”: coś ich gnało w świat. Wiedzieli, jak wygląda życie „gdzie indziej”, i chcieli się w tę inność rzucić albo zaprosić ją do siebie. I tak reemigracyjny rys, który w kraju często stawał się przyczyną problemów, zmieniał się nagle w złotą kartę. Pozwalał kupować w Algierii egzotyczne kwiaty i rozgryzać daktyle na marokańskim targu. Rzadko jednak umożliwiał reemigrantom wyjazd tam, gdzie najbardziej chcieli – do samej Francji.

13 Jak uciec z domu?

Sąsiad na rowerze jechał szybko. Zdążył tylko rzucić: „Daniela, biegnij do domu. Wujka ci z Francji przywieźli”. Przyspieszyła kroku. Nabrał ją sąsiad czy nie?

Nie nabrał. Przed domem Danieli falował ciekawski tłumek: wszyscy „Francuzi” z Burczykowskich, a w środku tego zgromadzenia, jak rodzynka w cieście – czarna wołga. W wołdze pracownik merostwa w Douai, sekretarz CGT, ważny człowiek. To brat taty Danieli, Bogdan, który piętnaście lat wcześniej nie chciał wracać do Polski. Teraz w ramach delegacji odwiedził Warszawę. Kiedy powiedział, że ma w Wałbrzychu brata, wsadzili go do samochodu i powieźli na Burczykowskich.

Przywiózł ze sobą radość i garść obietnic: „Wracajcie do Francji, załatwię wam pracę, mieszkanie. Tylko wróćcie”. Zostawił natomiast po sobie kłótnię. Jedyłą sprzeczkę rodziców, jaką Daniela pamięta.

– Mama chciała wracać, prosiła, płakała, że tata nie liczy się z jej zdaniem. Tata kręcił głową, powtarzał, że tu się urodził i tu zostanie. Że przyjechał, żeby odbudować Polskę i Polski nie zostawi. Ona odpowiadała, że urodziła się we Francji i wróci do niej, choćby na piechotę, choćby na kolanach. Nie wróciła, jak miałyby to zrobić sama? Była taką delikatną Francuzeczką.

Następnego dnia, kiedy ojciec Danieli poszedł do pracy, dowiedział się, że już nie musi odbudowywać Polski w – jak to określa jego córka – „karnym oddziale”. Już nie będzie dostawał samych nocek za to, że wystąpił z partii, zarzuciwszy jej, że potrafi wiele mówić, ale niewiele robi. „Idźcie do kasy, wypłacą wam za pół roku wyrównanie” – mówi teraz do niego sekretarz. Brat z Francji musiał zrobić wrażenie.

Wniosek odrzucony

Nie tylko mama Danieli powtarzała, że wróci do Francji „choćby na piechotę”. Wielu było takich, którzy po przyjeździe próbowali odwrócić się na pięcie i ruszyć w kierunku, z którego przywiozły ich towarowe wagony. Tyle że już po kilku krokach natrafiali na zbudowaną z ideologii, politycznych zakazów i urzędowych formalności barierę: żelazną kurtynę.

Gdy kurtyna ta nieco się uchyliła, wyjazdy zagraniczne dostępne stały się niemal wyłącznie dla urzędników i działaczy oraz tych pracowników, którzy za granicę udawali się w oficjalną delegację. Na początku lat pięćdziesiątych wydawane rocznie paszporty indywidualne liczone w tysiącach, a gdyby z tej puli odjąć paszporty służbowe, można by mówić o setkach. Jeszcze rzadziej niż na wyjazd czasowy zgadzano się na emigrację – w 1954 roku pozytywnie rozpatrzono podania 52 osób (na 1325 złożonych)¹. „Przeciętny obywatel nie miał praktycznie możliwości znalezienia się legalnie na Zachodzie”² – podsumowuje historyk Witold Bagieński.

Jak ustaliła Aneta Nisiobęcka, pierwsze podania w sprawie wyjazdów do Francji zaczęły napływać do konsulatów już pod koniec 1946 roku, w kolejnym tylko od stycznia do marca w samym konsulacie w Katowicach złożono ich trzysta pięćdziesiąt³. „Prawie wszyscy, którzy powrócili do ojczyzny rok lub dwa temu, wyrażają daleko idące niezadowolenie z powodu obecnych warunków życia. Uważają, że zostali oszukani przez propagandę polską działającą we Francji, nie otrzymują wynagrodzeń pozwalających na utrzymanie się w środowisku politycznym i społecznym, do którego nie mogą się zaadaptować” – pisali w raporcie z czerwca 1948 roku pracownicy wrocławskiego konsulatu⁴. Urzędnicy rzadko mogli pozytywnie rozpatrzeć podania reemigrantów. Jeśli nie posiadali oni francuskiego obywatelstwa, francuskiego paszportu lub w ich polskich paszportach nie zostały wbite wizy wjazdowe do kraju (co w przypadku wjazdu na wizę zbiorową zdarzało się często), prośba o wyjazd stawała się niemal niemożliwa do spełnienia⁵.

Zdesperowani reemigranci pisali listy do polonijnych gazet, w naiwnej wierze, że te pomogą im powrócić nad Sekwanę. „Redakcjo! – zaczyna się

korespondencja wydrukowana w marcu 1949 roku przez „Narodowca”. – Zwracam się z prośbą, żebyście nam przysłali zapotrzebowanie na wyjazd z powrotem do Francji. [...] Gdy do Polski jechaliśmy, to nam dużo obiecywali, dziś zaś nam nie dają żadnego tłuszczu. Już 6 miesięcy masła nie jedliśmy [...]. W Polsce ludzie mają za nic. [...]. Ci, co przyjechali z Francji do Polski, chcieliby z chęcią wracać do Francji. Bo ten cały ustrój nam się nie podoba, gdyż jest on tylko dobry dla tych, co rządzą. Więc oczekujemy od Was pomocy z Francji”⁶.

Gdy oficjalna droga okazywała się zamknięta, niektórzy próbowali ścieżki innej, mniej przetartej, czyli samowolnego przekroczenia granicy. „Oceniwszy, że nie są w stanie zostać w Polsce, po wielu nieudanych próbach otrzymania paszportu nie pozostało im nic innego, jak spróbować nielegalnie przekroczyć granicę” – relacjonowali dalej francuscy dyplomaci⁷. Jednak w tym przypadku zamiast przeszkód administracyjnych piętrzyły się te fizyczne. W 1949 roku rozpoczęto proces uszczelniania granic. Zbudowano dwa tysiące kilometrów płotu i zasieków z drutu kolczastego, wzdłuż których wzniesiono wieże strażnicze i punkty obserwacyjne, zamontowano rakiety sygnalizacyjne, wykopano bunkry i okopy oraz wytyczono pas kontrolny o szerokości dziesięciu metrów. Mieszkańcom przygranicznych miejscowości zakazano posiadania aparatów fotograficznych, dużych psów i gołębi, nakazano zasłaniać nocą okna. Cały teren był regularnie patrolowany – jak szacuje Dariusz Stola, pięćdziesiąt tysięcy funkcjonariuszy pilnowało, by Polacy nie uciekali za granicę⁸. Na tych, którzy mimo wszystko próbowali, czekały surowe kary: od roku do trzech lat więzienia, sądy zwykle orzekały dwa lata obozu pracy. Konsekwencje zdawały się nieuniknione, gdyż w ślad za każdym nielegalnym emigrantem ruszała zwykle imponująca pogoń. „W czerwcu 1953 r. w pościg za zbiegiem przy granicy z NRD włączono 646 żołnierzy, 5 psów i 16 samochodów. Kilka miesięcy później dwie osoby, które na pontonie własnej roboty próbowały przepłynąć na Bornholm, ścigało 116 żołnierzy WOP [Wojsk Ochrony Pogranicza], 8 samolotów (w tym 5 radzieckich), 16 kutrów, portowa łódź pilotowa, 4 samochody i 2 psy” – opisuje Stola⁹.

W meldunkach służb bezpieczeństwa można znaleźć informacje dotyczące bezpośrednio „Francuzów” i podejmowanych przez nich prób wydostania się z kraju. „We wrześniu 1947 r. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego w Wałbrzychu uzyskał informację o górnikach z kopalni Biały Kamień, którzy »zlikwidowali swoje mieszkania i udali się w drogę powrotną do Francji«. [...]. W lipcu 1948 wałbrzyski UB przetrzymywał w areszcie 8 osób zatrzymanych na granicy z zamiarem dostania się do Francji”¹⁰.

Nie istnieją jednak państwa całkowicie zamknięte i granice idealnie szczelne. Również przez tę polską udawało się przedostać – nielicznym. Jak podaje Stola, w 1949 roku było to 488 osób, w 1955 – 109, przy czym dane te obejmują również tych, którzy odmówili powrotu z legalnego wyjazdu¹¹. „Narodowiec” przytacza słowa członka PSL, który „przed niedawnym czasem uciekł z Kraju i przybył do Francji”, a „przygody miał niesamowite”. O repatriantach z Francji uciekinier mówi tak: „Ludzie ci na przemian klną i płaczą. Odgrają się tym, którzy ich namówili do wyjazdu. Chcieliby uciekać, ale się boją, bo za przejście granicy w razie złapania kary są straszne. Płaceni są bardzo marnie. Narzuconej im normy nikt nie może wykonać, choćby męczył się nawet 14 godzin na dobę. A mimo to pracują dwa razy więcej niż we Francji. Aby wyżyć, sprzedają to, co przywieźli z Francji: rowery, buty, radia. Za każdy objaw niezadowolenia aresztuje się ludzi natychmiast”¹².

Po śmierci Stalina uzyskanie paszportu stało się nieco łatwiejsze – mniej wydawano decyzji odmownych. Już od połowy lat pięćdziesiątych w statystykach wyjazdowych widać ożywienie. Reemigranci z Zachodu są jedną z grup, które przodują w składaniu wniosków. Biura paszportowe określają ich nawet jako „natarczywych petentów”¹³. W 1955 roku za granicę wyjechało ponad 31 tysięcy osób, w kolejnym – 168 tysięcy, dekadę później liczba ta przekroczyła pół miliona, a w roku 1971 – milion¹⁴. O wiele łatwiej było również otrzymać zgodę na opuszczenie kraju na stałe: w latach 1960–1980 z Polski legalnie wyemigrowało pół miliona ludzi. Najpopularniejszymi kierunkami były: RFN, gdzie udawał się co drugi emigrant, dalej USA (14 procent) i NRD (8 procent). Francja nie

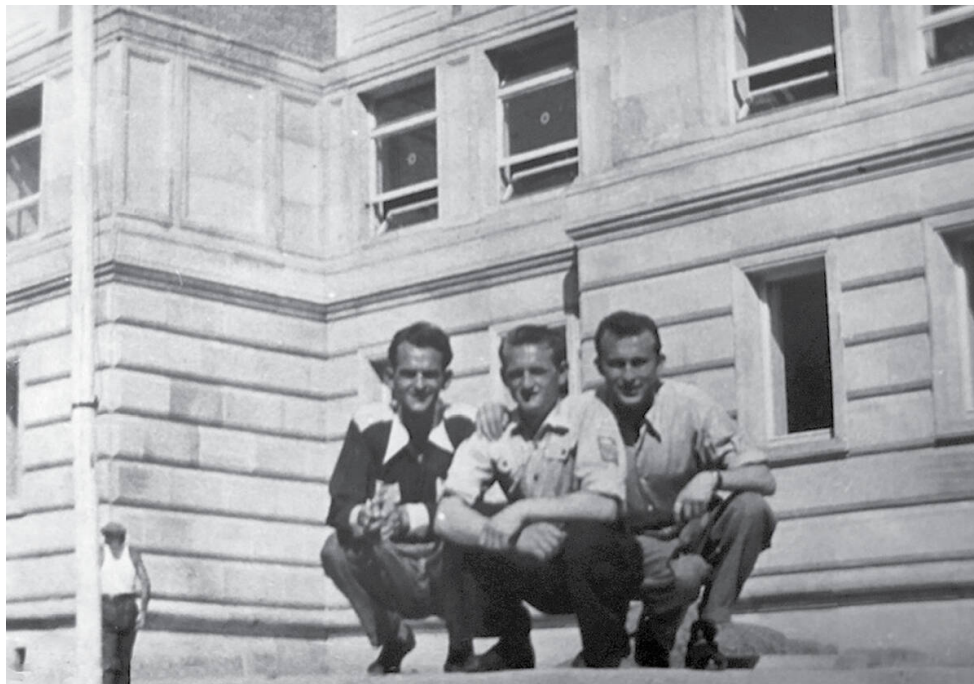
cieszyła się zbytnim zainteresowaniem tych, którzy pragnęli wyjechać z Polski na zawsze – udał się do niej zaledwie 1 procent wszystkich wychodźców¹⁵. Co ciekawe, połowa tej grupy pochodziła tylko z dwóch województw: wrocławskiego i katowickiego¹⁶. Spośród składanych przez te osoby wniosków w różnych okresach odrzucanych było od kilkunastu do ponad 40 procent¹⁷. Może się wydawać, że to nie tak wiele, ale zapewne mnóstwo ludzi, wiedząc, że ich szanse na uzyskanie zezwolenia na powrót do Francji są marne, nawet nie zadawało sobie trudu, by składać stosowne podania.

Decyzji odmownych było mniej, wciąż jednak należało dopełnić wielu formalności, by uzyskać paszport. Składany w kilku egzemplarzach kwestionariusz zawierał kilkadziesiąt pytań, w tym o poprzednie wyjazdy zagraniczne, miejsce pobytu i źródło utrzymania podczas wyjazdu, rodzinę w kraju i za granicą. Trzeba było dołączyć kilka zdjęć oraz zaproszenie od osoby, która zobowiązywała się zapewnić gościowi mieszkanie, wyżywienie i ewentualną opiekę lekarską. Na paszport czekało się długo, czasem nawet pół roku, a przez ten czas urzędnicy sprawdzali, czy zawarte w kwestionariuszu informacje są prawdziwe, czy obywatel niczego nie zataił, czy nie przemilczał nieprawomyślnych działań bądź kompromitujących epizodów w swoim życiorysie, a także czy nie istnieje jakaś przyczyna, dla której powinien pozostać w kraju. W końcu zapraszali go na rozmowę.

Urząd stawia warunek

Kupił trzy patery: na jednej zachodzi słońce, na drugiej kobiety spoglądają przed siebie, a na trzeciej na horyzoncie majaczy miasto. Oprócz tego dwie figurki: fakira i zakonnice, oraz pistacjowy serwis z porcelany. Bo niby co innego mógłby przywieźć jako prezent z Polski? Porcelana nowoczesna, doceniana za granicą, nie było wstydu. Drobiazgi niby kłopotliwe w transporcie, ale owinąłby je w gazety, a potem byle donieść na dworzec w Wałbrzychu. Stamtąd odjeżdżał pociąg docierający bezpośrednio na Gare de l'Est w Paryżu.

Z tą nowoczesnością to szczerą prawdą – pod koniec lat sześćdziesiątych polski design rzeczywiście w niczym nie ustępuje zachodnim wzorom. A to właśnie wtedy Franciszek ma jechać do Francji na dwuletnie studia.



Franciszek (w środku) w czasie studiów, Kraków, druga połowa lat 50.

Źródło: archiwum rodzinne autorki

– Nie pamiętam dokładnie, co to było za zaproszenie, wydaje mi się, że rodzaj wymiany. Chodziło o studia, które miały podnieść jego kwalifikacje zawodowe – mówi dzisiaj moja babcia. – Pamiętam tylko, jak bardzo się cieszył.

Dopytuję, czy na spotkanie z rodziną, czy na powrót do Francji.

– Na jedno i drugie. Przecież Francja była mu bliska jak Polska, jeśli nie bardziej.

Szykuje papiery. Paszport ma jeszcze francuski, szuka go w domu i nie znajduje. Kamień w wodę. Jak można było zgubić tak ważny dokument? W rodzinie krążyła później plotka, że paszport uciekł na cudzych nogach. Ktoś z bliskich po prostu go ukraść, oddał do urzędu w zamian za własny dokument.

Niezależnie od tego, czy to bujda, czy nie, Franciszek musi starać się o nowy. Urząd bezpieczeństwa zaprasza na rozmowę i stawia warunek: pojedzie, jeśli będzie regularnie raportował, co się we Francji dzieje. Jakie mają technologie, jakie rozwiązania, kto z kolegów rozmawia z Francuzami, o czym, z kim, jak często. Franciszek warunku nie przyjmuje, woli już nie jechać.

– Nigdy nie poszedłby na taką współpracę, mówiło się, że UB morduje ludzi – mówi moja babcia. – Poza tym nie był głupi, wiedział, że taki związek to pętla na szyję, raz na siebie nałożysz, już się nie uwolnisz.

Fakira i zakonnice wstawiono do kredensu, patery powieszono na ścianach, a pistacjowy serwis rozłożono w meblościance.

Następna okazja nadarzyła się w 1976 roku. Czasy były znowu nieco inne i charakter wyjazdu też już inny – wizyta u rodziny. Franciszek był we Francji przez miesiąc. Dwa tygodnie spędził u brata w Paryżu. Kiedy brat wychodził do pracy, on ruszał w miasto. Jechał autobusem do końca trasy, a potem wracał na piechotę. Zatrzymywał się przy stoiskach bukinistów, grzebał w starociach na marché aux puces przy Gare du Nord. Polował na malutkie, szkicowane kolorowymi kredkami widoczki. Czasem wchodził do Samaritaine, eleganckiego domu towarowego, tuż przy Luwrze. Drugą połowę miesiąca spędził u matki. Maria wróciła do Francji w 1955 roku, dwa lata po śmierci męża. Pojechała na zaproszenie córki. Czy otrzymała od władz zezwolenie na emigrację, czy po prostu do Polski nie wróciła, tego po latach nie sposób ustalić. Na pewno w jej przypadku łatwiej było dopełnić formalności – na wyjazdy wdów do rodziny za granicą patrzono przez palce; osoby starsze, chore i samotne, rozdzielone małżeństwa lub małżonkowie per procura mieli też większe szanse na pozytywne rozpatrzenie wniosku o wyjazd na pobyt stały. W Pas-de-Calais Franciszek włóczy się po wioskach, chodzi, a może znów jeździ autobusem, i szkicuje. Kolorowymi cienkopisami rysuje pejzaże z kościelnymi wieżami albo charakterystycznymi stożkami hałd. Do Polski przywozi ich całą teczkę, ma również ze sobą perfumy dla żony, kawę, ekspres do kawy, sztruksy i koszulę dla syna. Jeden z widoczków, oprawiony w ramki, wiesza nad łóżkiem.

W PRL pojechał do Francji jeszcze raz, w latach osiemdziesiątych. Przez cały ten okres do Wałbrzycha przyjeżdżali z kolei bliscy z Francji. Trochę z tęsknoty, trochę z ciekawości, trochę na zakupy – gdy wymienili swoje franki, nagle stawali się bogaci. Żeby zrobić gościom miejsce w dwupokojowym mieszkaniu, tapczany dzieci wynoszono do kuchni. Zjawiali się w samochodach, które wydawały się futurystyczne, pewnie przywozili też prezenty, jednak w rodzinie bardziej pamięta się przychodzące od nich paczki. Bo niezależnie od szczelności granic listy i paczki starano się wymieniać cały czas. W tych drugich mniej i bardziej trafione upominki. Zestaw noszonych już spódnic, w biodrach szerokich na metr czterdzieści, nie wiadomo dla kogo. Kurtka dziecięca biała, kompletnie niepraktyczna – siostra mojego taty włożyła ją raz, rzuciła się na plecy zrobić orła w czarnym wałbrzyskim śniegu i już było po kurtce. Sweter dziecięcy szary, praktyczny, ale dziecko musiało poczekać kilka lat, zanim dorosło do jego rozmiaru. Piórniki, ten z kolei trafiony aż za bardzo.

– Babcia przysłała go, kiedy miałem iść do szkoły. To była taka saszetka podzielona na komory, którą składało się jedna na drugą. Porządna, ze skóry czy dermy, wypakowana kredkami. Nawet nie wziąłem tego piórnika do szkoły, za bardzo odstawałby od tego, co mieli koledzy – wspomina mój tata.

Kiedy szedł do komunii, w paczce przyszedł zegarek na rękę. Nietypowy, z prostokątnym cyferblatem, z którego po kilku latach zaczęło wypadać szkiełko. Podnosił je wiele razy, szukał, znajdował, aż w końcu zgubił całkiem.

Wyjazdy, odwiedziny, paczki (nawet te nietrafione) to miłe doświadczenia. Moja babcia dodaje jednak, że czasem czaił się w nich lęk.

– W latach sześćdziesiątych, kiedy miał jechać na studia do Francji, on się cieszył, a ja trochę się bałam. Myślałam, że może być tak: postudiuje dwa lata, potem brat załatwi mu pracę i już tam zostanie, będzie chciał ściągnąć mnie i dzieci, a ja nie chciałam jechać – opowiada. – To wtedy zaczęłam uczyć się francuskiego, tak na wszelki wypadek.

Nie wiem, jak oficjalnie brzmiał wtedy powód odmowy wydania paszportu i czy przedstawiono go mojemu dziadkowi. Decyzji urzędników często nie towarzyszyły żadne słowa wyjaśnienia. Teoretycznie można się

było odwołać – najpierw do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, później do ministra spraw wewnętrznych. Zwykle jednak bez skutku.

Pięć lat czekania

Bruno cały czas powtarza, żeby wracać do Francji, ale paszportu nie ma. Dokument zabrali mu zaraz po przyjeździe do Polski, a jego samego wzięli do wojska. Niech za wiele nie myśli o ojczyźnie. Trudno mu było na służbie.

– Wrócił chudy, wymęczony, zrobili z niego takiego pocziwinę, takiego wojaka Szwejka – mówi Liana.

W 1965 roku Bruno dostaje wiadomość: umarł jego ojciec. Na pogrzeb ojca paszport się należy. Może też zabrać ze sobą jedną córkę, ale żona Helena, razem z drugim dzieckiem, ma zostać w domu. Zabiera więc jedną córkę i nigdy nie wraca. Nie dzwoni, nie śle listów.

W latach sześćdziesiątych Liana jest na studiach, mieszka razem z ciotką we Wrocławiu. Ona już Francję odwiedziła – pojechała tam z mamą zaraz po śmierci ojca. Chodziła wtedy do liceum. Wyjechała jako panienka, wróciła jako dorosła: z krótką fryzurą, w eleganckich ubraniach, w butach na obcasie. Ale nie podobał jej się ten nowy wygląd, nic jej się nie podobało. Zostań, Liano, zostań, Walerko, zostańcie z nami we Francji – namawiali krewni. Nie chcę zostać, w Polsce mi dobrze, mam szkołę i znajomych – odpowiadała Liana. Zapiszemy cię do szkoły tutaj, do liceum w Lille. Wolę moją szkołę. Jedz pomarańcze, jedz apricynki. W Polsce mamy pomarańczy więcej niż ziemniaków. To może chociaż zabierz ze sobą telewizor. A co to za atrakcja, mamy w Polsce telewizor, mama kupiła, na nóżkach. I tak przez dwa miesiące, od początku listopada do końca grudnia, od Wszystkich Świętych do Bożego Narodzenia.

– Ja odmawiałam, a mama się wahała – wspomina Liana. – W Polsce czekała na nią bieda, szarość i samotność wdowy. A w pamięci ciągle miała tę Francję roztańczoną, rozśpiewaną, miała swoich przyjaciół, swoją młodość.

Jej córka miała za to w Polsce młodzieńczą miłość. Zaraz po Nowym Roku w szkole organizowano bal maskowy, chciała z tą miłością tańczyć. To dlatego musiała wracać.

Gdy odjeżdżały, mama rzuciła do znajomych „à jeudi”, do czwartku. Jakby mieli rozstać się tylko na chwilę.

Przy ciotce Helenie lepiej jednak tego wyjazdu nie wspominać, bo mogłaby zirytować się jeszcze bardziej. A i tak, nawet bez pretekstu, co wieczór chodzi nerwowo po mieszkaniu i wygłasza tę samą litanię: „Co ja mam zrobić? Jak ja mam żyć? Zdechnąć mam bez chłopa jak ta koza? Muszę jechać do Francji. Muszę dostać paszport”. Porusza więc niebo i ziemię, chodzi do biura paszportowego, do konsulatu, idzie nawet do samego Gierka, który właśnie objął stanowisko I sekretarza PZPR. Awanturuje się po francusku. Według Liany to robi na sekretarzu wrażenie, bo po pięciu latach Helena wreszcie dostaje paszport. Wyjeżdża z domu z jedną walizką, z nikim się nie żegna. Tak to z Brunonem zaplanowali.

Leforest pamięta

Czy francuski rzeczywiście zmiękczył I sekretarza? Dziś tę anegdotę trudno zweryfikować. Prawdopodobieństwo jednak istnieje. Edward Gierek, wciąż przez wielu postrzegany jako ten, który w PRL uchylił Polakom okno na zachód, Francję darzył ponoć szczególnym sentymentem. Z relacji tych, którzy obcowali z nim na co dzień, wynika, że w gabinecie I sekretarza zawsze czekał egzemplarz „Le Monde”, przysyłany przez MSZ z jednodniowym opóźnieniem (miał go czytać od pierwszej do ostatniej strony, pielęgnując w ten sposób znajomość francuskiego), raz w miesiącu zaś oglądał w oryginale francuskie filmy¹⁸. Zawsze skwapliwie korzystał z możliwości posługiwania się tym językiem i cieszył się, gdy ktoś docenił jego umiejętności. Podobno uznanie dla francuszczyzny Gierka wyrażał podczas swojej wizyty w Polsce w 1967 roku sam de Gaulle („Trochę czasu spędziłem z generałem w cztery oczy, nawet pochwalił mnie za mój francuski, ale gdzie mi tam do literackiego języka”¹⁹ – komentował Gierek).

2 października 1972 roku, Paryż, godzina czternasta trzydzieści. Reporter „Dziennika Polskiego” opisuje tę scenę tak: „Samolot z biało-czerwonymi szachownicami na skrzydłach powoli kołuje w kierunku honorowego salonu lotniska Orly udekorowanego flagami polskimi i francuskimi. Przy zejściu z samolotu dostojnych gości oczekuje prezydent Republiki Francuskiej Georges Pompidou z małżonką. Obaj mężowie stanu wymieniają uściski dłoni – pierwsze słowa powitania”. Zostają odegrane hymny, oddane honory, wręczone kwiaty. „Po chwili kawalkada samochodów w asyście eskorty motocyklistów mknie przystrojonymi sztandarami polskimi i francuskimi ulicami Paryża w kierunku siedziby prezydenta – Pałacu Elizejskiego. [...] Wzdłuż trasy przejazdu tysiące paryżan pozdrawiają przywódców Polski i Francji. Między innymi widzimy transparenty z napisami »Witamy Edwarda Gierka«, »Niech żyje przyjaźń Polski i Francji«”²⁰.

Francuskie gazety przytomnie zauważyły, że z honorami eskortowała Gierka ta sama policja, która cztery dekady wcześniej pilnowała, by zgodnie z decyzją o ekspulsji niezwłocznie opuścił Francję. On sam wspominał, że na Orly, gdy zagrano *Mazurka Dąbrowskiego*, mocniej niż zwykle pochylił głowę. Nie chciał, by ktoś zauważył jego wzruszenie. „Wizyta miała dla mnie charakter sentymentalny”²¹ – napisał we wspomnieniach. Była to jego pierwsza podróż nad Sekwanę od wspomnianego wydalenia w 1934 roku.

Ulokowali go w Grand Trianon, pałacyku w ogrodach Wersalu, dawnej letniej rezydencji Ludwika XIV. Był zachwycony. Wszystkim był zachwycony. Podobał mu się prezydent Georges Pompidou („polityk i intelektualista, raczej humanista”), minister finansów Valéry Giscard d’Estaing („dobrze wykształcony człowiek o manierach arystokraty”), nastrój rozmów („doskonały zarówno jeśli chodzi o stosunki międzypaństwowe, jak też płaszczyznę osobistą”). Podobały mu się zakłady samochodowe Berlieta pod Lyonem (na miejscu zwiedził halę montażową ciężarówek i muzeum, obejrzał też autobus typu PR100, na który Polska zakupi licencję). Podobały mu się wreszcie spotkania z Polonią, zwłaszcza te o nostalgicznym charakterze – drugiego dnia pobytu przyjął w ambasadzie między innymi delegację z Leforest, gdzie mieszkał w latach

trzydziestych. „Była w niej Geniewiew [Geneviève] Hugot, grająca kiedyś w tym samym zespole teatralnym co i ja, był Albert Trepieński, w którego bistro byłem częstym gościem. Było to miejsce polsko-francuskich górniczych spotkań. Był również ówczesny lokator domku, w którym z matką mieszkałem”²² – pisał po latach. Do Polski wrócił obdarowany górniczym kilofem i lampą z wyrytym napisem „Leforest pamięta”.

Przede wszystkim jednak wrócił z podpisanymi deklaracjami przyjaźni i współpracy z Francją na wielu polach. To była część jego planu rozbudowy i unowocześnienia polskiej gospodarki oraz podniesienia standardu życia Polaków, do czego kluczem miały być pożyczone na Zachodzie pieniądze. Koncept przewidywał, że kupi się za nie technologie, które pozwolą na produkcję nowoczesnych, atrakcyjnych towarów, te zaś częściowo zostaną przeznaczone na eksport. A potem będzie już z górki – zyski z eksportu spłacać pożyczki i cała operacja znajdzie szczęśliwy finał. Ile z tego planu wyniknęło, to wiedza powszechna: wytwarzane przez Polskę towary nigdy nie stały się konkurencyjne dla zachodnich, nie było więc pieniędzy, którymi można by spłacać zaciągnięte na inwestycje kredyty. Rosły koszty produkcji i paliw (skutek światowego kryzysu naftowego), rosły też zobowiązania: w 1970 roku zadłużenie Polski wynosiło około miliarda dolarów, w 1975 – osiem miliardów, w 1978 – osiemnaście miliardów²³. Problemy, które początkowo widzieli tylko ekonomiści, w połowie lat siedemdziesiątych odczuwali już wszyscy obywatele. W sklepach zaczynało brakować produktów. W 1976 roku wprowadzono kartki na cukier.

Ciekawsze wydaje się pytanie, jaką rolę w politycznych i gospodarczych decyzjach Gierka odegrała jego emigracyjna przeszłość. Czy gdyby nie jego osobiste związki z Francją, kraj ten stałby się jednym z naszych najważniejszych partnerów na Zachodzie? I szerzej: czy doświadczenie pobytu za granicą wpłynęło na to, jakim był politykiem? Zastanawiano się nad tym w Polsce, zastanawiano i nad Sekwaną. „Pomimo okoliczności wyjazdu [z Francji] aktualny szef partii na zawsze zachował przywiązanie do kraju, w którym spędził lata swojej młodości – pisał Bernard Margueritte w „Le Monde”. – Nigdy nie krył swej frankofilii, choć zapewne nie pomagała mu ona w karierze w szeregach Polskiej Zjednoczonej Partii

Robotniczej”. Według Margueritte’a emigracyjna praca pod ziemią miała wykształcić w polskim przywódcy cechy takie jak pragmatyzm, cierpliwość i konsekwencja. To one sprawiały, że zamiast porywających słów wolał konkrety²⁴.

Oprócz dziennikarskich analiz są też poszlaki. Niektóre oczywiste: znajomość języka musiała Gierkowi ułatwiać komunikację z przywódcami Zachodu. Natomiast bezpośredni kontakt z socjalizmem w demokratycznej wersji mógł skłaniać go do poszukiwania drogi alternatywnej dla tej, którą oferował dotąd blok wschodni.

Niewątpliwie emigracyjne doświadczenia Gierka stanowiły początkowo ogromną zaletę w oczach polskiego społeczeństwa. Był to jeden z elementów, które składały się na jego obraz człowieka światowego, otwartego, nowoczesnego, reprezentacyjnego, jakże różnego od Władysława Gomułki. „Po tej szarzyźnie gomułkowskiej nagle pojawia się relatywnie młody, dobrze zbudowany, krótko ostrzyżony mężczyzna, który ma znajomości na całym świecie. Rysował się jako inna osobowość”²⁵ – tłumaczył historyk Andrzej Paczkowski.

Kiedy jednak gospodarczy plan Gierka zacznie się sypać, jego francuskie sentymenty staną się przedmiotem uszczypliwych komentarzy. Pojawią się plotki, że żona Gierka chesze się u paryskiego fryzjera, a on sam ma zgubną skłonność do zbytku. Dostanie się nawet autobusom kupionym w Lyonie – francuski cud motoryzacji nie dał rady wyboistym polskim drogom. Ludzie będą je przywoływać jako dowód na to, że zamiłowanie do Zachodu zaślepilo i sekretarza.

Łzy

O tych, którzy uciekli do Francji, w rodzinach i w sąsiedztwie krążą opowieści. Maria ma ich cały zbiór.

O wyjazdach udanych: Karolina z Ludwikowic Kłodzkich wyszła za „Francuza”, miała z nim sześciu synów i pewnego dnia została z tymi synami sama, bo on postanowił wrócić do domu. Nic jej nie powiedział, ani słowa, i dobrze, bo przesłuchiwali ją w nieskończoność, a gdy wreszcie

o niej zapomnieli, dołączyła do męża. Siedzi teraz cały dzień nad francuskim basenem, ciemna jak mulatka.

O wyjazdach dramatycznie nieudanych: Mietka z Boguszowa za próbę ucieczki trzymano w więzieniu i bito bez litości.

O wyjazdach zabawnie nieudanych: grupa kolegów jeszcze w latach czterdziestych chciała wracać do Francji na piechotę, przez Czechy. Kilka dni ich nie było, błakali się po lesie, aż wreszcie wyszli w Głuszycy, zdziwieni, że to nie Niemcy.

To wszystko historie zasłyszane, z drugiej ręki. Ani Maria, ani nikt z jej bliskich nie próbował uciekać.

– Wiedzieliśmy, co nas czeka: więzienie.

Ona sama pierwszy raz pojechała do Francji dopiero w roku 1989 i mówi, że to był cud. Jej mąż Leon z winobrania przywiózł nie tylko kolczyki, nie tylko kawę, nie tylko zabawki dla dzieci, ale i znajomość z kuzynem Marii – tym samym, którego w dzieciństwie nazywali „Kaki” i któremu Maria uratowała życie na polu truskawek. Leon zapukał do jego drzwi pewnego wieczoru, po pracy w winnicy. Kaki najpierw się zdziwił, potem ucieszył, a na końcu powiedział, że muszą się kiedyś wszyscy zobaczyć. Po powrocie Leona do kraju trochę korespondowali z Marią, czasem telefonowali. W końcu zaprosił ich do siebie. Wydawało się, że tym razem wyjazd nie może się nie udać. Bo przecież jeśli ktoś w urzędzie zapyta, gdzie będą mieszkać, odpowie: u kuzyna.

Jak pojedą? Odpowie: siostra Leona zadeklarowała, że może zawieźć ich swoim fiatem. Pojedzie też jej mąż, połączą wizytę u rodziny z winobraniami.

Za co będą żyć? Odpowie: za pieniądze z winobrania, poza tym pomoże rodzina.

Nie powinno być żadnych kłopotów z formalnościami – to już ’89, mają zaproszenie, wystarczy wystąpić o paszport i wizę.

„Wiesz, Hania, ja po czterdziestu dwóch latach pierwszy raz pojedę do Francji” – mówi Maria do koleżanki, a łzy lecą jej po policzkach. Jeszcze raz podsumowuje w myślach najważniejsze kwestie dotyczące podróży i nijak jej nie wychodzi, by któraś miała przerodzić się w problem.

„Wiesz, Leon, ja po czterdziestu dwóch latach pierwszy raz miałam jechać do Francji i chyba nie pojedę” – mówi Maria do męża, a łzy lecą jej po policzkach. Oni dostali wizy, ale siostra Leona z mężem już nie. Bez niej nie ma fiata, bez fiata nie ma transportu.

Chodzą po Wałbrzychu, myślą. Zaszli na dworzec, pytają, ile by kosztował bilet do Francji. Jak drogo! „Leon, co my teraz zrobimy?” – pyta Maria trochę męża, a trochę sama siebie. Trochę w to wierzy, a trochę nie, bo kto by chciał uwierzyć w takie zakończenie. „A samolot? Chodźmy do Orbisu, zapytamy, ile by samolot kosztował” – proponuje Leon. Pada cena. Niższa niż za pociąg, ale wciąż wysoka. „To co robimy? Nie mamy tyle”. „Ale możemy pożyczyć?” „Możemy pożyczyć”.

Za pieniądze od koleżanki Marii kupują bilet z Warszawy do Lyonu. Z Wałbrzycha jadą do Wrocławia, z Wrocławia do stolicy, tam upał, jakby ktoś piec w niebie otworzył. Cały dzień czekają na lotnisku. Maria w nerwach – jak to będzie w powietrzu, jak to będzie we Francji. W hali odlotów są kawiarnie, są restauracje, są sklepy z różnościami, można by zmarnować w nich trochę pieniędzy, ale nie mają – wszystko przecież poszło na samolot.

Na pokładzie stewardesy roznoszą tace z jedzeniem, na nich szynka, pomidory, ogórki. Pytają, co podać do picia. Wino? Wódkę? „Nous allons demander du vin français car nous allons en France après quarante-deux ans”. Poprosimy o francuskie wino, ponieważ jedziemy do Francji po czterdziestu dwóch latach. Maria upija łyk, drugi, trzeci i już się nie boi, rozgląda się po samolocie. Po jednej stronie malutkie okienko, po drugiej mąż, a obok męża obcy mężczyzna. Jest elegancki, kojarzy się Marii z naukowcem. „Świetnie mówicie po francusku” – zagaduje do nich i tym jednym zdaniem rozwiązuje worek z opowieściami o dwóch ojczyznach, biedzie i tęsknocie. „Przecież moglibyście być tłumaczami – stwierdza potem. – Świat się zmienia, Polska się zmienia, wasze życie też może się zmienić”. Czasem przerywa rozmowę, żeby pokazać coś Marii przez malutkie okienko. Widzi pani – tam Alpy, tu Morze Śródziemne, a tam, to zielone – winorośle. Łzy znowu cieką jej po policzkach.

Celnicy na lotnisku nie mieli do nich żadnych pytań, spojrzeli tylko w paszporty. „Witajcie w kraju, w którym przyszliście na świat”. W hali

przyłotów czeka na nich Kaki. Maria nie może przestać płakać, a kiedy już wydusi z siebie kilka słów, kuzyn chwali jej francuski. Mówi, że jest taki, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżała.

Od kuzyna z Lyonu jedzie do ciotki, do Alès. Tam na rowerze odwiedza ją dawna koleżanka, Francuzka. Pedałuje dwadzieścia kilometrów i wręcza Marii dwadzieścia dolarów. Przychodzą i inne koleżanki z dzieciństwa. Ta, która kiedyś dziecięcym głosem wykrzykiwała: „Les sales Polonais sont venus ici pour manger notre pain”, brudni Polacy przyjechali tu jeść nasz chleb, teraz całuje Marię w oba policzki, jeszcze raz i jeszcze, a między pocałunkami mówi, że z nikim tak dobrze się nie żyło jak z Polakami. Jest i Cela. Boże, Cela, która miała dziewięcioro rodzeństwa i ojca hulakę, teraz jest panią.

To Cela wymyśliła, żeby odwiedzić Marcelkę. „Ona ma rzeźnię, sklep mięsny, tylko nic nie mów, będzie niespodzianka”. Maria wchodzi do sklepu i od razu ją poznaje. Takie blond loki ma tylko Marcelka. „Madame, est-ce que vous me reconnaissez?” – zagaduje. Czy pani mnie poznaje? „Non, je ne vous connais pas”... Nie, nie znam pani. „Marcelle, tu ne te rappelles pas une petite fille qui s’appelle Marie?” Nie przypominasz sobie małej dziewczynki o imieniu Maria? „Oh, Marie, c’est toi?!” Mario, to ty?!

Sprawdzają swoją pamięć: na jednym weselu miałaś piękną sukienkę w wytłaczane kwiaty, a ja taką skromniutką, pamiętasz? A jak ze mną na lekcje polskiego chodziłaś, pamiętasz? A że koraliki mi dałaś na pożegnanie, pamiętasz? Pamiętają, wszystko pamiętają. Znow mają po dziesięć lat i łyzy lecą im tak samo jak przed odjazdem pociągu.

„Marie, c’est impossible. Nous avons attendu tant d’années...” Mario, to niemożliwe. Czekaliśmy tyle lat...

Maria spaceruje od domu do domu w jednych butach – białych, lekkich, a to już wrzesień, październik prawie, jesień. Wreszcie ciotka zabiera ją do sklepu, kupuje drugą parę i orzeka, że Maria pojedzie w tej parze do Polski, buty leżą świetnie. Maria popatruje to na nowe czółenka, to na sprzedawczynię i w myślach zaklina ją, żeby tylko nie wyrzuciła tych starych.

Kuzyn ma dom, ciotka ma dom, Marcelka ma wędliniarnię, Karola ma basen, Cela ma wszystko, co zechce. Oni z Leonem mają domek w Jedlinie

i pudełko medali. Czy ty zostaniesz, czy przyjechałaś już na zawsze? – pytają wszyscy. Maria i Leon przez moment, przez mgnienie, przymierzają się do takiego życia. Wspomnienia z dzieciństwa, spełnione marzenie, perspektywa dostatku, czy czujesz, jakie to wygodne? Kolejny początek, pięć lat pobytu potrzebne do otrzymania obywatelstwa, rozłąka z dziećmi – czy nie uciskają zbyt mocno, czy nie ranią do krwi?

Maria oddycha z ulgą, kiedy sprzedawczyni wręcza jej pudełko ze starymi butami.

14 Autostrada wolności

Zdaniem Władysławy Wojcieszak docinki nasiliły się po 1989 roku.

– Wcześniej było całkiem fajnie. Funkcjonowaliśmy w Wałbrzychu zgodnie jako mieszanka ludzi z całej Europy. Wiadomo było, że „Francuzi” częściej organizowali zabawy, udzielali się społecznie, mieli trochę inne zwyczaje, ale w zakładach pracy czy na osiedlach ludzie żyli bez konfliktów – tłumaczyła mi kilka lat temu. – Potem jednak przyszła zapaść ekonomiczna, a wraz z nią wszystko się popsuło. Ludzie się podzielili, zaczęli zazdrościć, podejrzliwie patrzeć, a kiedy w kłótniach brakowało argumentów, uderzali w etniczne i polityczne tony. Modne zrobiło się określenie „komuniści”, wypowiedane jak obelga. Dzisiaj ludzie walą nim jak cepem, bez żadnego zrozumienia.

Transformacja ustrojowa, która zrewolucjonizowała życie polskiego społeczeństwa w niemal wszystkich obszarach, wywołała zmiany również w rodzinach reemigrantów. W wielu aspektach były one pozytywne. Otwarcie granic i dyplomatyczny zwrot ku zachodniej Europie umożliwiły im, często wyczekiwany przez dziesiątki lat, wyjazd do Francji, ponowne spotkanie z bliskimi, zobaczenie miejsc, gdzie spędzili dzieciństwo i młodość. Z tej możliwości skorzystała Maria, skorzystała też moja rodzina. Mój dziadek w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wyjeżdżał do Francji, ale jego brat Leon odwiedził go w Polsce dopiero w latach dziewięćdziesiątych (wcześniej na wyjazd nie zgadzała się jego żona). Ja, wówczas kilkuletnia, zapamiętałam tę wizytę jako jedną z najnudniejszych w historii rodziny. Przez dwa tygodnie wszystkie rozmowy w domu prowadzono po francusku, z którego to języka nie rozumiałam wtedy ani słowa. Wujek, poza standardowym programem turystycznym, obejmującym Wawel, Sukiennice i krakowskie Stare Miasto,

odwiedził również Rycerkę, wioskę, w której urodził się i do której całe życie tęsknił jego ojciec, a mój pradziadek.

Kiedy zniknęła żelazna kurtyna, podróże nad Sekwanę stały się nie tylko bardziej dostępne, ale również bardziej różnorodne. Przestały się ograniczać do triady „na krótko”, „na zawsze” lub „wcale”. Teraz, o ile tylko pozwalały na to logistyczne i finansowe warunki, do Francji można było się udać na kilka miesięcy czy lat, urządzić się za granicą lub dzielić życie między dwa kraje, według modelu „trochę tu, trochę tam”. Kilkuletni epizod ponownej emigracji ma za sobą Daniela, każdego roku na jakiś czas do Francji jeździł Marian.

Zwiększyły się możliwości współpracy edukacyjnej i kulturalnej. Łatwiejszy stał się dostęp do francuskich książek, czasopism, a wraz z rozwojem technologii również do muzyki, filmów i telewizji. Umożliwiało to reemigrantom kontakt z językiem, którego poza swoim środowiskiem często nie mieli okazji używać, a którym posługiwanie się sprawiało im przyjemność. Jeszcze w pierwszej połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy w Polsce można już było odbierać włoską stację Rai Uno, mój dziadek oglądał ją często i chętnie nie tyle ze względu na emitowane programy, tylko z uwagi na sam język, tak podobny do francuskiego.



Franciszek podczas jednej ze swoich podróży do Francji pozuje na tle hałd usypanych za jego rodzinnym domem w Haillicourt, 1997

Źródło: archiwum rodzinne autorki

W sklepach zaczęły się pojawiać francuskie produkty, nie tylko te flagowe, jak wino, sery czy kosmetyki, ale również te z Francją się niekojarzące, w rodzaju masła, dżemu, jogurtów, kredek czy maszynek do golenia. W mojej rodzinie kupowało się je czasem na prośbę czy z inicjatywy dziadka, któremu przypominały smaki lub zapachy dzieciństwa, częściej jednak traktowano je jako gadżet. Sięgaliśmy po nie właśnie z uwagi na ich pochodzenie, nie jakieś szczególne walory. Podejrzewam, że nie byliśmy w tej kwestii wyjątkowi.

Demokratyczną zdobyczą był również rozwój trzeciego sektora. Do możliwości swobodnego zakładania stowarzyszeń reemigranci podeszli z dużym entuzjazmem – w samym Wałbrzychu, obok Stowarzyszenia Francuzów i Repatriantów z Francji na Dolnym Śląsku, powstało Stowarzyszenie Dom Bretanii i Chór Frankofonów. Organizacje te odgrywały lub odgrywają nie tylko rolę integracyjną, stwarzając pretekst do bycia razem, podtrzymywania zwyczajów, są również narzędziem popularyzacji wiedzy o losach „Francuzów”. Grupa, która przez cztery

dekady PRL była przedmiotem obserwacji polityków, socjologów i historyków, wreszcie mogła sama opowiadać swoją historię.

To była jasna strona transformacji, była jednak również i ciemna. Upadek komunizmu otworzył kwestię rozliczeń z poprzednim ustrojem. Na ich fali powróciły zarzuty znane reemigrantom z pierwszych powojennych lat. Ich przeszłość i życiowe wybory nigdy nie stały się przedmiotem publicznej dyskusji, lecz w prywatnych czy internetowych rozmowach znów mogli usłyszeć, że są komunistami, że sympatyzowali z władzami PRL, że na Ziemiach Odzyskanych czekały na nich najlepsze domy i najbardziej intratne posady.

– Taki przykład: pokazujemy w internecie zdjęcia z naszego pięknego spotkania z okazji 14 lipca, rocznicy zburzenia Bastylli, francuskiego święta narodowego. Jesteśmy bardzo dumni, ale po sieci zaraz zaczynają krążyć komentarze: patrzcie, jak komuchy sobie żyją, jak sobie organizują święta – opowiadała Władysława. – Tego się nie da przewalczyć, to jest tak obrzydliwe. My tłumaczymy, że oni nie musieli wracać, że przyjechali z patriotyzmu, z chęci odbudowy, lecz ludzie nie słuchają.

Czasem tłumaczyć to trzeba nie anonimowym internautom, tylko studentom, dziennikarzom czy nawet historykom.

– Od pani z IPN usłyszałam kiedyś, że byliśmy komunistami. Jakimi komunistami, spytałam. Kochana, ty w ogóle wiesz, co to słowo znaczy? Może się obraziła, a może coś jej w głowie zostało. Tych, którzy przyjeżdżają na wywiady, zawsze pytam: co jest złego w tym, że człowiek chce sprawiedliwej płacy, dobrych warunków pracy, równości, wolności? Albo w tym, że poświęca się, by coś wywalczyć lub zbudować? Tyle determinacji, tyle pracy idzie w zapomnienie. Pojechali za chlebem, wracali, by pomóc w odbudowie, a teraz ludzie odsądzają ich od czci i wiary.

Oprócz powracających zarzutów o poparcie dla komunistycznego reżimu dotknęły reemigrantów również systemowe zmiany w sposobie opowiadania o przeszłości. Choć jak już zostało powiedziane, polityczne postawy „Francuzów” jako grupy nigdy nie zostały poddane otwartej debacie, poszczególne postacie znalazły się w orbicie walk

o „dekomunizację”. I potrafiły już po swojej śmierci wywołać nie tylko krajową, ale i międzynarodową awanturę.

Zabrzański patent

O górniku Wincentym Pstrowskim zapominano tak, jak zwykła robić to ludzka pamięć: po troszeczkę. Najpierw zabrano mu ulicę: była Pstrowskiego, jest Bytomska. Potem szkołę: była tabliczka z napisem „Szkoła Podstawowa nr 16 im. Wincentego Pstrowskiego w Zabrze”, jest puste miejsce, brudny prostokąt na zielonym tynku. Na końcu pomnik: był napis „Wincentemu Pstrowskiemu mieszkańcy województwa”, jest „Braci Górniczej mieszkańcy Zabrze”. Chociaż cokolwiek dalej wieńczy ta sama figura – głowa osłonięta kaskiem, twarz o wyraźnie zarysowanej szczęce, ramiona szerokie, na ramionach oparty górniczy kilof, na trzonku kilofa kołysze się górnicza lampka. Tylko ona jest tu lekka, poza nią wszystko masywne: mięśnie na torsie, przedramiona, nogi w lekkim rozkroku. Potężnego człowieka, prawdziwie niezłomnego przodownika, uczynił z Wincentego Pstrowskiego rzeźbiarz Marian Konieczny.

Słynny górnik na kamiennym postumencie stał niewzruszony od 1978 roku, po czterdziestu latach wydawało się jednak, że będzie musiał poszukać sobie nowego lokum – w muzeum lub na złomowisku, gdzie zwykle trafiają niewygodne monumenty. Powodem jego wyprowadzki miała być ustawa dekomunizacyjna z 2016 roku, zgodnie z którą nazwy ulic, placów, mostów, pomników czy obiektów użyteczności publicznej nie mogą „propagować komunizmu”. Na indeksie znalazły się na przykład ulice Armii Czerwonej, Armii Ludowej, Bohaterów Stalingradu czy Karola Marksa. I Wincentego Pstrowskiego. „Z inspiracji partii komunistycznej inicjator opartej o wzorce sowieckie stalinowskiej kampanii »współzawodnictwa pracy«. [...]. Uczestniczył w propagandowych naradach, konferencjach, spotkaniach i pokazach jako symbol nowego etapu rozbudowy komunizmu w Polsce. Był wielokrotnie nagradzany i odznaczany przez władze komunistyczne. Stworzono z niego (przy jego udziale) symbol »socjalistycznych« przemian w gospodarce i wzór

»świadomego socjalistycznego obywatela-robotnika«¹ – pisze o Pstrowskim Instytut Pamięci Narodowej.

– Myśmy w Zabrze sami się zdekomunizowali, w latach 1989–1991 usunęliśmy ulice Stalingradzką, Hanki Sawickiej, Gwardii Ludowej, nawet Pstrowskiego, tylko ten pomnik tak wrósł w pejzaż – mówi Dariusz Walerjański, zabrzański radny i historyk.

Zniknięcia „hajera” nie życzyli sobie sami mieszkańcy Zabrze, choć przez te czterdzieści lat różnie im się razem układało. W PRL żartowano, że trzeba było przenieść stojący naprzeciwko figury szpital dziecięcy, bo przodownikowi śmierdzi z butów. Po 1989 roku zaś dwie radne chciały walczyć o jej demontaż; ponoć przestały, gdy przypomniano im, że niegdyś same odsłaniały statwę.

– Pstrowski najpierw denerwował, potem stał się obojętny, aż wreszcie wrósł w naszą tożsamość. Stał się swojski, doceniliśmy jego wartość, wiemy, że jego życie jest symbolem losów wielu ludzi. Zabrzeanie mają bardzo rozwiniętą dbałość o własną historię – przekonuje Artur Wiercioch z miejscowego stowarzyszenia „Otwarte Miasto” i dodaje, że przez lata mieszkał w tej samej dzielnicy co Wincenty Pstrowski, a jego dziadkowie też przyjechali do Polski z Zachodu. W 1946 roku wysiedli z pociągu jadącego z francuskiego Douai.

To właśnie „Otwarte Miasto” w marcu 2018 roku zorganizowało protest w obronie pomnika. Ziąb, a pod Pstrowskim setka ludzi paliła znicze, przyklejała na cokół karteczki z napisem „NIE!!!” i machała transparentami z takim samym przekazem. Do tego fora internetowe, grupa na Facebooku, listy protestacyjne.

– Dopiero kiedy się to wszystko zliczy, to widać, jak bardzo ta sprawa rozgrzewała ludzi – mówi Walerjański. – W relacjach zachowały się dwa obrazy Pstrowskiego. Jeden dobry: życzliwego człowieka, który z delegacji do Moskwy przywiózł kolegom haczyki do wędek. Drugi zły: bo przez niego trzeba było pracować dłużej niż osiem godzin i wyrabiać wyśrubowane normy. Dla młodych zaś Pstrowski był po prostu figurą. Nie wiedzieli, kim był przodownik, ale umawiali się „pod górnikiem” albo „pod naszym hajerem”.

Jego zdaniem Pstrowski pod zapisy ustawy dekomunizacyjnej nie podpadał. Był raczej ofiarą niż piewcą systemu. Prostym człowiekiem, któremu najlepiej wychodziła jedna rzecz: praca. A że kochał Polskę i był patriotą, to chciał dać jej to, co miał najlepszego – właśnie pracę i jeszcze dobry przykład dla kolegów z kopalni. Tak więc pomnik został, tylko z innym podpisem. Walerjański dodaje, że radni z innych miast dzwoniли potem do niego z pytaniem o ten „zabrzański patent” i prośbą o wskazówki, jak zastosować go u siebie.

Zabrzanie nadal zatem umawiają się „pod hajerem”. To przyjemne miejsce, zwłaszcza latem: są ławki, fontanna. Kilka lat temu, kiedy odwiedziłam Zabrze, stała tu też mała budka, na której właściciel wywiesił plastikową tabliczkę z cenami kawy i lodów. Obok nich rysunek: malutka podobizna górnika i napis „300% normy. Kto wyrąbie więcej niż ja?”.

Leśne wzgórze i repatrianci

Autostrada wolności zawsze biegnie ze wschodu na zachód, najlepiej od wybrzeża do wybrzeża. W drogę najlepiej wyruszyć, gdy dzień ma się już ku końcowi, tak by samochód mógł pędzić wprost w pomarańczową kulę słońca. Jedzie się w towarzystwie, gra radio i zawsze są wakacje. Tak wygląda autostrada wolności w wyobraźni, bo w rzeczywistości bywa zupełnie inna, a nawet – jak to z symbolami bywa – nie ma jej wcale.

Najpierw jednak będzie o ulicach. O długiej ulicy Rodziny Burczykowskich, wijącej się między blokami ulicy Bronisława Kani, otulonej jednorodzinnyimi domkami ulicy Tomasza Rabiegi, zielonej ulicy Romana Piotrowskiego oraz o placu Aleksego Czeredziaka, który przypomina raczej skrzyżowanie niż plac. Wszyscy oni byli polskimi emigrantami we Francji, wszyscy związali się z ruchem robotniczym, a w czasie wojny w większości walczyli we francuskim ruchu oporu. Wszyscy też – oprócz Burczykowskich – znaleźli się na liście patronów ulic do usunięcia, co, zgodnie z zapisami ustawy dekomunizacyjnej, zarekomendował zespół powołany przez prezydenta miasta Wałbrzycha. Burczykowskich w projekcie uchwały nie wskazano, ale część mieszkańców uważała, że i oni są na cenzurowanym. W niektórych budziło

to sprzeciw, inni skoncentrowali się na wybieraniu nowych nazw. Gdzie lepiej mieszkać, przy Leśnym Wzgórzu czy Repatriantów? Przy Reduty Ordona czy Jana Karskiego? Przy Osiedlowej czy Tadeusza Różewicza?²

Do Francji wieść o przyszłych zmianach dotarła listownie – Bogdan Król, prezes stowarzyszenia Dom Bretanii, zwrócił się z prośbą do Stowarzyszenia Les Amis d’Edward Gierka z prośbą o pomoc w poszukiwaniu informacji na temat braci Burczykowskich³. To drugie stowarzyszenie – Przyjaciół Edwarda Gierka – zostało powołane w 2007 roku i na tle innych polonijnych podmiotów jest dość nietypowe: koncentruje się nie na kultywowaniu polskich tradycji, tylko upamiętnianiu zaangażowania polskich emigrantów w ruch robotniczy. Stąd też wybór patrona.

– Mogliśmy wybrać dowolnego, anonimowego polskiego górnika. Wybraliśmy Edwarda Gierka, bo to rozpoznawalne nazwisko, również za granicą – tłumaczył mi prezes stowarzyszenia Jacques Kmieciak.

Z Francji do Polski zaczęły płynąć biografie tych, którzy za chwilę mieli zniknąć z ulicznych tabliczek, a także listy. Mer Sallaumines – miasteczka, w którym żyła rodzina Burczykowskich – tak zwracał się do prezydenta Wałbrzycha: „Informujemy, że rodzina Burczykowskich została zdziesiątkowana podczas II wojny światowej: część jej członków, autentycznych bojowników ruchu oporu, została zamordowana przez hitlerowców [...]. Zmiana nazwy tej ulicy byłaby obrazą wspólnej francusko-polskiej pamięci ruchu oporu, a także zamachem na prestiż Francji na Dolnym Śląsku”⁴. Senator z Pas-de-Calais Dominique Watrin napisał, że niepokoją go głosy, iż z mapy Wałbrzycha mogłyby zniknąć ulice Tomasza Rabiegi czy Bronisława Kani („został stracony za akty oporu”), a także o tym, jak wspólna pamięć jest ważna dla przyszłych pokoleń. „Ci ludzie przywieźli do Francji, Polski i Hiszpanii idee postępu, które ożywiały związkowców i komunistów przed wojną, w jej trakcie i po wojnie” – dodawał, nawiązując do biografii Rabiegi⁵. Listy i pisma krążyły też między gabinetami dyplomatów – do Dariusza Wiśniewskiego z ambasady Polski we Francji i Henryka Dudzińskiego, konsula honorowego Polski w Lille, trafił apel o „zachowanie pamięci o członkach

ruchu oporu na Dolnym Śląsku”, wystosowany przez stowarzyszenie Les Amis d’Edward Gierek, a podpisany przez 133 osoby.

Oprócz gestów na papierze, były i gesty w przestrzeni, takie jak właśnie autostrada. Wiodła ona wprawdzie nie z wybrzeża na wybrzeże, ale z Nord do Pas-de-Calais i od lat nosiła oficjalną nazwę A21. W lipcu 2017 w ramach protestu Freddy Kaczmarek, mer miasta Auby, zdecydował się nadać jej symboliczne imiona „Rabiegi–Kani” i nazwę „Autostrada Wolności”. Zamontowano stosowną tabliczkę, wykonano pamiątkowe zdjęcie.

We Francji o awanturze pisały „Le Monde”, „La Voix du Nord”, „L’Humanité”⁶ oraz inne tytuły, relacjonowała ją agencja AFP. Redakcja „Le Monde” cierpliwie tłumaczyła czytelnikom polskie realia, pytała ekspertów o zdanie. W Polsce po wpisaniu w wyszukiwarkę hasła w rodzaju: „Francuzi protestują w sprawie zmian nazw ulic w Wałbrzychu”, wyświetliły mi się zaledwie dwa teksty: jeden na stronie lokalnego serwisu, drugi na stronie pisma, którego tytułu nie widziałam nigdy wcześniej.

Rada Miasta Wałbrzycha podjęła ostatecznie decyzję, że wśród przeznaczonych do zmiany patronów ulic nie ma rodziny Burczykowskich ani Aleksego Czeredziaka, ani Bronisława Kani, ani Romana Piotrowskiego. Nie przetrwał tylko Tomasz Rabiega – jedyny, który przeżył wojnę i wrócił do Polski.

15 Każdy ma swojego Francuza

Kiedy wysiadasz na stacji Wałbrzych Miasto, przy dworcu rzadko czeka taksówka. Zwykle trzeba po nią zadzwonić, a potem poczekać kilka minut, podczas których można przysiąść na półokrągłych dworcowych schodkach i pogapić się na okolicę. Widzi się wtedy różne rzeczy. Czasem wzrok zaczepi się o nierówny bruk, odrapany tynk na fasadach, zamkniętą kawiarnię i wtedy chce się przyznać rację tym, którzy nazywają to miasto zniszczonym, zapomnianym, gasnącym. Czasem jednak spojrzenie daje się porwać biegowi ulicy, razem z nią wznosi ku porośniętym zielonym lasem górą, prześlizguje po nich, by po chwili znów opaść w dolinę i zatrzymać na kamienicach o dekoracyjnych gzymsach oraz prostych robotniczych budynkach. Wtedy chce się powiedzieć, że to miasto, mimo swojego zaniedbania, zapomnienia, przygaszenia, jest piękne.

Drogą co chwilę jadą żółto-czerwone autobusy. Gdyby wczytać się w ich rozkłady, można by znaleźć przystanki Barbusse'a i de Gaulle'a. Z tego samego kierunku co autobusy najpewniej przyjedzie taksówka. Kierowcy zwykle są rozmowni: widząc bagaż, pytają, czy jestem stąd. Gdy dowiadują się, że nie, chcą wiedzieć, co tutaj robię. Odpowiedź: „piszę książkę o reemigrantach z Francji”, niemal zawsze rozpoczyna dyskusję, bo w Wałbrzychu każdy ma swojego „Francuza”, a nawet jeśli nie, to ma na temat „Francuzów” coś do powiedzenia. Nie pamiętam, co mówił ten kierowca, z którym jechałam w pewien lipcowy dzień. Zapamiętałam tylko, jak był zaskoczony, że w Wałbrzychu stoi pomnik de Gaulle'a. Tyle lat tu mieszka, a nigdy nie zwrócił uwagi.

Przeoczeniu trudno się dziwić, bo pomnik jest z tych nienachalnych. Kamienny obelisk z granitową płytą ozdobioną flagami Polski i Francji postawiono na niewielkim skwerze przy ruchliwym skrzyżowaniu. W takich miejscach mało kto spaceruje, zwykle jedzie się prosto przed

siebie, a na poboczu nie dzieje się nic, co mogłoby odciągnąć uwagę. Tak jest zwykle, lecz nie dziś.

Kiedy wysiadam, przy pomniku stoi już dwadzieścia, może trzydzieści osób. Elegancko ubrani, do piersi przypięli niebiesko-biało-czerwone kotyliony, w rękach trzymają kwiaty w tych samych kolorach, trzymają też flagi, również trójkolorowe. Kiedy akordeon zaczyna wygrywać marszową melodię, stają na baczność, śpiewają. Muzyka cichnie i pod pomnikiem składają wieniec kwiatów przewiązany wstążką, na której napisano: „Stowarzyszenie Francuzów i Repatriantów z Francji na Dolnym Śląsku”. To oni w 2003 roku postawili ten pomnik i to oni przychodzą pod niego co roku 14 lipca. Czasem towarzyszą im dzieci, rzadziej wnuki. Jest okazja, żeby się spotkać, poświętować i podyskutować, co właściwie wyniknęło z tej całej reemigracji.

Bo co właściwie wyniknęło? Różne są perspektywy i różne bilanse.

Z punktu widzenia komunistycznych władz akcję reemigracyjną trudno było uznać za udaną. Spośród liczącej ponad czterysta tysięcy osób francuskiej Polonii do kraju wróciło niecałe osiemdziesiąt tysięcy, a i to przy najbardziej optymistycznych szacunkach. Wyliczenia różnią się bowiem w zależności od źródeł, na których są oparte. Inne dane znajdują się w raportach Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, inne w archiwach Głównego Urzędu Statystycznego, inne w dokumentach zjednoczeń węglowych, a rozbieżności między nimi są spore^[20]. Najskromniejsze wartości podają Francuzi – pięćdziesiąt jeden tysięcy. Jak wylicza Paweł Sękowski, reemigranci stanowili zaledwie piętnaście procent francuskiej Polonii.

Być może władze Polski Ludowej – które przecież deklarowały zamiar sprowadzenia do kraju wszystkich Polaków – liczyły na kontynuację akcji w kolejnych latach. Jednak coraz większe napięcia między wschodnim i zachodnim blokiem zamknęły do tego drogę. Opadła też rozbudzona tuż po wojnie gorączka powrotów. Po części ugasiły ją płynące z kraju doniesienia od tych, którzy zdecydowali się na wyjazd, po części zaś sama francuska codzienność – nowe regulacje prawne poprawiały sytuację emigrantów, a rosnący poziom życia nie zachęcał do zaczynania życia od nowa w Polsce.

Czy ci, którzy powrócili, rzeczywiście stanowili niezbędną cegiełkę w odbudowie kraju? Liczby i relacje udzielają na to pytanie dwóch różnych odpowiedzi. Pierwsze każą myśleć, że reemigrantów było zbyt mało, by mogli odegrać kluczową rolę w ożywieniu gospodarki. W górnictwie tylko w pierwszych powojennych latach „Francuzi” stanowili znaczący odsetek kopalnianych załóg. Z biegiem czasu starsi zaczęli przechodzić na emeryturę, młodzi zaś odpływali ku innym zawodom, lżejszym, bezpieczniejszym, bardziej prestiżowym. Wspomnienia „Francuzów” i ich współpracowników rzucają jednak inne światło na ich zawodową rolę. Kompetencje, które ze sobą przywieźli, pozwoliły przynajmniej częściowo zapełnić lukę po opuszczających nową Polskę niemieckich górnikach, stali się też oni rezerwuarem wiedzy dla zatrudnionych w górnictwie osadników na ziemiach zachodnich, którzy wcześniej z wydobywaniem węgla nie mieli nic wspólnego. Znaczące było również zaangażowanie reemigrantów. Jak pisze Władysław Markiewicz, w latach dwudziestych pomogli oni w odbudowie Francji i taki sam wysiłek, jeśli nie większy, chcieli włożyć w odbudowę Polski. „Wobec braku kwalifikowanej kadry górniczej, zwłaszcza rębaczy i strzałowych, tylko emigranci francuscy mogli ratować sytuację. I uratowali”¹ – podsumowuje.

Dodatkową, pozaekonomiczną wartością był kapitał społeczny, jaki ze sobą przywieźli. Grupa, która w swoim życiu raz już przeszła przez pionierski okres, z większą łatwością niż inni osadnicy podjęła się zadania organizacji codziennego życia, nie tylko w aprowizacyjnym, ale również kulturalnym i intelektualnym wymiarze. To „Francuzi” zakładali zespoły muzyczne, teatry, kluby dyskusyjne. Udzielali lekcji gry na instrumentach, organizowali zabawy, a gdy zachodziła potrzeba, odgrywali rolę tłumaczy.

Komunistyczna władza postawiła przed reemigrantami pewne zadania, w zamian zaś złożyła im pewne obietnice. Czy się z nich wywiązała? Znów najuczciwszą odpowiedzią będzie „częściowo” albo „zależy”. Zamieszczane w powojennej prasie opisy dolnośląskich miast, z ich zakładami pracy i bazą mieszkaniową, okazały się oczywiście mocno podkolorowanym obrazkiem, który miał tylko skusić Polonię do powrotu. Już w pierwszych dniach – jeśli nie godzinach – pobytu w Polsce ludzie ci zdawali sobie sprawę, że w ojczyźnie żyć będą skromniej i pracować ciężiej

niż we Francji. W komunistycznym ustroju mrzonką okazały się też zapewnienia o wolności i równości. Za spełnioną obietnicę można jednak uznać perspektywę edukacji i awansu społecznego dla młodego pokolenia. Nowe szkoły zawodowe oraz system wsparcia w postaci stypendiów, akademików i bezpłatnych posiłków stał się dla dzieci reemigrantów szansą na zdobycie średniego lub wyższego wykształcenia, z której chętnie korzystali.

Tak wyglądałby „reemigracyjny bilans” dokonany z pozycji obserwatora, oparty na statystykach, relacjach i opracowaniach. Gdy jednak o zdanie zapytamy samych żyjących dziś jeszcze reemigrantów, usłyszymy coś innego. Nie chodzi o mniej czy bardziej pozytywną ocenę – tylko o całkiem odmienne rozłożenie akcentów.

Po części oficjalnej, po odśpiewaniu francuskiego hymnu i złożeniu kwiatów, następuje część towarzyska. Wchodzą do sali bankietowej, na chwilę siadają przy stołach, ale wstają, gdy tylko zabrzmie muzyka. Piosenki polskie – współczesne, i starsze – francuskie. Proszą się do tańca, wymieniają, odbijają, a wszystko lekko, wdzięcznie, wszystko dokładnie tak, jak o tym opowiadali. Płyną po parkiecie, a kto przysiadzie na chwilę przy stoliku, potrzebuje zaledwie jednego zdania, by dotrzeć do zabaw na Białym Kamieniu, siedmiu, by znaleźć się w szkolnej ławce, i dziesięciu, by trafić do pociągu. Wystarczy piętnaście i znów jest we Francji.

„W polskiej szkole dawali owsiankę z rodzynkami”.

„Kiedy ktoś mówi o bydłęcych wagonach, to robi mi się niedobrze. Ta jazda to była frajda!”

„Ostatnio dopiero mi się przyznał, że próbował z kolegami przez las uciekać”.

„Krótco po przyjeździe mój brat trafił do szpitala. Lekarze do niego po polsku, on do nich po francusku. Za nic się nie mogli dogadać”.

„Do dzisiaj jak mam coś policzyć, to tylko po francusku”.

„Moja mama do śmierci dostawała z Francji emeryturę po ojcu. Francja o swoich nigdy nie zapomina, nigdy nikogo nie krzywdzi. My do takiego poziomu nie doszliśmy do dziś”.

„Gdyby nie rodzice, tobyśmy zostali we Francji”.

„Gdyby nie córka, tobyśmy wyjechali do Francji”.

Po prawie osiemdziesięciu latach, które upłynęły od akcji powrotów, jej uczestnicy rzadko mówią o polityce, ekonomii, propagandzie czy składanych przez władzę obietnicach. To, co elektryzuje badaczy, ich zdaje się nie poruszać. W ich ocenach kluczową rolę odgrywają inne elementy. Przede wszystkim tęsknota za Francją, czy raczej za jej wyidealizowanym obrazem. Czas zatarł to, co złe. Zniknęły (czy to doświadczane osobiście, czy przekazywane w opowiadaniach rodziców) ksenofobiczne komentarze o „zjadaniu naszego chleba” i „zabieraniu pracy”, zniknęły zawodowe nierówności, niepewność zatrudnienia w czasie kryzysu, językowe problemy, zniknęło wszystko to, co sprawiało, że ich rodzice nigdy nie poczuli się nad Sekwaną „u siebie”. Zostało samo dobro: rytm domów z cegły, życzliwi nauczyciele, serdeczni sąsiedzi, zostały dziecięce radości: zabawy na podwórkach, słodczyce, kino, wesołe miasteczko, zostały młodzieńcze ekscytacje: pierwsze miłości, tańce, plany na przyszłość. Wszystko to, co sprawiało, że Francja, „kraina w sam raz”, była ich domem.

Z tęsknotą wiąże się sentyment do rytuałów, które przeszczepiano na polski grunt, a później kultywowano. Spotkania z okazji 14 lipca, słodkości na Mardi gras, migdałowe ciasto z niespodzianką na Trzech Króli, majowe konwalie dla ukochanej, kawa i kawałek ciasta na śniadanie, aperitif przed obiadem, francuskie przepisy w kuchni, francuskie warzywa w ogródku, w wolnym czasie taniec, muzyka, gra w bule. To może drobnostki, ale przecież właśnie z takich detali lepi się tożsamość. W przypadku tej grupy często niejasną, zaburzoną, podwójną, trudną do zdefiniowania.

Część reemigrantów bez wahania powie: „jaki tam ze mnie Francuz!”, „Polka, zawsze Polka”.

– Nigdy nie miałam francuskiego obywatelstwa, nie kusił mnie nawet francuski paszport – przekonuje mnie Alfreda. Nigdy również nie pomyślała, że we Francji mogłoby być jej lepiej. W swych ocenach nie jest odosobniona, podobne słowa usłyszałam od Liany, Władysława, Mariana. Są jednak i tacy, którzy nawet po ośmiu dekadach spędzonych w Polsce wciąż mają trudność z odpowiedzią na pytania „kim jestem” i „gdzie jest mój dom”.

Henryka mówi, że to jest jak rozdwojenie jaźni. We Francji wiedziała, że nie czuje się Polką, tutaj nie wie już nic. Kiedy ktoś powie coś złego na Polskę, buntuje się – gdy słyszy, że krytykują Francję, coś ją „dźga, tak głęboko”. Zna mentalność Francuzów, do cna, rozumie ich czasem lepiej, niż gdyby miała odgadnąć myśli Polaków.

Daniela przez lata, zapytana, kim jest, automatycznie odpowiadała: „Francuzką”. Teraz długo się waha i nawet po namyśle nie znajduje zdecydowanej odpowiedzi.

Maria pamięta francuskie powiedzenie: „kraj, w którym się urodziłeś, jest twoją ojczyzną”. Nikomu by nie życzyła takiego wyjazdu, wyrwania dzieci z ich miejsca. Jej prawnuczka urodziła się w Anglii, Maria mówi teraz do jej matki: „Nie zabieraj córki stamtąd”.

– Szkoda słów, tak bardzo się tęskniło. Sądzę, że gdybym została we Francji, miałabym lepsze życie.

Czasem w myślach rozmawia z rodzicami, pyta, co ich tu ciągnęło.

Zofia też w wyobraźni dyskutuje z ojcem. „Co ty w tej Polsce widziałeś?” – pyta go w swojej głowie. Na głos nigdy nie miała śmiałości, bo wiedziała, że Polska to dla niego świętość. Dla niej Polska to kraj, z którego patrzy się w stronę Francji.

– To, co miałam wpojone we Francji, zostało mi na zawsze. Tu nigdy nie mogłam pogodzić się z butą, zawiścią, rywalizacją. We Francji nawet w prostych piosenkach, w czytankach uczyło się, by patrzeć na drugiego człowieka. Tęsknię za tą etyką. W Polsce nigdy nie umiałam się odnaleźć.

Czy mój dziadek był zadowolony z powrotu? Kiedy zadaję to pytanie, przy stole siedzą już tylko moja babcia i mój tata. Odpowiadają równocześnie: ona – „tak”, on – „nie”. Ona tłumaczy, że dzięki przyjazdowi do Polski mógł się wykształcić. On powołuje się na rozmowę z przeszłości.

– Rzadko się zwierzał, ale kiedyś powiedział mi, że gdyby jego starszy brat Leon był w domu, gdy rodzice podejmowali decyzję o wyjeździe do Polski, to wszystko potoczyłoby się inaczej. Mieli dobre relacje, trzymali się blisko, zostaliby z Leonem we Francji.

– Jak by się potoczyło? – pytam.

– Spokojniej, łatwiej, dostatniej.

– A myślicie, że tęsknił? – dopytuję.

– Cały czas – odpowiadają już zgodnie.

O to ostatnie nie musiałam w sumie pytać, mogłam pokleić odpowiedź z własnych wspomnień. Nawiązania do Francji w każdej dłuższej rozmowie, śledzenie politycznych, kulturalnych i sportowych wydarzeń nad Sekwaną, wyłapywanie z otoczenia wszystkiego, co francuskie, wplatanie do codziennego języka francuskich słów i powiedzonek, radość, gdy ktoś z młodszego pokolenia przejawiał zainteresowanie Francją. Kraj nie jeden z wielu, lecz szczególny, punkt odniesienia, przedmiot zainteresowania, troski, miejsce, ku któremu serce i myśli obracają się zawsze, jak igła w kompasie.

Niezależnie od tożsamościowych deklaracji, od silnego poczucia przynależności do jednego z narodów czy rozdarcia między dwoma, ten „zwrot ku Francji” jest wspólną cechą wszystkich reemigrantów. W ich domach oglądałam zdjęcia zmarłych małżonków udekorowane francuskimi flagami, patrzyłam na zdobiące ściany rysunki paryskich zabytków i francuskie kalendarze wiszące na lodówkach, na pożegnanie dostawałam francuskie wydania książek. Informacja, że mówię po francusku, spotykała się z sympatią, że jestem wnuczką reemigranta – z entuzjazmem, ale też z rodzajem ulgi. Że jestem „swoja”.

Jeszcze jedną cechą łączącą „Francuzów” jest przekonanie o wielkim znaczeniu akcji reemigracyjnej. Pewność, że to był istotny epizod w powojennej historii Polski, niezależnie od osobistej oceny tego wydarzenia. Decyzję swoich rodziców określają jako przejaw świadomego patriotyzmu. „Świadomy” to tutaj słowo klucz, ostro protestują, gdy pojawia się sugestia, że ich rodzice dali się komuś zwieść, oszukać, nabrać.

– Nie musieli wracać, we Francji byli przecież społecznie i finansowo zabezpieczeni, zrobili to z czystego patriotyzmu – przekonuje Liana.

Są dumni z tego, co udało się zbudować obu pokoleniom reemigrantów – w skali kraju i lokalnych społeczności. Do ogromu wykonanej przez nich pracy wprost proporcjonalny jest żal, że niemal o nich zapomniano. Mówi się o repatriantach ze Wschodu, milczy o tych z Zachodu, a jeśli już się wspomina, to często w kłopotliwym politycznym kontekście. „Tyle lat, tyle rocznic, żeby chociaż raz napomknąć: ci ludzie wrócili i pomogli odbudować Polskę. Czy to by było coś złego? – pytają

retorycznie. – We Francji są pomniki, są polskie nazwiska, tutaj nie ma, absolutnie nic nie ma”. „Urabialiśmy sobie ręce po łokcie, a inni szabrowali, kradli, zamiast pracować. A teraz te plotki, one robią tyle szkody”.

Trafności ich diagnozie o zbiorowej niepamięci trudno odmówić. Owszem, w Wałbrzychu i okolicach, w miejscowościach, gdzie osiedliło się najwięcej „Francuzów”, historia o reemigracji jest znana. W przestrzeni publicznej stanęły pamiątkowe tablice, do francuskiej Polonii nawiązują nazwy ulic (choć, jak już wiemy, czasem trzeba o nie zawalczyć). Jednak poza tym regionem – jak wynika z mojego doświadczenia, zebranego przy okazji pracy nad tą książką – dla zdecydowanej większości społeczeństwa pozostają niewiadomą. Nie figurują w popularnych opracowaniach, nie funkcjonują w popkulturze. „Nigdy o tym nie słyszałam”, „nie wiedziałem” – to były najpowszechniejsze reakcje, gdy odpowiadałam na pytanie, nad czym właściwie siedzę.

Po wojnie z Francji do Polski powróciło od pięćdziesięciu do osiemdziesięciu tysięcy osób. Ile z nich żyje dziś? Tyle, że można objąć je wzrokiem, umieścić w jednej sali, przy jednym stole. Tyle doświadczyło tej historii osobiście, nosi ją w sobie. Skoro brakuje „odgórnych” upamiętnień, „Francuzi” sami starają się zadbać o pamięć. Zostawić ślady, po których, kiedy ich już zabraknie, znów będzie można dotrzeć do Małej Francji. Poświęcają czas historykom, socjologom i etnografom, pozwalają nagrywać się dokumentalistom, opowiadają swoje życie szczerze, wielowątkowo, bez autocenzury, w nadziei, że coś zostanie. Pokazują dokumenty, rozdają zdjęcia i wycinki, wypuszczają w świat domowe archiwa: niech wędrują, aż trafią na zainteresowanego, może ktoś zrobi z nich użytek. Organizują spotkania, wystawy o „zapomnianym powrocie”^[21], koncerty francuskich piosenek. Zapraszają na warsztaty, podczas których dzieci rysują drzewa genealogiczne, „szukają swojego Francuza” i dziwią się, że losy dziadków są takie poplątane, one też nie wiedziały, nie słyszały. Angażują się w muzealne i akademickie projekty, nagrywają własne filmiki, spisują wspomnienia. Opowiadają tę historię jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze, a każda z opowieści jest jak ten kamyk z bajki rzucony na ziemię. Może

potoczy się w piach, zniknie w trawie, a może komuś z młodszego pokolenia pomoże odnaleźć drogę do domu.

Czasem to działa. Jedni z „młodych” próbują tę historię spisać – można znaleźć publikacje będące zbiorem opowieści o „pionierach” na Dolnym Śląsku, w tym reemigrantach z Francji. Inni skomercjalizować – w miejscach, gdzie osiedlali się reemigranci, zawsze znajdzie się jakiś lokal nazwą lub wystrojem nawiązujący do Francji. Jeszcze inni chcą tę historię reaktywować, i to chyba są najciekawsze kontynuacje.

Syn Marii prowadzi mnie na puste pole, zaraz za rodzinnym domem w Jedlinie-Zdroju, i tłumaczy, na czym polega gra w bule.

– Rzuca pani najmniejszą kulkę, czyli świnkę, to cel, do którego będą potem rzucać zawodnicy. Każdy ma trzy kulki, a wygra ten, kto dorzuci najbliższej – wyjaśnia i zaznacza, że to w dużym uproszczeniu. Mimo uproszczenia i tak średnio rozumiem. Przydałaby się praktyka.

Dzisiaj nie ma ani z kim potrenować, ani na kogo popatrzeć, ale bywają dni, gdy przy boisku w Jedlinie gromadzi się mały tłumek. Jeden z założycieli Klubu Sportowego Pétanque, Jerzy Siara, zapewnia, że to chyba najwierniejsza publiczność w województwie. Przychodzą całymi rodzinami, z przekąskami, napojami, może nie dokładnie tak jak po wojnie, ale podobnie.

Były lata dziewięćdziesiąte, gdy Siara pojechał do Alès, poznać miejscowość, z której we wrześniu 1946 roku przyjechali jego rodzice. Zobaczył miasto, a w nim starszych mężczyzn rzucających na ziemię metalowe kulki. Chodził i patrzył, patrzył i się uczył. Do Polski wrócił ze znajomością podstaw gry i wiaderkiem kulek pogubionych przez Francuzów, które jego znajomy, pracujący w Alès jako „porządkowy”, znajdował w krzakach i na trawnikach. Kiedy Jerzy zaczął rzucać kulkami w Jedlinie, szybko dołączyli koledzy w jego wieku, ale też starsi.

– Brniak, Łukaszewski, Szafrąński, Kaźmierczak, Antas, Łusiak – wymienia. – Ci, którzy pamiętali, jak pół wieku temu, na Kościelnej, sami grali.

I tak się zaczęło.

W 2003 roku założyli klub, w tym samym roku, razem z kilkoma innymi organizacjami, Polską Federację Pétanque, dziś zrzeszającą czterdzieści

sześć podmiotów. Na Dolnym Śląsku oprócz Jedliny w kulki gra się też w Wałbrzychu, we Wrocławiu, w Boguszowie-Gorcach. Sukcesy klubu z Jedliny? Liczne. Na przykład mistrzostwo Polski, które dało graczom przepustkę na mistrzostwa świata w Grenoble. Pojechał nawet burmistrz, złapał bakcyła. Sam trenował, w Jedlinie pobudował bulodromy. Tory prezentują się pięknie, tylko do gry coraz mniej chętnych. Dziś klub liczy trzynaście osób, średnia wieku: pięćdziesiąt–sześćdziesiąt lat.

– Młodzieży to nie interesuje. Na telefonie nie da się grać – mówi półżartem Jerzy Siara, lecz zaraz dodaje, że nie dotyczy to wszystkich. On w drużynie gra z synami, Danielem i Piotrem. Kiedy przy okazji opowiada im historię dziadków, którzy przyjechali z Francji, ich oczy robią się wielkie jak metalowe kulki.

Są więc tacy, którzy pamięć mnożą: rozdają hojnie, kto chce, niech bierze, może coś ocali. Są jednak i tacy, którzy odwrotnie – zostawiają ją tylko dla siebie, nie chcą, by trwała choć chwilę dłużej, niż musi. Ojciec Werki chciał, żeby przepadła. Można było grać z nim na akordeonie, ukrywać pomarańcze, ślizgać się z górki i gubić w drodze do domu, a we wszystkich tych momentach rozmawiać na każdy temat, tylko nie o Francji i Belgii. Żadnych wspomnień, żadnego odkładania pieniędzy na wycieczki, nie po to przyjechał do Polski, żeby do Belgii wracać. Wala żartowała, że może tam zostawił jakąś dawną miłość, choć doskonale wiedziała, że żadna to miłość, tylko bieda i jej nieodłączny towarzysz: wstyd.

Werka dopiero po jego śmierci znalazła w szafce zdjęcia i dokumenty. Zdjęcia ładne – z harmonią, to na rowerze i jeszcze jedno, na spacerze z ciocią Antoniną. On ma rozpięty garnitur, ciocia w ręce trzyma bagietki. Werka marzy, że odwiedzi belgijskie miasteczko, w którym dorastał i pracował jej ojciec. Zdradza mi, że do walizki zapakowałyby magnetofon. Wyjęłaby go na jednej z ulic i puściła walczyka. To byłoby prawie tak, jakby tata z nią był. Wtedy domknęłaby się historia, zdjęcia i domysły zlały z krajobrazem. Na razie pomaga szczęściu i puszcza totolotka.

Wie mniej więcej, co ją czeka na miejscu. To będzie podróż sentymentalna, bo do oglądania nie zostało wiele: kopalnia zalana, po

dawnych hałdach dzieciaki jeżdżą na deskorolkach, zrobili im nawet takie specjalne trasy, na które mówią „parki”.

– To prawie tak jak u nas – stwierdza. – Tam, gdzie kiedyś były hałdy, postawili Lidl, zaraz będzie następny. Kiedyś mieliśmy węgiel, teraz mamy sklepy. Tyle zostało z Dymitrowa w Bytomiu. To był ponoć jakiś bułgarski przodownik pracy, a może polityk? Kto to dziś pamięta.
zapraszam na... (P)

16 Wino na hałdach

Ostatnią kopalnię zamknięto w Oignies, tuż przed Bożym Narodzeniem 1990 roku. „Tak postawiono kropkę w 270-letniej historii wydobycia węgla w Nord i Pas-de-Calais” – napisali reporterzy „La Voix du Nord”¹, a życie północy Francji po raz kolejny na moment zbiegło się z losami Dolnego Śląska. W obu miejscach punkt po punkcie realizowano klasyczny scenariusz dla postindustrialnych terenów: zamknięcie zakładów, odprawy, bezrobocie, wyjazdy młodych, zainteresowanie mediów opisujących jednostkowe sukcesy, tym bardziej widoczne, że prezentowane na tle miejsca, które ogarniał stan podobny do letargu, wreszcie brak zainteresowania mediów.

Zdaje się jednak, że Francuzi byli lepiej niż Polacy przygotowani. Już od lat sześćdziesiątych ułatwiali górnikom przebranzowienie albo przechodzenie na wcześniejsze emerytury. Kusili inwestorów, by tworzyli nowe miejsca pracy, otwierali parki przemysłowe i centra szkoleniowe². Opracowywali plan na posprzątanie po starym życiu i zorganizowanie nowego.

W miejscu kopalń powstały fabryki należące głównie do przemysłu samochodowego. Dziś we francuskich kinach można zobaczyć reklamy: przeplatające się ujęcia rodzin, maszyn i krajobrazu, w tle piosenka Davida Bowiego i informacja: do 2025 roku wszystkie nasze elektryczne samochody będą produkowane tutaj, w Douai, Maubeuge i Ruitz.

Resztki kopalń starano się zagospodarować tak kreatywnie, jak to tylko możliwe. Hałdy obsadzono drzewami i winoroślą. Chardonnay z Haillicourt cieszy się tak dobrą opinią, że chętnych na jego kupno jest więcej niż produkowanych butelek. W Nœux-les-Mines po zboczu usypiska na całorocznym stoku szusują narciarze. Szyb w Oignies stał się salą koncertową, ten w Wallers-Arenberg – studiem filmowym.

Cały teren – prawie cztery tysiące pogórnich hektarów w Nord i Pas-de-Calais w 2012 roku wpisano na listę światowego dziedzictwa UNESCO. „Infrastruktura do transportu węgla, dworce kolejowe, osiedla i miasteczka górnicze ze szkołami, obiektami religijnymi, komunalnymi i związanymi z ochroną zdrowia, biura przedsiębiorstw górniczych, siedziby kadry kierowniczej, ratusze. Miejsce to jest świadectwem prób stworzenia modelowego miasta robotniczego, trwających od połowy XIX wieku do lat sześćdziesiątych XX wieku, obrazuje ważny okres w dziejach przemysłowej Europy. Dostarcza informacji o warunkach życia górników i solidarności robotniczej” – można przeczytać na stronie tej organizacji³.

Mieszkańcy wprawdzie mówią, że z tym wpisem to tylko problemy – przy każdym remoncie domu trzeba pytać o zgodę. Ale są i pozytywy, bo zadbane dziedzictwo przyciąga turystów. W maju 2022 roku tygodnik „L’Obs” opublikował reportaż o regionie⁴. Dawne osiedla górnicze stają się modnym kierunkiem podróży – brzmiała jego myśl przewodnia. Tytułowe zdjęcie pokazywało białobłękitny basen w Bruay-la-Buissière, imponujący przykład stylu art déco, zbudowany dla pracowników kopalń, a dziś codziennie goszczący lokalne drużyny pływaków. Wśród innych atrakcji wymieniono też osiedla górnicze zbudowane zgodnie z ideą miasta-ogrodu (wśród nich Cité des Électriciens, przekształcone w rezydencję dla artystów) oraz Centre historique minier w Lewarde, gdzie można posłuchać, jak dawny górnik opowiada o pracy osiemset metrów pod ziemią. Na jednym z osiedli reporterzy „L’Obs” zaczepili pracującą w ogrodzie kobietę. Staruszka powiedziała im, że jej rodzina przyjechała z Polski i bardzo ciężko pracowała, podobnie jak wszyscy tutejsi górnicy, z których dwie trzecie było Polakami. Jeden z badaczy tego okresu nazwał to miejsce „polskim gettem”⁵.



Tyły domów przy rue du Général Maunoury, w których przed wojną mieszkali polscy imigranci, Haillicourt, 2022

Źródło: fot. Aleksandra Suława

Dziś polski usłyszysz tu tylko na życzenie. „Czy mówi pan po polsku? Czy zna pani polski?” – zapytasz kogoś. „Trochę” – padnie odpowiedź, a to „trochę” może oznaczać wszystko. Trochę po polsku można powiedzieć „dzień dobry, jak się masz”, z trochę polskiego można złożyć zabawną frazę: „Gdy jem ogórki kiszzone na rynku w Krakowie, czuję się Polakiem”, a czasem w tym trochę polskim można godzinami opowiadać swoje życie. Zawsze jednak będzie to polski nieco kanciasty, niepewny, co kilka zdań domagający się potwierdzenia, że na pewno wszystko w porządku i się rozumiemy.

Polski na życzenie można też usłyszeć w radiu. Raz w tygodniu jedna ze stacji emituje koncerty polskiej muzyki, złożone z ludowych piosenek i przyśpiewek. Słuchacze dedykują sobie nawzajem kawałki taneczne oraz utwory zespołu Mazowsze, jest też *Barka*. A czasem do studia przychodzą goście – współczesne polonijne zespoły, na przykład Club Estudiantina. Oglądam na YouTube ich występy: grupa muzyków gra na keyboardach, perkusji, gitarach, akordeonach, trąbkach, skrzypcach... Część z nich ma na sobie garnitury, część satynowe koszule, inni noszą ludowe stroje. Za nimi,

w tle, biały orzeł, przed nimi doczepione do mikrofonów meksykańskie kapelusze. Melodie są tradycyjne, ale przez elektroniczny dźwięk przypominają piosenki, które można usłyszeć na weselach. Słuchacze audycji gromadzą się też na Facebooku – grupa Musiques Polonaises skupia kilka tysięcy członków. Publikują i oglądają filmiki z ubranymi w biało-czerwone lub ludowe stroje zespołami, śpiewającymi taneczne utwory o miłości. W komentarzach bardzo ciepłe słowa.

Gazety po polsku raczej już nie przeczytasz. Ostatni numer „Narodowca” ukazał się w 1989 roku. „Po prawie osiemdziesięciu latach istnienia »Narodowiec« przestaje się ukazywać. Głos ucichł. Głos, który od 12 września 1909 roku zwracał się ku społeczności polskich katolików, którzy wyemigrowali najpierw do Westfalii, a później do Francji – żegnano dziennik na łamach „La Voix du Nord”. – Zniknięcie »Narodowca« jest smutnym wydarzeniem dla Polonii. To tak, jakby wraz z gazetą zniknęła część ich kulturowego dziedzictwa”⁶. Teraz o polskich sprawach można poczytać w gazecie „L’Avenir de l’Artois”, w kolumnie *Nowa Polska*, która, pomimo tytułu, w całości pisana jest po francusku. Przykładowe tematy: rodzina Sajów, która od 1925 roku produkuje w Lens polskie wędliny, sto lat parafii świętego Stanisława, polski film na festiwalu w Cannes, historia Polaków walczących o wyzwolenie Francji.

Zostaje lektura skrawków, na przykład menu w restauracji. W karcie *Comme chez Babcia*, niegdyś w Lens, teraz w Courrières, są drinki „Babcia”, „Dziadzia” i „Wuj”, rolmopsy w cebuli, łosoś marynowany w wódce, kluski na parze i puchar polski, czyli lody z adwokatem, a dla dzieci „sossiski”, czyli kiełbaski. W ramach mikrolektur można też czytać szyldy, głównie wędliniarni, sklepów spożywczych i wielobranżowych. Wiele z nich zdobi malunek biało-czerwonej flagi lub orła w koronie.

Orłów w ogóle jest tu sporo, spotyka się je na breloczkach, długopisach, portfelach. To pamiątki z Polski, bo kto może, bywa w Polsce często; raz w tygodniu kursuje autobus Lille–Wałbrzych. Próbowano uruchomić połączenie lotnicze, ale, jak tłumaczy mi jedna z przedstawicielek Polonii z Billy-Montigny, nie zdało egzaminu. Ponoć samolotowy bagaż był zdecydowanie za mały, by pomieścić prezenty dla rodziny.

Jeden z tych orłów, doczepiony do samochodowych kluczyków, pobrzękuje, gdy objeżdżamy z Christianem okolice Béthune szlakiem „miejsc ważnych dla Polaków”. Christian jest dziennikarzem, pisze o sprawach Polonii. Na trasie, jaką dla nas opracował, znajduje się Instytut św. Kazimierza, w którym po wojnie kształciły się dzieci polskich górników i który zaraz po 1989 roku odwiedził Lech Wałęsa, kościół, gdzie na polską mszę przychodzi regularnie około dwudziestu wiernych (co jak na Francję jest całkiem niezłym wynikiem), wreszcie ulica Jerzego Popiełuszki w Béthune. Schludne ceglane domki, wypielegnowane ogródki. Christian mówi, że kiedyś na tym osiedlu było o wiele więcej kwiatów i mieszkali tu sami Polacy. Mieli nawet drużynę piłki nożnej.

– A kto dzisiaj tu mieszka?

– Starsi ludzie albo odwrotnie: młode małżeństwa, którym państwo dopłaca do czynszu bądź pozwala zajmować lokal całkiem za darmo. Pracują i marzą, że dorobią się czegoś własnego i będą mogli stąd wyprowadzić.

– Polacy?



Osiedle robotnicze w Haillicourt, na którym mieszkali Polacy przed reemigracją,
2022

Źródło: fot. Aleksandra Suława

– Tylko kilku. Dwie, może trzy rodziny.

Współczesna młoda Polonia zdaje się więc rozpływać, za to ta z przeszłości ma się świetnie. W Pas-de-Calais wspomina się często, intensywnie i we wszystkich możliwych formach. Składanie kwiatów, obchody świąt narodowych, koncerty i występy zespołów są na porządku dziennym, jednak w ostatnim czasie wspominki weszły w tryb wyjątkowy, z okazji stulecia podpisania konwencji o migracji między Francją i Polską. Choć sygnowano ją w 1919 roku, świętowanie rozpisano aż na cztery lata, z kulminacją w roku 2023 – bo równo sto lat wcześniej nad Sekwanę zjechało najwięcej Polaków. Poczta ma wyemitować okolicznościowy znaczek, mówi się również o utworzeniu muzeum Polonii, o tym ostatnim zresztą nie od dziś. Na razie swoich wnętrz do opowiedzenia historii imigrantów użyczył oddział Luwru w Lens. Po wystawie został katalog, a w nim trochę wielkiej i małej historii, tradycyjne ubiory, zwyczaje, potrawy.

Ten katalog to jedno z wielu wydawnictw, bo pamięć przekłada się tu na papier w imponujących ilościach. W garażach, piwnicach, gabinetach, sypialniach i jadalniach potomkowie polskich emigrantów przechowują domowe archiwa, złożone ze zdjęć własnej rodziny, gazet zbieranych przez nich, ich rodziców i dziadków (z pozaznaczanymi artykułami o powrocie do Polski), wydane przed wojną książeczki do modlitwy, zeszyty szkolne i te, w których protokołowano zebrania polonijnych stowarzyszeń, ulotki, zbiory wspomnień, albumy.

Oglądamy z Christianem jeden. Pokazuje mi zdjęcie – na dole strony, niewiele większe od fotki z polaroidu. Krąg ludzi, w kręgu palik, każda z osób trzyma wstążeczkę przywiązaną do palika. Ładne to, kolorowe.

– To jest typowa polska tradycja ślubna.

– Ja nie znam takiej tradycji, nigdy o niej nie słyszałam.

– Jest jeszcze inna: gdy młoda para wychodzi z kościoła, idzie w orszaku, który prowadzi dwóch akordeonistów.

– Też nie...

– A poczęstunek od rodziców?

– Tylko chleb i sól.

– Mamy też polskie potrawy wigilijne, na przykład czarną zupę i roladę.

Kręcę głową.

– Tutaj tak właśnie jest. Kultuwujemy tradycje z Polski, która nigdy nie istniała. Albo inaczej: która istniała tylko we Francji.

Dla niego przez całe dzieciństwo Polska istniała w wyobraźni. Było to istnienie jednocześnie intensywne i niewyraźne, jak kolorowy film oglądany przymkniętymi oczami. Za jego reżyserię odpowiadał ojciec, tak samo jak odpowiadał za to, że jego syn został Christianem, a nie Krystianem, i urodził się w Vermelles, a nie w Poznaniu. Bo ojciec był właśnie z Poznania. Na przełomie 1944 i 1945 roku wstąpił do 1 Dywizji Pancерnej generała Maczka, klęskę Niemców zobaczył we Francji, a kiedy zaproponowano mu wyjazd do Polski, powiedział, że poczeka. Inni nie chcieli czekać. Wśród niecierpliwych byli jego koledzy, ci dwaj chłopcy z armii, którzy mieli zaraz napisać z kraju, ale się nie odezwali. We Francji poznał dziewczynę, Polkę, ale urodzoną już tutaj, w rodzinie, która przyjechała z Westfalii. Dla niej Polska też istniała już tylko w wyobraźni. Zapada decyzja, że zostaną, przynajmniej na kilka lat. Kilka lat zamieniło się w cztery dekady. Christian mówi, że ojciec żałował przez całe życie, a ten żal miał dwa źródła: praktyczne – bo praca na kopalni okazała się bardzo ciężka, i emocjonalne – bo nigdy nie przestał tęsknić za Polską. Jednak nigdy też nie zaufał jej na tyle, żeby do niej wrócić. Bał się, że po nim, tak jak po kolegach, również na całe lata ślad zaginie.

Do Polski wędrował więc tylko myślą, a w te podróże zabierał syna. Nie tyle o opowiadki i wspominki chodziło, ile o śledzenie informacji. Te zwykle były i niepokojące, i emocjonujące zarazem. Szczyt emocji przypadł na 1981 rok. W skromnym polskim słowniku Christiana oprócz „proszę”, „dziękuję”, „dzień dobry” jest i „stan wojny”. Gdy go wprowadzono, Polacy z Pas-de-Calais zaczęli gromadzić dary: artykuły spożywcze, chemię gospodarczą, kosmetyki, leki, ubrania, pomiędzy nimi zaś zakopane maszyny do pisania, aparaty, tusze. Do Polski każdego miesiąca wyruszały furgonetki, wiozące tony towarów.

Christian kilka razy podkreśla, że pomaganie „Solidarności” było bardzo ważne, niektórym jednak nie wystarczało pakowanie samochodów. Chcieli sami do nich wsiąść i ruszyć w drogę, by zobaczyć, co naprawdę dzieje się w Polsce. W 1982 roku Christian wyrobił wizę, skrzyknął się z kilkoma

kolegami i wybrał się na miesięczną wyprawę do kraju. Pytam, czy się bali, odpowiada, że nie. Mieli francuskie dokumenty, do głowy im nie przyszło, że coś może się stać w Polsce obywatelowi Francji. Pierwszy raz gazem łązawiącym Christian dostał w oczy na warszawskiej starówce. Wychodził z mszy, a przed kościołem trwała manifestacja z okazji 15 sierpnia. ZOMO już stało z pałkami.

Polska potrafiła przerazić na rozmaite sposoby. Któregoś dnia Christian spotkał się z jednym ze znajomych ojca, tym, od którego przez lata nie było wieści. Usłyszał opowieść o trwających całe noce przesłuchaniach, podczas których tamten musiał zapewniać, że na pewno nie jest i nie zamierza być szpiegiem. Po wyjściu od niego Christian długo chodził po ulicach i przeglądał się w pustych witrynach.

Nowością była dla niego sklepowa kolejka – we Francji w ogonkach stało się tylko po bilety na mecz czy do kina.

– Byliśmy zaskoczeni tym, w jakiej biedzie ludzie żyją. To był mój pierwszy kontakt z prawdziwą Polską. Ta bieda była przerażająca – mówi.

Ale Polska potrafiła też zachwycić. Zachwycała go życzliwość, spotykał się z nią, gdziekolwiek poszedł. Jest wierzący, więc zachwycały go zapalnające się kilka razy dziennie świątynie i bliskie związki Kościoła z opozycją. Zachwycił go fakt, że w tym kraju nikt niczego się nie boi.

Ojciec odważył się pojechać dopiero w 1992 roku. Dzieci podarowały mu tę podróż w prezencie urodzinowym. Zaplanował trasę: rodzinny dom w Poznaniu, krewni we Wrocławiu, okolice Krakowa. Przepaść między tym, co zobaczył, a tym, co pamiętał i potem słyszał, była dla niego szokiem.

Rozkładane stoliki i łóżka polowe uginają się od towarów, uginają się ręce handlarek pod stosami dresów, firanek i tureckich sweterków. Słucha kaset z polską muzyką – jest inna niż ta, którą zna. Jedzą w restauracji – potrawy inne niż te, które zna. I mówią w języku innym niż ten, który zna. Na cmentarzach ojciec Christiana szuka grobu rodziców, bez skutku. Przez cały ten wyjazd z kimś lub czymś się rozmija. Wszystko jest nie takie, jakie przez pół wieku karmiło się i hodowało we wspomnieniach, nie jest tym, do czego wracało się myślami i tęskniło.

Do Polski pojechała wtedy i matka Christiana. Szła za mężem krok w krok i nie mogła się nadziwić. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby płakał.

Epilog

Przeżyj koniec świata.

Z rodziną lub przyjaciółmi przyjeźdź do najbardziej oszpeconego, chorobotwórczego i zdesperowanego regionu we Francji.

Wejdziesz na najgorzej utrzymaną hałdę w zagłębiu górniczym.

Stań na autentycznym przemysłowym pustkowiu.

Ciesz się rozległym krajobrazem centrów handlowych i logistycznych.

Nie będziesz chciał tutaj wrócić.

Przez chwilę zastanawiam się, czy nie dołączyć. Na stronie Nord-Pas-de-Calais Adventure są zdjęcia: ruiny fabryki, hałdy, droga wijąca się przez pustą przestrzeń. Sześć godzin zwiedzania z przewodnikiem kosztuje dwadzieścia pięć euro i jest jedną z niewielu zorganizowanych wycieczek po regionie.

Zwycięża jednak opcja: bilet na pociąg do Béthune, a potem na autobus do Haillicourt, byłej kolonii górniczej, którą dziś zamieszkuje nieco ponad pięć tysięcy osób. Za jeden bilet płacę osiem euro, za drugi euro dwadzieścia i ruszam do miasteczka, w którym prawie sto lat temu urodził się mój dziadek. Są drogi, które najlepiej przejść samej.

Autobus z Béthune do Haillicourt wiezie mnie długo. Co kilka minut zatrzymuje się i z cichym sapnięciem otwiera drzwi na pola, pośrodku których postawiono blaszane hangary. Są ogromne, ale mimo tej wielkości zdają się prowizoryczne. Jakby ustawiono je tutaj tylko na jakiś czas, w oczekiwaniu, aż pojawi się ktoś, kto znajdzie dla tej ziemi nowe przeznaczenie. W jednych produkuje się czego dusza zapragnie, w innych czego dusza zapragnie sprzedaje. Kolorowe litery na falistej blasze zapraszają: zabawki dla dzieci, ubrania, wyroby skórzane, sprzęty ogrodnicze, meble.

W myślach odliczam, ile jeszcze przystanków zostało. Dwadzieścia jeden, piętnaście, dziesięć, gdy zostały trzy, autobus ostro skręca w lewo i wwozi nas do innego świata. Płaska, porośnięta trawą ziemia wciąż ciągnie się po horyzont, ale przestrzeni nie wypełniają już blaszane giganty, lecz sznury identycznych domów. Ściany mają z takich samych białych cegieł, szczeliny pomiędzy nimi wypełnia taka sama jasna zaprawa, ich dachy są tak samo spadziste, podmurówki tak samo białe, a okna takiej samej wielkości i w takich samych kształtach patrzą na tak samo wąskie ulice. Wyglądają nie jak prawdziwe budynki, tylko filmowa dekoracja. Przystanek nazywa się „Ancien Monde” – dawny świat – i tylko zaparkowane na poboczu samochody nie pozwalają pogрузić się w iluzji, że to miejsce wpadło w jakąś fantastyczną czasową pętlę.

Przede mną jeszcze dwa.

Ten, na którym wysiadam, to „Quartier Fosse 7” – od szybu numer 7. Szybu już dawno nie ma, ale górniczymi pamiątkami umajono okolice. Na środku ronda koło z kopalnianej wieży, a obok niego dwa wagoniki. Ktoś przemalował je na brudnoróżowy kolor, w ich wnętrzu posadził kwiaty. W końcu pod witaczem z napisem „Haillicourt” kołysze się żółta tabliczka „ville fleurie” – miasto kwiatów. Najbardziej imponującym śladem po szybie są jednak dwie hałdy – wysokie jak góry stożki zamykające linię horyzontu; na stronach z rekomendacjami dla turystów wymienia się je jako atrakcję. Można zobaczyć zdjęcia, jak ogonek kolorowo ubranych spacerowiczów wspina się po drewnianych stopniach na taras widokowy.

Przypominam sobie, że dziadek do pracy miał blisko, wystarczyło przejść kilkaset metrów ścieżką za domem, ruszam więc w stronę hałd. Ktoś wynosi śmieci, ktoś podlewa grządki w ogrodzie, ktoś wyciąga z samochodu zakupy.

Ulica, którą idę, krzyżuje się z rue du Général Maunoury przy numerze szesnastym. Dziadek urodził się pod numerem dwadzieścia siedem. Kiedy docieram na miejsce, stoję po drugiej stronie, wyciągam telefon i robię zdjęcia, jedno za drugim, każde prawie takie samo jak poprzednie. Jest na nich mały ceglany dom, w którym zamieszkać mogą dwie rodziny. Pierwsza pokryła podmurówkę i nadproże gołębią farbą, a do ceglanej

ściany przyczepiła trzy plastikowe motyle, druga pomalowała fragment fasady na biało. Część dziadka jest biała, prowadzą do niej brązowe drzwi z czterema szybkami. Kolory ładnie grają ze sobą i z czerwoną cegłą. Myślę, że pewnie doceniłby to proste połączenie.

Ulicą przejeżdża listonosz na rowerze, ciągnąc za sobą niewielki, wypełniony przesyłkami wózek. Kiedy mnie mijają, unosi jedną rękę do kaszketu i mówi: „Bonjour, mademoiselle”, a ja poczytuję jego uprzejmość za dobry znak i przechodzę na drugą stronę ulicy.



Domy robotnicze w Haillicourt, 2022

Źródło: fot. Aleksandra Suława

Ktoś zamontował dzwonek dziwnie wysoko – najpierw nie widzę go wcale, a kiedy już zauważam, muszę stanąć na palcach, żeby go dosięgnąć. Dzwonię i przez kilka chwil, czekając na jakiś ruch wewnątrz, powtarzam w głowie formułkę: „Dzień dobry, prawie sto lat temu w tym domu urodził się mój dziadek. Czy mogłabym wejść na chwilę?”, którą na wszelki wypadek ułożyłam w trzech językach. Wyobrażam sobie, że w środku jest drewniana podłoga, która za chwile skrzypnie, w czterech drzwiowych szybkach zobaczę sylwetkę. Najpierw odchyli się firanka, potem uchylą się

drzwi, usłyszę przeciągłe pytające „Oui?” albo dłuższe, uprzejme: „En quoi je peux vous aider?”, jak mogę Pani pomóc? Wtedy wygłoszę moją kwestię, dostrzegę zdziwienie, sylwetka wpuści mnie do środka albo wręcz przeciwnie, odprawi małą zgrabną wymówką, bo takie zwykle bywają wymówki, wymyślane na poczekaniu z lęku i zaskoczenia.

Nic takiego się nie dzieje.

Chcę zadzwonić drugi raz, ale uprzedza mnie zgrzyt furki zamontowanej pomiędzy domami. Wytacza się przez nią wieloręczne i wielonożne kłębowisko dzieci, które w sekundę rozdziela się na trzech chłopców: małego, mniejszego i najmniejszego. Mały trzyma w ręce „długie-niebieskie-coś”, co wygląda jak wyniesione z budowy albo warsztatu, mniejszy zdaje się szefem tej ekipy, a najmniejszy... wiadomo – najmniejszy jest najmniejszy. Kiedy pytam, czy rodzice w domu, mniejszy staje pół kroku przed kolegami i patrzy na mnie, sympatycznie i mądrze.

– Nie, w pracy.

– A czy jest ktoś dorosły?

– Nie.

Dzieciaki zdają się niecierpliwić, spoglądają to na mnie, to na „długie-niebieskie-coś”, wobec którego mają pewnie konkretne plany. Nie ma co przeciągać.

– W tym domu sto lat temu urodził się mój dziadek, a ja chciałam zobaczyć to miejsce.

Albo mi się wydaje, albo cała trójka zastyga na krótką chwilę, po czym wydaje z siebie długie westchnienie.

– Aaa, c'est vraiment cool! – mówi mniejszy, sympatycznie i mądrze. To naprawdę super.

I już ich nie ma. Pomknęli przed siebie, wypełniając ulicę mieszanką złożoną z ich głosów, uderzeń trampek o ziemię i dźwięku „długiego-niebieskiego-czegoś” wleczzonego po chodniku. Gdy hałas wreszcie milknie, na ulicy rozlega się jedynie cicha, wibrująca na granicy słyszalności melodia starej piosenki, płynąca z uchylonego okna.

Bibliografia

Dokumenty

Charte d'Amiens, 1906, cairn.info, bit.ly/3pNi4Tu (dostęp: 19.04.2023)

Konwencja w przedmiocie emigracji i imigracji, zawarta pomiędzy Rzeczpospolitą Polską a Rzeczpospolitą Francuską dnia 3 września 1919 r., Dz. U. 1920, nr 41, poz. 246

List podpisany przez senatora Dominique'a Watrina, skierowany do prezydenta Wałbrzycha Romana Szelemeja z 14 czerwca 2017 roku, senateurscrce.fr, bit.ly/3o0h25J

Loi du 10 août 1932 protégeant la main d'œuvre nationale, „Journal officiel”, 12.04.1932, travail-emploi.gouv.fr, bit.ly/40EewQQ (dostęp: 17.09.2022)

Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, „Rocznik Lubelski” 1959, t. 2

Rozporządzenie Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 23 listopada 1918 r. w przedmiocie ograniczenia sprzedaży artykułów mięsnych w jadłodajniach i umieszczania artykułów spożywczych na wystawach sklepowych lub w oknach, Dziennik Urzędowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych 1918, nr 1

Uchwała nr XLVI/562/2017 Rady Miejskiej Wałbrzycha z dnia 13 lipca 2017 r. w sprawie zmiany nazw ulic i placów w Wałbrzychu, bip.um.walbrzych.pl, tiny.pl/cx1q1 (dostęp: 1.09.2022)

Ustawy Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, Poznań 1910

Czasopisma

„Dziennik Polski”

„Dziennik Zachodni”

„Le Figaro”

„Gazeta Polska”

„Gazeta Robotnicza”

„Górnik”

„Grand écho du Nord de la France”

„L'Humanité”

„Narodowiec”

„L'Obs”

„Osadnik na Ziemiach Odzyskanych”

„Le Peuple”
„Polska i Świat”
„Robotnik”
„Trybuna Dolnośląska”
„Trybuna Robotnicza”
„La Voix du Nord”
„Wychodźca”

Literatura przedmiotu

- Le 13 juin 1941, le « train des mineurs » conduisait 273 Gueules noires vers la mort*, hautsdefrance.fr, bit.ly/3ziJfHr (dostęp: 12.09.2022)
1940. *Paroles d'exode*, webdoc.france24.com, bit.ly/45XG4Em (dostęp: 9.06.2023)
- L'A21 rebaptisée « Autoroute de la liberté Rabiega–Kania »*, lavoixdunord.fr, bit.ly/43y4Iu0 (dostęp: 2.09.2022)
- Aleksandrowicz Julian, Ewa Stawowy, *Tyle wart człowiek...*, Lublin 1992
- Andrzejewski Adam, *Polityka mieszkaniowa*, Warszawa 1987
- L'appel du 18 juin 1940 du général de Gaulle et son impact jusqu'en 1945*, „Bulletin de la Fondation de la France Libre”, Septembre 2009
- Avci Justyna, *Francja obiecana*, „Karta” 2021, nr 106
- Bagieński Witold, *System paszportowy PRL – od ograniczeń ku swobodzie podróżowania [w:] Paszporty wczoraj i dziś. 25 lat wydawania paszportów przez wojewodów. 10 lat wydawania paszportów biometrycznych*, Warszawa 2016
- Banasiak Stefan, *Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Ziemiach Odzyskanych w latach 1945–1947*, Poznań 1963
- Baracca Pierre-Marie, *La crise de 1930 dans les mines du Nord et du Pas-de-Calais*, „Revue du Nord” 1970, n° 205
- Bataille de mémoire entre les bassins miniers polonais et français*, lemonde.fr, bit.ly/3Uz5O4l (dostęp: 2.09.2022)
- Bełdzikowski Ryszard, *Reemigranci z Francji, Belgii i Westfalii w Wałbrzychu [w:] tegoż i in., Wałbrzyskie szkice*, Wałbrzych 2015
- , *W tyglu społecznych i politycznych przemian*, „Kronika Wałbrzyska” 1996, t. 9
- Bisek-Grąż Monika, *Powojenny Wałbrzych. Miasto kultur*, Wałbrzych 2009
- Bonnet Florian, *Beyond the exodus of May–June 1940. Internal migration in France during the Second World War*, „Demographic Research”, vol. 45, demographic-research.org, bit.ly/43O332t (dostęp: 9.06.2023)
- Bukowiecki Andrzej, *Stanisław Wohl*, akademiapolskiegofilmu.org, bit.ly/3JU1Iie (dostęp: 16.03.2022)
- Chojecka Ewa, *Ślady. Pamięć. Niepamięć. Projekty Trzeciej Rzeszy przeformowania obrazu Górnego Śląska [w:] Kłopotliwe dziedzictwo? Architektura Trzeciej Rzeszy*

- w Polsce, red. Jacek Purchla, Żanna Komar, Kraków 2020
- Chwalba Andrzej, *1919. Pierwszy rok wolności*, Wołowiec 2019
- Cichy Tadeusz. *Pseudonymes dans la Résistance: « Armand », puis Pawlowski Jean*, fusil les-40-44.maitron.fr, bit.ly/3MzrQBG (dostęp: 30.04.2023)
- Do zobaczenia się w Polsce, „Biuletyn Miesięczny Organizacji Pomocy Ojczyźnie”, nr 28, sierpień–wrzesień 1947
- Dziadul Jan, *Gierek przed „Gierkiem” i po. Górnik, który zaszedł wysoko*, polityka.pl, bit.ly/3MCOFEV (dostęp: 22.01.2023)
- , *Kto wyrąbie więcej ode mnie? Wincenty Pstrowski, tytan pracy*, polityka.pl, bit.ly/40YUssP (dostęp: 14.04.2023)
- Estager Jacques, *Ami, entends-tu. La résistance populaire dans le Nord-Pas-de-Calais*, Paris 1986
- , *Découverte de la Pologne 1948*, Bouvignies 2016
- L'exode des populations de Belgique et du Nord*, radiofrance.fr, bit.ly/3Cmpwbw (dostęp: 9.06.2023)
- Fin des mines: il y a 30 ans, à Oignies, s'éteignait l'histoire du charbon en Nord-Pas-de-Calais*, „La Voix du Nord”, lavoixdunord.fr, bit.ly/3zZ7zyq (dostęp: 3.06.2022)
- Frużyński Adam, *Powstanie i rozwój socjalistycznego współzawodnictwa pracy w polskim przemyśle węglowym w latach 1947–1956* [w:] *Współzawodnictwo pracy w życiu gospodarczym, społeczno-politycznym i propagandzie PRL*, red. Bogusław Tracz, Katowice 2008
- Gajdziński Piotr, *Gierek. Człowiek z węgla*, Poznań 2021
- Gasztold-Señ Przemysław, *Orientalne saksy*, polska1918-89.pl, bit.ly/41U1XDq (dostęp: 6.05.2023)
- Gaule Charles de, *Do wszystkich Francuzów*, przemówienie wygłoszone 18 czerwca 1940 roku na antenie BBC Londyn, przeł. Halina Lubicz-Trawkowska [w:] *Wielkie mowy historii*, t. 3: *Od Hitlera do Eisenhowera*, wybór i oprac. Tadeusz Zawadzki, red. Marek Gumkowski, Warszawa 2006
- Gierek Edward, *Smak życia. Pamiętniki*, Warszawa 1993
- Girard Alain, Jean Stoetzel, *Français et immigrés*, Paris 1953
- Górnik Wincenty Pstrowski: inicjator współzawodnictwa pracy, kawaler Orderu „Budowniczych Polski Ludowej”*, Katowice 1949
- Gruszyński Jan, *Spółczesność polska we Francji 1918–1978*, Warszawa 1981
- Janicki Kamil i in., *Przedwojenna Polska w liczbach*, Warszawa 2020
- Janowska Halina, *Emigracja zarobkowa z Polski 1918–1939*, Warszawa 1981
- , *Polska emigracja zarobkowa we Francji 1919–1939*, Warszawa 1964
- Janowski Aleksander, *Pamiętka z Polski*, Warszawa 1926
- Jaros Jerzy, *Historia górnictwa węglowego w Polsce Ludowej (1945–1970)*, Warszawa–Kraków 1973
- Kaliński Janusz, *Węgiel w polsko-radzieckich stosunkach gospodarczych*, „UR Journal of Humanities and Social Sciences” 2021, nr 3

- Kaszewski Cezary, *Półtora miliona ludzi odwiedziło Wrocław w sto dni*, gazetawroclawska.pl, bit.ly/3zKu7Te (dostęp: 7.08.2022)
- Katalog oficjalny Wystawy Ziem Odzyskanych, Wrocław 1948
- Kmieciak Jacques, *Pologne. « J'écris ton nom Liberté... »*, Bouvignies 2018
- Knopek Jacek, *Stosunki Polski z Afryką arabską po II wojnie światowej*, „Forum Politologiczne” 2006, t. 3
- Kostołowski Andrzej, *Biegi z przeszkodami. Wystawy: Ziem Odzyskanych (1948) i Wrocław Moje Miasto (2000)*, „Quart. Kwartalnik Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego” 2009, nr 1
- Lefebvre Georges, Charles H. Pouthas, Maurice Baumont, *Historia Francji*, t. 2: *Od 1774 do czasów współczesnych*, przeł. Michał Derenicz, Warszawa 1969
- Margueritte Bernard, *La longue marche de “ Jaros ”*, „Le Monde”, 3.10.1972, lemonde.fr, bit.ly/3UtmIU5 (dostęp: 22.01.2023)
- Markiewicz Władysław, *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji*, Poznań 1960
- Markowski Henryk, *Wojewódzki Oddział Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Katowicach w latach 1945–1951*, praca doktorska, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Wydział Nauk Społecznych, Instytut Historii, 2007
- Maurois André, *Commandements du civil pour le temps de la bataille*, „Le Figaro”, 27.05.1940, s. 1
- Mordawski Hubert, *Ziemie Odzyskane 1945–1956*, Brzezia Łąka 2015
- Nazwy do zmiany. Ul. Pstrowskiego Wincentego*, ipn.gov.pl, bit.ly/3UBisjn (dostęp: 23.09.2022)
- Nieco cyfr i faktów*, „Wiadomości Kasy Chorych m. Łodzi” 1923, nr 6
- Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów*, t. 4: *Pomorze Gdańskie i Dolny Śląsk*, red. Daniel Boćkowski, Warszawa 2001
- Niemyska Maria, *Wychodźcy po powrocie do kraju*, Warszawa 1936
- Nisiobęcka Aneta, *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950*, Warszawa 2018
- Le nom de résistants polonais du Nord pourrait être effacé des rues de leur pays natal*, france3-regions.francetvinfo.fr, bit.ly/3KXuWIF (dostęp: 2.09.2022)
- Nord-Pas-de-Calais Mining Basin*, whc.unesco.org, bit.ly/40cwGs6 (dostęp: 2.06.2022)
- Osterloff Natalia, *Polak we Francji. Samouczek do szybkiej nauki języka bez gramatyki, z podaniem dokładnej wymowy*, Łódź 1937
- Pamiętniki emigrantów. Francja*, Warszawa 1939
- Pasztor Maria, Dariusz Jarosz, *Polsko-francuska „zimna wojna”: sprawa Robineau (1949–1950)*, „Dzieje Najnowsze” 2002, nr 3
- Picasso w Polsce*, red. Mieczysław Bibrowski, Kraków 1979
- Piwońska Iwona, *Główne konsekwencje II wojny światowej dla warunków mieszkaniowych w Polsce*, „Społeczeństwo i Ekonomia” 2015, nr 1

- Pologne. La mémoire de la Résistance piétinée*, humanite.fr, bit.ly/3KyVq87 (dostęp: 2.09.2022)
- Polscy reemigranci z Francji*, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, mnwr.pl, bit.ly/3UDvnRR (dostęp: 23.09.2022)
- Polski ruch oporu we Francji*, renidunaj.pl, bit.ly/40vP7sQ (dostęp: 12.09.2022)
- Ponty Janine, *Polonais méconnus. Histoire des travailleurs immigrés en France dans l'entre-deux-guerres*, Paris 1988
- Restrukturyzacja górnictwa węglowego w krajach Europy Zachodniej*, „Biuletyn Górniczy” 2021, nr 1–3, giph.com, bit.ly/3ooEavl (dostęp: 21.04.2023)
- Retecki Piotr, *Górnictwo w Wałbrzychu w latach 1945–1948*, Wrocław 2010
- Roszek Janusz, *Prawda o górniku Pstrowskim*, Warszawa 1975
- Roy Caroline, *Chronique d'un retour oublié. Les rapatriés polonais de France en Basse-Silésie après la Seconde Guerre Mondiale (1945–1948)*, [b.m.] 2008
- Saint-Exupéry Antoine de, *Ziemia – ojczyzna ludzi*, przeł. Maria Morstin-Górska, Warszawa 1957
- Sawicka Joanna, *Kariera w tropikach*, magazynkontakt.pl, bit.ly/43ckoBZ (dostęp: 6.05.2023)
- Schor Ralph, *L'opinion française et les étrangers en France 1919–1939*, Paris 1985
- Sękowski Paweł, *Les Polonais en France au lendemain de la seconde guerre mondiale (1944–1949). Histoire d'une intégration*, Paris 2019
- Skowron Jan, *Chłopcy z Nordu i Pas-de-Calais*, Warszawa 1982
- Staniszewski Henryk, Zygmunt Przerębski [Aurelia Wyleżyńska], *Ilustrowany przewodnik dla wychodźców we Francji*, Paryż 1925
- Stola Dariusz, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010
- Studio Zgorecki*, katalog wystawy, éd. Celine Chaptal, Paris 2020
- Szałkowski Artur, *Zmiana nazw ulic w Wałbrzychu*, walbrzych.naszemiasto.pl, bit.ly/3MBWzyx (dostęp: 13.04.2023)
- „*Tu wszystko było inne*”. *Wspomnienia bolesławieckich reemigrantów z Francji*, red. Kamila Dudek, Bolesławiec 2015
- Turajczyk Leon, *Polonijne organizacje społeczno-polityczne we Francji i ich postawa wobec powrotu emigracji zarobkowej do kraju*, „Materiały i Studia z Najnowszej Historii Polski” 1967, t. 3
- , *Spółeczno-polityczne organizacje polskie we Francji 1944–1948*, Warszawa 1978
- Ulotka informacyjna Glinickich Zakładów Wyrobów Skórzanych, ok. 1960 roku, polska-org.pl, bit.ly/41eX85l (dostęp: 28.08.2022)
- Wieczorek Władysław, *Wpływ gazet na moją drogę życiową [w:] Mom jo skarb. Pamięć rzeczy w tradycjach dolnośląskich*, red. Elżbieta Berendt, Wrocław 2014
- Wincenty Pstrowski – pierwszy polski stachanowiec*, polskieradio.pl, bit.ly/3OrMtkP (dostęp: 28.08.2022)
- Wskazówki dla wychodźców do Francji*, Warszawa 1928

Zalega Dariusz, *Górnicza orkiestra grała marsz na drogę, a ludzie jechali do Mysłowic. A potem w świat*, slazag.pl, bit.ly/3oUq0SR (dostęp: 27.05.2023).
Zamojski Jan Eugeniusz, *La participation des Polonais à la Résistance dans le Pas-de-Calais et le Nord (1940–1944)*, „Revue du Nord” 1975, n° 226
–, *Polacy w ruchu oporu we Francji 1940–1945*, Wrocław 1975
–, *Polska prasa podziemna we Francji w latach wojny 1939–1945*, „Dzieje Najnowsze” 1985, nr 3–4
Zaremba Marcin, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947*, Kraków 2012
Zdanowski Jerzy, *Konstelacje polityczne na Bliskim Wschodzie w okresie zimnej wojny (1946–1990)*, „Krakowskie Studia Międzynarodowe” 2018, nr 3

Materiały wizualne

Młodzi budują pokój, 1951, reż. Czesław Petelski, youtube.com, bit.ly/3pPYia1 (dostęp: 19.05.2023)
Nikt mnie już o nic nie pytał, 2003, reż. Grażyna Ogrodowska, Leszek Furman
Powrót oddziałów polskich z Francji – wręczenie sztandaru, Polska Kronika Filmowa 35/45, 3.12.1945, repozytorium.fn.org, bit.ly/3lYkayz (dostęp: 10.06.2022)
Wśród Polaków we Francji, 1938, reż. Karol Szołowski, zdj. Stanisław Wohl
Wystawa Ziem Odzyskanych, reportaż Polskiej Kroniki Filmowej, 1948, real. Jadwiga Wisnowska, zob. youtube.com, bit.ly/3NcyZIB (dostęp: 21.04.2023)
Wystawa Ziem Odzyskanych – kopalnia węgla i wesołe miasteczko, Polska Kronika Filmowa 35/48, 24.08.1948, repozytorium.fn.org, bit.ly/3P43Lou (dostęp: 14.08.2022)
Zapomniany powrót / Le retour oublié, wystawa zorganizowana z okazji siedemdziesiątej rocznicy powrotu Polaków z Francji, 14.09–14.10.2016, Centrum Nauki i Sztuki Stara Kopalnia w Wałbrzychu

Przypisy końcowe

2 Zbędni ludzie jadą do Francji

- 1 *Pamiętniki emigrantów. Francja*, Warszawa 1939, s. 197. (We wszystkich cytatach, jeśli nie zaznaczono inaczej, uwspółcześniono ortografię i interpunkcję; przyp. red.).
- 2 *Nieco cyfr i faktów*, „Wiadomości Kasy Chorych m. Łodzi” 1923, nr 6, s. 1–2.
- 3 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 199–200.
- 4 K. Janicki i in., *Przedwojenna Polska w liczbach*, Warszawa 2020, s. 115.
- 5 Zob. H. Janowska, *Polska emigracja zarobkowa we Francji 1919–1939*, Warszawa 1964, s. 125.
- 6 P.-M. Baracca, *La crise de 1930 dans les mines du Nord et du Pas-de-Calais*, „Revue du Nord” 1970, no 205, s. 250–251.
- 7 H. Janowska, *Emigracja zarobkowa z Polski 1918–1939*, Warszawa 1981, s. 155.
- 8 *Kto dziś może liczyć na powodzenie w Argentynie? (Serdeczne wskazówki dla chcących emigrować, zanim zdecydują się opuścić swój kraj)*, „Wychodźca” 1924, nr 4, s. 10.
- 9 *Jak polski chłop kolonizował Paragę*, „Wychodźca” 1924, nr 18, s. 7.
- 10 *Wskazówki dla wychodźców do Francji*, Warszawa 1928, s. 3.
- 11 *Najważniejsze wiadomości dla wychodźców. Na wyjazd do Francji*, „Wychodźca” 1924, nr 5, s. 1.
- 12 P. Kowol, *Nowoczesna rafineria ludzi. „Tu werbuje się do Francji...”*, artykuł z „Narodowca”, emigracyjnego dziennika wychodzącego we Francji. Cyfrowa kopia tego tekstu dostępna jest w materiałach wystawy *Carboland* w Muzeum Emigracji w Gdyni, zob. bit.ly/3XUor4B (dostęp: 21.03.2023).
- 13 *Wskazówki dla wychodźców do Francji*, dz. cyt., s. 8–11.
- 14 *Skandal myślowicki*, „Robotnik” 1924, nr 234. Cyfrowa kopia tekstu dostępna jest w materiałach wystawy *Carboland* w Muzeum Emigracji w Gdyni, zob. bit.ly/3K00hjp (dostęp: 21.03.2023).
- 15 *Wskazówki dla wychodźców do Francji*, dz. cyt., s. 13.

- 16 Opis za: Contrat Individuel pour Ouvrier Polonais des Mines, zbiory prywatne Władysławy Wojcieszak.
- 17 „Wychodźca” 1924, nr 29, s. 16.
- 18 „Wychodźca” 1924, nr 5, s. 12.
- 19 Tu i dalej wszystkie cytaty, rady i instrukcje za: H. Staniszewski, Z. Przerębski [A. Wyleżyńska], *Ilustrowany przewodnik dla wychodźców we Francji*, Paryż 1925, passim.
- 20 A. Janowski, *Pamiętka z Polski*, Warszawa 1926, s. 1.
- 21 Tu i dalej za: *Wskazówki dla wychodźców do Francji*, dz. cyt., s. 18–20.
- 22 Cyt. za: D. Zalega, *Górnicza orkiestra grała marsz na drogę, a ludzie jechali do Mysłowic. A potem w świat*, slazag.pl, bit.ly/3oUq0SR (dostęp: 27.05.2023).
- 23 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 242–243.
- 24 *Los robotnika polskiego w północnej Francji*, „Wychodźca” 1924, nr 20, s. 8.
- 25 *Wskazówki dla wychodźców we Francji*, dz. cyt., s. 105.

Przypisy końcowe

3 Lepiej nam tu w piątek, jak w Polsce w niedzielę?

- 1 *Pamiętniki emigrantów. Francja*, Warszawa 1939, s. 15.
- 2 Tamże, s. 16.
- 3 Wszystkie cytaty dalej za: H. Staniszewski, Z. Przerębski [A. Wyleżyńska], *Ilustrowany przewodnik dla wychodźców we Francji*, Paryż 1925, s. 103–108.
- 4 Historia opisana w *Pamiętnikach emigrantów*, dz. cyt., s. 42.
- 5 Tamże, s. 595.
- 6 Tamże, s. 483.
- 7 H. Janowska, *Polska emigracja zarobkowa we Francji 1919–1939*, Warszawa 1964, s. 134.
- 8 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 137–138. Pisownia oryginalna.
- 9 *Wskazówki dla wychodźców do Francji*, Warszawa 1928, s. 49–50.
- 10 Tamże, s. 50.
- 11 J. Gruszyński, *Spółeczność polska we Francji 1918–1978*, Warszawa 1981, s. 90–91.
- 12 *Pamiętnik I Zjazdu Polaków z Zagranicy*, 14–21 lipca 1929, Warszawa–Poznań–Kraków 1930. Cyt. za: J. Avci, *Francja obiecana*, „Karta” 2021, nr 106, s. 40–41.
- 13 A. Girard, J. Stoetzel, *Français et immigrés*, Paris 1953, s. 489.
- 14 H. Janowska, *Polska emigracja zarobkowa we Francji...*, dz. cyt., s. 141.
- 15 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. XVI.
- 16 Informacje o Kazimierzu Zgóreckim za katalogiem wystawy *Studio Zgorecki*, zorganizowanej przez paryskie muzeum Jeu de Paume w Tours: *Studio Zgorecki*, éd. C. Chaptal, Paris 2020.
- 17 *Ustawy Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”*, Poznań 1910, s. 1.
- 18 *Śpieszmy na zjazd śpiewaków w Douai. Zjazd powinien być potężną manifestacją wychodźstwa*, „Narodowiec”, nr 117, 22.05.1926, s. 3.
- 19 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 669.
- 20 Tamże, s. 670.

- 21 Tamże, s. 8.
- 22 Tamże, s. 330.
- 23 Tamże, s. 97.
- 24 Tamże.
- 25 *Już wyszło z druku nowe wydanie najlepszego podręcznika do nauki języka francuskiego*, „Narodowiec”, nr 117, 22.05.1926, s. 3.
- 26 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 41–42. Pisownia oryginalna.

Przypisy końcowe

4 Vaten an Pologne

- 1 Za: meteo-paris.com, bit.ly/3TIDbS5 (dostęp: 10.03.2022).
- 2 Na podstawie artykułów: *Le soleil et les cheveux; Hier à Deauville – Sur les planches – Concours – Aux courses*, „Le Figaro”, 6.08.1934, s. 2–3.
- 3 Na podstawie artykułów: *À Argenteuil, Lagny, Ermont, Cambrai, Valenciennes, Castres et Perpignan, les travailleurs occupent la rue; À Bordeaux, 2.000 travailleurs scellent le pacte d’unité d’action; Une certaine effervescence se manifeste aux usines Renault*, „L’Humanité”, 6.08.1934, s. 1–2, 5.
- 4 Na podstawie artykułów: *La grève des mineurs de l’Escarpelle*, „L’Humanité”, 8.08.1934, s. 2; *Depuis lundi matin, 163 mineurs polonais refusaient de remonter d’une fosse de l’Escarpelle, à Leforest*, „Grand écho du Nord de la France”, 8.08.1934, s. 1.
- 5 J. Ponty, *Polonais méconnus. Histoire des travailleurs immigrés en France dans l’entre-deux-guerres*, Paris 1988, s. 306.
- 6 Liczne przykłady ksenofobicznych zachowań wobec polskich robotników we Francji podaje Ralph Schor w książce *L’Opinion française et les étrangers en France, 1919–1939*, Paris 1985.
- 7 *Pamiętniki emigrantów. Francja*, Warszawa 1939, s. 46.
- 8 H. Janowska, *Polska emigracja zarobkowa we Francji 1919–1939*, Warszawa 1964, s. 135, 169.
- 9 J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 290.
- 10 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 162. Pisownia oryginalna.
- 11 *Loi du 10 août 1932 protégeant la main d’œuvre nationale*, „Journal officiel”, 12.04.1932, travail-emploi.gouv.fr, bit.ly/40EewQQ (dostęp: 17.09.2022).
- 12 J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 293.
- 13 Przepisy wprowadzone na mocy dekretu z 6 lutego 1935, zob. R. Schor, *L’Opinion française...*, dz. cyt., s. 578.
- 14 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 180.

- 15 Za: J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 305.
- 16 Tamże, s. 306.
- 17 E. Gierek, *Smak życia. Pamiętniki*, Warszawa 1993, s. 14.
- 18 Tamże, s. 13.
- 19 Tamże, s. 15.
- 20 Za: *La grève des mineurs de l'Escarpelle*, dz. cyt.
- 21 Ulotka Okręgowego Uniterskiego Związku Górniczego, zawierająca postulaty dotyczące warunków zatrudnienia w górnictwie, Anzin we Francji, 1932.
- 22 Ulotka Syndykatu Górniczego wzywająca do strajku w dwudziestą pierwszą rocznicę katastrofy w kopalni Courrières we Francji, 1927.
- 23 Ulotka wzywająca do podjęcia strajku 1 maja 1925 roku, przygotowana przez polskich członków Francuskiej Partii Komunistycznej.
- 24 Tamże.
- 25 Ulotka Okręgowego Uniterskiego Związku Górniczego, dz. cyt.
- 26 Charte d'Amiens, 1906. Pełny tekst dostępny między innymi na stronie [cairn.info, bit.ly/3pNi4Tu](http://cairn.info/bit.ly/3pNi4Tu) (dostęp: 19.04.2023).
- 27 J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 180.
- 28 *Programme minimum. Pour les ouvriers étrangers*, XIV^e Congrès de la CGT, 15–21.08.1919, s. 33. Cyt. za: J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 181.
- 29 *Rapport sur la main-d'œuvre étrangère*, „La Vie syndicale” 1925, n^o. 18. Cyt. za: J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 182.
- 30 J. Reboul, *Les idées du Français au-dessous de la moyenne. Les étrangers*, „Le Peuple”, 21.06.1933, s. 1.
- 31 P. Vigne, *Des mesures qui doivent être réalisées tout de suite*, „Le Peuple”, 10.12.1933, s. 2.
- 32 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 92–93.
- 33 J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 295.
- 34 *Depuis lundi matin...*, dz. cyt.
- 35 J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 306.
- 36 E. Gierek, *Smak życia*, dz. cyt., s. 16.
- 37 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. XI.
- 38 A. Mahieu, *Résignés, les expulsés ont quitté Leforest et sont partis pour la frontière polonaise*, „Grand écho du Nord de la France”, 12.08.1934, s. 1–2.

- 39 *L'expulsion des familles polonaises à Leforest en 1934* – materiał wideo zawierający relacje i komentarze Jeana Wróblewskiego i Antoine'a Wachowiaka, ina.fr, bit.ly/2YWKSr4 (dostęp: 11.03.2022).
- 40 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. XI–XII.
- 41 A. Mahieu, *Résignés, les expulsés ont quitté Leforest...*, dz. cyt.
- 42 Tamże.
- 43 A. de Saint-Exupéry, *Ziemia – ojczyzna ludzi*, przeł. M. Morstin-Górska, Warszawa 1957, s. 202–203.
- 44 Fragmenty artykułu z czasopisma „Ognisko” 1939, nr 31, cyt. za: J. Avci, *Francja obiecana*, „Karta” 2021, nr 106, s. 50.
- 45 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 167.
- 46 Tamże, s. 525.
- 47 M. Niemyska, *Wychodźcy po powrocie do kraju*, Warszawa 1936, s. 33.
- 48 *Rozpaczliwy czyn reemigranta z Francji*, „Robotnik”, 28.02.1936, s. 5.
- 49 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 167.
- 50 A. Bukowiecki, *Stanisław Wohl*, akademiapolskiegofilmu.org, bit.ly/3JU1Iie (dostęp: 16.03.2022).
- 51 *Wśród Polaków we Francji*, 1938, reż. K. Szołowski, zdj. S. Wohl. Reportaż dostępny na stronie repozytorium.fn.org.pl, bit.ly/42On898 (dostęp: 17.09.2022).
- 52 Fotografia dostępna w zbiorach Narodowego Archiwum Cyfrowego, sygn. 3/1/0/16/608/1.
- 53 Cyt. za: H. Janowska, *Polska emigracja zarobkowa...*, dz. cyt., s. 254.
- 54 Dane za: tamże, s. 257–258.
- 55 *Jak wygląda szkoła polska we Francji*, „Wychodźca” 1928, nr 28, s. 1–12.
- 56 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt. s. 547.
- 57 H. Staniszewski, Z. Przerębski [A. Wyleżyńska], *Ilustrowany przewodnik dla wychodźców we Francji*, Paryż 1925, s. 7.
- 58 Przykłady na podstawie: *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., passim oraz „*Tu wszystko było inne*”. *Wspomnienia bolesławieckich reemigrantów z Francji*, red. K. Dudek, Bolesławiec 2015.
- 59 *Pamiętniki emigrantów*, dz. cyt., s. 98.
- 60 Tamże, s. 556.
- 61 Tamże, s. 10. Pisownia oryginalna.

62 Tamže, s. 508.

Przypisy końcowe

5 Fefiki

- 1 A. Maurois, *Commandements du civil pour le temps de la bataille*, „Le Figaro”, 27.05.1940, s. 1.
- 2 A. Warnod, *À Paris du Nord au Sud*, „Le Figaro”, 24.05.1940, s. 1–2.
- 3 Przebieg działań wojennych wiosną 1940 roku według: G. Lefebvre, C. H. Pouthas, M. Baumont, *Historia Francji*, t. 2: *Od 1774 do czasów współczesnych*, przeł. M. Derenicz, Warszawa 1969.
- 4 C. de Gaulle, *Do wszystkich Francuzów*, przemówienie wygłoszone 18 czerwca 1940 roku na antenie BBC Londyn, przeł. H. Lubicz-Trawkowska [w:] *Wielkie mowy historii*, t. 3: *Od Hitlera do Eisenhowera*, wybór i oprac. T. Zawadzki, red. M. Gumkowski, Warszawa 2006, s. 108–109.
- 5 J. Zamojski, *La participation des Polonais à la Résistance dans le Pas-de-Calais et le Nord (1940–1944)*, „Revue du Nord” 1975, no 226, s. 435–459.
- 6 Za: J. Estager, *Ami, entends-tu. La résistance populaire dans le Nord-Pas-de-Calais*, Paris 1986, s. 59.
- 7 Tamże, s. 60.
- 8 J. Zamojski, *La participation des Polonais à la Résistance...*, dz. cyt.
- 9 *Polski ruch oporu we Francji*, renidunaj.pl, bit.ly/40vP7sQ (dostęp: 12.09.2022).
- 10 J. Skowron, *Chłopcy z Nordu i Pas-de-Calais*, Warszawa 1982, s. 125–126.
- 11 J. E. Zamojski, *Polska prasa podziemna we Francji w latach wojny 1939–1945*, „Dzieje Najnowsze” 1985, nr 3–4, s. 44.
- 12 Za: *Polski ruch oporu we Francji*, dz. cyt.
- 13 J. E. Zamojski, *Polacy w ruchu oporu we Francji 1940–1945*, Wrocław 1975, s. 62.
- 14 *Polski ruch oporu we Francji*, dz. cyt.
- 15 *Cichy Tadeusz. Pseudonymes dans la Résistance: « Armand », puis Pawłowski Jean*, fusilles-40-44.maitron.fr, bit.ly/3MzrQBG (dostęp: 30.04.2023).

Przypisy końcowe

6 Jadziem do domu, dość tych zagranic

- 1 Manifest Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, „Rocznik Lubelski” 1959, t. 2, s. 7–14.
- 2 H. Mordawski, *Ziemie Odzyskane 1945–1956*, Brzezia Łąka 2015, s. 94.
- 3 J. Jaros, *Historia górnictwa węglowego w Polsce Ludowej (1945–1970)*, Warszawa–Kraków 1973, s. 54.
- 4 W. Goetel, *Polski węgiel podstawą gospodarki narodowej*, „Dziennik Polski”, 11.01.1946, s. 2.
- 5 H. Mordawski, *Ziemie Odzyskane...*, dz. cyt., s. 208.
- 6 *Niemcy w Polsce 1945–1950. Wybór dokumentów*, t. 4: *Pomorze Gdańskie i Dolny Śląsk*, red. D. Boćkowski, Warszawa 2001, s. 427.
- 7 P. Retecki, *Górnictwo w Wałbrzychu w latach 1945–1948*, Wrocław 2010, s. 161.
- 8 Dane za: L. Turajczyk, *Spółeczno-polityczne organizacje polskie we Francji 1944–1948*, Warszawa 1978, s. 125–132.
- 9 P. Sękowski, *Les Polonais en France au lendemain de la seconde guerre mondiale (1944–1949). Histoire d’une intégration*, Paris 2019, s. 110.
- 10 *Powrót oddziałów polskich z Francji – wręczenie sztandaru*, Polska Kronika Filmowa 35/45, 3.12.1945, repozytorium.fn.org, bit.ly/3lYkayz (dostęp: 10.06.2022).
- 11 *5000 górników wraca do kraju*, „Gazeta Polska”, nr 41, 22.02.1946, s. 1.
- 12 Skan umowy dostępny w: A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950*, Warszawa 2018.
- 13 Tamże, s. 147.
- 14 M. Pasztor, D. Jarosz, *Polsko-francuska „zimna wojna”: sprawa Robineau (1949–1950)*, „Dzieje Najnowsze” 2002, nr 3, s. 100; L. Turajczyk, *Polonijne organizacje społeczno-polityczne we Francji i ich postawa wobec powrotu emigracji zarobkowej do kraju*, „Materiały i Studia z Najnowszej Historii Polski” 1967, t. 3, s. 59–62.
- 15 E. Gierek, *Smak życia. Pamiętniki*, Warszawa 1993, s. 17.

- 16 Tamże, s. 19.
- 17 Tamże, s. 27.
- 18 Tamże, s. 30.
- 19 Zob. *Wskazówki dla reemigrantów*, „Narodowiec”, nr 19, 24.01.1947, s. 3.
- 20 Formularz reemigracyjny z 1948 roku, skan w: A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha*, dz. cyt.
- 21 *Wskazówki dla reemigrantów*, dz. cyt.
- 22 *Polska i naród polski na progu 1946 r.*, „Narodowiec”, nr 1, 1.01.1946, s. 3.
- 23 *Serce rozdierające wrażenia Hoovera z Polski*, „Narodowiec”, nr 80, 4.04.1946, s. 3.
- 24 *Potrzeba 200 tys. pociągów do wywiezienia gruzów z Warszawy*, „Narodowiec”, nr 49, 28.03.1946, s. 3.
- 25 *Miliony ubrań, 400 000 wózków dziecięcych, 300 000 rondli wyjdzie z fabryk w r. 1946*, „Narodowiec”, nr 49, 27.02.1946, s. 3.
- 26 *Odbudowa Warszawy*, „Narodowiec”, nr 81, 5.04.1946, s. 3.
- 27 *Kraj oczekuje z niecierpliwością górników polskich z Francji*, „Gazeta Polska”, nr 115, 21.05.1946, s. 1.
- 28 J. Siwek, *Z Lens do Wałbrzychu [sic!]. Wywiad z generalnym konsulem RP ob. Tomaszem Piętką*, „Gazeta Polska”, nr 98, 30.04.1946, s. 4.
- 29 *Wychodźstwo a Polska*, „Narodowiec”, nr 55, 6.03.1946, s. 3.
- 30 *Robotnicy dyrektorami kopalń i hut*, „Narodowiec”, nr 48, 26.02.1946, s. 3.
- 31 D. Czamarka, *W kopalniach Wałbrzychu [sic!]*, „Gazeta Polska”, nr 124, 31.05.1946, s. 3.
- 32 *Wydrukowano 6 mln książek szkolnych*, „Narodowiec”, nr 76, 30.03.1946, s. 3.
- 33 *Zmiana struktury szkół zawodowych*, „Narodowiec”, nr 88, 13.04.1946, s. 3.
- 34 J. Estager, *Découverte de la Pologne 1948*, Bouvignies 2016, s. 27.
- 35 Tamże, s. 45.
- 36 *Pod polskim sztandarem wyruszyli w drogę pierwsi górnicy z Francji*, „Gazeta Polska”, nr 112, 17.05.1946, s. 1.
- 37 A. Chciuk, *Polska konstelacja Gwiazdów w Ostricourt*, „Polska i Świat”, nr 21, 16.10.1949, s. 8–9.

Przypisy końcowe

7 Kierunek: Wałbrzych. Nastrój wspaniały

- 1 *Po latach tułaczki*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 211, 10.07.1946, s. 5.
- 2 *Sprawozdanie z repatriacji w 1946 r.*, Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Cyt. za: A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950*, Warszawa 2018, s. 214.
- 3 *Komunikat dla górników wyjeżdżających 2 pociągiem górniczym, 22 maja b.r.*, „Narodowiec”, nr 117, 19.05.1946, s. 4.
- 4 *Sprawozdanie z repatriacji w 1946 r.*, dz. cyt.
- 5 *Do zobaczenia się w Polsce*, „Biuletyn Miesięczny Organizacji Pomocy Ojczyźnie”, nr 28, sierpień–wrzesień 1947, s. 1–2.
- 6 *Rodacy z Francji na ziemi ojczystej*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 86, 26–27.05.1946, s. 4.
- 7 *Drugi transport górników polskich wyjechał z Lens*, „Gazeta Polska”, nr 113, 24.05.1949, s. 1.
- 8 Tamże.
- 9 *Pod polskim sztandarem wyruszyli w drogę pierwsi górnicy z Francji*, „Gazeta Polska”, nr 112, 17.05.1946, s. 1.
- 10 I. Guliński, *Francjo, żegnaj!...*, „Narodowiec”, nr 78, 2.04.1946, s. 4.
- 11 A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha*, dz. cyt., s. 202.
- 12 J. Osiński, W. Sławny, *Batory wiezie do ojczyzny rodaków z całej Francji*, „Polska i Świat”, nr 11, 29.05.1949, s. 7.
- 13 Tamże, s. 10.
- 14 Tamże, s. 8.
- 15 *Drugi transport górników telegrafuje z Pragi*, „Gazeta Polska”, nr 122, 29.05.1946, s. 1.
- 16 *Jutro będziemy w Polsce*, „Gazeta Polska”, nr 116, 22.05.1946, s. 1.

- 17 *Rodacy z Francji na ziemi ojczystej*, „Trybuna Dolnośląska”, dz. cyt.
- 18 *Pierwszy transport górników polskich z Francji w Wałbrzychu*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 84, 24.05.1946, s. 1.
- 19 *Witajcie, bracia górnicy, na piastowskiej ziemi*, „Gazeta Polska”, nr 137, 15.06.1946, s. 1.
- 20 *Na małej stacji w Międzyzlesiu*, „Gazeta Polska”, nr 130, 7.06.1946, s. 1.
- 21 *Rodacy z Francji na ziemi ojczystej*, dz. cyt.
- 22 *Podróż dookoła Polski z przeszkodami*, „Polska i Świat”, nr 26, 25.12.1949.
- 23 H. Markowski, *Wojewódzki Odział Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Katowicach w latach 1945–1951*, praca doktorska, Uniwersytet Śląski w Katowicach, Wydział Nauk Społecznych, Instytut Historii, 2007, s. 81.
- 24 S. Banasiak, *Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Ziemiach Odzyskanych w latach 1945–1947*, Poznań 1963, s. 41–43.
- 25 Tamże, s. 45.
- 26 H. Markowski, *Wojewódzki Odział Państwowego Urzędu Repatriacyjnego w Katowicach...*, dz. cyt., s. 69.
- 27 S. Banasiak, *Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego...*, dz. cyt., s. 38.
- 28 Opis przyjęcia reemigrantów za: *U progu ojczyzny*, „Gazeta Robotnicza”, nr 145, 25.08.1945, s. 2; *Aby podnieść z gruzów Polskę. Górnicy polscy z Francji stają do pracy w naszych kopalniach*, „Świat Górnika”, nr 6, 20.06.1946, s. 4.
- 29 Historię taką przytacza S. Banasiak, *Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego...*, dz. cyt., s. 54.
- 30 Tamże, s. 48.
- 31 Cyt. za: Z. Koczan, *Kędzierzyn – miasto górników oraz Górnicy-repatrianci w Wilczym Gardle mówią: „Niech inni jedzą obcy chleb, my mamy dosyć własnego, polskiego”*, „Górnika” 1948, nr 20a, s. 13, 15.
- 32 R. Będzikowski, *Reemigranci z Francji, Belgii i Westfalii w Wałbrzychu* [w:] tegoż i in., *Wałbrzyskie szkice*, Wałbrzych 2015, s. 160.
- 33 P. Sękowski, *Les Polonais en France au lendemain de la seconde guerre mondiale (1944–1949). Histoire d’une intégration*, Paris 2019, s. 120.

Przypisy końcowe

8 Gdzie ta Polska?

- 1 E. Chojecka, *Ślady. Pamięć. Niepamięć. Projekty Trzeciej Rzeszy przeformowania obrazu Górnego Śląska* [w:] *Kłopotliwe dziedzictwo? Architektura Trzeciej Rzeszy w Polsce*, red. J. Purchla, Ż. Komar, Kraków 2020, s. 248.
- 2 A. Andrzejewski, *Polityka mieszkaniowa*, Warszawa 1987, s. 138–140; I. Piwońska, *Główne konsekwencje II wojny światowej dla warunków mieszkaniowych w Polsce*, „Społeczeństwo i Ekonomia” 2015, nr 1, s. 96–103; S. Banasiak, *Działalność osadnicza Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na Ziemiach Odzyskanych w latach 1945–1947*, Poznań 1963.
- 3 *Skandal mieszkaniowy w Wałbrzychu*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 125, 14–15.07.1946, s. 7.
- 4 *Kopalnie czekają na górników, a górnicy na „mieszkania”*, „Gazeta Robotnicza”, nr 209, 31.07.1946, s. 1.
- 5 A. Szydłowska, *Futerał. O urządzaniu mieszkań w PRL-u*, Wołowiec, 2023, s. 173–176.
- 6 *Górnicy-repatrianci w Wilczym Gardle mówią: „Niech inni jedzą obcy chleb, my mamy dosyć własnego, polskiego”*, „Górnicy” 1948, nr 20a, s. 13, 15.
- 7 Zob. M. Bisek-Grąż, *Powojenny Wałbrzych. Miasto kultur*, Wałbrzych 2009.

Przypisy końcowe

9 Nowy typ człowieka

- 1 J. Nawrot, *Wybory a problem pokoju*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 3, 4.01.1947, s. 3.
- 2 S. Luwicz, *Wybory... Wybory...*, „Trybuna Robotnicza”, nr 354, 24–26.12.1946, s. 4.
- 3 *Na Fundusz Wyborczy Polskiej Partii Robotniczej akcja zbiórkowa na D/Śląsku*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 262, 28.12.1946, s. 1.
- 4 *Ostatnia niedziela przedwyborcza we Wrocławiu*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 10, 14.01.1947, s. 5.
- 5 *Ludność w Wałbrzychu manifestuje swe przywiązanie do Bloku Stronnictw Demokratycznych*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 11, 15.01.1947, s. 5.
- 6 *Robotnicy Jeleniej Góry jawnie głosować będą za Blokiem Stronnictw Demokratycznych*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 3, 4.01.1947, s. 2.
- 7 „Trybuna Dolnośląska”, nr 14, 18.01.1947, s. 1.
- 8 P. Sękowski, *Les Polonais en France au lendemain de la seconde guerre mondiale (1944–1949). Histoire d’une intégration*, Paris 2019, s. 130.
- 9 Tu i dalej cytaty i relacja za: *Jak głosował Dolny Śląsk*, „Trybuna Dolnośląska”, 21.01.1947, s. 3.
- 10 M. Zaremba, *Wielka trwoga. Polska 1944–1947*, Kraków 2012, s. 343–353, 572.
- 11 J. Warowny, *W Wałbrzychu powstaje nowy typ człowieka*, „Górnik” 1948, nr 20a, s. 7.
- 12 *Młodzi budują pokój*, 1951, reż. C. Petelski, youtube.com, bit.ly/3pPYia1 (dostęp: 19.05.2023).
- 13 J. Warowny, *W Wałbrzychu powstaje nowy typ człowieka*, dz. cyt.
- 14 Tamże.
- 15 Dane za: J. Jaros, *Historia górnictwa węglowego w Polsce Ludowej (1945–1970)*, Warszawa–Kraków 1973, s. 54–55.
- 16 F. Pietrzyk, *Polski węgiel wędruje w świat*, „Górnik” 1948, nr 20a, s. 9.

- 17 *Awans społeczny robotników możliwy tylko w Polsce Ludowej*, „Górnik” 1948, nr 20a, s. 1.
- 18 Katalog oficjalny Wystawy Ziem Odzyskanych, Wrocław 1948, s. 48.
- 19 A. Kostołowski, *Biegi z przeszkodami. Wystawy: Ziem Odzyskanych (1948) i Wrocław Moje Miasto (2000)*, „Quart. Kwartalnik Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego” 2009, nr 1, s. 69–92.
- 20 C. Kaszewski, *Półtora miliona ludzi odwiedziło Wrocław w sto dni*, 17.07.2008, gazeta wrocławska.pl, bit.ly/3zKu7Te (dostęp: 7.08.2022).
- 21 *Wystawa Ziem Odzyskanych*, reportaż Polskiej Kroniki Filmowej, 1948, real. J. Wisnowska, zob. youtube.com, bit.ly/3NcyZIB (dostęp: 21.04.2023).
- 22 J. Warowny, *W Wałbrzychu powstaje nowy typ człowieka*, dz. cyt.
- 23 Katalog oficjalny Wystawy Ziem Odzyskanych, dz. cyt., s. 36.
- 24 *Wystawa Ziem Odzyskanych*, reportaż Polskiej Kroniki Filmowej, dz. cyt. Zob. też: *Wystawa Ziem Odzyskanych – kopalnia węgla i wesołe miasteczko*, Polska Kronika Filmowa 35/48, 24.08.1948, repozytorium.fn.org, bit.ly/43ahGgp (dostęp: 14.08.2022).
- 25 Katalog oficjalny Wystawy Ziem Odzyskanych, dz. cyt., s. 49.
- 26 Ustawa z dnia 2 lipca 1947 r. o Planie Odbudowy Gospodarczej, art. 3.
- 27 Za wspomnieniami Mieczysława Bibrowskiego, Jana Parandowskiego i Ewy Lipińskiej [w:] *Picasso w Polsce*, red. M. Bibrowski, Kraków 1979.

Przypisy końcowe

10 Dowcip o małpie

- 1 Za: A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950*, Warszawa 2018, s. 307–317.
- 2 Załącznik do raportu o wszczęciu rozpracowania obiektowego dotyczącego reemigrantów z Francji, Wałbrzych, 24.11.1948, cyt. za: tamże. Pisownia oryginalna.
- 3 W. Markiewicz, *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji*, Poznań 1960, s. 181.
- 4 D. Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010, s. 97.
- 5 Cyt. za: A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha*, dz. cyt. Pisownia oryginalna.
- 6 *Skandal mieszkaniowy w Wałbrzychu*, „Trybuna Dolnośląska”, nr 125, 14–15.07.1946, s. 7.
- 7 W. Markiewicz, *Przeobrażenia świadomości narodowej...*, dz. cyt., s. 193–194.
- 8 Cyt. za: R. Będzikowski, *Reemigranci z Francji, Belgii i Westfalii w Wałbrzychu* [w:] tegoż i in., *Wałbrzyskie szkice*, Wałbrzych 2015, s. 168–169. Pisownia oryginalna.
- 9 C. Roy, *Chronique d’un retour oublié. Les rapatriés polonais de France en Basse-Silésie après la Seconde Guerre Mondiale (1945–1948)*, [b.m.] 2008, s. 131.
- 10 Pani Władysława Wojcieszak zmarła w marcu 2021 roku.

Przypisy końcowe

11 Medale i grosze

- 1 J. Jaros, *Historia górnictwa węglowego w Polsce Ludowej (1945–1970)*, Warszawa–Kraków 1973, s. 105–107.
- 2 H.B., *Otwarcie nowych szkół zawodowych*, „Trybuna Robotnicza”, nr 196, 9.09.1945, s. 3.
- 3 *Reemigranci szkolą się w górnictwie*, „Osadnik na Ziemiach Odzyskanych” 1947, nr 16, s. 6.
- 4 O warunkach pracy i płacach w górnictwie zob.: J. Jaros, *Historia górnictwa węglowego w Polsce Ludowej...*, dz. cyt., s. 64–74; P. Retecki, *Górnictwo w Wałbrzychu w latach 1945–1948*, Wrocław 2010, s. 167.
- 5 C. Roy, *Chronique d’un retour oublié. Les rapatriés polonais de France en Basse-Silésie après la Seconde Guerre Mondiale (1945–1948)*, [b.m.] 2008, s. 132.
- 6 W. Markiewicz, *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji*, Poznań 1960, s. 199.
- 7 Ulotka informacyjna Glinickich Zakładów Wyrobów Skórzanych, ok. 1960 roku, po laska-org.pl, bit.ly/41eX85l (dostęp: 28.08.2022).
- 8 Opis pogrzebu za: *100 000 ludzi złożyło w Zabrze hołd wielkiemu górnikowi. Jego imię przetrwa poprzez pokolenia. Jego przykład będzie zagrzewał nas do pracy dla dobra Polski Ludowej*, „Trybuna Robotnicza”, nr 109, 22.04.1948, s. 1.
- 9 Tygodnik „Panorama”, lipiec 1974. Cyt. za: J. Dziadul, *Kto wyrąbie więcej ode mnie? Wincenty Pstrowski, tytan pracy*, polityka.pl, bit.ly/40YUssP (dostęp: 14.04.2023).
- 10 Tu i dalej ceny za: *Rocznik statystyczny*, Warszawa 1947.
- 11 W. Pstrowski, *List otwarty do górników w Polsce*, „Trybuna Robotnicza”, nr 204, 27.07.1947, s. 1.
- 12 Stanisławski, *Tajemnica górniczego rekordu. Co mówi o swej pracy rębacz tow. Pstrowski*, „Trybuna Robotnicza”, nr 204, 27.07.1947, s. 3.

- 13 Z. Kwiatkowski, *Pstrowski nie jest bohaterem*, „Dziennik Polski”, nr 272, 5.10.1947, s. 3.
- 14 Źyciorys W. Pstrowskiego za: *Górnik Wincenty Pstrowski: inicjator współzawodnictwa pracy, kawaler Orderu „Budowniczych Polski Ludowej”*, Katowice 1949.
- 15 A. Frużyński, *Powstanie i rozwój socjalistycznego współzawodnictwa pracy w polskim przemyśle węglowym w latach 1947–1956* [w:] *Współzawodnictwo pracy w życiu gospodarczym, społeczno-politycznym i propagandzie PRL*, red. B. Tracz, Katowice 2008, s. 4.
- 16 J. Kaliński, *Węgiel w polsko-radzieckich stosunkach gospodarczych*, „UR Journal of Humanities and Social Sciences” 2021, nr 3, s. 95.
- 17 Cyt. za: J. Roszko, *Prawda o górniku Pstrowskim*, Warszawa 1975, s. 87.
- 18 Nagranie na stronie Polskiego Radia: *Wincenty Pstrowski – pierwszy polski stachanowiec*, polskieradio.pl, bit.ly/3OrMtkP (dostęp: 28.08.2022).
- 19 Relacja Feliksa Pstrowskiego, za: J. Roszko, *Prawda o górniku Pstrowskim*, dz. cyt., s. 84.
- 20 Cyt. za: J. Dziadul, *Kto wyrąbie więcej ode mnie?*, dz. cyt.
- 21 Relacje Franciszka Bejczuka i Katarzyny Pstrowskiej za: J. Roszko, *Prawda o górniku Pstrowskim*, dz. cyt., s. 86.
- 22 *Tysiące przodowników pracy odpowiedziało na wezwanie tow. Pstrowskiego*, „Trybuna Robotnicza”, nr 273, 4.10.1947, s. 1.
- 23 Cyt. za: J. Roszko, *Prawda o górniku Pstrowskim*, dz. cyt., s. 95.
- 24 Relacja za: J. Aleksandrowicz, E. Stawowy, *Tyle wart człowiek...*, Lublin 1992.
- 25 Tamże, s. 135.
- 26 *100 000 ludzi złożyło w Zabrze hołd wielkiemu górnikowi*, dz. cyt.

Przypisy końcowe

12 Światowcy

- 1 Zob. J. Zdanowski, *Konstelacje polityczne na Bliskim Wschodzie w okresie zimnej wojny (1946–1990)*, „Krakowskie Studia Międzynarodowe” 2018, nr 3, s. 29–49.
- 2 P. Gasztold-Seń, *Orientalne saksy*, polska1918-89.pl, bit.ly/41U1XDq (dostęp: 6.05.2023).
- 3 Zob. J. Knopek, *Stosunki Polski z Afryką arabską po II wojnie światowej*, „Forum Politologiczne” 2006, t. 3, s. 139–172.
- 4 Na podstawie relacji zebranych przez Joannę Sawicką, zob. teŹe, *Kariera w tropikach*, magazynkontakt.pl, bit.ly/43ckoBZ (dostęp: 6.05.2023) oraz Przemysław Gasztolda-Senia, dz. cyt.
- 5 J. Knopek, *Stosunki Polski z Afryką arabską...*, dz. cyt.

Przypisy końcowe

13 Jak uciec z domu?

- 1 Dane za: D. Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949–1989*, Warszawa 2010, s. 28.
- 2 W. Bagieński, *System paszportowy PRL – od ograniczeń ku swobodzie podróżowania* [w:] *Paszporty wczoraj i dziś. 25 lat wydawania paszportów przez wojewodów. 10 lat wydawania paszportów biometrycznych*, Warszawa 2016, s. 15.
- 3 A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950*, Warszawa 2018, s. 269.
- 4 Cyt. za: C. Roy, *Chronique d'un retour oublié. Les rapatriés polonais de France en Basse-Silésie après la Seconde Guerre Mondiale (1945–1948)*, [b.m.] 2008, s. 130.
- 5 A. Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha*, dz. cyt., s. 269.
- 6 *Polacy, którzy chcieliby z Polski wrócić do Francji*, „Narodowiec”, nr 69, 23.03.1949, s. 3.
- 7 Cyt. za.: C. Roy, *Chronique d'un retour oublié*, dz. cyt., s. 132.
- 8 D. Stola, *Kraj bez wyjścia?*, dz. cyt., s. 41–42.
- 9 Tamże, s. 43.
- 10 R. Beldzikowski, *W tyglu społecznych i politycznych przemian*, „Kronika Wałbrzyska” 1996, t. 9, s. 111–112.
- 11 D. Stola, *Kraj bez wyjścia?*, dz. cyt., s. 44.
- 12 *Repatrianci z Francji w Wałbrzychu na przemian klną i płaczą!*, „Narodowiec”, nr 19, 22–23.01.1950, s. 5.
- 13 D. Stola, *Kraj bez wyjścia?*, dz. cyt., s. 97.
- 14 Tamże, s. 484–486.
- 15 Tamże, s. 179.
- 16 Tamże, s. 180.
- 17 Tamże, s. 188 i 207.

- 18 J. Dziadul, *Gierek przed „Gierkiem” i po. Górnik, który zaszedł wysoko*, polityka. pl, bit.ly/3MCOFEV (dostęp: 22.01.2023).
- 19 Cyt. za: tamże.
- 20 *Polsko-francuskie spotkanie na szczycie*, „Dziennik Polski”, 3.10.1972, s. 1.
- 21 E. Gierek, *Smak życia. Pamiętniki*, Warszawa 1993, s. 158.
- 22 Tamże, s. 158.
- 23 P. Gajdziński, *Gierek. Człowiek z węgla*, Poznań 2021, s. 214.
- 24 B. Margueritte, *La longue marche de “ Jaros ”*, „Le Monde”, 3.10.1972, lemonde. fr, bit.ly/3UtmiuS (dostęp: 22.01.2023).
- 25 Cyt. za filmem dokumentalnym *Nikt mnie już o nic nie pytał*, 2003, reż. G. Ogrodowska, L. Furman.

Przypisy końcowe

14 Autostrada wolności

- 1 *Nazwy do zmiany. Ul. Pstrowskiego Wincentego*, ipn.gov.pl, bit.ly/3UBisjn (dostęp: 23.09.2022).
- 2 A. Szałkowski, *Zmiana nazw ulic w Wałbrzychu*, walbrzych.naszemiasto.pl, bit.ly/3MBWzyx (dostęp: 13.04.2023).
- 3 J. Kmiecik, *Pologne. « J'écris ton nom Liberté... »*, Bouvignies 2018, s. 11.
- 4 List podpisany przez mera Sallaumines Christiana Pedowskiego oraz Jacques'a Kmiecika, skierowany do prezydenta Wałbrzycha Romana Szełemeja z 26 listopada 2017 roku, tamże, s. 32.
- 5 List podpisany przez senatora Dominique'a Watrina, skierowany do prezydenta Wałbrzycha Romana Szełemeja z 14 czerwca 2017 roku, senateurscrce.fr, bit.ly/3o0h25J.
- 6 Zob.: *Bataille de mémoire entre les bassins miniers polonais et français*, lemonde.fr, bit.ly/3Uz5O4l (dostęp: 2.09.2022); *L'A21 rebaptisée « Autoroute de la liberté Rabiega–Kania »*, lavoixdunord.fr, bit.ly/43y4Iu0 (dostęp: 2.09.2022); *Le nom de résistants polonais du Nord pourrait être effacé des rues de leur pays natal*, france3-regions.francetvinfo.fr, bit.ly/3KXuWIF (dostęp: 2.09.2022); *Pologne. La mémoire de la Résistance piétinée*, humanite.fr, bit.ly/3KyVq87 (dostęp: 2.09.2022).

Przypisy końcowe

15 Każdy ma swojego Francuza

- ¹ W. Markiewicz, *Przeobrażenia świadomości narodowej reemigrantów polskich z Francji*, Poznań 1960, s. 172.

Przypisy końcowe

16 Wino na hałdach

- 1 *Fin des mines: il y a 30 ans, à Oignies, s'éteignait l'histoire du charbon en Nord-Pas-de-Calais*, „La Voix du Nord”, lavoixdunord.fr, bit.ly/3zZ7zyq (dostęp: 3.06.2022).
- 2 Zob. *Restrukturyzacja górnictwa węglowego w krajach Europy Zachodniej*, „Biuletyn Górniczy” 2021, nr 1–3, giph.com, bit.ly/3ooEavl (dostęp: 21.04.2023).
- 3 *Nord-Pas-de-Calais Mining Basin*, whc.unesco.org, bit.ly/40cwGs6 (dostęp: 2.06.2022).
- 4 D. Vignando, *La Bonne mine du Nord*, „L'Obs”, n^o 3005, 19–25.05.2022, s. 94–96.
- 5 Tamże.
- 6 H. Cugier, *Ostatni numer „Narodowca”*, „La Voix du Nord”, 18.07.1989.

Przypisy

- [1] Różnice w relacjach można dostrzec, porównując na przykład teksty publikowane w „Le Figaro”, „Grand écho du Nord de la France” i „L’Humanité”.
- [2] Próbą obejścia tego ograniczenia było stworzenie w 1924 roku Związku Robotników Polskich we Francji, który zamierzał chronić prawa zatrudnionych tu Polaków, nie miał jednak formalnie statusu związku zawodowego. Jego aktywność koncentrowała się na działalności pomocowej. Jak czytamy w odezwie *Do wszystkich robotników polskich we Francji*: „[Związek] ma za cel wszechstronną opiekę nad robotnikami polskimi pracującymi we Francji, zarówno pod względem materialnym, jak i oświatowo-kulturalnym. Zapewnić robotnikowi polskiemu spokojny byt, bronić go przed każdą krzywdą i wyzyskiem, umożliwić pielęgnowanie zwyczajów i obyczajów narodowych, dać polskiemu dziecku szkołę polską”. Cyt. za: J. Avci, *Francja obiecana*, „Karta” 2021, nr 106, s. 39.
- [3] Dokładna liczba polskich członków obu organizacji jest trudna do określenia. Jak pisze Janine Ponty, w przypadku CGT wartości podawane w różnych opracowaniach wahają się od 4,3 tys. do 22 tys. Zob. też: *Polonais méconnus. Histoire des travailleurs immigrés en France dans l’entre-deux-guerres*, Paris 1988, s. 199–203.
- [4] Później sytuacja uległa zmianie – większość Polaków, skuszona obietnicami finansowymi składanymi przez dyrekcje kopalń, zdecydowała się powrócić do pracy mimo trwającego strajku. Spotkało się to, rzecz jasna, z negatywną reakcją ich francuskich współpracowników. Polaków wzięła wtedy w obronę „L’Humanité”, przekonując na swoich łamach, że stali się oni ofiarami „terroru policji i pracodawców”.
- [5] O siedemdziesięciu siedmiu dekrétach pisze Janine Ponty i ta liczba najczęściej pojawia się w innych współczesnych opracowaniach i artykułach; dziennikarz „L’Humanité” – o osiemdziesięciu (*La lutte des mineurs de l’Escarpelle contre les brimades et la répression*, „L’Humanité”, 10.08.1934, s. 1).
- [6] Taką liczbę podaje J. Gruszyński (*Spółeczność polska we Francji 1918–1978*, Warszawa 1981, s. 106). Aneta Nisiobęcka w książce *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950* (Warszawa 2018, s. 62) pisze: „W latach 1933–1936 żądanie opuszczenia Francji

otrzymało 7687 polskich górników oraz 11 235 kobiet i dzieci z departamentu Pas-de-Calais”. Z danych francuskiego ministerstwa pracy wynika, że w latach 1931–1936 z Francji wyjechało 129 819 Polaków; polskie źródła rządowe w odniesieniu do tego samego okresu podają zaś liczbę 140 335, przy czym w obu przypadkach nie ma rozróżnienia na wyjazdy dobrowolne i przymusowe. Zob. J. Ponty, *Polonais méconnus*, dz. cyt., s. 310.

- [7] Konwencja migracyjna z 1919 roku nie regulowała kwestii szkół polskich we Francji. Polonijna działalność oświatowa nie miała więc prawnego umocowania; opierała się wyłącznie na liście prezesa Centralnego Komitetu Francuskich Kopalń Węgla Henriego de Peyerimhoffa, stanowiącym załącznik do protokołu obrad Polsko-Francuskiej Komisji Doradczej z dnia 17.04.1924. W liście tym zawarto stwierdzenie, że staraniem zarządu dzieci robotników zatrudnionych w zrzeszonych w Komitecie przedsiębiorstwach otrzymają możliwość nauki w języku polskim. Zajęcia z języka, geografii i historii Polski przybierały dwie formy: bądź zajęć pozalekcyjnych, bądź szkół prywatnych. Zob. H. Janowska, *Polska emigracja zarobkowa we Francji 1919–1939*, Warszawa 1964, s. 253–254.
- [8] Fragment piosenki *En passant par la Lorraine*, autor słów i muzyki nieznany. Melodia powstała prawdopodobnie w XVI wieku. Dziś utwór śpiewany jest głównie przez dzieci.
- [9] Przez pierwsze lata istnienia, od 1941 do 1945 roku, dziennik ukazywał się pod tytułem „Niepodległość”.
- [10] Podczas strajku, według różnych źródeł, aresztowano od 400 do 600 osób. 273 spośród nich wywieziono do obozów koncentracyjnych. Zob. *Le 13 juin 1941, le «train des mineurs» conduisait 273 Gueules noires vers la mort*, hautsdefrance.fr, bit.ly/3ziJfHr (dostęp: 12.09.2022); J. Estager, *Ami, entends-tu. La résistance populaire dans le Nord-Pas-de-Calais*, Paris 1986.
- [11] Ten i kolejny cytat to fragmenty *Le Chant des partisans*, uznawanego za hymn francuskiego ruchu oporu podczas II wojny światowej. Muzykę skomponowała Anna Marly, słowa napisali Maurice Druon i Joseph Kessel.
- [12] Umowa przewidywała sprowadzenie do Polski 17 tysięcy robotników różnych profesji wraz z rodzinami, w tym 8 tysięcy górników, 6 tysięcy robotników rolnych, tysiąca robotników przemysłowych i budowlanych oraz 2 tysięcy innych osób: rzemieślników, emerytów, inwalidów.
- [13] Na podstawie tej umowy do kraju miało powrócić 16 tysięcy robotników, w tym 5 tysięcy górników, 5 tysięcy rolników, 3 tysiące robotników przemysłowych i budowlanych oraz 3 tysiące osób innych profesji lub emerytów i inwalidów. Zob.: C. Roy, *Chronique d’un retour oublié. Les rapatriés polonais de France en Basse-Silésie après la Seconde Guerre Mondiale (1945–1948)*, [b.m.] 2008, s. 42; A.


Nisiobęcka, *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950*, Warszawa 2018, s. 188; *Do kraju wróci w 1948 r. w ramach umowy z Francją 16 000 rodzin polskich, w tym 5000 rodzin górniczych. Pierwszy transport w kwietniu*, „Gazeta Polska”, nr 49, 26.02.1948, s. 1.

- [14] Nota wspomniana jest w treści umowy z 28 listopada 1946 roku. Na jej mocy do Polski miało wrócić dwa tysiące rolników wraz z rodzinami.
- [15] Fragment wiersza Philéasa Lebesgue’a *Le plus beau pays du monde*: „Najpiękniejszy kraj na świecie / To kraj, w którym się urodziłem; [...]. / Mówimy tam słodkim językiem / Najpiękniejszym, jaki stworzono; / Cudzoziemiec staje się mądrzejszy / Kiedy zaczyna go kochać / Szczęśliwy, który mógł / Słyszeć go od kołyski / Bo język Francji / To pieśń, która brzmi wciąż od nowa”.
- [16] Transporty reemigrantów z Francji do Wilczego Gardła przyjechały dwukrotnie. Pierwszy przybył 16 października 1946 roku, drugi w listopadzie 1947. W sumie na osiedlu zamieszkało 276 rodzin.
- [17] *Przy sobocie, po robocie*, słowa: M. Ochorowicz, muzyka: J. Kozłowski.
- [18] Wszystkie cytaty w tym fragmencie są hasłami propagandowymi z lat 1945–1953.
- [19] Chociaż trzeba zauważyć, że dla niektórych przyjeżdżających do Afryki klimat i różnice kulturowe okazały się szokiem. Nie każdy trafiał też do luksusowej willi. Ryszard Sługocki, dziennikarz i podróżnik, tak wspominał swój kontrakt w Libii: „Baza Centralna [obóz dla pracowników] wyglądem przypominała miasteczko z częścią biurowo-mieszkalną, przemysłową i terenami sportowymi. Za ogrodzeniem z siatki, wokół głównego placu, stało kilkadziesiąt długich, murowanych baraków, budynek biurowy oraz kilka dyrektorskich willi. Za biurowcem znajdowała się baza sprzętu i warsztaty naprawcze. Po przeciwnej stronie wznosił się budynek socjalny ze stołówką, kuchnią, sklepikiem, świetlicą, biblioteką i dwiema salkami do gry w ping-ponga. Przed nim znajdował się basen kąpielowy, przeważnie bez wody, a za nim piaszczyste pole z dwiema bramkami, udające boisko piłkarskie. [...] Od strony drogi wzdłuż płotu rozciągało się cmentarzysko zużytych i popsutych maszyn budowlanych, dźwigów, wielkich ciężarówek i samochodów osobowych, których liczba wielokrotnie przewyższała ilość maszyn »na chodzie«”. Cyt. za: P. Gasztold-Seń, *Orientalne saksy*, polska1918-89.pl, bit.ly/41U1XDq (dostęp: 6.05.2023).
- [20] Według informacji zamieszczonych na stronie Muzeum Narodowego we Wrocławiu reemigrantów było 78 tysięcy (*Polscy reemigranci z Francji*, Muzeum Narodowe we Wrocławiu, mnwr.pl, bit.ly/3UDvnRR, dostęp: 23.09.2022). Badacze Leon Turajczyk, Jerzy Jaros i Ryszard Bełdzikowski piszą odpowiednio o 69, 64 i 60 tysiącach reemigrantów (zob. R. Bełdzikowski, *Reemigranci z Francji, Belgii i Westfalii w Wałbrzychu* [w:] tegoż i in., *Wałbrzyskie szkice*, Wałbrzych 2015, s. 169). Liczbę 69 tysięcy podaje też Aneta Nisiobęcka (też, *Z Lens do Wałbrzycha. Powrót*

Polaków z Francji oraz ich adaptacja w Polsce Ludowej w latach 1945–1950, Warszawa 2018, s. 245). W oficjalnych polskich statystykach można znaleźć 65 tysięcy (wyliczenia Pawła Sękowskiego [w:] tegoż, *Les Polonais en France au lendemain de la seconde guerre mondiale (1944–1949). Histoire d’une intégration*, Paris 2019, s. 121). Maria Pasztor i Dariusz Jarosz piszą zaś nie o jednostkach, ale o rodzinach – tych wróciło około 25 tysięcy (M. Pasztor, D. Jarosz, *Polsko-francuska „zimna wojna”: sprawa Robineau (1949–1950)*, „Dzieje Najnowsze” 2002, nr 3, s. 100).

- [21] *Zapomniany powrót / Le retour oublié*, wystawa zorganizowana z okazji siedemdziesiątej rocznicy powrotu Polaków z Francji, eksponowana w Centrum Nauki i Sztuki Stara Kopalnia w Wałbrzychu, 14.09–14.10.2016. Inicjatorem wystawy był Bogdan Król, prezes Domu Bretanii w Wałbrzychu.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.
czarne.com.pl

 Wydawnictwo Czarne

 @wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:

ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:

al. Jana Pawła II 45A lok. 56

01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2023

Wydanie I